

Roberto Gervaso

BORGIOWIE

Przełożyła z włoskiego

Janina Perlin

Wydawnictwo " Książnica "

Tytuł oryginału

I Borgia

Koncepcja graficzna serii, logotyp serii

projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce

(c) Bridgeman/INDIGO

Copyright (c) RCS Libri SpA - Milano, 1976 Rizzoli

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany za pośrednictwem urządzeń mechanicznych bądź elektronicznych.

Niniejsze zastrzeżenie obejmuje również fotokopiowanie oraz przechowywanie w systemach gromadzenia i odtwarzania informacji.

For the Polish edition

Copyright (c) by Wydawnictwo "Książnica", Katowice 2007

ISBN 978-83-250-0081-3

SPIS TREŚCI

Wstęp.

I Panorama włoska

II Rzym

III Poprzednicy.

IV Sługa pięciu papieży

V Konklawe

VI "Zachłanny ród"
VII Na łasce cudzoziemca
VIII "Bezbronny prorok".
IX Zbrodnia doskonała.
X Małżeństwa i sojusze.
XI Księżę Romanii
XII Podbój trwa.
XIII "Wyborny podstęp"
XIV Malaria czy cantarella?
XV Bilans pontyfikatu
XVI Marzenie legło w gruzach
XVII W opinii świętości
Chronologia 291
Bibliografia 296

WSTĘP

Niewiele było w historii nazwisk budzących tak wielką odrazę jak nazwisko Borgiów. Współcześni i potomni uczynili z nich potworów zdolnych do wszelkich oszustw i łotrostw.
Wylano na nich rzekę nie tyle atramentu, ile żółci.
Nigdy Kościół nie upadł tak nisko jak za pontyfikatu Aleksandra VI, nigdy nie szerzyły się tak bardzo rozwiązłość, nepotyzm i symonia. Nie było przywary, od której ten papież byłby wolny, ani przestępstwa, którym by się nie splamił. Wyniesiony na tron Piotrowy w wyniku przekupienia elektorów, panował dwanaście lat wśród intryg, zbrodni i rozbojów. Bardziej wysłannik szatana niż wikariusz Chrystusa zamienił Watykan w dom rozpusty, katedrę Apostoła w targ bydła, torując drogę protestanckiej Reformacji.
Według nas, nieskłonnych ani do oszczerstw, ani do hagiografii, Rodrigo Borgia był

bardzo złym duszpasterzem, ale wielkim, bardzo wielkim monarchą. Nie miał ani wiary, ani moralności, a raczej miał wiarę i moralność właściwą swoim czasom, które nie były czasami świętych, ale okrutnych kondotierów i pozbawionych skrupułów książąt. Wykorzystał

tiarę nie do głoszenia chwały Boga i szerzenia jego nauki, lecz po to, by wynieść do wysokich godności swych zachłannych krewnych i oferować państwo swemu bastardowi, Cezarowi. Obojętny na sprawy tamtego świata, wszystkie swoje starania i całą energię poświęcił sprawom doczesnym. Nie bawił się zbytnio w subtelności, hołdując makiawelicznej zasadzie, że cel uświęca środki. Wydzwignął wysoko swoje nazwisko i swój ród, ale sprawił, że potężny i budzący strach stał się również Kościół, nie ten duchowy, którego pragnienia i potrzeby ignorował, lecz Kościół doczesny, którego - póki żył - był sędzią i tyranem.

Kochał niezmiernie swoje dzieci, ale nie był ani kochankiem Lukrecji, kobiety łagodnej, posłusznej i bynajmniej nie nieobyczajnej (zmarła w opinii świętości), ani też nie był zabawką w ręku Cezara, wykonawcy swoich rozkazów, który

najwięcej korzyści odniósł z jego polityki.

Kiedy zmarł, rozwiały się jego ambitne marzenia, ale - jak napisał Machiavelli - Kościół "stał się dziedzicem jego trudów".

Na zakończenie trzy słowa podziękuję: pierwsze kieruję do Evy Timbaldi, która mi pomagała w zbieraniu materiałów; drugie do Ovidia Dallery i Nina Ravenny, którzy przejrzeni tekst; trzecie do tych, którzy go cierpliwie raz i drugi przepisywali.

La Coletta di Cumiana, październik 1976 r.

PANORAMA WŁOSKA

Kiedy w roku 1492 Rodrigo Borgia, przyjąwszy imię Aleksander VI, wkładał na

głowę tiarę, Włochy były rozbite na mnóstwo państw i państewek rządzonych, czasem bardzo nieudolnie, przez książąt i pomniejszych panów, którzy swą władzę i przemoc opierali na uzurpacji i krzywdzie, a których moralność polegała na tym, że jej w ogóle nie mieli. Dbali bowiem tylko o własny interes, nie troszcząc się o poddanych, obciążonych obowiązkami, a pozbawionych praw, uciskanych przez podatki i dziesiątkowanych przez głód. Dobro zbiorowości było tłumione, podporządkowane interesom jednostki, czyli kolejnego pana. Siła uprawniała do nadużyć, a te z kolei utrwały przywileje.

Każde państwo i państewko widziało w sąsiedzie potencjalnego wroga, któremu wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi (zwłaszcza niedozwolonymi) sposobami trzeba było

pomieszać szyki i pokrzyżować plany. Posługując się częściej oszukaństwem niż bronią, trucizną niż szpadą, despoci bronili swych dominiów i czynili zakusy na posiadłości innych.

Ambicje, przemoc i cynizm inspirowały ich działania polityczne, osłaniane i podtrzymywane przez dwulicową, wykrętną, subtelną dyplomację, której genialnym kodyfikatorem miał się stać Machiavelli.

Wszystko (i nic) było dozwolone lub tolerowane. Knuto spiski, zdradzano, oszukiwano, odwracano sojusze: wczorajszy wróg dziś stawał się przyjacielem. Nikt nikomu nie wierzył, nawet własnej rodzinie. A nawet przed nią miał się szczególnie na baczności: Galeazzo Maria Sforza, władca Mediolanu, był podejrzewany o otrucie swej matki; Francesca Bentivoglio, faworyzując ojca, wyeliminowała męża; Ippolito d'Este kazał wylupić oczy bratu; Oliverotto Uffreducci zamordował swego wuja; Sigismondo Malatesta zgwałcił swe córki i zięcia.

Ciekawe, że nikt lub prawie nikt tym się nie oburzał.

Zbrodnia stawała się zbrodnią tylko wtedy, gdy chybiała celu.

Jeśli pozwalała go osiągnąć, racja stanu ją usprawiedliwiała

i rozgrzeszała sprawcę. Kiedy Cezar Borgia wymordował buntowników z Romanii
zwabivszy ich w diabelską zasadzkę,

Machiavelli - i nie tylko on - pochwalił ten czyn i jego
sprawcę.

Ten całkowity brak skrupułów, ten brutalny cynizm, choć
gwarantował posiadanie władzy (dopóki nowy uzurpator obaliwszy poprzedniego nie
zagarnął jej, by z kolei zostać przepędzonym), to jednak podtrzymywał na półwyspie
wieczny

stan wojny. Wojny i wojenki były na porządku dnia. Każdy

pretekst był dobry, aby sięgnąć po broń: naruszenie granicy,

nie dotrzymany pakt, nie zapłacony rachunek, nieudane małżeństwo, zwykła
zniewaga. Z równą łatwością dochodziło do

podrzynania gardeł jak do zgody, by potem na nowo nękać
się i znów pojedynkować.

Żadna idea nie usprawiedliwiała tych ciągłych bratobójczych walk, tych odwetów, w
których zwycięzcy i zwyciężeni,

zwyciężeni i zwycięzcy wyrzynali się, jakby w ich żyłach, stwardniałych przez wieki
chaosu, nie płynęła ta sama krew. O jedności nikt nie myślał, nie tylko dlatego, że
Kościół w swym

ekumenicznym egoizmie przeciwstawiał się jej w obawie, aby

państwo narodowe, ograniczając jego działalność do funkcji

duchowych, nie osłabiło tej władzy doczesnej, której poświęcił on nawet wiarę. A
także dlatego, że nikt nie zamierzał

rezygnować ze swoich zdobyczy, zwłaszcza jeśli osiągnął je

przemocą i oszustwem. Podporządkowanie tych jednostkowych interesów interesom
zbiorowości, rezygnacja z ambicji,

zawiści i przywilejów - była to cena, jakiej włoscy książęta

nigdy by nie zapłacili. Lepiej być słabym i podzielonym niż silnym i zgodnym.

Przykład Francji, Hiszpanii, Anglii, które za panowania Ludwika XI, Ferdynanda Aragońskiego, Henryka VII stały się suwerennymi państwami, niczego nie nauczył naszych małych i wielkich potentatów. "Włoski but" wyglądał nadal jak ponury kalejdoskop, w którym nieustannie zmieniali się tyrani i tyraniatka, uzależnieni od Francuzów, Hiszpanów i Niemców. Ci zaś zamienili kraj w pole walki i grabieży, opóźniając o kilka stuleci ów proces zjednoczeniowy, jakiego Włosi w swym tępym prowincjonalizmie ani nie potrzebowali, ani nie pragnęli. Pod koniec XV w., kiedy Rodrigo Borgia wstępował na tron papieski, pięć państw walczyło między sobą o niemożliwą do utrzymania palmę pierwszeństwa (supremacja zdobyta przez któreś z nich była przypadkowa i krótkotrwała, zależna, od nietrwałych i wiarołomnych sojuszy).

Na północnym zachodzie panował ród Sforzów, którzy po ostatnim Viscontim odziedziczyli Księstwo Mediolanu. Nie mając męskich potomków, Filippo Maria Visconti

wydał swą córkę Biancę Marię za swego najlepszego generała Francesca Sforze, syna słynnego dowódcy wojsk najemnych Muzia Attendolo, zwanego Sforzą z powodu swej herkulesowej krzepy. Francesco miał dwóch synów, Ludovica i Galeazza Marię, który przejął sukcesję. Po śmierci Galeazza Marii

berło przeszło w ręce jego synka, Giana Galeazza, który miał zaledwie siedem lat i musiał powołać na urząd regenta swego stryja Ludovica. Przeszedł on do historii jako il Moro, bo taki przydomek nadał mu jego ojciec, nazywając go el me moron *.

Ambitny, pozbawiony skrupułów, bardziej przywykły do rozkazywania niż do posłuszeństwa, wykształcony, wesoły,

przesądny, Ludovico nie zadowolili się rolą zastępcy swego bratanka. Chciał rządzić i rządził. Nietrudno mu to przyszło, gdyż nadawał się do rządzenia, a ponadto prawowity władca był chłopcem nieśmiałym, bezwolnym, chorowitym, któremu wystarczały zewnętrzne oznaki władzy. Jego jedynym zajęciem i troską było hodowanie psów i dbanie o swoje zdrowie.

Nawet jego energiczna matka, Bona Sabaudzka, która nienawidziła szwagra i bała się jego zaborczości, nie zdołała wyrwać syna z tej niezwyklej inercji.

Moro natychmiast i mocno uchwycił ster rządów, stając się faktyczną głową państwa. Wszystko skupił w swym ręku: od niego wychodziły rozkazy, do niego zwracali się i jemu byli posłuszni ministrowie, ambasadorowie i generałowie. Bona, a potem również i żona Giana Galeazza, ambitna i rezolutna

Izabela Aragońska, mogły kwestionować władzę Mora i czyniły to, ale nie miały możliwości mu jej odebrać. Sami poddani, mając w pamięci zbrodnie Viscontich, którzy należeli do

najokrutniejszych tyranów Odrodzenia, stali po jego stronie.

Ludovico był zresztą księciem dosyć oświeconym. Dobro państwa leżało mu wprawdzie mniej na sercu niż dobro

własne, ale na pewne postulaty - jak byśmy dzisiaj powiedzieli - nie był głuchy.

Rozbudował przemysł, sprzyjał rozwojowi rolnictwa, stwarzał bodźce do uprawy ryżu, winorośli,

morwy. Popierał również budownictwo miejskie, poszerzał drogi, wznosił domy i szpitale.

* "Moja morwa" w dialekcie lombardzkim. il Moro znaczy też ciemnoskóry lub Maur (przyp. tłum.).

W wieku 39 lat ożenił się, aby zapewnić sobie legalne potomstwo. Dotychczas miał jedynie kochanki, które mu dały dwóch synów i córkę. Wybrał 16-letnią dziewczynę, Beatrice d'Este, do której w kilka miesięcy po ślubie zapłonął, na

swoje nieszczęście, gwałtowną miłością. Beatrice, podobnie jak jej sławniejsza siostra Izabela, kochała do szaleństwa zbytek i przepych, wydawała i trwoniła pieniądze, nie odmawiała sobie niczego, a zwłaszcza rzeczy niepotrzebnych. Tak więc Ludovico, który miał także dziurawe ręce i nigdy nie potrafił powiedzieć jej: nie, roztrwonił ogromne sumy i doprowadził księstwo na skraj bankructwa.

W 1493 r. Beatrice urodziła mu syna Maksymiliana. Ten fakt stworzył nieoczekiwane problemy dynastyczne. Kto po śmierci Mora będzie jego następcą: Maksymilian czy bratanek? Jeśli Ludovico nie przekształci regencji, to znaczy władzy delegowanej, we władzę osobistą z całą charyzmą i z wszelkimi oznakami prawowitości, jeśli nie odsunie całkowicie od rządów Giana Galeazza, to z jakiego tytułu jego syn mógłby dziedziczyć berło? Izabela była ponadto córką Alfonsa Aragońskiego, pretendenta do tronu Neapolu, i Alfons mógłby użyć siły do poparcia słusznych praw zięcia. I to nie dlatego, że ów zamierzał ich dochodzić - psy i lekarze nie zostawiali mu na to czasu - lecz dlatego, że Izabela nigdy by z nich nie zrezygnowała.

Moro, świadomy niebezpieczeństwa, na jakie narażał swego syna i samego siebie, postanowił zwrócić się bezpośrednio do cesarza Maksymiliana Habsburga. W zamian za tytuł i władzę książęcą oferował mu za żonę bratanicę, Biancę Marię, z posagiem 400 tysięcy dukatów. Maksymilian, skuszony raczej pieniędzmi - był zawsze bez grosza - niż dziewczyną, zgodził się. Kiedy jednak w 1494 r. Alfons wstąpi na neapolitański tron, a apele Izabeli o pomoc staną się coraz bardziej naglące, Ludovico wezwie w sukurs nie swego teścia, ale potężniejszego i wzbudzającego postrach króla Francji.

Odpowiednikiem bloku Sforzów był na wschodzie blok wenecki. Najbardziej zwarty na całym półwyspie, nie tylko z powodu położenia geograficznego i labiryntu lagun oddzielających stolicę od stałego lądu i chroniących ją przed najezdami z kontynentu; również i przede wszystkim dlatego, że instytucje Wenecji gwarantowały jej stabilność, a więc pokój społeczny i dobrobyt, z którego nie korzystało żadne inne państwo włoskie. Cała władza spoczywała w rękach patrycjuszowskiej oligarchii o sprawdzonej tradycji i wypróbowanej zręczności. Ta zbogacona na handlu oligarchia decydowała o wszystkim. Tylko jej przedstawiciele mieli dostęp do owego "pokoju decyzji", jakim była Wielka Rada, tzn. parlament, będący najwyższym organem Republiki. Wejścia do niej nie gwarantowały szlacheckie patenty, głównym wymogiem było, aby któryś z przodków zasiadał w jej ławach przed rokiem 1297, a więc przed datą słynnego "zamknięcia" Wielkiej Rady.* Ten warunek spełniało niewiele rodzin - "Złota Księga", prawdziwy Almanach Gotajski weneckiego establishmentu, zawierała ich spis. On właśnie określał prawo wstępu do tego prześwieczonego zgromadzenia.

Ponieważ jednak jego 480 członków nie mogło z należytą sprawnością załatwiać problemów politycznych, ustanowiono węższą radę, tak zwany Senato dei Pregadi, składający się najpierw z 60, a potem ze 120 patrycjuszy. Pozostawali oni na swym urzędzie przez rok. Mianowali ambasadorów - z wyjątkiem posła w Konstantynopolu - zajmowali się sprawami handlu, żeglugi, a przede wszystkim polityki; decydowali o wojnie i o pokoju, zawierali traktaty i sojusze, przekazywali

* "Zamknięcie" (serrata) oznaczało, że do Wielkiej Rady nie dopuszczano już przedstawicieli nowych rodzin (przyp. tłum.).

instrukcje ambasadorom i dyskutowali publicznie nad ich raportami.

Senat w jego pracy wspierała Signoria, w której skład wchodziło sześciu stałych radnych, trzech czołowych przedstawicieli Quarantii - będącej swego rodzaju radą państwa

- szesnastu mędrców i doża, głowa Republiki.

Doża sprawował swój urząd dożywotnio, ale w praktyce nie miał żadnej władzy, był tylko jej ucieleśnionym symbolem. Panował, lecz nie rządził. Był jakby królem konstytucyjnym: pojawiał się tylko przy uroczystych okazjach i oddawano

mu wielkie honory. Mieszkał w książęcym pałacu, rezydencji wspanialszej niż przebogaty pałac bizantyńskiego bazyleusa.

Przywileje, czysto formalne, z których korzystał doża, ograniczały w najwyższym stopniu jego wolność osobistą. Każdy

gest, każdy ruch, każde słowo były dyktowane przez sztywny i drobiazgowy protokół. Nie mógł uczynić kroku bez eskorty,

każde jego pojawienie się zapowiadał głos trąb, bicie dzwonów, muzyka. Ukazywał się siedząc na krześle ozdobionym

wspaniałym parasolem i pokrytym cenną tkaniną. Krótko mówiąc, żył w złotej klatce, z całym zewnętrznym blichtrzem władzy.

Nie powiodła się żadna z prób buntu dożów przeciw temu odsunięciu ich od wszelkiej władzy. W roku 1355 Marin Faliero zawiązał spisek, by ogłosić się dyktatorem. Spisek jednak został wykryty, a on sam ścięty w tym samym miejscu - na Schodach Gigantów - w którym otrzymał był książęcy róg, oznakę najwyższej godności.

Aby zapobiec dalszym tego rodzaju próbom, Wielka Rada powołała coś w rodzaju komitetu ocalenia publicznego, czyli Radę Dziesięciu, która wkrótce stała się najpotężniejszym organem państwa. Zbierała się w wielkiej tajemnicy, podejmowała decyzje w

zastrzeżonych dla niej sprawach, deliberowała nad donosami szpiegów, urzędowała procesy przy drzwiach zamkniętych, przekazywała instrukcje ambasadorom. Dwóm lub trzem jej członkom, tzw. inkwizytorom, powierzano kolejno niezwykle delikatne zadania sprawdzania moralności i lojalności polityków, wyższych urzędników, dyplomatów, a także zwykłych obywateli. Był to rodzaj superpolicji spełniającej funkcje wywiadu i kontrwywiadu, a także supertrybunału, od którego wyroków nie było odwołania. Istniały również inne, mniej ważne organy, wszystkie podlegające Wielkiej Radzie, niekwestionowanemu arbitrowi losów Najjaśniejszej Republiki Weneckiej i depozytariuszowi jej świetności.

Monopol na władzę polityczną zapewniał także monopol w dziedzinie gospodarczej: szlachta, i to nie tylko w Wenecji, była silna, bo bogata, a bogata, bo silna. Kontrolowała bezpośrednio lub przez osoby podstawione handel, finanse, towarzystwa żeglugi, frachty. Znaczna część floty handlowej, która w czasie wojny przekształcała się w wojenną, należała do niej; ona też kontrolowała sukienice i magazyny towarów rozrzucone w strefie Adriatyku i Morza Egejskiego.

Obrona szlachty i jej ekspansja determinowały politykę podporządkowaną gospodarce, której pomyślność zapewniała z kolei stabilność państwu. Kiedy bowiem tureckie podboje i odkrycie Ameryki przechylały szalę europejskiego handlu z basenu Morza Śródziemnego w stronę Atlantyku, Republika Wenecka popadnie w kryzys.

W Wenecji szlachta była więc wszystkim. Mieszczaństwo dostarczało aparatowi państwa niższych kadr i mniejszej rangi urzędników administracji, lud zaś wykonywał najprostsze i najgorzej wynagradzane prace. Ani mieszczaństwo, ani lud

nie ośmielałyby się żądać praw politycznych. I to nie tylko dlatego, że ci, którzy je mieli, to znaczy patrycjusze, nigdy by im ich nie przyznali. Również dlatego, że względny dobrobyt, jaki rządzący zapewniali swoim poddanym, tłumiał ich dążenia do równości i buntownicze zrywy zapewniając Republice pokój społeczny, nie znany innym państwom na półwyspie.

Dzięki trwałości swoich instytucji i sile gospodarczej Wenecja wzbudzała w tych państwach respekt i strach. Jej zakusy na Lombardię zaalarmowały Sforzów: świeża była jeszcze pamięć o zwycięstwach Francesca Foscarięgo nad Mediolanem, których następstwem było zagarnięcie Bergamo,

Brescii i Cremony. Strach przed Republiką ogarniał także Ojcowiznę Świętego Piotra (Państwo Kościelne) i Królestwo Neapolu, którego adriatyckim wybrzeżom zagrażała wenecka flota. To prawda, że Wenecja miała również kłopoty z Turkami, ale polityka pojednania wobec imperium osmańskiego sprzyjała ekspansji Najjaśniejszej w kierunku pozostałej części Włoch.

Florencja również patrzyła krzywym okiem na Wenecję i obawiała się rozszerzania jej wpływów na stałym lądzie.

Toskańskie miasto związało na szczęście swoje losy z jednym człowiekiem, a mianowicie z Wawrzyńcem Medyceuszem, powszechnie uważanym za najbardziej przenikliwego polityka i najbardziej przebiegłego dyplomatę swoich czasów. Jeżeli przez długie lata znękana Italia mogła się cieszyć względny pokojem, było to zasługą tego właśnie monarchy bez berła i korony, tego antydoży, który tworzył i rozwiązywał rządy, mianował i odwoływał ambasadorów i generałów, prowadził rokowania z książętami i papieżami, był arbitrem nie tylko tokańskiej, ale i włoskiej polityki.

Po dziadku, wielkim Cosimo, twórcy nie tyle dynastii, ile potęgi medycejskiej, odziedziczył on wraz z ogromnym majątkiem także inteligencję,

ambicję oraz subtelne i nieuchwytnie

upodobanie do sprawowania władzy w cieniu.

Gdyby rządził w swoim własnym imieniu, Republika nie byłaby republiką nawet na papierze, i to nie tyle z racji swej wewnętrznej słabości, ile z powodu prestiżu i wpływów Medyceuszy. Lepiej było więc zachować pozory demokracji, w której nie było nic demokratycznego poza nazwą, i działać za kulisami.

Miastem bowiem oficjalnie rządziło ośmiu priorów

Signorii, wybranych przez członków Arti Maggiori (Cechów

Większych), reprezentujących popolo grasso (zamożniejszy lud), oraz przez członków Arti Minori (Cechów Mniejszych),

grupujących popolo minuto (chudopachołków). Czterech priorów należało do

Cechów Większych, a czterech do Mniejszych. Wszyscy oni razem mianowali confaloniere di giustizia*, szefa organu wykonawczego. Była to w rzeczywistości demokracja czysto formalna. Dyktowało prawa i pilnowało

ich poszanowania bardzo wąskie lobby, które monopolizowało władzę ekonomiczną, a więc również i polityczną. Krótka

mówiąc, liczyły się tylko pieniądze; ten, kto miał ich więcej,

więcej znaczył. Tak więc Wawrzyniec stał się języczkiem

u wagi.

Aby umożliwić swoim ludziom lepsze sprawowanie rządów, powołał do życia balla, organ władzy kolegialnej, który

zgodnie z konstytucją miał spełniać swe funkcje przez czas

ograniczony, ale który przekształcił się w organ stały. Nazwany potem Radą

Siedemdziesięciu, stał się czymś w rodzaju

trustu mózgów.

Nad decyzjami Medyceuszy można było dyskutować, ale

nikt nie ośmielał się ich kwestionować. Kiedy Volterra zażądał, by mu wypłacano

royalties z jego własnych kopalń znacjonalizowanych przez Wawrzyńca, i chwycił za broń przeciwko Republice, Wawrzyniec krwawo stłumił rebelię. Był to

jeden z nielicznych jego błędów.

* Confaloniere (gonfaloniere) - najwyższy urząd cywilny lub wojskowy w niektórych średniowiecznych komunach (gminach) włoskich (przyp. tłum.).

W 1474 r. sprzymierzył się z Mediolanem i Wenecją, by zagwarantować status quo w rejonie środkowopółnocnym. Ten sojusz mocno zaniepokoił papieża, który tytułem represji cofnął bankom medycejskim prawo do zarządzania finansami papieskimi; zostały one przeniesione do banków potężnej rodziny florenckiej Pazzich. Sykstus VI nie poprzestał na tym; uknuł spisek przeciwko Wawrzyńcowi i jego bratu Giulianowi. Przeszedł on do historii jako "spisek Pazzich" od nazwiska jego promotorów.

Zamach dokonany w katedrze, w niedzielę wielkanocną 1478 r., powiódł się tylko połowicznie: Giuliano ugodzony sztyłem w pierś stracił życie; jego brat natomiast, zaledwie draśnięty, wyszedł z niego prawie bez szwanku. Spiskowców "przykładnie" ukarano: jeden z nich został powieszony obok arcybiskupa Salviatego, który w spazmie agonii ugryzł go w ramię; drugiego ciągnięto nagiego przez całe miasto, a następnie wrzucono do Arno.

W odpowiedzi na to papież Sykstus wyklął Wawrzyńca, Confaloniera oraz urzędników florenckich i w porozumieniu z królem Neapolu wypowiedział Florencji wojnę. Syn aragońskiego monarchy, Alfons, wyruszył z wojskiem na Republikę i pod Poggibonsi zadał klęskę oddziałom medycejskim.

Popularność Wawrzyńca, który aby sfinansować kampanię, podniósł podatki, wydawała się poważnie nadszarpnięta. Kiedy jednak Wawrzyniec, dając dowód szczególnej odwagi, wyruszył do Neapolu i stanął bez broni przed królem Ferrante,

odzyskał zaufanie poddanych. Przestrzegł Aragończyka, że umocnienie Kościoła w Toskanii (za pieniądze Pazzich papież nabył Imolę) wcześniej czy później rozbudzi zachłanność papieża wobec Południa. Na koniec Ferrante, zaniepokojony również zagrożeniem tureckim na wybrzeżach

Adriatyku, podpisał ze swym gościem układ o przyjaźni.

Papież zrobił dobrą minę do złej gry, a prestiż Wspaniałego - bo taki przydomek zyskał Wawrzyniec-wzrósł niezmiernie.

Florentczycy, łącznie z tymi, którzy mu się przeciwstawiali, opowiedzieli się po jego stronie, zjednani również jego

mecenatem. Pod rządami tego sceptycznego i wyrafinowanego księcia miasto stało się wkrótce Mekką włoskiej i nie tylko

włoskiej inteligencji oraz punktem oparcia dla owego przebudzenia artystycznego i kulturalnego zwanego Odrodzeniem.

Podniósł się również poziom życia, czemu sprzyjał pokój,

którego od dawna Toskania i półwysep nie znały i którego

Wspaniały był mądrym architektem. Traktaty o wzajemnej pomocy zawarte z Aragończykiem, Sforzą, papieżem i innymi

mniejszymi państwami, poza Wenecją, która jednak nie sabotowała tych układów, zapewniły "włoskiemu butowi" dziesięć

lat odprężenia i pokoju. Kiedy jednak w 1492 r. zaledwie

44-letni Wawrzyniec cierpiący na podagrę i niezliczone inne

choroby pożegna się z tym światem, Włochy znów pogrążą się w chaosie.

Na południu Toskania graniczyła z państwem papieskim,

które z kolei graniczyło z królestwem Neapolu. Panowali

w nim Aragończycy, którzy rozciągnęli swoją suwerenność na

obszary położone na południe od Marche i Ojcowizny Świętego Piotra, z portami Pescary, Bari, Brindisi, Otranto. Było

to najuboższe, najbardziej zacofane i najmniej udane

państwo półwyspu. Chrystus zatrzymał się naprawdę u jego granic.

Dynastie sprawujące tam kolejno rządy nie uczyniły nic, by uwolnić od głodu, epidemii, ignorancji te opuszczone, smutne strony. Nieliczne próby rozbiły się o opór drobnej wiejskiej szlachty składającej się z baronów, która od wieków jest

zarazą naszego biednego Południa. Chciwi, wiarołomni, bezczelni, nie nadający się do niczego, ale zdolni do wszystkiego,

wyzyskiwali chłopów zamienionych w niewolników i ciemnieżyli ludność. Ich okrucieństwo ustępowało tylko ich próżności, która jednak była mniejsza niż nienawiść do króla. Uważali się, i w rzeczywistości byli nimi, za ludzi stojących ponad

wszelkim prawem i ponad wszelkimi zasadami moralności.

Alfons, który w 1442 r. zapoczątkował dynastię aragońską, nigdy nie zdołał ich poskromić. Nie udało się to również jego następcom.

Ten pozbawiony skrupułów, uparty i okrutny władca zostawił po sobie jak najgorszą pamięć. Ograbiał doszczętnie

swoich poddanych, pastwił się przede wszystkim nad Żydami, którym - jeśli nie płacili podatków - kazał się chrzczyć. Pomagał biednym, ale raczej dając im jałmużnę, niż zmniejszając bezrobocie, wieczną plagę Południa. Być może dlatego

Neapolitańczycy nie odnosili się do niego wrogo i dzięki temu mógł chodzić bez broni i bez eskorty.

Sympatię zjednała mu także hojność dla artystów, pisarzy i filozofów oraz pobożność. Nie był bigotem, ale codziennie uczestniczył we mszy, słuchał kazań, miał zawsze na komódce Biblię, którą przeczytał czterdzieści razy i znał na pamięć długie jej ustępy. Miał wielką słabość do kobiet. Wszystkie mu się podobały. Wszystkie z wyjątkiem żony, Marii Kastylijskiej, która, zdaje się,

była kobietą niezrównanej brzydoty.

Mścił się za to, zdradzając ją bezwstydnie, a kiedy ona zabiła jedną z jego niezliczonych kochanek, nie chciał już jej widzieć, choć nadal trzymał na dworze. Wychodził ze skóry, by poślubić Lukrecję d'Alagno, bardzo piękną, 18-letnią amalfitankę, ale papież nie zgodził się unieważnić jego małżeństwa.

Zadowolił się więc traktowaniem kochanki jak królowej.

Zmarł w 1458 r. bez prawowitego potomstwa, przekazując koronę swemu domniemanemu synowi Ferdynandowi, zwanemu Ferrante. Pontano, sekretarz króla, insynuował, że prawdziwym ojcem był hiszpański marran, to znaczy Żyd nawrócony na chrześcijaństwo. Nie wiemy, jak było naprawdę.

Jedno jest pewne: matka, Margarita di Hajar, nie była wcale święta. Papież Kalikst III nie wahał się jednak uznać syna Alfonsa, choć odmówił mu tytułu króla. Miał nadzieję, że w ten sposób zaanektuje Neapol, który Kościół uważał za swoje lenno.

Ferdynand wydał bezlitosną walkę baronom. Aby ich wytępić, uciekał się do najbardziej perfidnych podstępów, udając, że pragnie pojednania. Niektórych z nich zaprosił do

pałacu i po wspaniałej uczcie kazał wymordować; innych głodził w więzieniu, jeszcze innych zamykał w klatkach bez jedzenia. Gdy umierali, nie grzebał ich, lecz kazał balsamować,

a następnie wystawiał na pokaz w swoim muzeum. Okrucieństwo, wspólne zresztą prawie wszystkim ówczesnym książętom, nie przeszkodziło mu rządzić lepiej od ojca, który pewnymi zbrodniami nigdy się nie splamił. Zarządzał państwem bardziej roztropnie niż Alfons, stwarzał dogodne warunki do napływu kapitałów i cudzoziemskiej siły roboczej, sprzyjał osiedlaniu się w miastach biednych chłopów (cafoni), którzy porzucali wsie, by uciec przed przemocą baronów. Za jego

rządów ludność stolicy wzrosła do 100 tysięcy.

Również w polityce umiał dobrze rozegrać swoją partię.

Wydając córkę Marię za księcia Amalfi, żeniąc syna Alfonsa

z Ippolitą Marią Sforzą, a drugiej córce dając za męża

Węgra, Macieja Korwina, stworzył szeroką sieć sojuszków. Gdy

w 1494 r. zszedł ze sceny, królestwo mimo baronów było już

dość silne.

Ale nie na długo.

RZYM

Rzym czasu koronacji Aleksandra VI był, przynajmniej

zewnątrz, miastem jeszcze średniowiecznym.

Przeniesienie Stolicy Apostolskiej do Awinionu (1309-

-1376) oraz właśnie wewnętrzne rozdzierające Kościół, które doprowadziły do

schizmy zachodniej (1378-1417), nie

tylko odebrały Miastu berło stolicy chrześcijaństwa, lecz także były przyczyną jego

pauperyzacji ekonomicznej, demograficznej i duchowej. Wraz z powrotem papieża i

rozstrzygnięciem w 1417 r. starego sporu Rzym odzyskał, choć z trudem,

swoje znaczenie. Papieże, którzy przed Rodrigiem Borgią włożyli na głowę tiarę,

odzyskali swoje prerogatywy i przywrócili

swą suwerenność, ale nie zmienili w niczym oblicza stolicy.

U schyłku stulecia liczyła ona nie więcej niż 70 tysięcy dusz.

Mniej niż bardzo ludny Neapol, a także mniej niż Mediolan,

Florencja, Wenecja i Ferrara. Rzym wyglądał jak wielka, brudna, niechlujna i gnuśna

wieś opasana murami aureliańskimi,

które wybiegały daleko poza zamieszkaną przestrzeń. Na

wzgórzach zamienionych w pastwiska wałęsały się kozy, owce

i krowy. Liche domki i lepianki wznosiły się obok zbutwiałych

ruin. Forum, Koloseum i Circo Massimo, w stanie zupełnego

zaniedbania, były smutnymi pamiątkami po pogańskim,

pogrzebanym przez średniowiecze przepychu, który jednak

Odrodzenie miało wkrótce wskrzesić. Było wiele dzwonnicy i wież, ale bardzo nieliczne kopuły, które dopiero w następnych dziesięcioleciach wyrosną jak grzyby po deszczu. Bazylika św. Piotra nie miała w sobie nic majestatycznego, a pałace kardynalskie, nawet te najbardziej imponujące, nie dorównywały domostwom weneckim, florenckim i mediolańskim.

Najbardziej zatłoczoną dzielnicą było Campo Marzio, istny labirynt uliczek i zaułków, gdzie panował szczególnie ożywiony ruch z powodu bliskości Ripetty, tybrzańskiego portu.

Dzielnica Banchi natomiast była czymś w rodzaju Wall Street, centrum finansowym Miasta: bankierzy, lichwiarze, spekulanci, kupcy mieli tu swoje siedziby i kantory. Tutaj przed konklawe dokonywano zakładów dotyczących osoby przyszłego papieża; tutaj organizowano loterie i gry hazardowe; tu pyszniły się okazałymi szyldami sklepy jubilerskie, księgarnie i sklepy z norymberszczyzną; tu mieszkali artyści i słynne kurtyzany.

Dzielnice Parione, między placem Navona i Campo dei Fiori, upodobali sobie patrycjusze i zamożni mieszczaństwo, natomiast w dzielnicy Regola mieściły się warsztaty rzemieślników (od których profesji wzięły się nazwy ulic): druciarzy, ślusarzy, kuśnierzy.

Dzielnica Świętego Anioła była zarezerwowana dla Żydów tworzących getto: prześladowani przez jednych papieży, byli tolerowani przez drugich. Rozpoznawano ich po nakryciu głowy i żółtym szalu, który obowiązani byli nosić zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Najbardziej ludową i niespokojną dzielnicą było Zatybrze. W jego nędznych domach, w ciemnych krętych, brudnych zaułkach gnieździły się najgorsze miejskie szumowiny.

Obcy niechętnie się tam zapuszczali: trudno było zliczyć kradzieże, napady, zbrodnie.

Te przestępstwa uchodziły przeważnie bezkarnie, bo nawet siepacze trzymali się z daleka od tego niebezpiecznego labiryntu uliczek, w których i oni ryzykowali życie, a czasem je tracili.

Nie znaczy to, że reszta miasta nie kryła w sobie zasadzek.

Przestępczość nie omijała żadnej dzielnicy, szerzyła się wszędzie, ale za Tybrem bardziej niż gdzie indziej. Tak jak dzisiaj.

Nawet Borgo nie można było uważać za bezpieczną dzielnicę, choć tutaj właśnie rezydował papież i kuria, a sprawowany tu nadzór był baczniejszy niż gdziekolwiek.

Krótko mówiąc, przestępczość srożyła się i panowała;

sprzyjała jej nędza, krnąbrność mieszkańców i nieudolne rządy papieskiej administracji. "Jeśli istnieje piekło - napisze

Luter w 1510 r. - to Rzym jest na nim zbudowany." Niemiecki mnich zjadliwie wyrażał się o papieżu, który jeszcze

zjadliwiej wyrażał się o Lutrze, ale jego zdanie podzielało

wielu w Państwie Kościelnym i poza jego granicami.

Autokratyczne rządy następcy Piotra były najgorsze z wyobraźalnych. Skupiając całą lub prawie całą władzę w swoich

rękach bądź składając ją w zachłanne ręce swoich współpracowników - pupilków i krewnych - sprzyjał on powstawaniu przywilejów, nadużyć i oszustw.

Nieodwołalność jego decyzji i niepodważalność jego ocen usprawiedliwiały, a nawet uświęcały najbardziej bezwstydną niesprawiedliwość. Podległy prawu boskiemu,

którego mienił się uniwersalnym depozytariuszem, wymykał się całkowicie prawu ludzkiemu. Sprawę zdawał tylko Bogu, przez którego był inspirowany i z którym

bezpośrednio się komunikował. Jego władza była nieograniczona i bliska niekiedy samowoli. Żaden sobór nie usankcjonował jeszcze jego nieomyślności, ale żaden

poddany nie ośmielał się podawać jej w wątpliwość. Bardziej niż duszpasterzem był animatorem politycznych układów, dyplomatycznych sojuszów i unii

wojskowych. Bardziej niż wierze służył racji stanu, do prymatu doczesnego dążył usilniej niż do duchowego,

więcej myślał o sprawach ziemskich niż wiecznych. Nepotyzm zainicjowany w początkach XV wieku przez Marcina V, podchwycony i zinstytucjonalizowany w połowie stulecia przez Kaliksta III, wyolbrzymił jego monarsze prerogatywy. Powierając swoim dzieciom, bastardom, bratankom, szwagrom i innym krewnym urzędy, beneficja i prebendy, ów papież upodabniał się do świeckiego władcy, którym nie chciał być, ale którym w rzeczywistości był i którym - przynajmniej do Soboru Trydenckiego (1545-1563) - będzie się stawał w coraz większym stopniu.

Dopiero śmierć przerwała to wszystko, ukróciła wpływy zachłannej rodziny. To była jedyna, nieprzekraczalna granica jego absolutyzmu. Kłopot polegał na tym, że następcy niezbyt różnili się od poprzednika; oni także, lepsi czy gorsi, mieli bardziej ziemską niż ewangeliczną koncepcję wysokiego urzędu, na który powołało ich Święte Kolegium.

Siła członków tego znakomitego gremium była wprost proporcjonalna do słabości papieża. Ich głos liczył się jedynie na konklawe, kiedy zgodnie z prawem wybierali nowego papieża. Jednakże to uprawnienie, mające znaczenie w czasie trwania wyboru, zostaje wkrótce - jak pisze Galasso w pięknym eseju Władza i instytucje we Włoszech - "unicestwione i przekształcone w obowiązek posłuszeństwa i uwielbienia elekta, który przecież decyduje o ich awansach. Powierzenie urzędów i godności zależy wyłącznie od woli papieża, który może dowolnie i w każdej chwili nimi dysponować. Jeśli kardynał popadnie u papieża w niełaskę, droga do władzy w Kościele lub w państwie zostaje przed nim nieodwołalnie zagrodzona; bez woli papieża nie można też zostać kardynałem. Są oni jednak książętami Kościoła i państwa i mają

potencjalną szansę zostania następcą tronu". Są to - dodaje Valsecchi - "przyszli papieże obowiązani występować z przepychem należnym ich pozycji i z pompą liturgiczną związaną z ich urzędem. Przepych jest obowiązkowym akompaniamentem ich godności. Mają swoje dwory: otacza ich chmara satelitów, paziów, szlachty, kamerdynerów papieskich, kapelanów, mistrzów ceremonii, nie licząc oczywiście całego legionu służby. Każdemu ich oficjalnemu wyjściu na miasto towarzyszy orszak, przekształcający się niekiedy w istny pochód, któremu wszyscy na ulicach Rzymu musieli ustępować z drogi, a strażę prezentowały mu broń".

Żyli, krótko mówiąc, raczej jak świeccy wielmoże niż jak duchowni, pilnując bardziej własnych interesów niż interesów Chrystusa. Mniej troszczyli się o nieuchwytne sprawy duszy niż o bardziej konkretne i lukratywne sprawy ciała. Nie odmawiali sobie niczego: ani tego co zbędne, ani co konieczne. Mieli mnóstwo kochanek (i kochanków), polowali, bawili się, oddawali grom hazardowym. Chlubne wyjątki zdarzały się rzadko.

Uważali się za ziemskie książęta i tak też postępowali. Ich rezydencje - prawdziwe zamki z blankami i wieżami, strzeżone przez mnóstwo rusznic i armat - były uznawanym prawnie azylem. "Kiedy przestępca dostał się pod opiekę dostojnika kościelnego - opowiada Gregorovius - jego familia chroniła go z bronią w ręku przed sprawiedliwością. Pewnego razu, kiedy kilku młodych rzymian poturbowało lokajów kardynała Ascania, familia wyprowadziła na drogę przeszło dwudziestu ludzi uzbrojonych w kusze i miecze. Innym razem, kiedy kapitan kurii, Savelli, chciał przeprowadzić egzekucję w pobliżu pałacu kardynała Balue, ów wychylając się z okna krzyknął, by tego poniechano, gdyż teren podlega jego jurysdykcji. A ponieważ

kapitan nie posłuchał, kardynał kazał swoim ludziom zaatakować gmach trybunału. I tak się stało, budynek został zdewastowany, dokumenty zniszczone, a więźniowie uwolnieni". Wybór Borgii nastąpił właśnie w tej sytuacji przerażającego rozprężenia, które mu zresztą całkowicie odpowiadało.

Kardynałowie wypełniali oczywiście również zadania kościelne i właśnie im papież powierzał rządy w kurii poprzez kongregacje, to znaczy watykańskie urzędy, których szeregi zasilali. Każda kongregacja miała określony zakres kompetencji: Kongregacja Świętej Rady spełniała rolę najwyższej instancji sądownictwa cywilnego i karnego; Kongregacja Dobrego Rządu sprawowała nadzór nad zarządzaniem majątkami i finansami komunalnymi; Kongregacja Podatków kierowała działalnością fiskusa; Kongregacja Rachuby zajmowała się ogólnym budżetem państwa; Kongregacja Kredytu nadzorowała administrowanie długiem państwowym.

Kardynałom były też powierzane stanowiska sekretarza stanu i kamerlinga, najważniejsze po papieżu, który mianował na nie swoich najwierniejszych współpracowników. Urząd sekretarza stanu był czymś w rodzaju ministerstwa spraw wewnętrznych i zagranicznych, zaś kamerlinga - ministerstwem finansów. Purpuraci z upoważnienia papieża zarządzali również prowincjami Państwa Kościelnego. Rządzili - czasem robili to bardzo źle - tymi posiadłościami (miastami, miasteczkami i wsiami), które dzięki Pepinowi Krótkiemu i Matyldzie z Canossy Kościół mógł włączyć do swego państwa.

Tu przede wszystkim znajdowała ujście żądza podbojów. Wymienione instytucje nie wyczerpywały listy urzędów papieskich, były one tylko najważniejsze, a więc najbardziej o nie zabiegano. Było też mnóstwo innych, wszystkie do sprzedania i do kupienia.

Każdy miał swoją cenę i tylko ten, kto dysponował pieniędzmi, był godny urzędy te sprawować. Talent, kwalifikacje, uczciwość nie były żadnym po temu tytułem ani rekomendacją.

"Omijano nawet - pisze Ranke

- przepisy stanowiące, że syn duchownego nie może obejmować urzędu po swoim ojcu i że nikt nie ma prawa zapisywać w testamencie, jako dziedzictwa, swego stanowiska; zważywszy na to, że każdy mógł dojść do celu, jeśli tylko nie skąpił pieniędzy, i mieć takiego koadiutora, jakiego pragnął, w praktyce istniało do pewnego stopnia dziedziczenie urzędów".

Za to bezwstydną postępowanie musiała drogo zapłacić wiara i ucieleśniająca ją instytucja. Luter i Kalwin zbuntują się przeciw papieżowi i rozbijają jedność chrześcijańskiej ekumeny również dlatego, że odrazę budziło w nich skorumpowanie rzymskiego kleru.

Tak więc kuria kontrolowana i manipulowana przez papieża była prawdziwym ośrodkiem "władzy decyzyjnej" Kościoła. Resztki instytucji komunalnych już się bowiem nie

liczyły, były pozbawionymi życia żalonymi relikami. Istniał jeszcze senat, konserwatorzy*, urząd gonfaloniera, nie brakowało butnych dowódców we wspaniałych mundurach, ale

kto ich słuchał? "Nic - pisze Pecchiai - nie mogłoby przeszkodzić papieskiemu rządowi w zamknięciu Kapitolu i prze-

niesieniu do obszernych pomieszczeń Kamery Apostolskiej również administracji miejskiej, utrzymywanej - wbrew jej przechwałkom - nie przez lud i dla ludu, lecz przez klasy bogate lub przynajmniej zamożne, które pilnowały przede

wszystkim własnych interesów. Jeśli jednak papieże pozwalali istnieć Kapitolowi wraz z wszystkimi jego starymi instytucjami, czynili tak po pierwsze dlatego, że Rzym i sławny lud

rzymski nie mogli być pozbawieni swej historycznej i okazałej reprezentacji, a po wtóre dlatego, że rządowi papieskiemu

nie uchodziło niszczyć ostatnich instytucji komunalnych, skoro zezwalając na ich istnienie, łatwo mógł uczynić je nieszkodliwymi. Nadal więc konstituowały się, zbierały i dyskutowały rady ludu, sędziowie nadal wymierzali sprawiedliwość we wspaniałych pałacach kapitolinckich (oczywiście na tyle, na

* Konserwator - urzędnik w komunalnych średniowiecznych Włoszech mający pieczę nad księgami i majątkiem publicznym (przyp. tłum.).

ile gubernator lub kamerling im na to zezwalali) i dysponowali szczupłymi funduszami; zgromadzenie współczesnych

ludzi przystrojonych w bogate antyczne szaty nadal i z całą powagą używało nazwy Senatus populusque romanus jak

w dawnych, pełnych chwały czasach Scypionów i Cyncerona: to

wszystko odbywało się na świętym wzgórzu i w proroczej scenerii Kapitolu, było to bardzo efektowne i wzbudzało zachwyt podróżnych, którzy przybywali z daleka, by zwiedzić

Miasto". Ale tylko ich.

W "pokoju decyzji" było bowiem miejsce tylko dla tych,

którzy nosili suknię duchowną, zwłaszcza jeśli była ona purpurowa. Ten, kto jej nie nosił, musiał - jeśli chciał coś znaczyć - mieć zapewnioną protekcję papieża lub

innego wysokiego dostojnika kościelnego. Nawet szlachta - Orsiniowie,

Colonnowie, Savellowie - musiała bardzo liczyć się z władzą kościelną. I nie były to łatwe rachunki.

Niższy kler nie miał nic do powiedzenia tam, gdzie prawo dyktowało tylko wyższe duchowieństwo, ale dzięki pewnym

przywilejom żyło mu się lepiej niż innym warstwom społecznym. Był on bardzo zepsuty i grzeszył zgodnie z naturą

i wbrew niej. "Demoralizacja kleru - pisze Pastor - była tak powszechna i wielka, że niektórzy domagali się zniesienia

celibatu". Papież Innocenty VIII w swym słynnym edyktie zabronił księżom prowadzenia rzeźni, tawern, szulerni,

lupanarów i uprawiania stręczycielstwa. Masuccio nazwał

ich "ministrami szatana". Burcardo w swym słynnym Dzienniku zanotował: "Prawie wszystkie klasztory Rzymu stały się lupanarami". Teolog Nicolaus Clemengis porównywał klasztory żeńskie do "ohydnych domów publicznych Wenery, punktów zbornych rozwiązłych i bezwstydnym młodzieńców". Niecały oczywiście kler był nieuczciwy i zdeprawowany. Niesłuszne byłoby wrzucanie wszystkich do jednego worka. Byli również prawi księża i nieskalane zakonnice. Byli duchowni, którzy modlili się, przestrzegali ślubów, odprawiali pokutę, pomagali potrzebującym, leczyli chorych. Jeżeli z niektórych klasztorów szatan wypędził Boga, to w innych cnota górowała nad grzechem. Ogólnie jednak rzecz biorąc demoralizacja szerzyła się, a traciła na tym jak zwykle wiara.

Grzechy cielesne, choć najbardziej rozpowszechnione, nie były jednak jedynymi, jakimi plamił się kler. Pożądliwość pieniądza współzawodniczyła z rozwiązłością. Sutanna, choć nie gwarantowała zupełnej bezkarności, to jednak zapewniała klerowi pewną nietykalność, ułatwiającą dokonywanie oszustw i nadużyć. Niektórych do tego zachęcał lub popierał sam papież. Czyż sprzedaż odpustów, prawdziwych weksli do rajów, nie była oszustwem popełnianym w imię Boże, błogosławionym przez Najświętszą Pannę i poręczanym przez świętych?

Za pieniądze kupowało się wszystko, bo wszystko miało swoją cenę. Drogi do Pana i jego królestwa były nieskończenie długie, ale najkrótsza i najwygodniejsza wiodła przez sakiewkę: im bardziej ją rozwiązywano, tym szerzej otwierały się bramy niebios. Zbawienie zależało nie tylko od cnoty. Również, a nawet przede wszystkim, od szczodrości w dawaniu jałmużny i od zapisów w testamencie. Także kult relikwii był drogą

na skróty do Edenu, gdyż przysparzał niemało oboli. Adoracja gwoździ i drzazg z krzyża, paznokci, pieszczeli, włosów świętych, przedmiotów osobistego użytku Matki Boskiej zmywała najgorsze grzechy. Nie było plamy, której detergenty Kościoła nie mogły usunąć. Jako czyściciele sumień papieże owej epoki nie mieli sobie równych. Przyznał to nawet Pius II: "Lud mówi, że nasze życie składa się z samych rozkoszy, że gromadzimy pieniądze, lubimy luksus, posiadamy dużych osłów i szlachetnych rumaków, ciągniemy za sobą frędzle swoich płaszczy, chodzimy po mieście z puciołowatymi twarzami pod czerwonym kapeluszem, trzymamy psy myśliwskie, obdarowujemy hojnie sztukmistrzów i pasożytów, ale nic nie robimy w obronie wiary. Nie wszystko z tego jest czczym wymysłem. Wielu spośród kardynałów i ludzi kurii postępuje w ten sposób".

Jeśli kler był przegniły, to szlachta, z której się wywodził, nie była lepsza. Pod względem arogancji i krnąbrności przewyższała nawet niezwykle aroganckich i krnąbrnych baronów neapolitańskich. A to mówi wiele. Wielkie rody, które stanowiły o jej sile - Orsini, Colonna, Savelli, Caetani - żyły w ciągłym stanie wojny, obwarowane w swoich zamkach dobrze zaopatrzonych w amunicję, miały własne wojsko uzbrojone po zęby i gotowe na wszystko. Każdy pretekst był dobry do rozpoczęcia walk. Zawierano sojusze, zdradzano się, znów zawierano sojusze, by znów się zdradzić. Posługiwano się zarówno sztyletem, jak i szpadą, stryczkiem i trucizną. Jeśli jakiś ród opowiadał się za papieżem, to ród rywalizujący zajmował natychmiast wobec niego wrogą postawę, by potem znów stanąć u jego boku lub wreszcie, dokonując nieoczekiwanego zwrotu go opuścić. Poskromienie tych rodów było niemożliwością nawet dla papieża,

który jednemu lub drugiemu z nich
zawdzięczał swój wybór. Mógł co najwyżej podburzać poszczególne rody przeciw
sobie, ale sam był nieuchronnie wciągany
w ich spory. . . . , ••

Wojna i wojenka były zresztą jedynym zajęciem rzymskiej
szlachty. Jeśli patrycjusze weneccy poświęcali się polityce, tokańscy finansom,
lombardzcy przemysłowi, to ich rzymscy
odpowiednicy mogli się wyżyć tylko w rzemiośle wojennym.

Polityka była bowiem zmonopolizowana przez Kościół, a finanse przez florenckich
bankierów. Jeśli zaś chodzi o przemysł, to jedynie dochodowym był przemysł
dziesięcin. Tak

więc Orsinim, Savellim, Colonnom pozostawało tylko krzyżowanie szpad i
wyrzynanie się nawzajem.

Dawał się odczuć także brak mieszczaństwa. Nieliczni jego
przedstawiciele mieszkający w Rzymie, odznaczający się ignorancją i bigoterią,
poprzestawali na oferowaniu swoich usług

Kościółowi, spełniając podrzędne funkcje urzędnicze. Była
to klasa biurokratyczna i pasożytnicza, która nie patrzyła, nie
chciała patrzeć dalej własnego nosa, nieskłonna do przygód,
niechętna spekulacjom, odporna na pokusy kapitału powiązanego z pracą i ryzykiem.

Jej ideały to zapewniona stała

płaca, wygodny dom, rozgrzeszenie udzielone przez spowiednika. Nie popisywała się
bogactwem, bo nie była bogata, i dlatego, że bardziej jej odpowiadała anonimowość
niż ostentacja.

Hipokryzja, do której skłaniał ją konformizm, chroniła przed
krytyką i karami. Modliła się, chodziła na mszę i przestrzegała
postów. I miało to wystarczyć do zapewnienia jej raj.

Lud nie był lepszy. Był nawet gorszy. Próźniaczy, skory do
bitki, przesądny, żył z jałmużny, pasożytnictwa, dorywczych
zarobków. Zamieszkiwał w najbiedniejszych, ciesząc się

złą sławą dzielnicach, dostarczał sług bogaczom, siepaczy
możnym, zwolenników tym wszystkim, którzy jak Stefano
Porcari, wznosząc sztandar republiki, wzniesli rewolty, które były topione we krwi.
Wiódł nieustanne spory z najbliższych powodów, przyczyniając się nie mniej od
szlachty do
ogólnej anarchii.

Nadmierna swoboda sprzyjała z kolei korupcji, która
w Rzymie osiągnęła szczyt w ostatnich dziesięcioleciach
XV w. i w pierwszych następnego stulecia. Nie znaczy to, że
inne miasta były od niej wolne. W żadnym jednak korupcja
nie była tak powszechna i tolerowana jak w stolicy chrześcijaństwa. I chociaż
najbardziej skandalicznie - jak się o tym
przekonał - wyglądała ona w Kościele, gdzie za czasów
Borgiów dorównała korupcji istniejącej u schyłku cesarstwa
rzymskiego, to jednak zatrute nią były prawie wszystkie środowiska.
Infessura obliczył, że w 1490 r., a więc na dwa lata przed
wyborem Aleksandra VI, w Rzymie było 6800 prostytutek.
Jest to liczba trudna do sprawdzenia i naszym zdaniem grzeszy przesadą. 6800
prostytutek na 70 tysięcy mieszkańców to
przecież bardzo dużo. Nie wiemy, jak ów kronikarz mógł
to obliczyć. Wiadomo natomiast, że nienawidził Borgiów,
był więc zainteresowany w ich dyskredytowaniu i dlatego
malował w zbyt ciemnych barwach życie miasta, w którym
zanim Rodrigo został papieżem, panowała jego rodzina.
Liczba prostytutek, choć z pewnością mniejsza, była jednak
znaczna.

Dzieliły się one na dwie zasadnicze kategorie: kurtyzany
i nierządnice. Te pierwsze, luksusowe utrzymanki, które można by porównać z
greckimi heterami, sprzedawały nie tylko
swoje ciała, ale i intelekt, były zarazem kapłankami Wenery

i Pallas Ateny, obok rozkoszy alkowy zapewniały przyjemności salonu. Kochanki i towarzyski życia kazały się nazywać madonnami" i mieszkały w bogatych apartamentach eleganckich dzielnic miasta. Były wykształcone, znały łacinę, a te, które miały największe wzięcie, nawet grekę, czytywały klasyków, deklamowały wiersze Petrarke, swego ulubionego Poety, umiały tańczyć i śpiewać, grały na harfie i lutni, mówiły o wszystkim z wdziękiem i znajomością rzeczy, bywały w teatrach i ambasadach. Ubierały się ekstrawagancko, tleniły włosy, malowały się jaskrawo, nosiły głębokie dekolty odsłaniające piersi i obwieszały się ogromnymi klejnotami. Najbardziej ekscentryczne spacerowały z psem lub małpą na smyczy. Były bardzo pobożne, nigdy nie opuszczały mszy, regularnie spowiadały się i przystępowały do komunii, przestrzegały skrupulatnie postów, a w czasie Wielkiego Postu nie przyjmowały klientów. I być może niejedna zmarła in odore sanctitatis. Kiedy osiągały pewien dobrobyt lub udawało im się poślubić bogatego kochanka, usuwały się w zacisze życia prywatnego. Niektóre popadały w dewocję i oddawały Kościołowi cały swój majątek. Inne - stanowiły one większość - wolały z niego korzystać nie zaniedbując jednak pobożnych praktyk, które miały je ocalić od piekła. A wszystkie w nie wierzyły lub sądziły, że wierzą. Nierządnicę były mniej wykształcone, mniej wyrafinowane i mniej szczęśliwe. Żyły z dnia na dzień, a raczej z nocy na noc, pracowały w burdelach, w ciesząc się złą sławą łaźniach publicznych lub na ulicach. Można je było rozpoznać nie tylko po prowokacyjnych pozach, jakie przyjmowały, lecz również po jaskrawych strojach i nadmiarze szminki. Kosztowały mniej niż kurtyzany, które je traktowały z góry, z pogardą, jakiej nie ośmielały się im okazywać nawet "damy". Ich kariera była krótka, wiele z nich kończyło

w nędzy.

Kurtyzany i nierządnice napływały do Rzymu z całych

Włoch, a niektóre nawet z zagranicy. Największą ich wylęgarnią była Emilia, ale wiele było też Toskanek i Lombardek.

Nie brakowało Wenecjanek, choć wesoła laguna zatrzymywała najlepsze z nich.

Wśród cudzoziemek nadzwyczajne powodzenie miały nieliczne Greczynki. Bardzo wiele było Hiszpanek i jeszcze więcej Francuzek. Można było spotkać nawet Albanki, a także jedną Turczynkę, którą wręcz rozrywano.

Z usług prostytutek z największym zapałem korzystali duchowni, ale szlachcice, mieszczenie i plebejusze byli również dobrymi klientami.

Prostytucja, choć bardzo rozpowszechniona, a może właśnie dlatego, nie podważała w najmniejszym stopniu instytucji małżeństwa zahartowanej przez cudzołóstwo, usprawiedliwione zresztą tym, że związki małżeńskie zawierano częściej

z wyrachowania niż z miłości. Ci - a było ich wielu - którzy

żenili się dla interesu, nie uważali ani za grzech, ani za przestępstwo zdradzanie swej żony lub swego męża. Ułatwiał to

fakt że mężczyzna korzystał z absolutnej swobody, a kobieta,

przynajmniej do czasu, gdy Hiszpanie usadowili się na półwyspie i narzucili bardziej surowe normy obyczajowe, mogła

sobie pozwolić - i pozwalała - na lekkomyślność.

Nieuniknioną konsekwencją tej rozwiązłości była ogromna liczba bękartów. Tu także przykład szedł z góry. Szlachta

duchowieństwo, a nawet sami papieże mieli ich w bród

nikt nie zdołał policzyć bękartów Aleksandra VI, jednego

z najpłodniejszych papieży w historii. "Nieposiadanie dzieci

z nieprawego łoża - pisze Durant - było cechą wyróżniającą pozytywnie, ale

posiadanie ich z pewnością nie naznaczało nikogo hańbiącym piętnem. Mężczyzna

żeniąc się przekonywał na ogół żonę, by zgodziła się na to, aby dzieci

nieślubne wchodziły do rodziny i były wychowywane razem

z jej własnym potomstwem. Bycie bękartem nie stanowiło żadnej przeszkody w życiu i ze społecznego punktu widzenia nie było specjalną niedogodnością - można było zawsze być uznanym za prawowitego syna przekupując księdza. Jeśli brakowało legalnych spadkobierców, dzieci nieślubne dziedziczyły majątek, a nawet tron". Oczywiście nie wszystkie rozrywki kwirytów były naganne. Istniały także niewinne dystrakcje. Najpopularniejszą był karnawał. Choć nie był on absolutnie porównywalny z weneckim - najbogatszym i najbardziej szalonym w Europie - to jednak dostarczał mnóstwa okazji do radości i zabawy i nikt nie rezygnował z uczestnictwa w nim. Rozpoczynał się w poniedziałek wyścigiem chłopców, we wtorek odbywa się wyścig Żydów, a w piątek - starców powyżej 60-go roku życia.

Uczestnicy stawali do zawodów półnago, chodziło nie tyle o większą swobodę ruchów, ile o uatrakcyjnienie widowiska, które zwłaszcza przy złej pogodzie ściągało ogromne tłumy. Dopingowały one zawodników lub szydziły z nich używając niecenzuralnych słów. Najbardziej lżono Żydów, którzy biegali w stroju Adama. Na początku bieg odbywał się na trasie od mostu Świętego Anioła do placu Świętego Piotra, aby papież też mogli przypatrywać się widowisku; później trasę zmieniono: od placu Colonna do placu del Popolo, aby nie profanować "świętej strefy apostoła".

W przeddzień tłustego czwartku organizowano przejazd powozów z udziałem magistratury, miejskich korporacji, szlachty i ludu. W sam czwartek urządzano w każdej dzielnicy polowanie na byki: czternaście tych zwierząt zbiegało ze wzgórza Testaccio ciągnąc wózki pełne jałówek i prosiąt. Młodzi patrycjusze na koniach wyjeżdżali im naprzeciw i masakrowali je. Im więcej popłynęło krwi, tym większa była uciecha

widzów.

Również wybór papieża był okazją - poza grabieżą, wzniecaniem pożarów i nasileniem się różnego rodzaju przestępstw

- do burzliwych manifestacji radości. Nie dlatego, że rzymianie tak kochali papieża (gdy przechodził, jedną ręką czynili znak krzyża, a drugą nieprzyzwoity gest zaklęcia, gdyż

- jak mówiono - przynosi on nieszczęście), ale dlatego, że każda okazja była dobra, by pohulać i zapomnieć o kłopotach.

A kłopotów, które dręczyły Miasto pod koniec XV w.,

było, jak widzimy, co niemiara. Nieudolność administracji papieskiej, deprawacja kleru, warcholstwo szlachty, tępota

mieszczanstwa, gnuśność plebsu - to wszystko przyczyniało

się do upodlenia miasta, które święte było już tylko z nazwy,

i któremu pozostał jedynie zmurszały blichtr duchowego prymatu. Zgubiła je

doczesna zachłanność. Byli jednak - powtarzamy to - ludzie, którzy wypełniali swe obowiązki, pielęgowali i głosili cnotę. Wszędzie można było znaleźć

dobroczyne instytucje, publiczne bezpłatne jadłodajnie, lazarety. Kościół, z którym

była związana większość tych instytucji, nie odmawiał nikomu pomocy. Szpitale były otwarte dla

wszystkich, aby być przyjętym wystarczyło przystąpić do komunii. Odmawiano

leczenia tylko tym, którzy odmawiali przyjęcia sakramentów. Zdrowie ciała było podporządkowane

zdrowiu duszy. A jej czystość osądzał tylko papież. Nawet jeśli się nazywał Borgia.

III

POPZEDNICZY

8 kwietnia 1455 r. na tron papieski, przyjąwszy imię Kalikst III, wstąpił biskup Walencji, Alfons de Borja, które to

nazwisko zitalianizowano na Borgia. Miał 77 lat; urodził się

31 grudnia 1378 r. w Jativie koło Walencji, był bardzo słabego

zdrowia, ale cieszył się sławą dobrego prawnika i kanonisty, nigdy nie dawał powodów do skandali, miał niewielu przyjaciół, ale też niewielu wrogów. Na dworze hiszpańskiego króla Alfonsa, którego był sekretarzem i doradcą, rozwiązywał

skomplikowane spory świeckie i kościelne. To on przekonał antypapieża Klemensa VIII do zrezygnowania z tiary i zdobył dzięki temu biskupstwo Walencji (1429 r.). On też pogodził Alfonsa z papieżem Eugeniuszem IV, który wynagrodził go za to purpurą i rzymską bazyliką Czterech Ukoronowanych Świętych.

Wybór Borgii nie spodobał się ani rzymianom, ani Włochom, którzy obawiali się drugiego Awinionu, tym razem na

ziemi hiszpańskiej. Kalikst nie miał jednak zamiaru przenosić stolicy Piotrowej i poprzestał na otwarciu szeroko bram Watykanu przed swymi rodakami, którzy tłumnie przybywali do

Rzymu z Katalonii. Ta bezprecedensowa inwazja sprawiła, że sędziwy papież stał się bardzo niepopularny. Nowi przybysze zawładnęli wszystkimi lub prawie wszystkimi dźwigniami władzy i dopóki żył ich protektor, od nich wszystko zależało.

Najbardziej faworyzował swoich krewnych, a wśród nich dwóch

synów swoich sióstr: Luisa Juana de Mila, biskupa Segorbe, i Rodriga Borgie. Kalikst wysłał tego pierwszego do Bolonii,

by objął rządy w mieście; przebywał już tam drugi siostrzeniec kończący studia. W następnym, 1456 r., wyróżnił ich obu

kapeluszami kardynalskimi. W 1457 r. mianował Rodriga wicekanclerzem - był to drugi po papieskim urząd w państwie

- i dowódcą wojsk. Kardynał Capranica krzyczał, że to skandal, ale papież udawał bardziej głuchego, niż był nim w istocie z racji swego podeszłego wieku.

"Kalikst - pisze jeden z jego biografów - zmienił całą

kurię; stworzył wiele nowych urzędów: kamerdynerów, protonotariuszy, audytorów,

subdiakonów, kleryków kamery,
a nawet sformował kohortę pretorian. Mianował około pięćdziesięciu sekretarzy; w ich gronie znaleźli się różni ludzie, od notariuszy po robotników. Było wśród nich wielu ignorantów. Znieważył całą kurię powierzając wysokie urzędy niegodnym". Nepotyzm został podniesiony do rangi systemu, a koszty tego ponosiła jak zwykle wiara.

Nie wiemy, ile tej wiary miał Kalikst. Z pewnością więcej niż jego siostrzeńcy, którzy nie mieli jej w ogóle. Gdyby Kalikst był pozbawiony wiary, nie działałby z taką energią na rzecz krucjaty. Przez trzy lata, bo tyle trwał jego pontyfikat, marzył o odzyskaniu Konstantynopola, wypędzeniu Turków z Europy i uwolnieniu Lewantu od ich floty. Przeznaczył na ten cel 600 tysięcy dukatów pozostawionych przez papieża Mikołaja V oraz 200 tysięcy ze swego osobistego majątku, a następnie wezwał króla Francji i cesarza, by dołączyli się ze swymi wojskami do jego oddziałów. Zbudował nawet stocznię okrętową na prawym brzegu Tybru, między szpitalem św. Ducha a mostem Sykstusa, i wysłał małą flotę na Morze Egejskie, która jednak zamiast poskromić krnąbrnych niewiernych, nękała w imię Boże biednych chrześcijan. Kiedy Kalikst się o tym dowiedział, odwołał dowódców. Druga flota, która wypłynęła z Rzymu 11 czerwca 1456 r., zachowywała się lepiej, ale również nie odniosła sukcesu. Nie ulegało wątpliwości, że papież nie był w stanie sam stawić czoła wrogowi takiemu, jakim byli Turcy. Bez pomocy - obiecywanej, ale nigdy nie udzielonej - książąt chrześcijańskich przedsięwzięcie było niemożliwe do zrealizowania.

Podobnie niefortunna była jego polityka wewnętrzna. Fiaskiem zakończyła się próba obalenia Ferrante, nowego króla

Neapolu, którego prawo do tronu Kalikst negocował, i zastąpienia go swoim siostrzeńcem Pedrem Luisem. Bulla, na mocy której Kalikst chciał zaanektować to królestwo, została unieważniona w wyniku starań Francesca Sforzy i Cosima de Medici, którzy uznali suwerenność Aragończyka.

Pozycję papieża osłabiły także jego liczne dolegliwości, dokuczające mu tak bardzo, że nieraz rozchodziły się pogłoski o jego śmierci.

Katalończycy spiesznie je dementowali, obawiając się represji. Kiedy wieczorem 6 sierpnia 1458 r. pogłoska okazała się prawdą, w Rzymie zapanował chaos.

Wrogowie Borgii, na czele których stanął klan Orsinich, rozpoczęli polowanie na Hiszpanów: ci, którym nie udało się zbiec, zostali zamordowani.

Wybór następcy przywrócił trochę porządku. Enea Silvio Piccolomini, który przyjął imię Pius II, był Włochem i człowiekiem o przyjemniejszym usposobieniu niż Kalikst. Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej z Corsignano koło Sieny, gdzie urodził się w 1405 r. Tam też skończył studia prawnicze, ale jego prawdziwą pasją byli klasycy. We Florencji był uczniem Filelfa, który wprowadził go w problematykę humanizmu. Karierę rozpoczął mając 27 lat, kiedy to potężny kardynał Capranica zatrudnił go jako sekretarza. Jego szansę jeszcze bardziej wzrosły, gdy wkrótce potem spotkał się z cesarzem Fryderykiem III Habsburgiem. Nikt by nie przypuszczał, że w przyszłości stanie się człowiekiem Kościoła;

wyglądał raczej na przeciwieństwo duchownego. Nie tylko dlatego, że był przepojony pogańską kulturą. Również dlatego, że był człowiekiem na tyle tylko religijnym, aby nie wzbudzać co do tego wątpliwości. Chodził na mszę - nie on jeden

- raczej dla przyzwoitości niż z pobożności, do sakramentów

przystępował niechętnie, grzeszył bez wyrzutów sumienia, ulegał wszelkim pokusom. Miał też w pełni odwzajemnianą słabość do kobiet. Dorobił się - w tym też był dzieckiem swego wieku - licznych bękartów, które utrzymywał, ale nie troszczył się o ich edukację (jednego z nich, z braku lepszego rozwiązania, oddał na wychowanie własnemu ojcu). Lubił pisać i pisał dobrze, czerpiąc inspirację raczej z wzorów świeckich niż duchownych, przedkładając Katullusa, Owidiusza i Boccaccia nad Augustyna, Hieronima i Tomasza, których znał, ale nie lubił. Perspektywa zostania księdzem nie pociągała go: nie dosyć wierzył w Boga i obawiał się - niesłusznie - że sutanna będzie hamulcem dla jego rozwiąłości. Swój czas dzielił na równi między interesy, kobiety i klasyków. Obdarzony niezwykłą weną twórczą i cudowną wrażliwością, uprawiał najróżniejsze gatunki literackie. Pisał eseje, wiersze, powieści, pamiętniki, biografie, komedie, traktaty, notatki z podróży. Wolał pisać po łacinie niż w języku ludowym, ale obydwojma językami władał ze zręcznością i wdziękiem. Wszyscy to uznawali i wielu mu zazdrościło. Jego współczesny, Platina, informuje nas, że zostawszy papieżem "czytał i dyktował leżąc w łóżku aż do północy i spał tylko pięć, sześć godzin". Usprawiedliwiał się, mówiąc: "Nie były to godziny zabrane naszym obowiązkom. Poświęciliśmy na pisanie czas przeznaczony na sen, pozbawiliśmy naszą starość należnego jej odpoczynku, aby móc przekazać potomności to wszystko, co uważamy za godne zapamiętania".

W 1445 r. Fryderyk III wysłał go jako ambasadora do Rzymu. Papież Eugeniusz IV był nim oczarowany i Enea Silvio stał się jego pupilem. Wyświęcony wreszcie na księdza uczynił coś, co zdumiało wszystkich, a chyba najbardziej jego samego: ślubował czystość. Być może dlatego, choć z pewnością nie był to jedyny

powód, papież uczynił go kardynałem.

Był rok 1456, a Piccolomini miał 51 lat.

Już w dwa lata później, dzięki rozstrzygającemu głosowi

Rodrigo Borgii, otrzymuje tiarę. Jego wybór spodobał się rzymianom bardziej niż wybór Kaliksta, a tumult wywołało tylko

kilku zapaleńców chcących przywłaszczyć sobie białego konia

papieża. Panowanie Piusa II trwało od 1458 do 1464 r., ale

w chwili wyboru nikt nie sądził, że będzie żył tak długo. Dręczyło go bowiem

mnóstwo chorób: podagra, kamica nerkowa, chroniczny kaszel. "Niekiedy - pisze Platina - gdyby się

nie odezwał, nikt nie wiedziałby, czy jeszcze żyje". Wychudzony, wywracający oczami, ze stawami zniekształconymi

przez kwas moczowy, przedwcześnie płacił za młodzięczy

brak wstrzemięźliwości.

Umiarkowanie w jedzeniu i picciu - choć przyszło tak

późno - a także przebywanie na świeżym powietrzu przynosiło ulgę jego cierpieniom i opóźniało koniec, który codziennie, przez sześć lat, wydawał się bliski. Wyjeżdżał często na

wieś i tam, pod dębem nad strumykiem, odbywał konsystorze

i przyjmował ambasadorów. Obowiązki polityczne i dyplomatyczne wypełniane z

wielkim zapalem oraz zadania duszpasterskie wykonywane z pobłażliwym

sceptycyzmem nie przeszkadzały mu w kontynuowaniu studiów nad ukochanymi

klasykami. Otaczał się raczej humanistami niż prałatami, dyskutował częściej o

platonizmie niż o scholastyce, cytował chętniej poetów z epoki Augusta niż Ojców Kościoła. Zachęcał

do prowadzenia wykopalisk, zakazał rozbierania antycznych

zabytków, zarządził amnestię dla mieszkańców Arpino, ojczyzny Cicerona, zamówił

nowy przekład Homera, mianował

sekretarzem Platine, sprowadził do Rzymu malarzy Mina da

Fiesole i Filippa Lippiego.

Ale i on nie oparł się pokusie faworyzowania własnej rodziny. Był mniej bezczelny niż Kalikst, nie skąpił jednak urzędów, beneficjów, prebend rodowi Piccolominich, którzy z tego powodu nie będą - podobnie jak Borgiowie - zbyt opłakiwani. Pius II przymykał oczy na ich zachłanność, wywoływane przez nich skandale i nie starał się powściągnąć ani pohamować swoich krewniaków. Poprzestał na nawoływaniu do reformy obyczajów i powierzył to zadanie komisji wysokich dostojników Kościoła, którzy pilnie baczili, by jej nie wprowadzić w życie; ugodziłoby to bowiem przede wszystkim w nich. Papież nie nalegał. Choć sam wyrzekł się tytułu przyjemności, był nadal niezmiernie pobłażliwy dla tych - łącznie z duchownymi - którzy im się oddawali. Tak więc reforma pozostała martwą literą. Zresztą papież miał inne, większe kłopoty. Jednym z nich była czeska rewolta wzniecona przez Jana Husa, który o stulecie wyprzedził Reformację. Niemiecki kler sprzymierzony z niemieckimi książętami potępiał wymuszanie dziesięciny, chciał się odwołać do soboru, by ten oczyścił Kościół i oskarżył papieża, postać tak kontrowersyjną. Piccolomini replikował, że tylko papież może zwołać to zgromadzenie, ale spór bynajmniej nie został załagodzony, zaostrzał się, by później, za przyczyną Lutra, gwałtownie wybuchnąć. Drugim cierniem dla Piusa II byli Turcy, którzy kontynuowali swój niszczący marsz: wzdłuż Dunaju na Wiedeń, przez Bałkany na Bośnię. Jeśli nikt ich nie zatrzyma, to wcześniej czy później wtargną do Italii, serca chrześcijaństwa. W miesiąc po włożeniu tiary papież zaprosił katolickich książąt do Mantui w sprawie nowej krucjaty, ale prawie nikt nie przybył: ani cesarz, ani król Francji, ani pełnomocnicy weneccy. Pojawili się tylko książę Burgundii, książę Mediolanu i kilku innych włoskich panów, zbyt niewielu jak na

przedsięwzięcie

mające na celu odbicie Konstantynopola i unicestwienie osmańskiej potęgi.

Nie zniechęciło to jednak papieża. Nie mogąc zbrojnie

przywołać sułtana do rozsądku, postanowił go nawrócić. "Gdybyś przyjął

chrześcijaństwo - pisał do niego przypochlebnie

i z odrobiną arogancji - żaden z ziemskich książąt nie przewyższałby cię w sławie ani dorównał w potędze. My uznalibyśmy cię za cesarza Greków i Wschodu, a to, co dotychczas

zagarnęłaś siłą i czym niesłusznie władasz, stałoby się wówczas twoją legalną

własnością. Och, jaki doskonały pokój zapanowałby wówczas! Powróciłby opiewany

przez poetów złoty wiek Augusta. Gdybyś się do nas przyłączył, wkrótce cały

Wschód nawróciłby się na wiarę Chrystusa. Jedna tylko wola

mogłaby zapewnić całemu światu pokój: twoja wola". Oczywiście - nie mówił tego, ale zakładał - że to on, następca

Piotra, dyktowałby mu tę "jego wolę". Sułtan nie odpowiedział: dlaczego on miałby stać się chrześcijaninem, a nie papież

mahometaninem? On przynajmniej wierzył w Mahometa.

Pius II był bardzo zawiedziony, ochrzcenie sułtana sprawiłoby mu przyjemność.

Pocieszeniem po tej zniewadze było

odkrycie bogatych złóż aluminium w Tolfie, w zachodnim

Lacjum; stąd można było wreszcie czerpać środki na sfinansowanie krucjaty.

Wystosował natychmiast drugi apel wzywający do walki z Turkami, na który odpowiedziała pozytywnie

Wenecja, uzbrajając flotę i wysyłając ją do Ankony, gdzie

miała się połączyć z flotą dowodzoną osobiście przez papieża. Święte Kolegium próbowało go odwieść od tego zamiaru,

ale Piccolomini nie dał się przekonać. Nic go nie mogło powstrzymać: ani podagra, ani kamienie nerkowe, ani kaszel.

Ująwszy w ręce krzyż wyruszył do stolicy prowincji Marche, gdzie czekała na niego

groteskowa armada: rozsypujące się, nędzne, bezbronne okręty. Nie było natomiast weneckiej floty, głównej siły ekspedycji. Nie mogła wyjść z laguny z powodu zarazy. Kiedy wreszcie po dwóch tygodniach pojawiła się, Pius II, nie mogąc z powodu nagłego pogorszenia się stanu zdrowia wypłynąć naprzeciw, obserwował z okna jej przybycie. Serce jednak nie wytrzymało i zanim okręty weneckie rzuciły kotwice, wyzionął ducha. Wenecja spieszenie odwołała swe posiłki. Krucjata spełzła na niczym i być może dobrze, że tak się stało.

Wiadomość o śmierci Piccolominiego wywołała w Rzymie panikę wśród licznej gromady jego rodaków, "następców" Katalończyków; większości z nich udało się cichaczem

opuścić miasto. Jeśli nie doszło do większych zamieszek, to tylko dzięki energii kardynała kamerlinga.

Konklawe mogło się więc odbyć we względnie spokojnej atmosferze. Wybrano kardynała Wenecji Piotra Barbo, czyli Pawła II, odznaczającego się nie tylko doskonałą prezencją, ale i pobożnością. Zanim włożył tiarę, zobowiązał się, na żądanie Świętego Kolegium, zwołać sobór powszechny i zorganizować krucjatę. Ale szybko wycofał się i z jednej, i z drugiej

obietnicy. Bardziej niż na walce z Turkami zależało mu na podporządkowaniu sobie wichrzycielskich stronnictw rzymskich, rozdzieranych przez wieczne walki wewnętrzne, które zamieniły miasto w pole marsowe. Aby nauczyć rozumu buntowników i złoczyńców, stosował bardzo surowe kary, łącznie

z zakazem sprawowania urzędów państwowych, ekskomuniką, wygnaniem. Przestępczość się zmniejszyła, ale nie została wyrwana z korzeniami. Trzeba było na to czegoś więcej.

Sprzyjał rozwojowi rolnictwa, osobiście nadzorował

handel zbożem, ustalał ceny na artykuły pierwszej potrzeby, ukrócił nadużycia popełniane przez sienneńczyków, rozdawał okresowo jałmużnę. Co roku wydawał wspaniałą ucztę, na którą przybywały tysiące mieszkańców miasta. Nie dopuszczonym do tej uczy, tzn. ubogiemu ludowi, kazał hojnie rozdawać resztki. Była to być może tylko demagogia, ale plebs

rzymski, próżniaczy i żebrzący, uważał to za wielką szczodroliwość.

Sympatia ludu wynagradzała papieżowi antypatię, jaką do niego czuli humaniści, faworyzowani i rozpieszczani przez jego uczonego poprzednika. Paweł II ich ignorował, a nawet wielu pozbawił stanowisk. Kiedy Platina ośmielił się przeciw temu zaprotestować, papież uwięził go na cztery miesiące w zamku św. Anioła. To samo uczynił z niektórymi członkami Rzymskiej Akademii, którzy - jak się wydaje - chcieli go obalić. Kiedy zmarł 26 lipca 1471 r., lud go opłakiwał, intelektualiści odetchnęli z ulgą, a szlachta podniosła głowę.

Jego następcą został - przyjąwszy imię Sykstus IV -

57-letni sawoneńczyk, Francesco della Rovere, chłopski syn, filozof i teolog, otoczony -jak Borgia i Piccolomini - zgrają krewnych, którzy przekształcili Rzym w liguryjską kolonię.

Najbardziej zachłanny i bezczelny był jego siostrzeniec Pietro

Riario, pupilek wuja. Beneficja, jakie mu nadał papież, oburzały kurie: gdy miał 26 lat otrzymał purpurę, a następnie

biskupstwa Treviso, Senigalli, Spalato, Florencji. Pietro, który miał "dziurawe ręce i robaczywy mózg", używał życia, ile

się tylko dało. Roztrwoniał tysiące dukatów na zabawy, uczy, orgie, co w wieku zaledwie 28 lat doprowadziło go do grobu.

Papież miał jeszcze dwóch innych siostrzeńców: Girolama

Riario, którego mianował dowódcą wojska papieskiego oraz panem na Imoli i Forli, oraz Giuliana, przyszłego Juliusza II,

którego uczynił kardynałem.

Również papieżowi della Rovere wewnętrzne sprawy Kościoła leżały bardziej na sercu niż problemy zewnętrzne,

łącznie z krucjatą. Rzym, mimo starań jego poprzedników,

był nadal terenem starć nieprzejednanych frakcji. Państwo

papieskie było wydane na łaskę panów ciągle skłóconych

- między sobą i z Rzymem. Władza, jaką nad nim sprawował

wikariusz Chrystusa, była czysto formalna.

Wysiłki Sykstusa IV, by ustabilizować Ojcowiznę Świętego Piotra, zaniepokoiły

Florencję i Neapol; obawiały się one

umocnienia Państwa Kościelnego, z którym graniczyły. Chwyciły nawet za broń i

tylko śmierć papieża zapobiegła rozszerzeniu się konfliktu.

Francesco della Rovere zszedł ze sceny w 1484 r. po trzynastu latach pontyfikatu.

"Pod wieloma względami - pisze

Durant - był on pierwowzorem Juliusza II, tak jak Girolamo

Riario pierwowzorem Cezara Borgii. Imperialistyczny i surowy kapłan, kochający

wojnę, sztukę i władzę, dążył do swoich

celów bez skrupułów i subtelności, ale z dziką energią i odwagą nie znającą wahań".

Nie był wcale święty i nie pretendował do świętości. Ale

nie był też, jak złośliwie sugeruje bardzo zjadliwy Infessura,

sodomita; faworyzował siostrzeńców, ale ich nie uwodził. Był

bardzo złym duszpasterzem i bezwstydnym "ojcem chrzestnym". Handlował

nonszalancko tymi urzędami, których nie

przydzielił krewniakom, i spekulował zbożem, sprzedając dobre za granicą, a złe w kraju.

W odróżnieniu od swego poprzednika, odpornego na fascynację sztuką i głuchego na

potrzeby kultury, wydał ogromne sumy na upiększenie Rzymu i Watykanu. Założył

nową

bibliotekę, przebudował szpital św. Ducha, zreorganizował

uniwersytet, otworzył przed publicznością Muzeum Kapitolińskie. Zatrudniał

najlepszych ówczesnych malarzy - Signorellego, Perugina, Pinturicchia, Ghirlandaia, Botticellego

- którym powierzył ozdobienie freskami Kaplicy Sykstyńskiej. Otaczał się również humanistami i był - w dobrym

i złym - pierwszym prawdziwym papieżem Odrodzenia.

Innocenty VIII, Giovanni Battista Cybo, genueńczyk, który

zajął jego miejsce, był dobrym, spokojnym człowiekiem i "bynajmniej nie ignorantem". Jak wielu poprzedników i bardzo

wielu następców również on usilnie zabiegał, by zasiąść na

tronie Piotrowym, ale gdy już tak się stało, pozostawił innym

efektywne sprawowanie władzy. Sprawy polityki zagranicznej

powierzył najpierw Giuliano della Rovere, któremu zawdzięczał wybór, a następnie

Wawrzyńcowi Medyceuszowi. I dobrze uczynił: przez pięć lat we Włoszech nie było wojen.

On również splamił się symonią: sprzedawał wszystkie

możliwe do sprzedania urzędy i tworzył nowe. Rozbudował

nadmiernie organy administracji papieskiej, zamiast je zredukować. Spieniężał nawet

zbrodnie: jeśli ten, kto je popełnił, był dostatecznie bogaty, aby zapłacić przewidzianą

grzywnę, unikał nie tylko stryczka, ale i więzienia. Infessura

(któremu jednak nie zawsze można w zupełności dowierzać) opowiada, że pewien człowiek oskarżony o zgwałcenie i zamordowanie swoich córek

został wypuszczony na wolność

w zamian za 800 dukatów. Najgorsze było to, że nikt się tym nie gorszył. To, że namiestnik Chrystusa na ziemi

kupczył sakramentami, trwonił jałmużnę wiernych, utrzymywał flotę i wojsko, rabował, gwałcił, miał nieślubne

dzieci, otaczał się konkubinami, oburzało

i gorszyło Savonarolę, ale nie obchodziło mas. Czy Kościół

był czy nie był mocarstwem doczesnym? A jeśli nim był

- a był - to dlaczego miałby postępować inaczej niż inne

doczesne mocarstwa, bawić się w faryzejskie skrupuły lub zbaczać ze swej drogi kierując się ku oczywistym utopiom?

Innocenty VIII bacznie wystrzegał się potępiania lub karcenia za podobne przywary torując tym samym drogę swemu

następcy: kardynałowi Rodrigo Borgii.

IV

SŁUGA PIĘCIU PAPIEŻY

Rodrigo Borgia przyszedł na świat w Jativie, koło Walencji, 1 stycznia 1431 r.

Niektórzy historycy, jak np. Ferrara,

kwestionują tę datę, przesuując ją na rok 1432, ale Burcardo, mistrz ceremonii

Aleksandra VI, dementuje to. W swoim

Dzienniku notuje, że w poniedziałek, 1 stycznia 1498 r., "papież udzieliwszy po mszy błogosławieństwa powiedział kardynałom, że skończył 67 lat, jako że urodził się pierwszego dnia

tygodnia, miesiąca i roku".

Ktoś podawał także w wątpliwość miejsce urodzenia:

Walencja, a nie Jativa, jednakże pewien niepodważalny dokument z owych czasów temu zaprzecza. Od Villanuevy

dowiadujemy się bowiem, że kiedy Rodrigo włożył na głowę

tiarę, były alkald Jativy, Guillermo Trovia, napisał - i nikt

tego nie podważył - że papież urodził się i został ochrzczony

w tym właśnie mieście.

Historycy nie są również zgodni co do nazwiska jego

ojca. Według Gregoroviusa nazywał się on Jofre Lanzol, ale

Pastor, Sacerdote, Ferrara, Fusero i inni podają, że jego nazwisko brzmiało: Jofre de

Borja y Doms. Teolog Bernardino

Babotti - współczesny albo prawie współczesny Aleksandrowi VI - w swym Życiu

Aleksandra VI i księcia Valentino

przyznaje rację Pastorowi, a nie Gregoroviusowi, który ojcu

Rodrigo przypisał imię jego szwagra, ożenionego z siostrą

Juana, który się nazywał właśnie Lanzol.

Nie wiemy, a nawet powątpiewamy w to, czy Rodrigo, jego brat Pedro Luis i cztery siostry - Juana, Beatriz, Damiata, Tecla - byli rzeczywiście, jak się przechwalali, potomkami Juliusza Cezara, kwestora Hiszpanii.

Nie wiemy, i w to

również wątpimy, czy w ich żyłach płynęła królewska krew.

Byli szlachtą, ale niewysokiego rodu. Wydaje się, że przodkiem zarówno Jofrego, ojca Rodriga, jak i matki Izabeli, był

hrabia Pedro de Atares, któremu Alfons Zdobywca w 1121 r.

podarował miasteczko Borja odbite muzułmanom.

Potomkowie Pedra od tej pory nazywali się Borja (zitalianizowane na Borgia), co po arabsku znaczy "wieża zamkowa". W sto lat później, w 1238 r., ośmiu z nich, w służbie

Aragończyka, Jaimego, odegrało pierwszoplanową rolę

w wyzwoleniu królestwa Walencji spod panowania niewiernych. W nagrodę otrzymali twierdzę Jativa z przyległymi do

niej rozległymi terenami. Przyjęli za herb pasącego się wołu

(zamienionego później na byka) otoczonego ośmioma snopami. "Był to - pisze Pastor - symbol siły, zmysłowości

i perfidii tej rodziny".

Materiały źródłowe na temat dzieciństwa i lat młodzieńczych Rodriga są nieliczne, podejrzane i pełne luk. Nawet

Babottiego trzeba przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza; do wszystkiego, co wyszło spod jego pióra, należy podchodzić krytycznie, a nie jest to łatwe, gdyż miesza się tam

legendę z prawdą. Nie można wykluczyć tego, że pierwszym

nauczycielem Rodriga był Antonio Nagueroles, że w wieku

10 lat stracił ojca, a matka wraz z dziećmi przeniosła się do

Walencji. Równie wiarygodne jest, że przyszły papież doskonale strzelał z rusznicy, zręcznie posługiwał się kuszą i sztyletem i był zapalonym myśliwym. Z pewnością

nieprawdą jest

natomiast, że gdy miał 12 lat "zabił w Walencji chłopca, swego rówieśnika, ale niskiego pochodzenia, zadawszy mu wiele

ciosów w brzuch za to, że ów powiedział pod jego adresem

jakieś nieprzyzwoite słowa". Gdyby mały Borgia rzeczywiście

zamordował swego równolatka, to jego niezliczeni i pełni złości

oszczercy mówiliby o tym; takiego wydarzenia się nie przemilcza.

To, co robił do 1447 r., ma niewielkie znaczenie. Ważne

natomiast jest to, co nastąpiło po owej dacie. Papież Mikołaj V obsypał go

beneficjami i prebendami oraz uczynił

- mimo protestów miejscowych prałatów - członkiem kapituły Walencji. Chociaż w bulli dotyczącej tej nominacji mówi

się o "uczciwości jego życia i obyczajów oraz o prawości

i innych chwalebnych cnotach", wszyscy wiedzieli, że zaszczytne funkcje,

bynajmniej nie honorowe, lecz bardzo lukratywne, zawdzięczał nie swoim cnotom, którymi z racji swego

młodego wieku nie mógł się wykazać. Krótko mówiąc, nie

jego to było zasługą, lecz stryja Alfonsa, któremu papież

nie mógł tej przysługi odmówić. Zresztą powierzanie urzędów kościelnych

małoletnim było zgodne z obyczajami - lub

z nieobyczajnością - Kościoła, który czynił z tego przedmiot

bezwstydneho handlu. Powołanie i wiara nie miały z tym

nic wspólnego a nawet było lepiej, gdy takie motywy nie

wchodziły w grę. Rodrigo nie był więc żadnym wyjątkiem.

A z beneficjów i przywilejów hiszpańskich korzystał jeszcze

po wyjeździe do Włoch.

Żaden badacz nie był w stanie sprecyzować, kiedy to nastąpiło. Z tego co napisał mediolański prawnik Giasone del

Maino, poseł na dworze Ludovica Sforzy, wynika że za najbardziej prawdopodobną datę należy przyjąć rok 1449 tym,

kto wezwał do Rzymu 18-letniego wówczas Rodriga, był jego stryj, coraz potężniejszy, coraz bardziej wpływowo wzbudzający coraz większy respekt. Przyszły Kalikst III miał słabość do tego ambitnego, wesołego, pełnego fantazji bratanka, który podobał się mężczyznom z racji swego umysłu, a kobietom dzięki męskiej urodzie. Nie był do niego podobny z charakteru, ale w jego żyłach płynęła ta sama krew i dla Borgii to się przede wszystkim liczyło. Był krępej budowy, miał ostre rysy twarzy, byczy kark, oliwkową karnację, wypukłe czoło, czarne oczy, gęste krzaczaste brwi, cofnięty podbródek, duży orłowski nos, grube wargi, wystające kości policzkowe. Tryskała z niego radość życia i używania oraz nie znana stryjowi żądza władzy. Jego postawa była w sposób naturalny bardziej majestatyczna, a osobowość wyraźnie silniejsza niż osobowość Kaliksta.

W Rodrigu uderzała też łagodność obejścia, ogłada towarzyska, sceptyczna ironia i powściągnięta duma, rozważa i przenikliwość, elegancja i zdecydowanie, samokontrola i seksapil.

Jacopo da Volterra tak go opisuje: "to człowiek o umyśle zdatnym do wszystkiego, człowiek wielkiej inteligencji; mówi zręcznie i umie bardzo dobrze układać swoje przemówienia, chociaż jego znajomość literatury jest mierna; z natury sprytny, cudownie opanował sztukę prowadzenia interesów".

A kronikarz Gaspare da Verona: "Wystarczy, że rzuci spojrzenie na piękną kobietę, by rozgorzała ona miłością; przyciąga on kobiety jak magnes żelazo". Pewien dyplomata tak

o nim mówił: "Nigdy nie widziano bardziej zmysłowego człowieka. Już w wieku 13 lat zaczął uganiać się za kobietami.

Opowiadał wielu swoim przyjaciółom, że gdy skończył 20 lat miał już za sobą stosunki cielesne z przeszło dwustu kobietami. Gdy został kardynałem, lubił sypiać między dwiema konkubinami i gdziekolwiek wyjeżdżał,

zabierał ze sobą jedną

z nich, w męskim przebraniu".

Jest w tym być może trochę przesady, ale Rodrigo naprawdę nie potrafił się oprzeć kobiecemu urokowi. Suknia,

którą nosił: najpierw kleryka, potem kardynała, aż wreszcie

papieża, nigdy mu nie przeszkadzała w folgowaniu swoim zapałom, w przedkładaniu zmysłowych rozkoszy nad nieuchwytnie rozkosze ducha, alkowy nad ołtarz, grzechu nad

wyrzeczenia. Dla niego, i nie tylko dla niego, raj znajdował

się tu, na ziemi. Tamten świat był mu obojętny, jakby nie

istniał lub przynajmniej, jakby on nie musiał tam odejść.

W Rzymie, żyjąc w opiekuńczym cieniu stryja, który nadal nie skąpił mu łask, dzielił swój czas między szkołę, salony,

tawerny i burdele. Studiował z pożytkiem pod kierunkiem

gramatyka Gaspara z Werony, jednego z najuczestniejszych humanistów Miasta, na

którego wykłady przychodził kwiat rzymskiej młodzieży. Obcował również z

malarzami, muzykami,

poetami, filozofami, ale nie związał się bliżej z nikim. Bardziej człowiek czynu niż refleksji, zręczny taktyk, pozbawiony

skrupułów strateg, ambitny i stanowczy był wspaniałym ucieleśnieniem egoizmu i

zachłanności, owego cynicznego i namiętnego Odrodzenia, nie uznającego reguł ani ideałów, którego niedościgłym wzorem jest Książę Machiavellego.

W 1453 r. Rodrigo opuścił Rzym, by kontynuować naukę

w Bolonii, siedzibie najświetniejszego włoskiego uniwersytetu. Przebywał tam z krótkimi przerwami przez siedem lat, tyle

bowiem trwały studia prawa kanonicznego. Wyjeżdżał z Bolonii w 1455 r., kiedy stryj został wybrany papieżem, aby mu

się pokłonić. 10 maja tegoż roku Kalikst III mianował go

notariuszem apostolskim, a w miesiąc później powierzył mu

dziekanat Jatywy. Był to dopiero początek.

W Bolonii, mieście epikurejskim i lekkomyślnym, Rodrigo szybko się zadomowił. Miał wszystko, co potrzeba do szczęścia: młodość, pieniądze, powodzenie u kobiet, poważanie graniczące z uwielbieniem, miał kolegów i nauczycieli oraz opiekę wszechpotężnego stryja. Oddał się przyjemności, a przyjemność oddała się jemu.

Znajdował jednak czas i na studia. Nie opuszczał ani jednej lekcji, zdawał regularnie egzaminy i to z pozytywnym wynikiem. 9 sierpnia 1456 r., choć nie ukończył jeszcze pięcioletniego kursu, został dopuszczony, w uznaniu specjalnych postępów, do egzaminu końcowego. W cztery dni później został doktorem prawa kanonicznego, a to wydarzenie odnotowano w Tajnych Księgach (później anonimowa ręka dopisze tu trzy uwagi: pierwszą dotyczącą roku, w którym Rodrigo został kardynałem, drugą - na temat jego wyboru na papieża i trzecią - mówiącą o jego śmierci: "zmarł w sierpniu 1503 r. i został pogrzebany w piekle").

Jeszcze przed ukończeniem studiów stryj mianował go kardynałem, ale nie ujawnił tego, by nie wywoływać skandalu i nie przysparzać sobie nowych wrogów (miał już ich tak wielu). "Tajny konsystorz - notuje Ferrara, najbardziej zagorzały obrońca Borgiów - skłonił biografów do udramatyzowania tego wydarzenia". Również i późniejsi historycy twierdzą, że te nominacje (wraz z nim purpurę otrzymał kuzyn Luis) napotkały silny sprzeciw, ale ponieważ były wyrazem suwerennej woli papieża, kardynałowie ustąpili w nadziei, że papież, ciągle chory, umrze przed publicznym ogłoszeniem tych nominacji. Utrzymują oni ponadto, że papież oficjalnie podał je do wiadomości we wrześniu, kiedy z powodu złych warunków sanitarnych panujących w Rzymie, wielu kardynałów oponentów przebywało poza miastem. "To wszystko - pisze Ferrara - jest czystą fantazją. Pozostaje

faktem, że w tłumie, któremu papież ogłasza nominację Rodriga Borgii na kardynała, panuje jednomyślność nie tylko

obecnych, ale jedyne go nieobecnego kardynała, biskupa Ostii.

Pod aktem nominacji widnieją zresztą podpisy wszystkich kardynałów. Jest możliwe, że istniał silny sprzeciw wobec tego

przykładu jawnego kumoterstwa, ale z historycznych świadectw mamy tylko te nominacje dokonane z wszelkimi gwarancjami dla mianowanego, w formie jeśli nie normalnej, to

spotykanej w wielu innych wypadkach".

Ferrara, który na przekór historii i wbrew faktom chce

rehabilitować Borgiów, wszystko kwestionuje. To prawda, że nepotyzm był powszechny i nie tylko Kalikst go praktykował.

To prawda, że w Kościele zapanowała symonia i każdy urząd, od najniższego do najwyższego, był na sprzedaż. To prawda,

że dążenia doczesne zajęły miejsce duchowych. To praw-

da, że żaden kardynał nie sprzeciwił się decyzjom papieża.

To prawda, że również biskup Ostii nie zgłosił zastrzeżeń.

Jest jednak również prawdą, że te nominacje były prawdziwym nadużyciem.

Rozgrzeszanie z tego Kaliksta, jak to czyni

Ferrara, jest śmieszne.

Po kapeluszu kardynalskim na młodego Borgię spadła

lawina innych beneficjów. W grudniu został wikariuszem papieskim w marchii Ankony, najbardziej niespokojnym dominium Kościoła. Miejscowi panowie prowadzący ciągle między sobą wojny paraliżowali wszelką działalność, siejąc chaos,

a chciwi i nieudolni legaci papiescy pozwalali im na wszystko.

Potrzebny był ktoś, kto by nauczył rozumu tych swarliwych despotów i przywrócił w prowincji porządek. Kalikst wysłał tam swego bratanka. Rodrigo energicznie poskromił rewoltę,

uwięził szlachcica, który ją rozpętał, i wyekspediował go do

Rzymu na proces.

Ta misja była ważna o tyle, że papież po raz pierwszy musiał stawić czoło tym pomniejszych despotom, którzy tyle kłopotów sprawiali Rzymowi i z których winy Państwo Kościelne było tak słabe. Ich zależność od papieża była bowiem tylko formalna; w praktyce każdy postępował jak mu było wygodnie, wypowiadał wojny sąsiadom, nakładał wygórowane podatki, bił monetę, wymierzał sprawiedliwość. Rodrigo zrozumiał, że jeśli Kościół szybko temu nie zapobiegnie, wcześniej czy później utraci te dominia.

Po przywróceniu chwilowego pokoju kardynał ukarał buntowników, skonfiskował ich dobra, skontrolował niektóre podatki, np. podatek od soli, przywrócił dyscyplinę w wymiarze

sprawiedliwości wyjaśniając, jakimi niepospolitymi cechami powinien odznaczać się dowódca i administrator. Jesienią następnego roku (1457) Kalikst w nagrodę mianował go na bardzo wysoki urząd wicekanclerza, o który zawsze ubiegało się wielu, z roczną pensją 20 tysięcy dukatów (co według Jacopa da Voltery wynosiło 8 tysięcy florenów) i nieograniczonymi praktycznie uprawnieniami. Bratanek stał się jego factotum i zausznikiem. Ten urząd torował zresztą drogę do tronu, stanowił prawie zadatek na papieństwo, choć oczywiście inwestyturę mogło nadać tylko Święte Kolegium.

W grudniu Kalikst dodał mu jeszcze stanowisko generała wojsk papieskich we Włoszech, a w czerwcu 1458 r. biskupstwo Walencji, z którego dochody wynosiły 18 tysięcy dukatów. Brata Rodriga, Pedra Luisa, mianował natomiast kapitanem generalnym Kościoła (dowódcą wojsk papieskich) i gubernatorem zamku św. Anioła.

Wszyscy, łącznie z kardynałami, orzekli, że to skandal, a niepopularność Borgiów gwałtownie wzrosła. Zwiększyła

się też niechęć do Katalończyków, którzy nazajutrz po koronacji Kaliksta spadli na miasto jak szarańcza. "Nikt - pisze Fusero - nie wyobrażał sobie nawet, że papież ma w Hiszpanii taką ogromną rodzinę. Napływali nieustannie krewni i krewni krewnych, a dla każdego z nich znajdowało się miejsce pod słońcem, jedna z niezliczonych synekur lub jeden z tych dziwnych urzędów, które wytworzyła biurokracja papieska w ciągu stuleci niepohamowanego rozwoju". Również z tego powodu Ojcowizna Świętego Piotra znajdowała się ciągle na progu bankructwa.

Wydaje się, że tylko raz Kalikst zdał sobie sprawę z tego, jak bezczelny był jego nepotyzm; odmówił swej siostrze Izabeli wyposażenia jej córek na koszt Kościoła. Był to jednak tylko epizod. O ile wiadomo, nawet na łożu śmierci nie pokajał się z powodu sprzeniewierzeń popełnionych dla wyniesienia własnej rodziny i umiłowanego Rodriga.

Trzeba jednak dodać na jego usprawiedliwienie, że nie mógł postawić na lepszą kartę. W bratanku, mimo jego młodego wieku, był już materiał na przywódcę. Jeśli dla niego, podobnie jak dla Machiavellego, cel uświęcał środki, jeśli jego zamiary sięgały daleko, a pragnienie władzy było niezmierne, to inteligencja, jaką był obdarzony, upór, z jakim dążył do celów, polityczna zręczność, którą wyróżniał się spośród przyjaciół i wrogów, czyniły z niego w tym wyjątkowym stuleciu wyjątkowego człowieka. Jego metody były dyskusyjne i sami współcześni, którzy z nie mniejszą nonszalancją je stosowali, dyskutowali nad nimi. Jego moralność, a właściwie jej brak, nie pasowała do dostojnika Kościoła, ale jego koledzy nie byli lepsi, tylko mniej uzdolnieni. Bez tych cech, które etyka potępia, ale ambicja usprawiedliwia, nie tylko nie doszedłby do tronu, ale też

nie sprawowałby urzędu wicekanclerza przez 35 lat.

Potwierdzają to wszyscy, choć nie złączeni z nim więzami krwi, następcy Kaliksta. Rodrigo, to prawda, przyczynił się do wyboru swego stryja, ale żaden z kandydatów po zdobyciu tiary nie musiał spełniać swych obietnic. "Kapitulacje" bowiem - tak się nazywały przetargi i układy poprzedzające głosowanie - były zawsze nie dotrzymywane. I to nie tylko w czasach Borgiów, ale w ciągu całego Odrodzenia. I nikt się tym nie gorszył. Jeśli Pius II, Paweł II, Sykstus IV, Innocenty VIII trzymali Rodriga Borgię na urzędzie wicekanclerza, to z pewnością nie z wdzięczności, lecz po prostu dlatego, że nie znaleźliby drugiego, który by mu dorównał. I tu zgadzamy się z Ferrarą.

Opinie tych czterech papieży o bratanku Kaliksta były zresztą zawsze entuzjastyczne. "Rodrigo - miał kiedyś powiedzieć Pius II - jest młody, gdy się patrzy na jego lata, ale stary pod względem rozumu". Innocenty VIII utrzymywał, że nikt lepiej od Rodriga nie znał spraw kościelnych.

Śmierć Kaliksta została przyjęta jak wyzwolenie - zarówno w Watykanie, jak i poza nim. Rzymianie nienawidzili

Hiszpana i jego nienasyconych krewnych; na wieść o śmierci papieża złupili katalońskie domostwa. Ten i ów odgrażał się nawet wicekanclerzowi, który jednak nie stracił zimnej krwi.

Był obecny przy agonii stryja, do którego czuł się bardzo przywiązany, i rzucając wyzwanie plebsowi oraz stronnictwom,

czuwał nad zwłokami opuszczonymi nawet przez służbę. Drugi

bratanek, Pedro Luis, brat Rodriga, z obawy, że wpadnie w szpony Orsinich, uciekł do swego lenna w Civitavecchia, gdzie 26 września niespodziewana gorączka wyprawiła go na tamten świat.

Zwycięstwo, jakie odniósł Enea Silvio Piccolomini, było zwycięstwem młodego Borgii. Nowy papież był dla niego nie mniej hojny niż Kalikst. Nie mógł obdarzyć go wyższą godnością, bo urząd wicekanclerza był najwyższy, ale obsypał go nowymi szczytami i beneficjami. Rodrigo zwiększył jego potęgę, pomnożył jego ambicje.

W Mieście i w całym Państwie Kościelnym nie poruszył się nawet liść bez jego zezwolenia, a papież nie podejmował decyzji bez zasięgnięcia jego rady. Politykę Kościoła wyznaczały jego decyzje, a przynajmniej jego sugestie. Jemu powierzano najdelikatniejsze misje, on towarzyszył papieżowi

w podróżach, przyjmował królów i książęta, udzielał audiencji ambasadorom.

Aby lepiej podkreślić swą rangę, Rodrigo otaczał się iście hiszpańskim przepychem, wydawał i trwonił pieniądze, urządzał wykwintne przyjęcia z tańcami, koncertami i komediami.

Swoją wspaniałość i hojność demonstrował nie tylko przy wielkich okazjach, kiedy wymagał tego jego urząd, ale również na

co dzień. Jego pałac (za Sykstusa IV zbudował sobie nową przepyszną rezydencję między mostem św. Anioła a Campo dei Fiori) był miejscem spotkań "dobrego towarzystwa" rzymskiego i cudzoziemskiego. Purpura nie przeszkadzała mu

otaczać się pięknymi kobietami, jeździć na polowania

w kaftanie i w wysokich butach, chodzić na corride wprowadzoną w Rzymie w czasach jego stryja.

Ten zewnętrzny zbytek kontrastował z jego wstrzemięźliwością w życiu prywatnym.

Odżywiał się raczej jak trapista

niż jak purpurat. Jadał bardzo mało, nie pił i zachęcał współbiesiadników do naśladowania. Dlatego u jego stołu było prawie zawsze pusto. Wszyscy, łącznie z krewnymi, trzymali się

z daleka.

Brak przyjemności stołu rekompensował sobie rozkoszami alkowy. Bez trudu opierał się pokusie łakomstwa, za to po pogańsku ulegał pokusom cielesnym. Wrażliwy na wszelkie pochlebstwa, oddawał się tym przyjemnościom z zapalem, którego ani kapelusz kardynalski, ani tiara nie zdołały pohamować. Przyczynił się też zapewne do tego jego "genitalny i heroiczny wygląd" - jak to określił Giasone del Maino, jego współczesny.

Był zamieszany w wiele skandali; najgłośniejszy z nich wybuchł w Sienie, w czasie zabawy w domu Giovanniego de Bichis. Incydent w stylu Boccaccia ubawił całe Włochy i wyprowadził z równowagi nawet takiego ekskobieciarza jak Pius II.

Rodrigo przybył do toskańskiego miasta z Mantui, dokąd papież zwołał włoskich i obcych książąt w sprawie krucjaty.

W czerwcu 1460 r. papież przeniósł się do wód, do Petriolo w rejonie Maceraty. Wicekanclerz, który kuracji nie potrzebował skorzystał z okazji, by na zaproszenie przyjaciół skoczyć do Sieny. Echa jednej z tak licznych zabaw doszły do uszu Piusa II, który zagrzmiął:

"Słyszeliśmy trzy dni temu, że bardzo wiele kobiet ze Sieny, wystrojonych z całą światową próżnością, zebrało się w ogrodach naszego umiłowanego syna Giovanniego de Bichis i że Wasza Eminencja, zapominając o swej godnej pozycji, przebywał z nimi od godziny pierwszej do szóstej wieczorem i że byli w Waszym towarzystwie inni kardynałowie, którym jeśli nie honor Stolicy Apostolskiej, to przynajmniej ich wiek powinien był przypomnieć o obowiązkach.

Mówi się, że tańce były szalone, że miłosne uwodzenie nie miało granic i że wy sami zachowaliście się jak młodzieniec ze świeckiego towarzystwa. Zarumieniłbym się doprawdy, gdybym miał powtórzyć to wszystko, co się mówi o tym, co

się tam działo. Nie tylko te rzeczy - lecz choćby samo mówienie o nich znieważa szeregi, do których należycie. Mężom, ojcom, braciom i krewnym, którzy towarzyszyli tym młodym kobietom, zabroniono wejścia, aby zapewnić większą swobodę waszym rozrywkom. Wy dwaj, z kilkoma sługami, byliście jedynymi organizatorami i instygatorami tego balu. Twierdzi się, że obecnie ludzie w Sienie nie mówią o niczym innym i że wy, Eminencjo, byliście przynętą dla wszystkich. Tu, u wód, gdzie przebywa wielu duchownych, a także osób świeckich, wystawiliście się z pewnością na publiczne pośmiewisko. Gdybym powiedział, że te rzeczy nie są nam wstrętne, popełniłbym poważny błąd. Budzą w nas wstręt jeszcze większy niż to okazujemy, ponieważ okrywają niesławą Państwo Kościelne i nasz urząd; tak postępując przyznaje się słuszność wysuwanych przeciw nam zarzutom, że wykorzystujemy bogactwo i wysoką pozycję do urządzania orgii. Stąd bierze się też wzgarda, z jaką odnoszą się do nas książęta i mocarstwa; stąd codzienne kpiny świeckich; stąd też dezaprobata dla naszego postępowania, gdy chcemy strofować innych. Sam Wikariusz Chrystusa jest przedmiotem wzgardy, bo sądzi się, że on udaje, jakby się nic nie stało. Stoicie, umiłowany synu, na czele Kościoła Walenckiego, który jest jednym z najważniejszych w Hiszpanii; kierujecie też Kancelarią Papieską, a ponadto, co czyni wasze postępowanie jeszcze bardziej nagannym, zasiadacie wraz z papieżem wśród kardynałów jako członek Rady Stolicy Apostolskiej. Zawierzam waszemu sądowi, abyście orzekli, czy przystoi waszemu wysokiemu urzędowi schlebianie dziewczętom, ciągle posyłanie im owoców, próbowanie wina, a potem darowanie go tej, która wam się najbardziej podoba, spędzanie całego dnia w charakterze uprzejmego widza wszelkiego

rodzaju zabaw i wreszcie - aby korzystać z większej swobody - wykluczenie z tych zebrań mężów i krewnych kobiet,

które biorą w nich udział. Za wasze uchybienia obwinia się nas i Kaliksta, błogosławionej pamięci waszego stryja, oskarżając go, że popełnił wielki błąd w ocenie, obsypując zaszczytami kogoś, kto na to nie zasługuje. Nie możecie usprawiedliwiać się waszym młodym wiekiem, bo już nie jesteście tacy bardzo młodzi i możecie być świadomi wielkiego ciężaru, jaki wasza godność nałożyła wam na barki. Obowiązkiem kardynała jest być nienagannym, być dla wszystkich zbawiennym wzorem w moralnym życiu i przykładem egzystencji, która jest budująca i owocna nie tylko w sercu, ale także w zewnętrznym sposobie bycia. Oburzamy się i czujemy niesmak, gdy świeccy książęta zwracają się do nas z żadaniami mało zaszczytnymi, gdy naprzykrzają się nam pragnąc pomniejszyć nasze posiadłości i nasze beneficja, gdy musimy ustępować przed ich roszczeniami. To my sami zadajemy sobie rany będące przyczyną naszych cierpień, gdy postępujemy w taki sposób, że autorytet Kościoła jest z każdym dniem mniej uznawany. Znosimy hańbę naszego postępowania na tym świecie, a na tamtym odcierpimy zasłużoną karę.

Położcie więc, Wasza Eminencjo, kres tym frywolnościom, pamiętajcie o swojej godności i przestańcie się ukazywać wśród dzisiejszej młodzieży jak lekkomyślny galant. Gdyby takie czyny się powtórzyły, bylibyśmy zmuszeni oświadczyć, że dzieje się to ku naszej wielkiej przykrości i wbrew naszej woli, a nasze upomnienie byłoby wyrażone w takich słowach, że musielibyście się zaczerwienić.

Zawsze was kochaliśmy i uważaliśmy za godnych naszej epoki, traktując was jako wzór powagi i skromności. Pozwólcie nam zachować

jeszcze na długo tę opinię i to przekonanie, ale żeby tak się stało, musicie niezwłocznie zacząć żyć w sposób o wiele bardziej poważny. Wasze lata, dające jeszcze możliwość poprawy, skłaniają nas do tego ojcowskiego skarcenia. Gdybyście sobie na to pozwolili w wieku waszego towarzysza, nie moglibyśmy wam wyświadczyć tej miłosiernej łaski".

Ton był surowy, ale zarazem życzliwy. Grzech był poważny, ale gdyby grzesznik się pokajał, zostałby mu odpuszczony.

Rodrigo w swoim liście zobowiązał się do poprawy, papież udał, że w to wierzy i znów chwycił za pióro:

"Umiłowany synu, otrzymaliśmy list Waszej Eminencji i przyjęliśmy do wiadomości wyjaśnienia, jakie w nim przedstawiacie. Wasze czyny nie mogą być usprawiedliwione, choć niekiedy okazują się mniej naganne, niż to się wydawało na początku. Napominamy was, abyście w przyszłości opierali się takim słabościom, abyście mieli większe staranie o waszą czcigodność. Udzielamy wam przebaczenia, o które prosicie.

Właśnie dlatego, że kochamy was jak ulubionego syna, upominaliśmy was z taką czułością, gdyż jest zapisane: Krytykuje i karzę tych, których kocham. Jeśli będziecie czynić dobro

i żyć skromnie, będziecie mieć ojca i opiekuna, którego błogosławieństwo obejmie również tych, którzy są wam drodzy,

i nie będziecie musieli skarżyć się na brak stryja, naszego poprzednika, dopóki będzie żył Pius".

Rodrigo zapewnił jeszcze raz o swojej skruszności i od owego dnia postępował zgodnie z łacińską zasadą: nisi caste, saltem caute (jeśli nie niewinnie, to przynajmniej ostrożnie). Żył, jak mu się podobało, ale z odrobiną hipokryzji. Bo przecież wystarczyło zachować pozory. Papież był człowiekiem z towarzystwa, ale nie lubił skandali.

Incydentu w Sienie nie należy więc przeceniać, jak to czynili niektórzy, bardziej bigoteryjni niż poważni, historycy.

Jeśli my zatrzymaliśmy się przy nim dłużej, to dlatego, że poprzez słowa papieża dowiadujemy się - z obfitością pikantnych szczegółów - o galanterii Borgii i jego skłonności do seksu grupowego.

Papieska reprimenda nie przyniosła najmniejszego uszczerbku prestiżowi Borgii ani nie podważyła jego pozycji w Watykanie. To nie był żaden powód. Co więcej, po powrocie do Rzymu młodego kardynała papież obsypał go nowymi beneficjami, między innymi powierzył mu administrowanie klasztorem cystersów w Tarragonie.

Reputacji Rodriga nie zaszkodziło nawet to, co później zdarzyło mu się w Ankonie i na co zwrócili uwagę zarówno nieliczni coś o tym wiedzący współcześni, jak i potomni.

W tym nadadriatyckim mieście, dokąd pojechał za Piccolominim, Borgia zapadł na "chorobę". "Czuje bóle - opisuje

Jacopo z Arezzo - w uchu i pod lewą pachą. Lekarz, który go zbadał, mówi, że ma niewiele nadziei na wyleczenie, zwłaszcza że nie sypiał on sam". Wielu badaczy uznało, że był to

syfilis, który Włosi nazywali "chorobą francuską", a Francuzi "chorobą włoską". Jest możliwe, że Rodrigo naprawdę miał syfilis, ale nie złapał go w Ankonie, a w każdym razie nie przy tej okazji. Objawy opisane przez Jacopa są typowe dla dżumy, bardzo wówczas rozpowszechnionej, zwłaszcza w miesiącach letnich. Właśnie w owych dniach, w adriatyckim porcie, gdzie

flota krzyżowców szykowała się, by wyruszyć na Wschód, zgromadziły się tysiące ludzi. Brak kwater, wynikające stąd

stłoczenie i ciasnota sprzyjały epidemii. Trudno było zliczyć

ofiary. Rodrigo, zmuszony spać w jednym łóżu z innymi prałatami, nie uniknął

zarazy. Dopadła go więc "choroba", ale była to dżuma, a nie syfilis. Zachorowali również kardynałowie Scarampo i Barbo, a także papież, który już znękany innymi dolegliwościami wyzionął ducha.

Śmierć Piccolominiego wznieciła walkę o sukcesję, którą wygrał Wenecjanin Pietro Barbo, Paweł II, wielki przyjaciel Rodriga, który był zresztą jednym z jego wielkich elektorów. Tym razem też postawił na dobrego konia, tym razem też utrzymał się na urzędzie wicekanclerza. Pontyfikat ten był okresem spokojnym, bez specjalnych problemów. Pozwoliło to Borgii na umocnienie swojej pozycji:

w 1468 r. został wyświęcony na księdza i mianowany biskupem Albano.

Kiedy w trzy lata potem udar słoneczny i niestrawność po zjedzeniu melona zabrały z tego świata Pawła II i kiedy rozpoczęło się konklawe, arbitrem znów był Rodrigo.

Wybrany wówczas na papieża Sykstus IV odwdzieczył mu się przyznaniem intratnego opactwa w Subiaco i utrzymaniem go na urzędzie kanclerskim. Również ten papież, choć osaczony przez gromadę nienasyconych krewnych, nie mógł się wyrzec takiego współpracownika, jakim był Rodrigo, któremu powierzał bardzo delikatne misje.

Z najważniejszą pojechał do Hiszpanii. Borgia miał za zadanie przekonać króla, by wystąpił zbrojnie przeciw Turkom. Przed wyjazdem papież nadał mu takie uprawnienia, że Jacopo z Volterry napisał: "Wicekanclerz jest jak sam papież". To, co uczynił, i autorytet, z jakim to uczynił, dowiodły, że był nim naprawdę.

Rodrigo wyjeżdżał z Rzymu z wielką pompą 15 maja 1472 r. Udawał się najpierw do Ostii, skąd dwiema weneckimi galerami wyruszył w kierunku Półwyspu Iberyjskiego.

W Walencji najwyżsi dworscy dostojnicy i miejscowi notable

zgotowali mu przyjęcie godne monarchy. Na pięknym koniu,
pod bogatym baldachimem, niesionym przez miejscową
szlachtę, przemierzył miasto wśród wiwatów ludu.

Rozmawiał z politykami, dyplomatami, duchownymi
i natychmiast zdał sobie sprawę, że nikt nie chce wojny
z niewiernymi. Król miał na głowie inne kłopoty. Kraj był
rozdarty przez krwawe waśnie wewnętrzne. Aragonia, w której panował król Juan i
jego syn Ferdynand, opowiedziała

się po stronie zbuntowanych Katalończyków. W Kastylii nieudolny i marnotrawny
Henryk IV był zabawką w ręku swego
faworyta don Beltrana i krnąbrnych wasali, gdy tymczasem
Portugalia dolewała oliwy do ognia pragnąc zaanektować prowincję. W królestwie
Grenady panowali nadal, choć ich władza słabła, Arabowie. W królestwie Nawarry i
w rejonach

baskijskich obawiano się w każdej chwili inwazji francuskiej.

Krótko mówiąc, chaos sięgnął szczytu. Zwiększały go jeszcze
zawzięte spory dynastyczne.

Król Kastylii, popierany przez część kleru i szlachty, na
następczynię tronu chciał wyznaczyć swą córkę, szerzej znaną
pod przydomkiem "Beltraneja", wziętym od nazwiska don

Beltrana, jej domniemanego ojca. Pozostała część kleru

i szlachty udzieliła tymczasem poparcia roszczeniom królewskiego brata, Alfonsa, a
po jego śmierci siostrze, Izabeli, żonie Ferdynanda Aragońskiego. Tę już i tak zawiłą
sytuację

gmatwał dodatkowo fakt, że małżeństwo Izabeli z Ferdynandem było zawarte w
niezgodzie z przepisami Kościoła, byli
oni bowiem bliskimi kuzynami.

Rodrigo, po długich i tajnych naradach z arcybiskupem

Toledo, Alfonsem Carrillo, opowiedział się po stronie Izabeli

i oferował swoje dobre usługi. Drugi raz mogłaby się nie zdarzyć taka okazja. Gdyby

jego mediacja została uwieńczona sukcesem, Ferdynand i Izabela poparliby w przyszłości jego kandydaturę do tronu Piotrowego.

Z cierpliwością pająka i przebiegłością lisa zabrał się do trudnego dzieła pojednania. Pozyskał dla swej sprawy jednego z najbardziej wpływowych zwolenników "Beltranei", markiza Villena, pół-Żyda, który miał wpływ na Henryka IV.

Rodrigowi udało się również spotkać z królem, którego przekonał, że powinien pogodzić się z siostrą i szwagrem.

"Rodrigo był wszędzie oklaskiwany - pisze Walsh

- jako człowiek, który dzięki swojemu taktowi i zręczności stworzył wstępne warunki do zawarcia pokoju". Spór nie był jednak jeszcze rozstrzygnięty. Ferdynand i Izabela żyli nadal w konkubinacie, a córka urodzona z ich związku była dzieckiem nieślubnym. Tylko bulla papieska uznająca to małżeństwo za prawnie zawarte usunęłaby tę przeszkodę.

Para ta

bezsukcesownie prosiła o to Pawła II. Czy Sykstus IV przychylił się do ich prośby? Rodrigo zdołał to na nim wymusić i było to jego prawdziwe arcydzieło. Arcydzieło, które przyspieszyło proces zjednoczenia Półwyspu Iberyjskiego. To zjednoczenie wisiało już w powietrzu, ale le faux menage opóźniało jego realizację. Z połączenia korony aragońskiej i korony kastylijskiej, po którym nastąpi wypędzenie Arabów, wchłonięcie królestwa Grenady i rozbicie buntujących się stronnictw, zrodzi się nowożytna Hiszpania.

Wicekanclerz nie poprzestał jednak na akcji dyplomatycznej. Zwołał ponadto zgromadzenie przedstawicieli diecezji Kastylii i Leon - przeszło ono do historii jako Sobór w Segowii - i na tym forum potępił praktyki mianowania na wysokie stanowiska "duchownych ignorantów". W Walencji

wygłosił przemówienie, w którym używając, zgodnie ze stylem Kościoła, tonu triumfalistycznego, a zarazem apokaliptycznego, głosił ideę krucjaty, w którą nikt nie wierzył, a on najmniej ze wszystkich. "Turek ujarzmiwszy Azję i znaczną część Europy już dwa razy napadł na Włochy niszcząc wszystko, zabijając i podpalając. Teraz znów wyruszył i zagraża ośrodkowi naszej religii, a nawet sanktuarium Świętych Apostołów i Świętych Męczenników oraz Rzymowi; gdyby więc głowa została zniszczona, zginęłaby i reszta chrześcijańskiego ciała. Jeśli więc ktoś ma obowiązek pospieszyć Rzymowi z pomocą, jeśli ktoś powinien szykować się do obrony religii, to przede wszystkim my. Jesteśmy pasterzami tej trzody, stoimy na wieżach strażniczych właśnie po to, aby nie stała się jej krzywda. Trzeba, aby inni poszli za naszym przykładem. Odwołujemy się do waszego miłosierdzia w Panu oraz gorąco i po ojcowsku was prosimy, abyście nas wsparli swoim przykładem i innymi środkami, jakimi rozporządzacie, w tym pilnym dziele, jakiego dziś mamy dokonać. Znamy waszą skrupulatność w przestrzeganiu przykazań Pana i dobrą wolę, z jaką mu służycie. Wiecie, że nic nie jest ważniejsze niż wasze kapłańskie poparcie i że nic nie będzie wam poczytane za większą zasługę". Apel, jak wiemy, pozostał bez echa i o świętej wojnie już się nie mówiło. Przed wyjazdem z Hiszpanii, gdzie - jak mówili jego wrogowie - Rodrigo starał się raczej załatwić swoje interesy niż interesy Kościoła, odwiedził Jativę. Potem udał się do Walencji i po 15 miesiącach oraz sporządzeniu testamentu, odpłynął do Włoch. Był rok 1473, wicekanclerz miał 42 lata.

W pobliżu Pizy podróż zakłócił straszliwy wiatr, który spowodował zatonięcie jednej

z dwóch weneckich galer, na której znajdował się orszak. Dwieście osób, w tym trzech biskupów, utonęło. Statek Rodriga, który uniknął katastrofy, został zaatakowany przez piratów. Poturbowali oni kardynała i zrabowali mu 30 tysięcy florenów. Wściekły wicekanclerz napisał do Wawrzyńca Wspaniałego:

"Na ziemi Maurów nie postąpiono by z tak wielkim okrucieństwem, z jakim spotkałem się w tym przypadku". Nikt mu jednak nie zwrócił zagrabionych pieniędzy.

W Rzymie Sykstus IV przyjął go niemal jak równego sobie. Jeśli nawet główny cel podróży: zebranie ochotników

i funduszy na krucjatę, nie został osiągnięty - i nie mogło

być inaczej - to jednak kardynał zobowiązał przyszłych monarchów Hiszpanii do wdzięczności i Kościół będzie mógł

w każdej chwili zażądać spłaty tego długu. A był on niemały.

Po podróży iberyjskiej nastąpiły inne misje, otoczone

mniejszym rozgłosem, ale nie mniej delikatne. W sierpniu

1477 r. Rodrigo reprezentował papieża w czasie uroczystości

koronacji Joanny Aragońskiej, żony króla Neapolu, Ferrante. "Dobrze wiadomo - pisze Ferrara - że rządy starożytne

i nowożytne, jeśli nawet niekiedy w swoich aktach wewnętrznych posługują się urzędnikami, którzy posiadając wysokie

zalety umysłu, nie są pod względem moralnym bez zarzutu, to

dla aktów międzynarodowych szukają zawsze przedstawicieli

nieskazitelnych i prezentujących się dobrze pod każdym względem, także moralnym.

W owym czasie reprezentowanie za

granicą było przedmiotem większej troski niż obecnie. Proszę

tylko spojrzeć na nazwiska nuncjuszy apostolskich i posłów,

ówczesnych królów, książąt i republik: najlepsi we Włoszech

i w świecie spełniali te funkcje". Najlepsze nazwiska - tak,

najlepsze intelekty - również, najczystsze sumienia - nie,

choć Sykstus oświadczył, że wyznaczył wicekanclerza z powodu jego "rozwagi,

prawości, gorliwości i powagi obyczajów".

Historycy być może byli zbyt surowi lub zbyt mało obiektywni wobec Borgii, ale robienie z niego za wszelką cenę świętego, jak to z niewielkim zresztą powodzeniem usiłuje czynić Ferrara, wydaje nam się przesadą. Rodrigo pod względem moralnym nie był ani lepszy, ani gorszy od wielu innych duchownych, u których purpura i tiara nie łączyły się ani z uczciwością, ani pobożnością. Był tylko bardziej uzdolniony jako polityk i dyplomata. A dla Kościoła, mocarstwa doczesnego, potrzebującego bardziej kondotierów i negocjatorów niż duszpasterzy, to liczyło się przede wszystkim. Sykstus mógł sobie chwalić jego "prawość" i "powagę obyczajów". Wicekanclerz nie był ani prawy, ani obyczajny, ale służył jak mógł najlepiej interesom papieżstwa.

12 sierpnia 1484 r. Sykstus pożegnał się ze światem.

I znów rozgorzała walka o sukcesję. Wśród kandydatów był tym razem również Borgia, którego władza za czasów zmarłego papieża jeszcze wzrosła. W wieku 53 lat był dziekanem Świętego Kolegium, czyli primus inter pares. Mimo to jego szansę były niewielkie przede wszystkim z powodu sprzeciwu Giuliana, bratanka Sykstusa, również ubiegającego się o tiarę. Upierając się zbyt przy swych własnych kandydaturach, obaj byliby spaleni. Postanowili więc poprzeć outsidera, przyjaciela obydwu, Giovanniego Battistę Cybo, który po wyborze przyjął imię Innocenty VIII.

O jego pontyfikacie powiedzieliśmy już trochę. Pilotowali go zza kulis, ze zmiennym powodzeniem, Rodrigo i Giuliano, arbitrzy polityki watykańskiej w tym okresie. Innocenty bezsilnie patrzył na ich nie kończące się spory: Borgia opowiadał się bowiem za Aragończykami, a Giuliano della Rovere

- przeciw.

Na początku górę wziął Giuliano i była wojna. Potem jej katastrofalny przebieg dowiódł, że rację miał Rodrigo, zawarto więc pokój. Jednakże frontalne starcie między dwoma antagonistami nastąpi dopiero później, kiedy słaby i wahający się Cybo zejdzie ze sceny. A będzie to starcie, od którego zadrżą watykańskie mury. I nie tylko one.

V

KONKLAWY

Również śmierć Innocentego VIII pogrzyżyła Miasto w anarchii; zaczęły się rozruchy, rabunki, zamachy. Dla szlachty, podzielonej na stronników rodów Colonnów i Orsinich, była to okazja do załatwienia starych, ale wciąż aktualnych porachunków. Plebs, również skłonny do przemocy, kradł, ile się dało, złoścąc lub błogosławiąc zmarłemu papieżowi i jego zachłannemu otoczeniu. Rodrigo przywrócił nieco spokoju, obiecując delegatom ludu, że po wyborze ich żądania zostaną wysłuchane.

6 sierpnia 1492 r. w Kaplicy Sykstyńskiej rozpoczęło się konklawe z udziałem 23 z ogólnej liczby 27 kardynałów (nieobecni byli Hiszpanie: Luis Juan de Mila y Borgia i Pedro Gonzalez de Mendoza, oraz Francuzi: Andre Spinay i Pierre d'Aubusson). Bernardino Lopez de Carvajal wygłaszając zwyczajowe przemówienie zaatakował skorumpowany, uprawiający symonię kler, który nazwał - tu użył wprawdzie celnej, ale rodem raczej z domu publicznego niż z kurii metafory - "kurwą babilońską". Po czym wezwał kardynałów, by głosowali na kandydata, który by mniej dbał o pomyślność własnego rodu, a więcej o nadszarpnięte zdrowie Kościoła, przywrócił na tronie Piotrowym utraconą ewangeliczną żarliwość i zażegnał tureckie

niebezpieczeństwo. Nigdy jeszcze nie słyszano bardziej namiętnej i bardziej bezskutecznej mowy.

Zadanie czuwania nad konklawe powierzono przedstawicielom rzymskiej szlachty i wysłannikom tych obcych rządów, którym sprawa wyboru papieża leżała szczególnie na sercu.

Pastor w swej monumentalnej Historii papieży przytacza pewien dokument pozbawiony daty i przechowywany w archiwum dawnego państwa mediolańskiego. Dowiadujemy się z niego o nastrojach i tendencjach w Kolegium Kardynałów.

Pretendentów było kilku: Ascanio Sforza, brat Ludovica Moro, mógł liczyć na siedem pewnych głosów i cztery prawdopodobne; Giuliano della Rovere dysponował czterema pewnymi głosami; Ardicino della Porta i niezmiernie bogaty Portugalczyk Costa mieliby spore szansę, gdyby pierwsi dwaj nawzajem się wyeliminowali. W gruncie rzeczy wszyscy lub prawie wszyscy mieli nadzieję, że będą wybrani; rozwijali intensywną działalność, nie skąpiąc obietnic i pochlebstw, rozdając pieniądze, urzędy, prebendy.

Każdy kardynał miał swoich zagranicznych protektorów.

Giuliana della Rovere popierał jego były wróg, Ferrante, król Neapolu; gwarantował mu on głosy Colonnów, Orsinich i związanych z nimi ludzi. Wydaje się, ale to tylko pogłoska, że Aragończyk, który publicznie zapewniał, iż nie miesza się do wyborów, złożył w banku 200 tysięcy dukatów przeznaczonych na przekupienie przekupnych kardynałów. Również

Genewa i Francja opowiadały się za Giulianem, którego przeciwnikiem był jednak Ludovico Moro, popierający własnego brata.

Gdy zaczynało się konklawe, wśród papabih nie było Rodriga. Wymieniano jego nazwisko, ale jako rezerwowe; gdyby

nie przeszedł żaden z faworytów, sięgnięto by po niego. Biskup Modeny Giovanni Andrea Boccaccio w relacji przekazanej księżnej Eleonorze z Ferrary stwierdził, że Rodrigo zajmuje czwarte miejsce po Ardicinie della Porta, Carafie i Ascaniu Sforzy. W zamian za wybór - pisze biskup - Borgia ofiarowałby swym elektorom urząd wicekanclerza, miasta Civita Castellana i Nepi, opactwa w Aquili, Albano oraz w Subiaco wraz z dwudziestoma dwoma zamkami, z czego dwa w królestwie Neapolu, biskupstwo Porto i mnóstwo innych synekur i prebend. Były to argumenty, na które Duch Święty jest, jak wiadomo, nadzwyczaj uczulony. Pierwsze trzy głosowania nie dały rezultatu. W pierwszej turze Rodrigo otrzymał siedem głosów, podobnie jak Michel i Costa; na Carafę natomiast oddano dziewięć głosów (zaś della Rovere przepadł wskutek swej profrancuskiej orientacji). W drugiej turze Borgia uzyskał osiem głosów, tyle co Costa. W trzeciej - także osiem, a Carafa i Michel po dziesięć. W czwartej turze wreszcie, wbrew wszelkim przewidywaniom, zdobywa większość głosów. Między przedostatnim a ostatnim głosowaniem Rodrigo, wspierany przez Sforze, rzuca na szalę wszystkie swe urzędy i beneficja, które w razie zwycięstwa ma przekazać swoim wyborcom. Ten zręczny i bezczelny manewr przysparza mu czternastu głosów, ale nie zapewnia jeszcze wymaganego quorum. Della Rovere i jego zwolennicy nie chcieli ciągle jeszcze ustąpić, a Giovanni de'Medici nadal się wahał. Kiedy wreszcie skapitulował, a w jego ślady poszedł 95-letni, zupełnie zdziecinniały kardynał Gherardi, partia była wygrana, kolejne głosowanie, które się odbyło nocą z 10 na 11 sierpnia, zakończyło się zwycięstwem Rodriga. Opozycja, robiąc dobrą minę do złej gry, przyłączyła się do większości i Rodrigo przeszedł

jednomyślnie, czego nikt się nie spodziewał.

"Trudno dokładnie ustalić, jak to się stało, że od poranka 10 sierpnia do wieczora tego samego dnia - pisze Pastor - zdołał osiągnąć większość dwóch trzecich głosów. Miał na to z pewnością znaczny wpływ kardynał Ascanio Sforza, który widząc, jak maleją jego własne szanse, dał się skusić wspianiałym obietnicom Borgii. Sam Aleksander VI wyzna później, że tiarę zawdzięcza przede wszystkim jemu. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że symonia odegrała tu też swoją rolę".

Cokolwiek by mówili na ten temat jego - nieliczni na szczęście - apologety, Borgia zdobył tron zapewniając swemu głównemu elektorowi, Sforzy, urząd wicekanclerski, oddając mu

swój pałac, zamek w Nepi, biskupstwo Erlau, a rodom Orsinich, Colonnów, Savellich, Pallavicinich i Riariów zapewniając inne szczodre przywileje.

Ferrara energicznie zaprzecza, by było to możliwe: "Jeden człowiek, nawet bogaty, nie byłby w stanie kupić tylu

głosów. A fortuna Borgii nie była wcale okazała. Być może wielkie państwo lub dwa państwa mogłyby wykorzystać swoje dochody i swoje wpływy, by przekupić kardynałów i wynieść na tron Świętego Piotra osobnika bez prestiżu i honoru. Ale

człowiek taki jak Rodrigo, który w przeszłości - choć dysponował dużymi funduszami - swoimi beneficjami gwarantował pożyczki, nie mógł przeforsować własnej kandydatury

przekupując takich ludzi, jak Costa, Colonna, Orsini, Medici,

Sforza, nie mówiąc już o aroganckich kardynałach weneckich, którzy mieli wszelkie możliwości przekupienia innych".

"Ponadto - dodaje Ferrara - Borgia był Hiszpanem,

a w Świętym Kolegium był tylko jeszcze jeden cudzoziemiec,

Portugalczyk Costa, bo czterej pozostali byli nieobecni. Nie

cieszył się on zresztą sympatią Francuzów ani Neapolitańczyków, Wenecjan czy

Florentczyków. Ponadto głoszona przez niego koncepcja prymatu czynnika kościelnego nad laickim nie podobała się książętom".

"A więc - zastanawia się Ferrara, a my wraz z nim - dlaczego został wybrany?" "Został wybrany, bo potrzebny był mocny człowiek. Kiedy uczestnicy konklawe zorientowali się, że może zwyciężyć Ascanio Sforza, przedstawiciel Mora, który tyle kłopotów przysporzył Włochom, albo Giuliano della Rovere, powiązany z Francją, z Neapolem i różnymi innymi obcymi państwami, które podsycaly jego aspiracje, oddali swe głosy na człowieka, który najlepiej znał potrzeby Stolicy Apostolskiej".

Naszym zdaniem Rodrigo został wybrany nie tylko dlatego, że lepiej od innych umiał dokonywać zręcznych manewrów lub dlatego, że miał mniej skrupułów, jednakże negocjowanie z tak wielkim uporem - jak to czyni Ferrara - tych właśnie czynników jest dziecinadą. To prawda, że głosujący należeli do wielkich rodów i mogli liczyć na pokaźne dziedzictwo; to prawda, że niektórzy byli bogatsi od Rodriga, ale jest też prawdą, że nikt nie miał takiej władzy jak on, zdobytej w ciągu tylu lat sprawowania urzędu wicekanclerza. Trzeba jednak zgodzić się z obrońcą Rodriga, że spośród pretendentów do papieskiego tronu nikt nie był bardziej odpowiedni niż on. Nie był zapewne wzorem cnót, ale który kardynał był nim? Skoro Kościół, będący już od wieków potęgą doczesną, potrzebował przywódcy, który by go jeszcze bardziej umocnił i sprawił, by budził jeszcze większy respekt, to kto lepiej od Borgii poprowadziłby go do tych celów? Na płaszczyźnie duchowej Borgia wyrządził Kościołowi ogromne szkody, ale nie zapominajmy o tym, że został wybrany nie po to, aby paść trzodę, ale by ją ograbić.

Sam Pastor, bardzo wrogo nastawiony do Borgii, potrafi go docenić: "Wydawało się, że skupia w sobie wszystkie cechy wybitnego świeckiego księcia. Jego nadzwyczajne uzdolnienia i wiedza sprawiały, że wielu widziało w nim człowieka zdolnego pokierować papieżem, które bardziej niż kiedykolwiek znajdowało się w centrum polityki, i przewyciężyć bez trudu wszelkie trudności. Fakt, że to już wystarczało, by być zadowolonym i odsunąć na drugi plan inne kościelne troski, jest charakterystyczny dla tendencji panujących w tej epoce".

Reakcje współczesnych potwierdzają zresztą w pełni tę ocenę. Sigismondo de'Conti, który dobrze znał papieża, zanotował: "Dzięki fizycznej krzepkości i świeżości umysłu, może bardzo dobrze sprostać wymogom swego nowego urzędu".

Pico della Mirandola zwiększył jeszcze dawkę pochwał wyrażając się pochlebnie nawet o jego urodzie. Giasone del Maino komentował: "Ten znamienity, lubiący wesołe życie człowiek zapowiadał wspaniały pontyfikat; ponadto jego świetna i majestatyczna prezentacja zyskiwała mu uwielbienie ludu".

Państwa włoskie cieszyły się lub udawały, że się cieszą.

Mediolan uczcił to wydarzenie zabawami i iluminacjami. Rozbrzmiewały dźwięki trąb i dzwonów. To samo uczyniły

Florencja i Siena. Zaś król Neapolu - jak opowiada Guicciardini - na wieść o wyniku wyborów wybuchnął płaczem,

a następnie wysłał do nowo wybranego papieża list wyrażający radość. Również Wenecja, która aż do końca była mu przeciwna, dała obłudnie wyraz swemu zadowoleniu.

W Hiszpanii zapanowała wielka radość. W Niemczech

kronikarz Hartmann Schedel, odzwierciedlając nastroje książąt i ludu, napisał: "W

osobie nowego papieża odnajdujemy
uprzejmość, ufność, zdrowy sąd, pobożność i znajomość wszelkich spraw
odpowiednie dla tak wysokiej godności. To wielkie szczęście, że na tak wzniosły
urząd wybrano człowieka
obdarzonego tyloma cnotami". Regent królestwa Szwecji przysłał papieżowi dary -
konie i futra.

Nie zabrakło oczywiście kąśliwych uwag i inwektyw. Infessura ironizował: "Zaraz po
wyborze Aleksander VI rozdzielił swój majątek między biednych", i zacytował listę
obdarowanych kardynałów. Rzymski notariusz Latino de Masiis

wykrzyknął: "O Panie Jezu Chryste, nasze grzechy sprawiły,
że Twój przedstawiciel na ziemi został wybrany w sposób tak
niegodny". Młody Giovanni de'Medici ostrzegał: "Wpadliśmy w paszczę wilka.

Uciekajmy, bo inaczej nas wszystkich

pożre". Zdaniem Guicciardiniego ten wybór był najgorszym
nieszczęściem, jakie mogło spaść na Italię. Były to jednak
tylko pojedyncze głosy. Chór wypowiadał się za Rodrigiem.

Kiedy 16 sierpnia został ukoronowany, wielki tłum pielgrzymów przybył do Rzymu,
podczas gdy plebs, dla którego

zarówno wybór papieża, jak i jego pogrzeb były przede wszystkim okazją do
wałkonienia się i hulanki, oddał się całym

sercem niewybrednej zabawie. Ulice rzymskie były świątecznie udekorowane, okna
ozdobione arrasami, łuki triumfalne

zwieńczały girlandy kwiatów, dywany rozłożono na całej trasie papieskiego orszaku,
wymalowane napisy sławiły nowego

papieża, a iluminacje, sztuczne ognie, śpiewy, tańce dopełniały powszechnej radości.

"Nawet Marek Antoniusz nie był

przyjmowany przez Kleopatę z takim przepychem" - jak to

ktoś skomentował. Ktoś inny zaś ułożył schlebający dystych:

"Rzym był wielki za Cezara. Dziś, za Aleksandra, jest bardzo
wielki. Tamten był człowiekiem, ten jest bogiem". Retoryka

kwitła w najlepsze.

Była pełnia lata, panowały dokuczliwe upały, powietrze było ciężkie, parne. Procesja, która wyszła z Watykanu, dotarła do pobliskiej świątyni pod wezwaniem Świętego Piotra, gdzie kardynałowie oddali hołd Borgii zasiadającemu na seilia gestatoria, a kanonicy ucałowali mu stopę. Po mszy pochód skierował się w stronę bazyliki na Lateranie. Tutaj papież zemdłał i dopiero szczodre spryskanie wodą przywróciło mu przytomność. O zmierzchu orszak udał się w drogę powrotną. "Pomyśl - pisał agent z Mantui do swego pana - co to znaczy jechać konno osiem, dziesięć dni, w ogromnym ścisku, jeden obok drugiego".

Aleksander VI - według Ferrary, przyjął to imię na cześć Aleksandra III, który łącząc się z komunami włoskimi zmusił cesarza Fryderyka Barbarosę do respektowania praw Kościoła - mógłby powiedzieć, jak powiedział o wiele później Leon X: "Bóg nam dał papieżstwo, korzystajmy więc z tego". Jeśli nawet tak nie powiedział, to z pewnością tak myślał. A następstwa takiego myślenia nie kazały na siebie długo czekać.

VI

ZACHŁANNY RÓD

Aleksander bardzo szybko wykazał, że ma zadatki na męża stanu. Już jako wicekanclerz dowiódł, poświęcając sprawy boskie na rzecz ziemskich, że jest bardziej politykiem niż duszpasterzem. Nikt nie znał lepiej maszyny państwowej, gnuśnych i zardzewiałych mechanizmów biurokracji, zmiennych nastrojów kurii, intryg Świętego Kolegium. Nikt lepiej od niego nie wiedział, co jest do zrobienia i jak to należy zrobić. Naturalnie przeprowadził tylko część zmian, a to dlatego, że choć jego władza była wielka, musiał liczyć się z przeciwnikami (miał wielu

wrogów, a niektórzy z nich, jak np. della

Rovere, byli niezwykle podstępni), a poza tym - on sam nie pragnął zmian. Twarde egzekwowanie moralnych zasad w Kościele rozdieranym przez schizmy i walki wewnętrzne.

Kościół tak przegnił, oznaczało rezygnację z celów doczesnych. A Borgia był człowiekiem najmniej nadającym się do przeprowadzenia reform. Jego ambicje sprowadzały i koncentrowały się wokół umocnienia władzy doczesnej namiestnika Chrystusa, wiara zaś miała być tylko narzędziem i zasłoną.

Coś jednakże zrobił. Ale raczej po to, by oszczędzić wstrząsów swojemu pontyfikatowi, niż by zapobiec katastrofie

Kościół, który jak Tratwa "Meduzy", wydany na pastwę skandali, nigdy przedtem nie był tak podzielony, skorumpowany i niepopularny. Jego program nie mógł być programem odrodzenia moralnego, którego nie domagało się ani jego sumienie, ani wyższy kler, a jedynie on się liczył.

Jednym z pierwszych problemów, które podjął Aleksander VI, była niezmiernie pilna i poważna sprawa porządku

publicznego. Okres "bezkrólewia" - między śmiercią Innocentego VIII a wstąpieniem na tron Borgii - był jak zwykle

wypełniony krwawymi zamieszkami. Rzymianie, podburzeni przez miejskie koterie, którym przewodzili niezawodni Orsini i Colonna, zamienili Miasto w pole bitwy: gwałty, grabieże, zamachy, 220 zabójstw i wielu rannych. Tak było zawsze przed konklawe. Sprzyjał temu trwający tygodnie, jeśli nie miesiące brak władzy, ludzie więc korzystali z nadarzającej się okazji, by dać ujście swoim urazom i mścić się na kim można.

Aleksander położył kres anarchii, kazał aresztować inicjatorów zajść (tych oczywiście, którym nie udało się wykręcić od odpowiedzialności) i wytoczyć im proces. Umocnił siły

porządkowe, zaostrzył kary wymierzane wichrzycielom. Złagodził potem te posunięcia, powołując komisję do spraw reformy więziennictwa i obiecując, że na cotygodniowej audiencji będzie przyjmował poddanych nie bacząc na ich pozycję społeczną i stan majątkowy. Była to tylko demagogia, ale to się rzymianom podobało.

Próbował również podreperować anemiczne finanse watykańskie, napęlić kasę opróżnioną przez jego poprzedników. Było to trudne przedsięwzięcie, które wszakże na początku, być może dzięki stanowczości Aleksandra, zostało uwieńczone pewnym sukcesem. Zaczął od drastycznego obcięcia wydatków na własny dom. Nie było to z jego strony wielkie poświęcenie, zważywszy na wspomnianą niezwykłą wstrzeźliwość w jedzeniu i piciu. Jego budżet domowy nie przekraczał 700 dukatów miesięcznie - prawie nic w porównaniu z 8 tysiącami wydawanymi później przez Juliusza II.

Jednakże oszczędności nie wykraczały właściwie poza posiłki składające się z jednego, choć obfitego dania. Ogólnie rzecz biorąc, warunki życia poddanych uległy poprawie. Bardziej jednak dzięki przywróceniu porządku niż oszczędnościom wprowadzonym przez papieża.

W sferze dobrych intencji pozostała natomiast reforma obyczajów - potrzebna bardziej niż jakakolwiek inna. Ale jakże ten papież mógł oczyścić instytucję, do której skalania sam się przyczynił, zdobywając poprzez świętokupstwo pastorał i tiarę. Musiało jeszcze upłynąć wiele lat, nim Kościół wrócił do zdrowia po szoku spowodowanym przez Lutra i Kalwina. Kiedy to jednak nastąpi, Rodriga już nie będzie wśród żywych. Za swego życia natomiast nie uczynił nic, by zażegnać burzę, której niepokojących zapowiedzi nie umiał lub nie chciał dostrzec.

Wszelką odnowę moralną uniemożliwił przede wszystkim jego nie znający granic

nepotyzm. Wzbogacenie i wyniesienie do wysokich godności krewnych i przyjaciół było głównym zajęciem i troską wszystkich bez wyjątku papieży. To zjawisko, zasługujące na potępienie z moralnego punktu widzenia, miało jednak uzasadnienie na płaszczyźnie czysto politycznej. Suwerenność papieża, a więc jego swoboda działania, była absolutna tylko na papierze. W rzeczywistości kuria i szlachta robiły wszystko, by ją ograniczyć. Nawet ten, kto w słowach opowiadał się za papieżem i przysięgał mu wierność, przy pierwszej okazji odwracał się od niego. Mógł więc ufać tylko krewnym. I to nie dlatego, że w ich żyłach płynęła ta sama krew. Raczej dlatego, że nienawiść i zawiść, której byli przedmiotem, doradzała im trzymać się razem z protektorem obsypującym ich zaszczytami, bogactwem, synekurami. Im więcej wrogów miał papież, tym bardziej otaczał się krewnymi, którym nadawał coraz szersze uprawnienia. Tylko w ten sposób mógł rządzić.

Ale była też odwrotna strona medalu: "nepoci", jak o sobie mówili sami krewni, wiedzieli, że po śmierci swego protektora zostaną zastąpieni przez "nepotów" następcy i pozbawieni wszelkich nabytych przywilejów; to ich skłaniało do intryg, grabieży, nadużyć.

Aleksander poszedł jeszcze dalej w tych nadużyciach, zamieniając katedrę Piotrową w targ bydła. Żaden ród nie był tak zachłanny jak ród Borgiów. Aby go nasycić - pisał jeden ze współczesnych - nie wystarczyłoby dziesięciu papieży. Rodrigowi sprzyjała jeszcze własna płodność. Nie wiemy dokładnie, ile miał dzieci i być może on sam tego nie wiedział. Nie ma bowiem wiarygodnych spisów, dokumenty zawierają sprzeczności i luki, historycy nie są jednomyślni.

Ferrara zaprzecza, jakoby miał on w ogóle dzieci. Większość historyków jednak - choć nie upiera się przy twierdzeniu

jego wrogów, którzy przypisywali mu niezliczoną chmarę potomstwa - jest mniej pobłażliwa. Jego dziećmi byli z pewnością Lukrecja, Cezar, Juan i Jofre. Urodziła mu je Vannoza Catanei, poznana - według Gregoroviusa - w 1466 lub 1467 r., kiedy Rodrigo, będący już kardynałem, miał 35 lub 36 lat, a jego kochanka, urodzona w 1442 r., o jedenaście lat mniej. Nie wiemy, gdzie się poznali. Nietrudno wyobrazić sobie, że - jak twierdzą niektórzy - Vannoza (zdrobnienie od Giovannoza, co z kolei jest "zgrubieniem" od Giovanna) była luksusową kurtyzaną. Jeśli natomiast nie była kurtyzaną, to wszelkie próby udowodnienia tego są daremne. Zdaniem Babottiego - ale do słów jego trzeba podchodzić ostrożnie - była ona walencjanką, a przyszły papież poznał ją w Hiszpanii. Została jego kochanką, a po jej śmierci Rodrigo wziął sobie jedną z jej córek, do której od dawna się zalecał (drugą, brzydszą, umieścił w klasztorze). Luzio jednakże twierdzi, że pochodziła z Mantui: w mieście Wergiliusza bowiem mieszkało wielu ludzi o nazwisku Catanei lub Cattanei. Potwierdzają tę hipotezę kronikarze Sanudo i Malipiero, którzy nazywają Vannozzę "kuśnierką z Mantui". Być może Rodrigo, jako wicekanclerz Piusa II, spotkał się z nią, kiedy towarzyszył papieżowi na zjazd zwołany do Mantui w sprawie zorganizowania krucjaty. W takim razie datę poznania należałoby przesunąć na rok 1459. Gregorovius i Pastor nie wykluczają, że Vannoza urodziła się w Rzymie.

Była to kobieta bardzo piękna, o owalnej twarzy, wąskim nosie, gęstych łukowatych brwiach, wielkich czarnych oczach, krótkim podbródku, delikatnych ustach, ciemnej karnacji i brązowych włosach. Musiała mieć niezwykle seksapil, skoro jej związek z Rodrigiem trwał tak długo i był tak owocny. Borgia urządził jej dom, utrzymywał ją, jeśli nie w luksusie, to w zamożności. Aby ratować pozory, znalazł jej nawet

męża, a raczej mężów. Ilu - zdania są sprzeczne: niektórzy twierdzą, że czterech, inni, że trzech, jeszcze inni, że dwóch. Pierwszym był prawdopodobnie niejaki Domenico d'Arignano, "urzędnik Kościoła". Drugim - bliżej nie znany Antonio da Brescia. Trzecim (1480 r.) mediolańczyk Giorgio della Croce, pisarz papieski, z którym miała syna, Ottaviana. Kiedy została wdową, kochanek zmusił ją do poślubienia mantuańczyka Carla Canale, humanisty i przyjaciela Angela Poliziano. Dał jej w posagu tysiąc dukatów, a męża mianował "petentem bulli papieskich".

Zdaniem de Roo, Vannozza jest matką Cezara, Lukrecji, Juana i Jofrego, ale ich ojcem nie był kardynał, lecz niejaki Guillermo Lanzol de Borgia, bratanek Rodriga. Sam Rodrigo - po śmierci bratanka - miał jakoby adoptować jego dzieci. Nie ma potrzeby dodawać, że Ferrara podchwycił tę hipotezę: "Vannozza podpisywała swe listy nazwiskiem Borgia, a przecież żadna kobieta nie używa nazwiska swego kochanka". Można by mu na to odpowiedzieć, że jej związek z Rodrigiem był powszechnie znany i w owym czasie, zwłaszcza w Rzymie, nikt z prałatów i libertyńskich papieży niczym i nikim się nie gorszył. Jednakże większość historyków zgodnie twierdzi, że Cezar, Lukrecja, Juan i Jofre byli dziećmi Vannozzy i Rodriga. Bulle legitymacyjne potomstwa, wydane przez Aleksandra VI, świadectwa współczesnych, a przede wszystkim bliskie stosunki, jakie utrzymywał Rodrigo z dziećmi Vannozzy, nie powinny pozostawiać wątpliwości co do jego ojcostwa.

Bardziej kontrowersyjna jest kwestia, kim była matka Jeronimy, Izabeli i Pedra Luisa, pierwszego księcia Gandii. Nikt z badaczy nie zdołał tego ustalić. Pedro Luis według wszelkiego prawdopodobieństwa był pierwotnym synem

Rodrigo. Urodzony, jak się wydaje, w 1463 r. i uznany za syna w 1481 r., zrobił karierę w Hiszpanii; król Ferdynand Katolicki mianował go za zasługi wojenne księciem Gandii. Zaręczony z kuzynką króla, Marią Enriquez, nie zdażył się z nią ożenić, gdyż przybywszy do Włoch zmarł w wieku zaledwie 25 lat. Swoim spadkobiercą uczynił przyrodniego brata Juana.

To właśnie skłoniło niektórych do wysunięcia tezy, że Pedro Luis był pierworodnym Rodriga i Vannozzy, gdyż w przeciwnym razie księstwo Gandii przypadłoby Cezarowi.

Ta kontrowersyjna sprawa dotychczas nie została wyjaśniona i taką pozostanie chyba na zawsze. Fakt, że ojciec przeznaczył Cezara do stanu duchownego, rezerwowanego zazwyczaj dla drugiego syna, każe nam jednak przypuszczać, że Juan był najstarszym z czterech synów. Ale jest to tylko hipoteza.

Daty urodzin nie są bowiem pewne. Jeśli według niektórych świadectw Juan przyszedł na świat w 1476 r., to według innych należałoby tę datę przesunąć w przód lub w tył. Co się zaś tyczy Cezara, to w brewe Innocentego VIII czytamy, że w 1484 r. miał on dziewięć lat. Według bulli Sykstusa IV przyszedł na świat w 1474 r.; według innej bulli tego samego papieża - w 1476 r. Naszym zdaniem kwestię tę rozstrzygnął ferraryjski poseł w Rzymie, Gherardo Saraceni, który w liście z 26 października 1501 r. przytacza księciu Ercole następujące zdanie papieża: "Lukrecja skończy 22 lata w kwietniu tego roku; w tym samym też czasie jaśnie wielmożny książę Romanii [tzn. Cezar] skończy lat 26".

Istnieją też wątpliwości co do miejsca urodzenia Cezara, przyszłego księcia Valentino. Pewien ksiądz wskazuje na Rignano, wioskę w Lacjum, gdzie Vannozza miała podobno

dom. Inni, wśród nich Ferrara, skłaniają się ku tezie, że Cezar urodził się w Hiszpanii. Naszym zdaniem wydaje się jednak prawdopodobne, że przyszedł on na świat we Włoszech, choć nie ma na to dowodów, zresztą nie mają ich i ci, którzy to wykluczają.

Trochę więcej, choć nie za dużo, wiemy o jego dzieciństwie. Prawie na pewno upłynęło ono w Rzymie, w dzielnicy Ponte, gdzie mieszkała Vannozza. To, że Cezar mówił

doskonale po hiszpańsku nie znaczy, że wychował się na Półwyspie Iberyjskim. W Rzymie przebywało wielu Katalończyków, a język Borgiów był bardzo rozpowszechniony*.

Z matką zresztą przebywał krótko. Rodrigo bowiem, choć ją kochał, nie uważał, by z racji swej pozycji społecznej nadawała się do wychowywania jego dzieci, które powierzył siostrzenicy, Adrianie Mila, żonie Ludovica Orsiniego,

* Autor sugeruje tu, że Borgiowie mówili po hiszpańsku, a nie po katalońsku, co wydaje się mało prawdopodobne (przyp. tłum.). należącego do jednej z najznamienitszych rodzin rzymskich.

Po przeprowadzeniu się do przepięknego pałacu na Monte Giordano Cezar rozpoczął studia pod kierunkiem bardzo

uczonego Spannolia z Majorki, który uczył go po trochu wszystkiego, ale przede wszystkim "starożytności łacińskich".

Zdobył też powierzchowną znajomość teologii i prawa kanonicznego, ale nie dlatego, że święte księgi i kodeksy prawa

kościelnego interesowały go. Przeciwnie, nudziły śmiertelnie, lecz ich znajomość potrzebna była do kariery, jaką mu wybrał

ojciec. Gdy miał siedem lat, Sykstus IV mianował go protonotariuszem apostolskim, kanonikiem katedry w Walencji,

archidiakonem w Jativie, rektorem Gandii i proboszczem

Albaru. Nie brakło protestów, ale były one daremne. I choć

jeszcze żaden sobór nie usankcjonował nieomyślności papieża, ich decyzji, nawet najbardziej nierozważnych, nie próbowano podważać.

Obsypany zaszczytami i beneficjami, Cezar w 1489 r. udał się wraz ze swoim nowym preceptorem Giovannim Verą d'Arcilla do Perugii, gdzie wstąpił na wydział prawa. Przebywał tam przez dwa lata dzieląc swój czas między kobiety, pandekty, wycieczki konne i polowania. Następnie przeniósł się na uniwersytet w Pizie, równie renomowany jak uniwersytety w Bolonii i Padwie. W przeddzień wyjazdu do Pizy Innocenty VIII mianował go biskupem Pampeluny, wywołując i tym razem protesty miejscowego kleru.

Młody Borgia może nawet wyrzekłby się chętnie niektórych beneficjów. Jeśli bowiem dochody, które z nich czerpał, były ogromne, to jednak te wszystkie zaszczyty wiązały go z zawodem, do którego nie czuł najmniejszego powołania. Był człowiekiem światowym, lubił tylko rozrywki, otaczał się pasożytami, błaznami, rajfurami i kurtyzanami.

Żył dostatniej niż niezmiernie bogaty Giovanni de'Medici, syn wielkiego Wawrzyńca i przyszły papież Leon X. Wydawane przez niego uczyty, na które zapraszał śmietankę towarzyską Perugii, były godne królewskiego dworu, a on sam stanowił ich największą atrakcję.

Wydaje się, że był człowiekiem nieodpartego uroku. Wysoki, zwinny, z kasztanowatymi włosami, śniadą cerą, szerokim czołem, ciemnymi głębokimi oczami, miał w sobie coś zagadkowego. Jego wykwintne, ale nacechowane pewnym chłodem maniery, wielka, ale nie pozbawiona rezerwy serdeczność, sposób bycia to roztargniony, to skupiony, skrywały nieufność i tajemniczość.

Był obdarzony herkulesową siłą, wyjątkowym wigorem i lwią odwagą; gwałcił w rękach lance i żelazne sztaby, polował

od świtu do nocy, znosił łątko wszelkie niewygody. Męskością dorównywał ojcu i miał tuziny kochanek, które utrzymywał nawet wtedy, gdy zapadł na syfiliś i musiał nośić rękawiczki i maskę, by ukryć odrażające rany. Zabawy i przyjemności nie odwoodziły go jednak od studiów uwieńczonych dyplomem w zakresie prawa kanonicznego i cywilnego, uzyskanym między szesnastym a siedemnastym rokiem życia.

Latem 1492 r. opuścił Pizę, by udać się do Rzymu na uroczystość koronacji swego ojca. W Spoleto zatrzymał się jednak na rozkaz Rodriga. "Mówiono często - pisze Beuf - że Aleksander zatrzymał go z dala od Rzymu, by uniknąć skandalu, jakim byłby udział dzieci w jego triumfie.

Jednakże inni papieże nie mieli takich skrupułów, a sam Borgia nie był człowiekiem, który by się krępował takimi drobiazgami. Wiadomo nam ponadto, że zarówno Jofre, jak i Lukrecja byli w stolicy, a Juan został wezwany z Hiszpanii, by uczestniczyć w rodzinnym święcie. Niewykluczone, że to niechęć Cezara do kariery kościelnej skłoniła Rodriga do zatrzymania go. Albo też po prostu nie uważał za konieczne zapraszanie syna na uroczystości". Naszym zdaniem Aleksander specjalnie odsunął swoje dzieci, nie tylko

Cezara, od udziału w uroczystości, by uniknąć skandalu, który by mu zaszkodził już na początku panowania. Nie zapominajmy też, że właśnie w tym czasie zobowiązał się do zreformowania Kościoła i wykorzenia nepotyzmu. Jego weto wobec Cezara nie było więc ani kaprysem, ani karą. Zbyt kochał swego syna, by go karać lub narażać na swoje kaprysy.

Cezar był posłuszny i zatrzymał się w Spoleto na całą zimę. Dopiero w marcu - nie jest to wszakże ustalone z całą pewnością - przybył do Rzymu. Zamieszkał w pałacu

San Clemente, jednym z najpiękniejszych w Mieście, położonym w połowie drogi między Watykanem a zamkiem św. Anioła. Papież sam wybrał mu tę siedzibę. W murach pałacu, w jego salach młody Borgia roztoczył przepych, jak w Perugii i Pizie, stając się wyrocznią dla wyższych sfer towarzyskich stolicy.

Oto jak z pewną emfazą opisuje go ambasador ferraryjski Giovanni Andrea Boccaccio: "Cezar właśnie wychodził, by udać się na polowanie. Miał na sobie elegancki jedwabny strój i broń u boku. Tylko niewielka tonsura przypominała, że jest księdzem. Jechałem na koniu obok niego i długo z nim rozmawiałem. Nasza znajomość jest bardzo bliska. To człowiek wielkiego i wybornego rozumu oraz doskonałego charakteru. Ma maniery syna potężnego księcia; jest przede wszystkim wesoły i pogodny, pełen radości. Odznacza się wielką skromnością, a jego postawa jest o wiele bardziej okazała niż księcia Gandii, jego przyrodniego brata, który przecież posiada niemało zalet".

W tym portrecie jest z pewnością sporo pochlebstwa, lecz też wiele prawdy. Syfilis nie zniekształcił mu jeszcze rąk i twarzy, nie zmącił charakteru i nie wpłynął na psychikę. W krzepkim i ambitnym młodzieńcu nie było jeszcze nic mrocznego i tragicznego. Suknia duchowna, którą niekiedy z woli ojca nosił, uwierała go i często ją zmieniał na strój świecki. Nie ukrywał przed nikim, nawet przed papieżem, że brak mu powołania do stanu duchownego. Żył, jak nie powinien żyć człowiek Kościoła, ale nikogo to nie dziwiło.

W kilka dni po koronacji Aleksander powierzył mu biskupstwo Walencji, co automatycznie uczyniło go prymasem Hiszpanii z dochodami 16 tysięcy dukatów. To przesądziło

o jego duchownej, a nie świeckiej karierze.

Po śmierci Pedra Luisa, Aleksander przeznaczył do kariery świeckiej Juana, co skłoniło wielu uczonych do przyjęcia tezy, że książe Gandii był synem pierwotnym. Niewykluczone, że był o rok lub dwa lata starszy od Cezara, ale też równie dobrze mógł być o tyleż młodszy. Fakt, że ojciec wybrał dla niego karierę polityczną i wojskową, do której zazwyczaj przeznaczano syna pierwotnego, nie musi koniecznie znaczyć, że Juan urodził się przed Cezarem. Być może Aleksander marzył o tronie papieskim dla jednego ze swych synów i młody biskup - pierwotny czy nie - wydał mu się bardziej odpowiednim kandydatem do tiary od głupiego i niezdolnego Juana.

Tym też należy tłumaczyć mianowanie Cezara kardynałem, które nastąpiło, nie bez sprzeciwów, 20 listopada 1493 r.

Konsystorz zwołany przez Borgię, wbrew woli wielu kardynałów, obdarzył purpurą, poza biskupem Walencji, również

15-letniego Ippolita d'Este oraz Aleksandra Farnese, brata nowej kochanki papieża, pięknej Giulii, nazywanej "oblubienicą Chrystusa".

Wielu, i to nie tylko w Rzymie, wystąpiło z ostrymi protestami, ale Aleksander pozostał niewzruszony. Był papieżem

i jego decyzje - czy się podobały jego wrogom, czy nie - nie podlegały dyskusji. Della Rovere był tym tak bardzo zirytowany, że aż się rozchorował. Szybko jednak wrócił do zdrowia.

Cezar robił dobrą minę do złego losu; jeśli już mitra biskupia uwierała go, to kapelusze kardynalski uwierał jeszcze bardziej. Nie ośmielał się jednak sprzeciwić papieżowi, ale nie zmienił niczego w swoich upodobaniach. Miał zaledwie 18 lat; Aleksander mógł jeszcze zmodyfikować swoje co do niego zamiary lub też mogły go do tego skłonić okoliczności.

Zresztą w tej rodzinie nie tylko on podporządkowywał się ojcowskiej woli. Wszyscy w większym lub mniejszym stopniu jej ulegali. Również Lukrecja, do której Rodrigo miał słabość, być może dlatego, że była jego jedyną córką.

Urodziła się - według Gregoroviusa - 18 kwietnia 1480 r., ale nie mamy na ten temat pewnych informacji. Nie wiemy nawet dokładnie, gdzie przyszła na świat. Niektórzy twierdzą, że w Subiaco, inni, że w Rzymie, jeszcze inni, że w Hiszpanii.

W każdym razie dzieciństwo spędziła w Rzymie, tam też przebiegała jej edukacja; być może w klasztorze św. Sykstusa, jak przystało na dziewczynę z dobrej rodziny, być może w domu siostrzenicy Aleksandra, Adriany Mila. Nie odbywała systematycznych studiów zarezerwowanych dla chłopców, ale powierzono ją znakomitym preceptorom, którzy uczyli ją języków, rysunku, muzyki, tańca. Nauczyła się francuskiego, studiowała też, choć jak się wydaje z niewielkim rezultatem, łacinę. Zachowało się wiele jej portretów, nad których autentycznością nadal się dyskutuje. Najsławniejszy namalował Pinturicchio, twórca fresków w apartamentach Borgii w Watykanie. Przedstawiona jest na nim jako św. Katarzyna. Jest to portret wyidealizowany i słodko dworski - przynosi zaszczyt sztuce, ale szkodzi prawdzie. Jasnowłosa, przezroczysta, ekstatyczna święta nie oddaje rysów Lukrecji. Jest tylko pochlebstwem.

Córka papieża, wbrew temu, co ukazuje oficjalna ikonografia spopularyzowana przez złe powieści i jeszcze gorsze

filmy, nie była piękna, choć nie można by jej nazwać brzydką.

Była bowiem niezwykle podobna do ojca: te same nieco wyłupiaste oczy, ten sam mięsisty nos, ten sam cofnięty podbródek, ta sama ciemna cera, a ponadto

przepiękne, bardzo długie blond włosy. Łagodna i uległa wiedziała, jak bardzo jest we wszystkim uzależniona od ojcowskiej woli, której będzie posłusznym, a niekiedy tragicznym narzędziem. Robienie z niej Cezara w spódnicy lub renesansowej Fryne, zastawiającej sidła i serwującej trucizny pożeraczki mężczyźni, jest fałszem. Nie była świętą, ale też nie była potworem. To, co robiła, zwłaszcza to, co robiła złego, było jej narzucone. Przeżyła podwójne i prawie jednocześnie narzeczeństwo z dwoma hiszpańskimi szlachcicami, don Querubinem Juanem de Centelles i don Gasparem d'Aversa, przy czym jeden nie wiedział o drugim. Lukrecja miała zaledwie jedenaście lat i swoich konkurentów znała tylko z nazwiska; w wielkich rodach bowiem o małżeństwie decydowali rodzice, często bez wiedzy dzieci, których zgoda rozumiała się sama przez się (co zresztą nie oznaczało, że związki małżeńskie musiały być nieudane. Interes czasem zamieniał się w miłość).

Żaden jednak z narzeczonych nie został jej mężem. Kiedy bowiem Borgia zwrócił uwagę na Querubina i Gaspara, nie był jeszcze papieżem. I jeśli córka kardynała mogła poślubić takiego Centellesa lub Aversę, to córka papieża sięgała wyżej. A wyżej stał istotnie Giovanni Sforza, pan na Pesaro, daleki krewny kardynała Ascania, 26-letni wdowiec po Magdalenie Gonzaga, dość przystojny, dość wykształcony, dość potężny.

Papież przywołał go do Rzymu, umieścił w domu kardynała Domenica della Rovere i po dokładnym przesłuchaniu obiecał mu rękę córki. Powstrzymał się jednak przed poinformowaniem o tym Querubina i Gaspara, którzy o stracie narzeczonej dowiedzieli się od osób trzecich. Pierwszy tylko się uśmiechnął, drugi zaś zagroził piekielną awanturą. "Jak prawdziwy Katalończyk -

pisze bystry ambasador Ferrary - odgraża się i zapowiada, że odwoła się do wszystkich książąt

chrześcijaństwa". Giovanni roztropnie nie opuszczał swych apartamentów czekając, aż ucichnie gniew zawiedzionego zalotnika.

Aleksander starał się udobruchać niedoszłego zięcia, ale każda jego oferta była wzgardliwie odrzucana: umowa jest umową i nawet papież, a przede wszystkim papież, nie może jej zerwać. Ponieważ czas naglił, Giovanni się niecierpliwił, a Ascanio naciskał, papież usiłował przekonać go, a to groźbami, a to pochlebstwem. Wreszcie Gaspar przyjął odszkodowanie w wysokości 3 tysięcy dukatów i ustąpił. 2 lutego 1493 r.

Lukrecja poślubiła per procura pana na Pesaro. Wesele wyznaczono na 12 czerwca. 9 czerwca Giovanni Sforza z wielką pompą wjechał do Rzymu przez Porta del Popolo; witali go prałaci, włoscy i zagraniczni dyplomaci oraz ogromny - wiwatujący i zlorzeczący - tłum. Orszak przy wesołych dźwiękach trąbek, fujarek i bębnow skierował się w stronę Watykanu, gdzie Sforza został przyjęty przez papieża.

Ślub odbył się z wielkim przepychem, jak przystało na córkę papieża i krewnego Ludovica Moro. Giovanni miał na sobie złocistą szatę i łańcuch użyzony mu przez margrabiego Mantui. Lukrecja była ubrana w suknię o fantazyjnym kroju z bardzo długim trenem, który niosła czarnoskóra družka.

W uroczystościach wzięły udział wszystkie rzymskie matrony, kapitolinscy notable, korpus dyplomatyczny i dwunastu kardynałów. I oczywiście papież.

Nastąpiła potem istna uczta Trymalchiona. Resztki z niej - według Burcarda sto funtów słodczy - rzucono z okien plebsowi. Około północy wniesiono dary, następnie rozpoczęły się tańce, które

wkrótce przerodziły się - jak pisze

złośliwy Infessura - w nieprzystojne figle i grube żarty. "Po weselu papież kazał przynieść pięćdziesiąt srebrnych kielichów wypełnionych cukrami, które ku większej wesołości wsypywano za dekolty kobietom, w większości bardzo urodziwym". Infessura będący na służbie króla Neapolu jest stronnikiem, a więc mało wiarygodnym źródłem informacji.

Na pewno hulano nieźle i jakieś słodczyce mogły się znaleźć za dekoltami pań, ale należy wątpić, by gościom podszeptano taki sposób zabawienia siebie, dam, a przede wszystkim papieża. Gdyby taki incydent naprawdę się zdarzył, pisałby o nim nie tylko Infessura, ale i obecni tam liczni ambasadorowie.

Pewne jest natomiast, że na weselu była obecna Giulia Farnese, ówczesna kochanka Aleksandra. Ta gorsząca obecność nikogo jednak nie zgorszyła. Tak jak nie oburzało nikogo nieprawe pochodzenie narzeczonej. Dziwna natomiast była

nieobecność Vannozzy. "Być może - snuje domysły Sacerdote - tak postanowił papież lub być może ona z własnej woli trzymała się z daleka, by nie spotkać się z Giulią Farnese i nie być świadkiem triumfu rywalki, która zajęła jej miejsce, a w owym dniu była tak piękna, że - jak to ktoś napisał - zaćmiła nawet hożą urodę panny młodej".

Prawdopodobnie jednak ani Vannozza nie chciała wziąć udziału w weselu, ani papież na to nie nalegał. Ich związek skończył się już na długo przed rokiem 1489, kiedy to rozpoczął się romans Borgii - jeszcze nie papieża - z młodziutką Farnese, liczącą wówczas 15 lat (Borgia zaś miał wtedy prawie 58).

Wiemy, jak zrodził się i jak rozpadł ten związek, którego istnieniu zaprzeczał Ferrara - wbrew opinii prawie wszystkich historyków. Poznali się w domu Adriany Mila, opiekunki

Lukrecji i pozostałych dzieci kardynała. Giulia była zaręczona z Orsinem, synem

Adriany i Ludovica Orsinich, i dlatego często bywała w domu przyszłej teściowej. Wydaje się, że była nadzwyczajną piękną; bardzo długie jasne włosy okalały i podkreślały ciemną, owalną twarz o czarnych, płonących oczach, ciało miała kształtne, wymodelowane, z którego emanował nieodparty seksapil. Rodrigo zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Giulia była także zafascynowana wicekanclerzem, najpotężniejszym po papieżu człowiekiem w Rzymie. Resztę załatwiła Adriana, bardzo zła matka, ale doskonała rajfurka, która przez całe lata będzie sprzyjać tej parze.

Związek ów stał się wkrótce tajemnicą poliszynela i nawet małżeństwo Giulii z Orsinem nie ukróciło plotek, jakie rozpętały się wokół nowej miłości Aleksandra. Borgia, pragnąc zapewne, aby jej ślub był bardziej uroczysty, postanowił urządzić go w swoim pałacu. Co więcej, chciał być na nim świadkiem, by ratować twarz (bo cóż więcej mógł już uratować?).

Romans z Giulią będzie dla wrogów Rodriga kolejną okazją do dyskredytowania już i tak bardzo zdyskredytowanego pontyfikatu.

Najbardziej zajadłym spośród tych wrogów był Ferrante, Aragończyk, którego stosunki z papieżem nigdy nie były dobre, a często bliskie zerwania. Chyba jednak najdotkliwszy cios zadał papieżowi Franceschetto Cybo, który po śmierci swego ojca i protektora, Innocentego VIII, zbiegł do Florencji, do szwagra Piera de'Medici, i wystawił na sprzedaż swoje posiadłości w Państwie Kościelnym. 3 września 1492 r. Anguillara i Cerveteri, najcenniejsze klejnoty tych włości, przeszły w ręce Virginia Orsiniego, który jednak nie dysponował 40 tysiącami dukatów niezbędnymi do sfinalizowania transakcji i musiał zwrócić się o nie do króla Neapolu. Prośbę

jego poparł kardynał della Rovere. Dla Aleksandra był to wielki afront. Posiadanie tych dwóch miasteczek umożliwiłoby bowiem sprawowanie kontroli nad handlem między Rzymem a Civitavecchia. Na dodatek Orsini służył w armii neapolitańskiej i był kapitanem generalnym. Powstała w ten sposób enklawa narażała więc Ojcowiznę Świętego Piotra na infiltrację Aragończyków. Rodrigo natychmiast dostrzegł niebezpieczeństwo i starał się je zażegnać. Kiedy dowiedział się, że wojska Orsiniego zajęły Anguillare i Cerveteri, ostro zaprotestował, a na konsystorzu oskarżył kardynała della Rovere, że ułatwił przeprowadzenie całej operacji (gdyby kardynał nie popierał tak stanowczo król Ferrante, łatwo byłoby go zneutralizować). Giuliano zareplikował, że obydwa miasta są pewniejsze w rękach Aragończyków niż Sforzów. Potem jednak, z obawy przed represjami, wycofał się do zamku w Ostii.

Zagrożenie ze strony Neapolu - opowiada Infessura - do tego stopnia zaniepokoiło Aleksandra, że w czasie wycieczki do Villa Magliana wziął przyjazny salut armatni za akt wrogi i w wielkiej panice wrócił do Watykanu. Infessura jednak był zawsze bardzo zjadliwy wobec Borgii, co każe wątpić w autentyczność tego epizodu.

Dopiero gdy papież przystąpił do ligi obronnej z Wenecją, której promotorem był kardynał Ascanio i jego brat Ludovico, Ferrante postanowił załagodzić spór i wyprawił swoich wysłanników do Rzymu i Mediolanu. Przedstawiciel Neapolu, opat Rugio, wręcz zaoferował rękę córki króla młodemu Cezarowi, za wszelką cenę pragnącemu powrócić do stanu świeckiego, a rękę pewnej księżniczki aragońskiej Jofremu. Operacja jednak zakończyła się fiaskiem na skutek intryg Ascania, który słusznie uważał, że takie małżeństwo

będzie oznaczać koniec sojuszu Rzymu z Wenecją, do którego 25 kwietnia 1493 r. przystąpiły również Siena, Ferrara i Mantua. Starcie między Borgią a Ferrantem było już nieuniknione. Mediolan i Wenecja spieszenie przysłały papieżowi kilkuset żołnierzy, podczas gdy Aragończyk wzywał Giuliana i kardynałów wrogich Aleksandrowi do stworzenia wspólnego bloku. Ferrante nie poprzestał na tym. Napisał do króla Hiszpanii, że powodem wszystkich kłopotów jest papież i jego nepotyzm, oszukaństwo i nieobyčajność. "Aleksander VI prowadzi takie życie, że przez wszystkich jest znieawidzony; nie ma żadnych względów dla tronu, na którym zasiada. Jedyne jego troską jest wyniesienie swoich synów wszelkimi legalnymi i nielegalnymi sposobami. Ku temu kierują się wszystkie jego myśli. Pragnie on wojny; od początku pontyfikatu wyrządzał mi tylko zło. W Rzymie jest więcej żołnierzy niż księży, wszystkie myśli papieża zwracają się wyłącznie ku wojnie i naszej ruinie. To samo dotyczy tych, którzy służą papieżowi radą [Sforzów]; o niczym innym nie myślą, tylko o tyranizowaniu papieża, by uczynić z niego po śmierci papieża to, co im się podoba. Rzym stanie się obozowiskiem, zwłaszcza dla Mediolańczyków". W odpowiedzi na to papież wydał Lukrecję za Sforze. Zaniepokojony dwór hiszpański wysłał do Rzymu swego ambasadora. Diego Lopez de Haro wyraził ubolewanie z powodu przystąpienia papieża do ligi i okazywanej przez niego tolerancji wobec marranów, jak nazywano hiszpańskich Żydów nawróconych na wiarę chrześcijańską, których Ferdynand wypędził ze swego państwa. Aleksander odpowiedział, że są oni nieszkodliwi i że nie zamierza ich wypędzać ani prześladować. Ta przynosząca mu zaszczyt replika pogorszyła jednak już i tak bardzo złe stosunki między papieżem a hiszpańskim

monarchą.

Tymczasem Aragończyk robił co mógł, by poróżnić sojuszników i pozyskać Rodriga dla swej sprawy. Dowiedział się bowiem, że Moro zwrócił się do Karola VIII, by przybył do Włoch, aby potwierdzić prawa Andegaweńczyków do królestwa Neapolu (w zamian za to Sforza domagał się oficjalnej inwestytury jako księżę Mediolanu na miejsce nieudolnego i rozpustnego Giana Galeazza). Nie było więc czasu do stracenia, należało zaskarbić sobie łaski Aleksandra rozwiązując problem Anguillary i Cerveteri.

W tym celu wyprawił do Rzymu swego syna Fryderyka, ale Borgia udawał głuchego. Wówczas Aragończyk zgromadził wojska na granicy z Państwem Kościelnym, usiłując jednocześnie podburzyć Kolegium Kardynałów przeciwko papieżowi. Ponieważ ten nie ustępował, wysunął projekt dynastycznego aliansu między Jofrem a Sancią, swą wnuczką, naturalną córką następcy tronu, Alfonsa, która wniosłaby w posagu księstwo Squillace i hrabstwo Cariati. Jednocześnie ambasador hiszpański oferował rękę Marii Enriquez, wdowy po Pedrze Luisie Borgii, jego bratu Juanowi, drugiemu księciu Gandii. Aleksander, którego stosunki z Mediolanem i Wenecją bardzo się ochłodziły, ustąpił wreszcie: Virginio Orsini wpłacił mu 35 tysięcy dukatów w zamian za inwestyturę Cerveteri i Anguillary, kardynał della Rovere zapewnił o swej uległości, a Juan wyjechał do Hiszpanii.

W kilka dni później przybył do Rzymu ambasador Francji, Perron de Baschi, by żądać inwestytury królestwa Neapolu dla swego króla. Aleksander przyjął go chłodno, nie powiedział ani tak, ani nie, a kiedy dyplomata wyjechał z Rzymu, odetchnął z ulgą. Małżeństwo zawarte per procura między Jofrem a Sancią przypieczętowało nowy sojusz. Moro, zbity z tropu tym nieoczekiwanym zwrotem, zagroził wojną.

Jego brat Ascanio, czując się zagrożony, opuścił pałac papieski.

Jednakże pojednanie między Rodrigiem a Ferrantem, zawiedzionym brakiem nominacji neapolitańczyka na ostatnim konsystorzu, było krótkotrwałe. 18 grudnia 1493 r. Aragończyk napisał do swojego wysłannika w

Rzymie: "My i nasz

ojciec byliśmy zawsze posłuszni papieżom, ale nie było ani jednego, który by nam nie wyrządził wszelkich możliwych

krzywd. Przy tym jednak papieżu, choć jest on naszym rodakiem, nie można spokojnie przeżyć nawet jednego dnia. Nie

wiemy naprawdę, dlaczego chce on z nami wieść spór, chyba

że jest to wpływ niebios. Naszym przeznaczeniem jest, aby

wszyscy papieże sprawiali nam kłopoty". W miesiąc później

Ferrante zmarł przekazując berło i urazy swemu synowi

Alfonsowi.

Karol VIII tymczasem powiadomił Aleksandra, że gdyby

sprzymierzył się z Aragończykiem, on sam gotów byłby zwołać sobór, który mógłby papieża nawet obalić (nie powiedział

tego wprost, lecz dał do zrozumienia). Alfons pospieszy! wówczas z wypłaceniem

papieżowi trybutu, czego Ferrante nigdy

nie chciał uczynić i wezwał formalnie Orsiniego, aby się podporządkował papieżowi.

Aleksander wezwał Karola VIII, aby

pozostawił w spokoju Neapolitańczyków i wyruszył na Turków obiecując mu, że w zamian za to mianuje kardynałem

jego faworyta, Briconeta, biskupa Saint-Malo. W dziesięć dni

później, 20 marca, zapowiedział uroczyste na konsystorzu

swoje poparcie dla Alfonsa, a 18 kwietnia wysłał kardynała

Giovanniego Lanzola na koronację następcy Ferrantego.

Reakcja Francji była bardzo gwałtowna. Karol zagroził

odebraniem (i przekazaniem ich Ascaniowi) beneficjów, które za Alpami posiadali proaragońscy duchowni; wśród nich

nie było już kardynała della Rovere; przeszedł bowiem z obozu neapolitańskiego do obozu przeciwnego i uciekł do Francji nie czując się bezpiecznie nawet w fortecy w Ostii, która

pod koniec maja poddała się Fabriziowi Colonne.

7 maja odbył się ślub Jofrego z Sancią, a 8 maja koronacja Alfonsa. Bloki już się uformowały, zapadła też decyzja o wkroczeniu Karola VIII do Włoch.

Apele Mora, naciski wychodźców, skargi kardynała della Rovere przybyłego do Lyonu 1 czerwca, chaos panujący na półwyspie, słabość dynastii aragońskiej, podziały wewnątrz

Kościola - to wszystko działało na korzyść francuskiego

monarchy. Wolta, jaką zrobił Giuliano, gwarantowała mu

poparcie niektórych kardynałów gotowych do obalenia papieża oskarżonego o symonię, nepotyzm i korupcję.

Aleksander zdawał sobie sprawę z zagrożenia, zwiększonego jeszcze przez dezercję Prospera i Fabrizia Colonnów

oraz niezadowolenie w niektórych prowincjach państwa. Zwycięstwo ligi, która dysponowała lepiej uzbrojonymi i liczniejszymi wojskami niż papież i Aragończyk, zagroziłoby poważnie jego tronowi. Gra się już jednak zaczęła. Wówczas to ogarnięty paniką papież, głowa chrześcijaństwa, nie wymyślił nic lepszego jak napisanie listu do "wielkiego Turka" i zarekomendowanie mu królestwa Neapolu.

W miesiąc później, w czerwcu, poprosił sułtana o wcześniejsze uiszczenie opłaty, jaką od Bajazyta II otrzymywał

Kościół za utrzymywanie jego brata Dzema, zbiegłego na zachód po nieudanym zamachu stanu i będącego zakładnikiem

Watykanu. Suma 40 tysięcy dukatów miałyby mu służyć

- tak przynajmniej powiedział Bajazytowi - do sfinansowania wojny przeciwko królowi Francji, który po zdobyciu

Neapolu zamierzał obalić sułtana i na jego miejsce wprowadzić Dzema. Krok ten

wywołał dużo hałasu: po raz pierwszy papież odwoływał się do pomocy Turka. Był to poważny gest, ale poważna też była chwila. Alfons, choć dysponował dobrym wojskiem, z trudem mógłby stawić czoło zahartowanym w bojach oddziałom ligi.

14 lipca papież i Aragończyk spotkali się w Vicovaro, by uzgodnić wspólne działania. Król z częścią swoich wojsk miał rozłożyć się obozem w Tagliacozzo, Virginio Orsini na polach pod Rzymem. Główne siły dowodzone przez Ferrandina, najstarszego syna Alfonsa, miały natomiast wyruszyć do

Romanii, a następnie do Lombardii.

Był to zręczny plan, ale powolność, z jaką był realizowany, spowodowała jego fiasko. Na to niepowodzenie

miała też z pewnością wpływ dwuznaczna postawa Bolonii

i niesubordynacja wielu kardynałów pragnących obalić

papieża. W tej atmosferze dojrzywał plan ekspedycji Karola VIII.

VII

NA ŁASCE CUDZOZIEMCA

29 sierpnia 1494 r. Karol VIII opuścił Grenoble, 2 września przeszedł przez Monginevro, a następnego dnia wkroczył do Piemontu. Stał na czele wspaniałej armii liczącej prawie 50 tysięcy żołnierzy, w tym wiele oddziałów szwajcarskiej piechoty, wspieranej artylerią. Mieszkańcy miast i wsi z przerażeniem patrzyli na ten przemarsz: nigdy nie widzieli tak

zwartego, odważnego, zahartowanego w bojach wojska. Nikt nie wątpił, że ta armia jest niezwyciężona.

Wielu natomiast miało wątpliwości co do talentów jej dowódcy. Królewskie atrybuty - korona i berło - kontrastowały z jego lilipucim wzrostem, garbem i bardzo brzydką twarzą; z rachitycznych ramionek wyrastała ogromna głowa zeszpecona wielkim orlim nosem, wyłupiastymi, mętными oczami i grubymi, zawsze półotwartymi ustami. Krótkie, chude nogi z trudem

utrzymywały nieforemny tułów. Farsowy strój z aksamitu i czarnego brokatu, zamiast upiększać jego postać, uwydatniał w karykaturalny sposób wszystkie defekty. Tebaldini, współczesny mu, nie bez racji nazwał króla "najbrzydszym z ludzi". Zalety umysłu nie rekompensowały wad fizycznych, stanowiły raczej dla nich doskonały kontrast. Nie to, że król był głupi, ale nawet ze swego "niewielkiego" rozumu robił najgorszy użytek. Był także wielkim ignorantem, gdyż uczył się niechętnie, aby zbyć. Myśli zaprzętały mu wyłącznie kobiety i sława. Miał reputację libertyna, w jego otoczeniu było mnóstwo pięknych pań, za których względy odwdzięczał się darami i tytułami. Najbardziej uderzały w nim - być może przez kontrast z wątłością ciała i umysłu - wybujała ambicja i pycha. Uważał, że jego przeznaczeniem jest dokonanie rzeczy wielkich i nie wątpił, że mu się to uda. Czyż w przeciwnym razie porwałby się na tę szaloną wyprawę? Sam nie wiedział dokładnie czego chce, ale chciał to mieć natychmiast. Gdy doradzano mu ostrożność, chełpił się swymi pyszałkowatymi planami podbojów. Jego celem było "wzięcie Włoch w kleszcze, między swym nowym dominium a Francją, by stworzyć imperium - nie był jeszcze zdecydowany, czy nazwie je zachodnim czy wschodnim cesarstwem rzymskim - uzależnić na nowo papieżstwo od Francji i zapanować nad Europą". Zbyt dużo jak na jednego człowieka, a właściwie półczłowieka, jakim był. Fiaskiem zakończyły się wszelkie próby - a było ich wiele - aby go od tego odwieść. Miał nie tylko dużą, ale i twardą głowę. A właściwie bardziej twardą niż dużą. Nawet rzecznikom opinii publicznej, bardzo przeciwnej wyprawie, nie udało się go powstrzymać. Już od wieków żaden obcy władca nie przekroczył granic

półwyspu jako zdobywca. Zdobywca popychany nie tylko przez własną ambicję, lecz także wzywany przez miejscowych książąt niezdolnych samodzielnie rozwiązać swoich problemów, nieświadomych ceny, jaką będą musieli zapłacić, i hańby, która ich okryje.

W pierwszych dniach września Karol wkroczył do Asti triumfalnie witany przez Mora, jego żonę Beatrice i ich teścia Ercole d'Este. 18 października dotarł do Piacenzy, gdzie dowiedział się o śmierci księcia Giana Galeazza. To wydarzenie torowało drogę do tronu wielkiemu intrygantowi, jakim był Ludovico Sforza.

Karol nie napotkał żadnego oporu i wszędzie był oklaskiwany jak wyzwoliciel. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, że jest on najeźdźcą. A jeśli nawet ktoś miał takie podejrzenie, to nie na tyle mocne, aby zahamować jego marsz. Niełatwo było oczywiście stawić czoło takiej armii, ale hańbą było patrzeć na to całkowicie biernie.

Tylko papież się nie ugiął, mimo powtarzających się prób francuskiego króla, by pozyskać go dla swojej sprawy. Sprzeciwiał się dopóki mógł, ale stawianie oporu nie było rzeczą łatwą również dlatego, że wielu kardynałów opowiedziało się po stronie Karola (między innymi Colonnowie, którzy zawładnęli Ostią, skąd kontrolowali ujście Tybru, co miało ułatwić Karolowi zdobycie Rzymu). Król francuski, pragnąc świętować w Rzymie swój triumf, powiadomił papieża, że przybędzie w dniu Bożego Narodzenia, gdyż przedtem musiał zająć Toskanię, która skapitulowała bez walki. Niezdolny i tchórzliwy Piero de'Medici sam poddał Karolowi fortece w złudnej nadziei, że umocni tym swoją władzę kwestionowaną przez niejakiego Girolama Savonarolę. Pomylił się jednak w swoich rachubach. Najeźdźca

bowiem zajął fortecę i pozwolił, aby Florentczycy z okrzykiem "lud i wolność" stracili herb Medyceuszów i przepędzili

Piera z miasta.

Posuwanie się naprzód wojsk Karola skłoniło papieża do zaproponowania ugody, ale Francuz odrzucił tę ofertę. Nie dlatego, by był przeciwny kompromisowi, ale dlatego, że chciał go już na miejscu, osobiście wynegocjować. Aleksander miał powody, by być głęboko zaniepokojony: w miarę upływu czasu król, który opanował już pół Włoch, coraz bardziej się umacniał. A im był silniejszy, tym większa stawała się jego buta, tym dalej posuwał się w swoich roszczeniach.

22 listopada Karol wystosował do całego chrześcijańskiego świata manifest, w którym ogłosił, że celem jego wyprawy jest pokonanie Turków i wyzwolenie Grobu Świętego. Królestwo Neapolu byłoby więc tylko odskocznią do nowej krucjaty. Francuski monarcha prosił jedynie papieża, aby ten ułatwił mu przemarsz i zaopatrzenie wojsk na swoim terytorium.

Gdyby Aleksander się temu sprzeciwił - manifest nie mówił tego wprost, dawał do zrozumienia - wówczas Karol zwołałby sobór, aby go obalić.

Groźba wydawała się tym poważniejsza, że Kolegium Kardynałów było podzielone i wielu jego członków występowało przeciw Borgii.

Giuliano i Ascanio Sforzowie mogliby

potem z łatwością dowieść, że papież przekupił swoich wyborców i zaludnił Watykan swymi krewnymi i protegowanymi. W innych okolicznościach takie oskarżenia ani by ziębiły, ani parzyły Rodriga, mógłby je zresztą obrócić przeciwko oskarżycielom: jeśli przekupił elektorów, to ci dali się przekupić. Teraz jednak takie oskarżenia spotykały się z zachętą i poparciem króla Francji, co sprawiło, że sytuacja papieża była bardzo trudna.

Znalazł się bowiem między młotem a kowadłem: z jednej strony Karol, z drugiej - Alfons. Jeden żądał od niego uznania swoich praw do

królestwa Neapolu, drugi domagał się
wyklęcia najeźdźcy. Gdyby Kolegium Kardynałów było solidarne z papieżem,
ekskomunika odniosłaby zapewne skutek.

Ale nie było i nie zamierzało być.

Mimo to Aleksander stawiał opór, a kiedy Ascanio Sforza prosił, aby przynajmniej
ogłosił neutralność, papież

podkreślił, że dochowuje wierności Alfonsowi. Zapewniał
też, że raczej wyrzekłby się tiary, niż zdradził sojusznika.

Drugą próbę mediacji, na prośbę księcia Ferrary, podjął
Pandolfo Collenuccio, ale i jego papież odprawił z kwitkiem.

Trzeba było odwagi, by przeciwstawić się z taką stanowczością groźnemu dyktatowi
francuskiego monarchy. A odwagi z pewnością papieżowi nie brakowało. Był
człowiekiem

bardzo śmiałym, lubił i umiał się bić.

W oczekiwaniu na to, aż nowe sojusze i nowe wydarzenia
uniemożliwią wrogowi odnoszenie sukcesów, starał się opóźnić marsz Francuzów na
Rzym. Jego wysiłki okazały się jednak daremne. Karol był zdecydowany spędzić
Boże Narodzenie w Rzymie i porozmawiać osobiście z papieżem. Ten, nie
wiedząc co począć, zwrócił się do cesarza i do Wenecjan,
którzy mu jednak odmówili wszelkiej pomocy. Wówczas zabarykadował się w
zamku św. Anioła, jedynym bezpiecznym
schronieniu w mieście rozdartym przez walki stronnictw i nękanym głodem.

Tu po raz pierwszy poczuł się zagubiony. Co miał zrobić:

"przygotować się do obrony, rozpocząć rokowania czy opuścić Rzym?" Nie mógł się
zdecydować. Wreszcie postanowił

uciec. Rozkazał służbie zapakować ubrania, zastawę stołową, papiery, a nawet łóżka,
ale potem się rozmyślił, bo miasto było całkowicie otoczone. Zrozumiał, że lepiej
będzie się

poddać. 2 grudnia wojska Karola wkroczyły w mury Rzymu
i rozłożyły się obozem na lewym brzegu Tybru, Aleksander

zaś wrócił ze swymi strażami do Watykanu.

Król Francji - wbrew przewidywaniom - przybył do

Rzymu w dniu św. Sylwestra bez żadnej pompy i zakwaterował się w pałacu św.

Marka, gdzie wszyscy kardynałowie, poza

Carafą i Orsinim, złożyli mu hołd. Karol przyjął ich z wielką

pychą i natychmiast przedstawił swoje życzenia: Cezar

Borgia, oficjalnie jako legat papieski, a w rzeczywistości zakładnik, miał mu

towarzyszyć do Neapolu. To samo miał uczynić Turek Dżem.

Dżem - jak już wiemy - po nieudanej próbie obalenia

swego brata, sułtana Bajazyta, uciekł do rycerzy z Rodos.

Sułtan wypłacał im rocznie 40 tysięcy dukatów, aby joannici*

uniemożliwili Dżemowi powrót do ojczyzny. Wielki mistrz

zakonu przekazał go następnie królowi Francji, a ten z kolei

przekazał go papieżowi Innocentemu VIII (dochody, jakie

wiązały się z osobą Dżema, były bardzo łakomym kąskiem).

W Rzymie Turek był traktowany z wielkimi honorami

i z zastosowaniem wielu środków ostrożności. Mógł o każdej

porze dnia i nocy wchodzić i wychodzić z Watykanu, ale zawsze pod eskortą, bo taka

była umowa. Niskiego wzrostu,

jednooki, o oliwkowej brzydkiej twarzy, rozlazły i niechlujny,

w wielkim turbanie, z krzaczastymi czarnymi brwiami, orlim

nosem, opadającymi powiekami, owinięty w różnobarwne szaty, w śmiesznych

złożonych pantoflach, stał się natychmiast

znaną postacią. Jego pojawienie się ściągało tłumy gapiów;

odbywał długie przechadzki i wycieczki za mury, jeździł na

polowania. Mówił niewiele, układał wiersze, słuchał muzyki,

pił i otaczał się pięknymi kobietami. Przywiązywał wielką wagę

do tego, by respektowano jego wysoką pozycję i odrębne obyczaje. Kiedy pierwszy

raz został przyjęty przez papieża, poprzestał na ucałowaniu go w ramię, odmówił

ukłęknięcia

i zdjęcia turbanu. Wielu rzymian, a wśród nich młodzi Borgiowie, naśladowali jego egzotyczny sposób bycia, a niektórzy nawet zabrali się do nauki języka tureckiego. Aleksander czuł do niego sympatię i często udzielał mu audiencji. Cenił go nie tylko z powodu 40 tysięcy dukatów, lecz także jako narzędzie szantażu wobec sułtana.

Ale teraz - jak mógł go zatrzymać? Sam był na łasce Karola, od którego wrogo do papieża ustosunkowani kardynałowie domagali się wielkim głosem zwołania soboru. Na

jego szczęście król Francji, choć w przeszłości groził, że go obali, nie słuchał już zbuntowanych kardynałów. Gdyby zwo-

* Chodzi o zakon rycerski joannitów (przyp. tłum.).

łał sobór, zraziłby do siebie cesarza Maksymiliana, Hiszpanię, Wenecję i być może własnych poddanych. Rodrigo, choć

niepopularny i zdeprawowany, został przecież wybrany z wszelkimi wymogami legalności, aczkolwiek legalności pozornej,

a ci, którzy teraz żądają jego głowy, w czasie konklawe głosowali na niego i otrzymali za to pieniądze, pałace, beneficja.

"Abstrahując od tego wszystkiego - pisze Pastor - co zyskałby Karol, gdyby zastąpił Aleksandra kimś takim jak della

Rovere lub Sforza? Czyż nie można było lepiej wykorzystać niezdecydowanego i nieśmiałego Ascania, z korzyścią dla

Francji? W rzeczywistości więc wysiłki Karola zmierzały do tego, aby strachem i terrorem wymusić od Aleksandra, co tylko było możliwe".

Król francuski nie skąpił gróźb i był prawie gotów zbombardować zamek św. Aniola. Wreszcie papież skapitulował.

15 maja Karol i Aleksander rozpoczęli rokowania. Cezar miał przez pięć miesięcy towarzyszyć wrogiej armii, Dżem zaś pozostać u boku króla aż do zdobycia Jerozolimy. Rodrigo miał

zatrzymać zamek św. Anioła i 40 tysięcy dukatów, della Rovere zachować Ostię, a wojska francuskie miały mieć zapewniony swobodny wstęp na obszar Państwa Kościelnego. Nie

wspomniano ani o inwestyturze w Neapolu, głównym celu wyprawy, ani o soborze.

Kardynał Giuliano zaprotestował, Ascanio wolał opuścić

Rzym, ale Karol nie zareagował. Przyjął chętnie zaproszenie

Borgii do Watykanu, gdzie przyjęto go bardzo uroczyście,

a 19 stycznia, na konsystorzu, przysiągł papieżowi posłuszeństwo. Ukląkł trzy razy, ucałował stopę i dłoń Aleksandra, który z kolei go uściskał. Niebezpieczeństwo obalenia

papieża wydawało się - przynajmniej chwilowo - zażegnane.

To spotkanie nadzwyczaj umocniło autorytet namiestnika Chrystusa. Fakt, że Karol nie otrzymał inwestytury na króla Neapolu czynił z Aleksandra potencjalnego zwycięzcę

w tej dziwnej rozgrywce. Nie była ona jeszcze zakończona, ale jej wynik można już było przewidzieć.

Karol nie mógł już bowiem liczyć na solidarność rzymian

rozjątrzonych tyranią okupantów i coraz mniej mógł ufać sojusznikom, nawet tym, którzy go wezwali do Włoch. Zapewniając go nadal o swojej lojalności, zaczęli już spiskować przeciwko niemu.

Co robić? Wracać do ojczyzny czy kontynuować wyprawę? Zdecydował się na to drugie i przy sprzyjającej pogodzie

wyruszył na Neapol. W Marino otrzymał dobrą wiadomość:

Alfons abdykował, mianował następcą swego syna Ferrandina, a następnie schronił się na Sycylię. W Velletri doszła do

niego zła wiadomość: monarchowie hiszpańscy, Izabela i Ferdynand, oskarżyli go, że źle potraktował papieża, zagarnął

terytoria należące do Kościoła i chce zająć Neapol. W Velletri też udało się uciec Cezarowi, zakładnikowi o wiele cenniejszemu niż Dżem.

To ostatnie wydarzenie rozwścieczyło go. Poskarżył się papieżowi, który wyraził ogromne zdumienie, udał, że o niczym nie wie, ubolewał nad ucieczką syna, o której był zresztą poinformowany.

Marsz na Neapol był jednak łatwy i szybki. Wojska aragońskie po ustąpieniu Alfonsa były praktycznie pozbawione dowódcy. Ferrandino nie miał ani doświadczenia, ani chęci do walki. Padły po kolei Kapua i Gaeta. Prawie nigdzie nie stawiano oporu, manifestowano tylko radość.

22 lutego Aragończyk opuścił stolicę, do której wkroczył Karol. Przyjęcie, jakie mu zgotowano, przeszło wszelkie wyobrażenia. Papież tak to skomentował: "Francuzi weszli bez najmniejszych przeszkód i jedynym trudem, jaki sobie zadali, było naznaczenie kredą -jak to czynią kwatermistrze - drzwi mieszkań".

Euforię zwycięstwa zmaćła - ale tylko trochę - śmierć Dżema, która nastąpiła w trzy dni po zajęciu miasta. Mówiło się o truciznie, którą jakoby podał mu papież. W rzeczywistości jednak brat sułtana padł ofiarą cholery, która w tych okolicach miała charakter endemiczny. Zarazki łatwo zaatakowały organizm osłabiony rozpustą i niewygodami podróży, która z pewnością do przyjemnych nie należała.

Karolowi i jego armii Neapol wydał się, przynajmniej początkowo, istnym rajem, tak jak wiele wieków temu Kapua była rajem dla Hannibala. Chuderlawy monarcha i jego sztab pozwalali sobie na wszelkiego rodzaju ekscesy. Również wojsko nie żałowało sobie: tawerny i burdele robiły złote interesy. Szczęście jednak trwało krótko. Wybuchła nieoczekiwane epidemia syfilisu - przywleczonego, jak się wydaje, przez najeźdźców; zdziesiątkowała ona żołdaków i ludność.

Tymczasem sojuszników z północy półwyspu ogarniało

coraz większe zaniepokojenie nazbyt łatwymi, zagrażającymi już ich bezpieczeństwu, sukcesami króla francuskiego. Karol nie ukrywał zamiaru zaprzęgnięcia Włoch do swego wozu. Trzeba było odepchnąć go za Alpy, zanim zrealizuje swój plan.

W tym celu 31 marca 1495 r. Wenecja, król Hiszpanii, cesarz Maksymilian I, Ludovico Moro z Mediolanu i Aleksander VI utworzyli "świętą ligę". Każdy zobowiązał się dostarczyć 8 tysięcy konnych żołnierzy i tysiąc pieszych, z wyjątkiem papieża, któremu obniżono "udział" do połowy, między innymi dlatego, że dysponował on specjalną bronią: ekskomuniką.

Karol nie od razu zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które doradzało, a nawet zmuszało do natychmiastowej mobilizacji. Nadal bawił się domagając się jednocześnie, prośbą

lub groźbą, inwestytury, której papież uparcie mu odmawiał.

Kiedy wreszcie zrozumiał, że Borgia nigdy mu jej nie nada, sam ukoronował się w Neapolu. Po czym postanowił wrócić do Francji. Zostawiwszy podwezuwiańskie miasto księciu

Montpensier wraz ze zdemoralizowaną nieróbstwem i syfilisem, ale ciągle groźną armią, wyruszył w górę "włoskiego

buta". Ten nieoczekiwany zwrot zaniepokoił Aleksandra

i wręcz przeraził rzymian. W Rzymie - pisał pewien ambasador - "każdy odczuwa wielkie obawy i strach nie tylko o swe

mienie, lecz także o życie. Istotnie, od stu lat Rzym nie był tak ogołocony z pieniędzy i wszelkich innych dóbr. Ani jeden

kardynał nie ma dosyć srebrnej zastawy stołowej, by zaprosić

na obiad sześć osób; domy są puste i wyludnione, codziennie przybywają nowe milicje; przy czterech bramach miasta

wznoszą się wały obronne".

2 czerwca Karol wkroczył w mury Miasta witany przez

kardynała Pallaviciniego, który w imieniu papieża przebywającego w Orvieto ofiarował królowi gościnę w Watykanie.

Ten jednak wybrał pałac kardynała Domenica della Rovere.

W dwa dni później o zmierzchu wyruszył w dalszą drogę na północ.

Z Bracciano wysłał poselstwo do papieża z prośbą o rozmowę, której Aleksander nadal mu odmawiał. Ta próba również spełzła na niczym. Rozmowa tete-a-tete z najeźdźcą zmusiłaby być może papieża do ustępstwa, na które nie chciał pójść za żadną cenę. Obawiając się, że Orvieto nie jest dla niego miejscem dostatecznie bezpiecznym, schronił się do lepiej przygotowanej do obrony Perugii.

Król nie nalegał, gdyż wróg deptał mu po piętach, i kontynuował odwrót. W Poggibonsi natknął się na Savonarolę;

wolałby uniknąć tego spotkania, ale nie było sposobu uchylić

się od niego. "Arcychrześcijański królu - zaatakował go ferraryjski mnich - wywołałeś gniew Pana, gdyż zrezygnowałeś

z tej reformy Kościoła, którą Pan tyle razy ci moimi ustami zalecał i do przeprowadzenia której wybrał cię tak wyraźnymi

znakami. Wyjdiesz teraz cało z niebezpieczeństw, ale jeśli

nie podejmiesz porzuconego dzieła, jeśli nie będziesz posłuszny rozkazom, które na nowo Pan ci powtarza ustami swego

pokornego sługi, to ja cię uprzedzam, że wielkie nieszczęście

ześle na ciebie Bóg i kto inny zostanie wybrany na twoje miejsce". Savonarola okazał się dobrym prorokiem.

Z bitwy, którą wkrótce, nad brzegiem Taro, w Fornovo,

stoczył z ligą, Karol ujdzie cało, ale w opłakanym stanie. Podobnie zresztą jak jego przeciwnicy. Potyczka, w której nie

było ani zwycięzców, ani zwyciężonych, miała miejsce 6 lipca

1495 r. i trwała zaledwie godzinę. Armia sojusznicza, dowodzona przez margrabiego Francesca Gonzagę, straciła wprawdzie więcej ludzi niż armia francuska, ale zdobyła ogromne

łupy: poza bronią, amunicją, zapasami żywności i dziełami

sztuki zrabowanymi w pałacach, kościołach i klasztorach w jej ręce wpadły hełm, szpada i pieczęć Karola oraz album z portretami jego kochanek. Z Fornovo Francuzi skierowali się do Asti, gdzie zatrzymali się na postój. Przed przeprawą przez Alpy Karol zawarł odrębny pokój z Morem, który odzyskał dominium Nawarry, zobowiązując się w zamian za to do udzielania pomocy byłemu sojusznikowi w walce z Aragończykiem.

Nierealne marzenie o podbojach, jakie snuł ten "nowy Cyrus" - tak nazwał Savonarola króla Francji - rozwiało się, a skutki jego wyprawy miały się okazać katastrofalne nie tylko na płaszczyźnie politycznej i wojskowej. Także pod względem moralnym. Bowiem od owej chwili półwysep stanie się polem bitwy i grabieży obcych wojsk walczących między sobą, kolonią Francji, Hiszpanii, cesarstwa lub wszystkich tych mocarstw jednocześnie. Włosi utracą już i tak słabe poczucie wspólnej ojczyzny, wyrzekną się jedności, będą się szarpać w bratobójczych walkach, służąc cudzoziemcom wzywanych nie do obrony własnej wolności, ale do podeptania wolności sąsiada, który czyni to samo.

Ludovico Moro, symbol dwulicowej dyplomacji i politycznego oportunisty, nie był wyjątkiem. Był tylko przykładem skłonności wielu, zbyt wielu Włochów do lawirowania, zdrady, oszustwa. Ale było to działanie krótkowzroczne; nie rozumiał, że na dalszą metę prowadzenie podwójnej gry jest bezsensowne, bo trzeba za nią płacić tak, jak zapłacił on, pozbawiony władzy i uwięziony przez swojego ostatniego wroga. W Fornovo Włosi uwolnili się od najeźdźcy, ale otworzyli szeroko bramy nie tylko swoich miast - ale i sumień - niezliczonym dalszym najeźdźcom.

"BEZBRONNY PROROK"

Wśród inspiratorów nowej konstytucji republikańskiej, wprowadzonej we Florencji po wypędzeniu Medyceuszów, znajdował się dominikanin Girolamo Savonarola.

Pochodził z padewskiej, o ustalonej pozycji społecznej, rodziny, która w 1440 r. przeniosła się do Ferrary, gdzie dziadek, Michele, został mianowany nadwornym medykiem. Ojciec, Niccolo, również lekarz, był człowiekiem łagodnym

i miłkliwym, i być może z tego powodu miał niewielki wpływ na Girolama. Za to matka, Elena Bonacossi, kobieta energiczna i stanowcza, odegrała ogromną rolę w kształtowaniu charakteru syna.

Trzeci z siedmiorga dzieci (urodził się w Ferrarze w 1452 r.), odbył bez hańby, ale i bez chwały naukę na poziomie elementarnym i średnim, a następnie - bardziej z powodu tradycji niż powołania - wstąpił na wydział medyczny

w Bolonii. Nie pozostał tam jednak długo. Ani miasto, ani ten rodzaj studiów nie odpowiadały mu: pogańska wesołość i lekkomyślna nieobyczajność studentów tłumnie uczęszczających na sławny uniwersytet przejmowały go zgrozą.

Teksty Hipokratesa i Galena nudziły go śmiertelnie, wolał Ojców Kościoła i Pismo Święte, a zwłaszcza pisma proroków.

Ku wielkiemu rozczarowaniu ojca i zadowoleniu matki, do której tak był podobny, postanowił rzucić studia i wrócić do Ferrary.

Już przedtem zamknięty w sobie, stał się jeszcze bardziej nieprzystępny. Stronił od ludzi, a jego nietolerancja wobec wszelkiego grzechu, powszedniego czy śmiertelnego, przybrała ostre formy. Widział wszędzie diabły i świat pogrążający się w otchłani piekła. Obsesyjnie dręczyła go myśl o wiecznym

potępieniu, odbierając mu spokój, sen, apetyt. Tę resztę apetytu, jaką mógł zachować człowiek gnębiony tyloma problemami, torturowany przez takie zgryzoty.

Nie wystarczało mu piętnowanie w namiętnych wierszach wad Kościoła, niemoralności papieży, sceptycyzmu i okrucieństwa książąt. Z im większą zawziętością zwalczał zło, tym bardziej olbrzymiało ono w jego oczach powodując straszliwe męki psychiczne; otrząsał się dopiero po długich postach, surowych umartwieniach i wyczerpujących modlitwach, które odświeżały mu umysł, ale wycieńczały ciało. Rodzice błagali go, by złagodził te pokutne praktyki, ale nie dawał się przekonać i jeszcze je zaostrzał. Kazania wielkopostne brata Michele, które usłyszał po raz pierwszy mając 22 lata, utwierdzały go w przekonaniu o słuszności tych rygorów i skłoniły do zamknięcia się w bolońskim klasztorze. Ojciec i matka byli tym załamani i nie pocieszył ich nawet pożegnalny list Girolama przepełniony synowską miłością. Zaklinali go, by wrócił, ale on był niewzruszony, a zirytowany ich naprzykrzaniem się i naleganiem, posunął się do gróźb: jeśli nie zostawią go w spokoju - napisał - wyrzeknie się ich.

W klasztorze łączył kontemplację z aktywnością: modlił się i biczował, zmywał naczynia i czyścił ustępy. Nie uchylał się od żadnej ciężkiej czy budzącej wstret pracy, wręcz przeciwnie, szukał przede wszystkim tego rodzaju zajęć. Ujawnił także wyjątkowy talent oratorski, w związku z czym po sześciu latach przeniesiono go do słynnego florenckiego klasztoru św. Marka i mianowano kaznodzieją w kościele św. Wawrzyńca. Nie utrzymał się tam jednak długo, gdyż jego kazania nie przyniosły spodziewanego sukcesu, a nawet budziły rozczarowanie. Były niezmiernie uczone, przeładowane cytatami, ale brakowało im patosu. Trafiały do umysłu, ale nie rozgrzewały serca. Było w nich więcej dialektyki niż pasji, więcej

scholastyki niż Ewangelii. Entuzjazmowały teologów, ale nie porywały wiernych. Wreszcie pozbawiono go tej funkcji i odesłano do uczenia nowicjuszy.

W ciągu następnych pięciu lat wzmógł praktyki pokutne i nasilił walkę z grzechem, zwłaszcza cielesnym, przejmującym go największym lękiem, być może dlatego, że najbardziej go kusił. Całe dni spędzał w celi na modlitwie, bijąc się w piersi, wrywając sobie włosy, wzywając Chrystusa, Najświętszą Pannę, świętych i proroków. Zaczęli go nawiedzać aniołowie i archaniołowie, ujawniający swoje sekrety. Dzięki temu uwierzył - może nie bez racji - że został wybrany przez Boga jako ziemski depozytariusz jego niebiańskich tajemnic. Po tych niezwykłych wizjach nie miał już żadnych wątpliwości co do swego posłannictwa.

Nowy Ezechiel wziął się natychmiast do dzieła zapowiadając przyjście antychrysta, po którym w krótkim czasie przyjdzie Chrystus i poskromiwszy szatana przeobrazą ziemię

w szczęśliwą krainę - bez despotów, ateuszy, heretyków, a przede wszystkim rozpustników. Nie on jeden wygłaszał takie prorocтва, ale tylko on czynił to z taką pasją. Chyba dlatego, że sam w nie wierzył.

Przeor klasztoru był pod tak wielkim wrażeniem, że z powrotem wpuścił Savonarolę na ambonę. Ale nie we Florencji, gdzie pamięć o jego niepowodzeniach była jeszcze żywa, lecz w Brescii, mieście mniej wymagającym i dobrodusznym.

Tutaj sukces był natychmiastowy. Nie tylko dlatego, że słuchacze byli inni, ale odmienny był już ton jego nowych kazań.

Girolamo wyrzekł się uczonych cytatów, scholastycznych ozdobników, teologicznego chłodu. Z jego ust padały oskarżenia, klątwy, ostrzeżenia, prorocтва płynące prosto z serca,

bez pośrednictwa mózgu.

Tłum, miotając się między strachem a ekstazą, słuchał w upojeniu słów zakonnika, rozdartego między tym a tamtym światem. Z jego wychudzonego i nerwowego ciała, z kościstej i nieregularnej twarzy o cierpiących, a zarazem łagodnych oczach, z ogromnym zakrzywionym nosem i mięsistymi wargami, emanowała wiara szaleńca i apokaliptyczna furia. Było to tak, jakby na ambonę zamiast biednego mnicha wszedł Bóg we własnej osobie. Audytorium egzaltowało się, wzruszało, płakało. Im głośniej rozbrzmiewały oklaski, tym goręcej płonęły oczy Girolama, tym gwałtowniej wymachiwał rękami, tym gwałtowniej rozżarzała się jego elokwencja.

W 1489 r. wielkie powodzenie jego kazań skłoniło przeora klasztoru św. Marka do sprowadzenia go z powrotem do

Florencji. Entuzjazm, który tu wywołał, był jeszcze większy niż w Lombardii. Savonarola stał się bożyszczem wiernych, którzy tłumnie przychodzili go słuchać, porzucając kaznodziejów z innych kościołów. Najbardziej uderzająca była odwaga, granicząca z zuchwałością, z jaką atakował możnych,

królów, książęta, cesarzy, papieży, kardynałów. Nie oszczędzał nikogo, nawet Medyceuszów, nawet nietykalnego Wawrzyńca Wspaniałego, "człowieka prowadzącego bardzo złe

życie, które chce mieć wszystko dla siebie i nie daje nic innym, wroga Boga i ludzi.

Jest on pyszny, rozpustny i skąpy;

a ponieważ w tych trzech wadach tkwi przyczyna wszystkich innych, wynika z tego, że ma on w zarodku wszystkie wady, jakie może mieć człowiek". I dalej: "Jest pełen podejrzliwości i ma wszędzie swoich szpiegów, pragnie, aby każdy wydawał się głupi w jego obecności i aby stał się jego niewolnikiem.

A więc tam, gdzie rządzi tyran, nie można swobodnie działać

ani myśleć".

Było w tym trochę prawdy, choć Wawrzyniec, najbardziej wykształcony, najbardziej szczodry, najbardziej umiarkowany spośród ówczesnych włoskich książąt, nie zasługiwał na podobne strofowanie, podyktowane i moralizatorską bezwzględnością, i ślepym fanatyzmem. Wspaniały przyjął cios i nie zareagował. To, że mnich grzmiał przeciwko Kościołowi, oskarżał papieża o nepotyzm i symonię nie dziwiło go ani wzruszało. Obrażały go natomiast złośliwe słowa Savonaroli wymierzone w niego, w jego rodzinę i jego rządy; złośliwości nie zawsze nieuzasadnione, ale zawsze przesadne. Oczywiście, jego władza we Florencji była absolutna i sprawował ją bez zbytnich skrupułów. Czyż jednak inni książęta nie postępowali tak samo? Zjedną różnicą: Toskania za Medyceuszów cieszyła się dobrobytem nie znanym reszcie Włoch, a poddani w gruncie rzeczy byli zadowoleni. Oburzała go niewdzięczność mnicha. Klasztor św. Marka, którego Girolamo został przeorem, zbudował jego dziadek, on sam zaś powiększył go i wzbogacił. Savonarola o tym wiedział. Mimo to Wawrzyniec unikał wszelkiej polemiki i zachowywał się nadal tak, jakby się nic nie stało. A nawet zdwoił troskę o zakon dominikanów, obsypując darami klasztor i biorąc udział w nabożeństwach. Savonarola jednak wcale się tym nie wzruszył i w odpowiedzi na to stwierdził, że wierny pies nie przestaje szczekać w obronie swego pana tylko dlatego, że ktoś mu rzucił kość. Wawrzyniec widząc, że po dobroci niczego nie wskóra, wysłał do Girolama pięciu znamienitych Florentczyków, których mnich przyjął bardzo serdecznie. Kiedy jednak ci wezwali go do umiarkowania, Savonarola kazał im wyjść. "Jeśli

Wawrzyniec pokaja się za swoje grzechy - powiedział wysłannikom na pożegnanie - ja przestanę go krytykować".

Próbowano przeciwstawić mu pewnego słynnego z elokwencji franciszkanina, ale to się nie powiodło. Florencja

była dosłownie zaczarowana przez pełne wyobraźni, siły i dramatyzmu kazania Savonaroli, który musiał się przenieść do katedry, gdyż kościół św. Marka nie mógł już pomieścić rosnącego w oczach audytorium.

Zuchwałość przeora zwiększyła się jeszcze, gdy 18 kwietnia 1492 r. Wawrzyniec zmarł w swojej pięknej willi w Careggi. Przyczyną śmierci była podagra i wrzód.

Wspaniały, czując

swój bliski koniec, posłał po Girolama, który swymi filipikami

być może ten koniec przyspieszył. Mnich nie kazał na siebie

czekać - pisze Poliziano. Wypowiadał swego wroga, ale

udzielenie rozgrzeszenia uzależnił od trzech warunków: Wawrzyniec powinien

bardziej kochać Boga, z odwagą pójść na

spotkanie śmierci, a w razie wyzdrowienia zmienić tryb życia;

książę obiecał i dostał rozgrzeszenie. Giovan Francesco Pico,

biograf Savonaroli, twierdzi jednak, że trzecim warunkiem

była wolność Florencji. Wspaniały, który przyjął dwa pierwsze warunki, odrzucił z pogardą trzeci. I wtedy zmarł.

Jeśli wersja Pico jest prawdziwa, to musimy przyznać, że

doskonale harmonizuje z osobowością obydwu protagonistów,

ale przynosi więcej zaszczytu Wawrzyńcowi niż Savonaroli,

księciu niż zakonnikowi, grzesznikowi niż inkwizytorowi.

Za rządów Piera de'Medici, następcy Wawrzyńca, wpływy

Savonaroli w mieście wzrosły. Ten pierworodny syn, nieudolny, zepsuty i chwiejny,

przyspieszył wzrost znaczenia kaznodziei, czemu sprzyjało sprawdzenie się

niektórych przepowiedni mnicha: śmierć Wspaniałego, śmierć papieża Innocentego w tymże 1492 r. oraz w dwa lata później wkroczenie

Karola VIII do Włoch.

Savonarola był jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników tej wyprawy, ludzi się, że francuski król wprowadzi na

półwyspie nowe porządki i zreformuje - właśnie on! - obyczaję. Kiedy Florencja poddała się bez walki, Girolamo cieszył się; kiedy Pier Capponi zdołał przekonać nowych przywódców Signorii, aby zaprosili mnicha na swoje posiedzenie, nie miał już żadnych wątpliwości co do swej boskiej misji.

Zaprosił dwudziestu notabli, którzy mieli opracować konstytucję republikańską, do klasztoru św. Marka i przedstawił im swoje projekty w dziedzinie politycznej, gospodarczej i moralnej, które propagował następnie z ambony.

10 czerwca 1495 r. proklamowano republikę, której pierwsze posunięcia cechowała wielka łagodność przede wszystkim

wobec zwolenników Medyceuszów. Później jednak wziął górę fanatyzm przeora i Florencja przeżyła jeden z najczarniejszych okresów swojej historii. Rządzący - popychani, a właściwie podżegani przez Savonarolę - wydali niezwykle surowe prawa przeciw nieobyczajności, a raczej przeciw temu, co on uznawał za nieobyczajne. Zabroniono wyścigów konnych, pieśni karnawałowych, gier hazardowych, tańca, dzieł Boccaccia. Zaostrzono stare kary; wymyślono nowe przeciwko bluźniercom, którym dziurawiono języki, i przeciw sodomitom, karanym jeszcze okrutniej.

Ponieważ nie starczało już siepaczy, by zapewnić przestrzeganie prawa, przeor powołał do życia specjalną policję osławioną "Kompanie Nadziei", złożoną z młodych współbraci zakonnych, którzy przemierzali miasto wzdłuż i wszerz głosząc "cnotę", prześladując graczy, nakazując kobietom, aby zmieniły strój, kwestując. Płaszcz bigoterii okrył Florencję, która po raz pierwszy w swoich dziejach była świadkiem rozpalania "stosów próżności", tzn. niszczenia bez pardonu

książek uznanych za frywolne, kart do gry, kości, luster, kosmetyków. Wesoły i bogaty epikureizm Medyceuszów wydawał się na zawsze pogrzebany.

Na pozór nikt ich nie żałował, być może bardziej ze strachu przed represjami niż z głębokiego przekonania. Albo też

dominikanin dokonał naprawdę cudu? Nieustrudzenie powtarzał Florentczykom:

"Wasza reforma powinna rozpocząć się

od spraw duchowych, a doczesny dobrobyt powinniście oddać

w służbę waszemu zdrowiu moralnemu i religijnemu, od którego on zależy". I jeśli usłyszeliście, że "nie rządzi się państwem za pomocą "ojczenaszek", to pamiętajcie, że jest to

formuła tyranów, formuła służąca ciemieniu, a nie wyzwoleniu miasta. Jeśli pragniecie dobrego rządu, musicie oddać

się Bogu". To znaczy temu, który był - lub sądził, że jest

- oficjalnym rzecznikiem i zastępcą Boga.

Chciał ustanowić teokrację, forpocztę królestwa niebieskiego na ziemi, wzór dla całego świata. I on, gdyby się okazało, że czas jeszcze nie jest po temu, miałby ten proces przyspieszyć dzięki swoim millenarystycznym prorocstwom i swoistej "armii zbawienia", jaką były "Kompanie Nadziei".

Również dla niego, jak w Księciu, cel uświęcał środki (a co do świętości własnych środków wątpliwości nie miał żadnych).

Przeliczył się jednak w swym przekonaniu, że aby zreformować obyczaje i rozprzestrzenić cnotę, wystarczą prawa, że

jednym pociągnięciem pióra można stłumić instynkty w człowieku i zbawić go.

Łudził się, że wszyscy są tacy jak on albo

przynajmniej pod jego oświeconym przewodnictwem mogliby się takimi stać. Coraz częstsze wizje i niezachwiana wiara

we własne przeznaczenie zaostrzyły rygoryzm mnicha i uczyniły go nieznośnym.

Ściągnęło to na niego wrogość nie tylko franciszkanów,

którzy nienawidzili dominikanów, zresztą z wzajemnością, lecz

także zwolenników ancien regime'u i samych Florentczyków,

którym ta obłudna surowość zaczynała ciążyć.

Najbardziej zawziętymi wrogami mnicha byli "Wściekli", którzy zwolenników Savonaroli nazywali "Płaksami" (może dlatego, że słuchając kazań mnicha wzruszali się oni do łez).

Starcia między tymi dwiema grupami stawały się coraz gwałtowniejsze. Na początku 1496 r. "Wściekłym" udało się wybrać na gonfaloniera sprawiedliwości swego kandydata Filippa Corbizziego, który mając poparcie kilku duchownych, oskarżył Girolama o konszachty polityczne. Przeor bronił się, powołując się na Pismo Święte, ale jego popularność poniosła uszczerbek. Wydawało się, że znów wzrośnie po nominacji na gonfaloniera Francesca Valoriego, jednego z najbardziej płaczliwych "Płaks", który odsunął rywali od urzędów publicznych. Bardzo to się nie spodobało Florentczykom, coraz bardziej niechętnym mnichowi, któremu zaszkodziła też niespodziewana klęska głodu oraz skazanie na śmierć pięciu zwolenników Medyceuszów; wyrok ten sam przeor niezbyt po chrześcijańsku zaaprobował.

"Wściekli" i "Płaksy" wszczynali codziennie tak gwałtowne bijatyki, że nowy gonfalonier, Bernardo del Nero, stronnik

Medyceuszów, zaproponował, by Girolama wypędzić z Florencji. Większość jednak - co prawda przeważał tylko jeden

głos - była temu przeciwna. Dni teokracji mnicha były już

policzone. Ludność miała wyraźnie jej dosyć. Nie była to władza, jaką jej obiecywano po wypędzeniu Medyceuszów i jakiej pragnęła. Za rządów Cosima i Wawrzyńca ludzie przynajmniej bawili się i nie umierali z głodu.

Ale to nie "Wściekli", Signoria i kryzys gospodarczy zniszczyły mnicha, lecz papież, główny cel jego gromkich filipik.

Rzecz nie w tym, że Borgia na nie nie zasługiwał. Zasługiwał,

i to jak! Ale nie mógł ich tolerować. Gdyby dominikanin

ograniczył się do ogólnikowych wymówek i nie sprecyzowanych oskarżeń, papież mógłby na to przymknąć oczy. Ale

Girolamo posuwał się dalej. Za daleko.

Niepokoili papieża zwłaszcza jego aroganckie ingerencje w sprawy, które go nie powinny obchodzić, jego kontrowersyjne oceny florenckiego życia politycznego, intrygi, zafascynowanie Karolem VIII.

Król francuski zaś -jak już wspominaliśmy -wielokrotnie groził zwołaniem soboru w celu obalenia papieża i to

oczywiście pogarszało sytuację Savonaroli, gdyż podejrzewano, że on zasugerował to Karolowi VIII. Dopóki jednak

wojska francuskie nie przebyły Alp, Aleksander VI unikał wszelkiego show down, ale gdy "nowy Cyrus" wrócił do Francji, podjął "wojenne kroki".

Oficjalnym pismem z 21 lipca 1495 r. wezwał mnicha do

Watykanu, by wytłumaczył się z niektórych swoich prorocत्व,

rozpowszechnianych jako boskie objawienia. Girolamo jednak odpowiedział, że zły stan zdrowia nie pozwala mu udać

się w podróż. Papież wznowił atak, wydając drugie brewe, skierowane tym razem do braci od św. Krzyża, rywalizujących z dominikanami z klasztoru św. Marka. Mnich ferraryjski

- czytamy tam - nie powinien już głosić kazań, a jego zakon

musi połączyć się ze zgromadzeniem lombardzkim, rezygnując tym samym z własnej autonomii. Po około dwudziestu

dniach Girolamo odpowiedział, zaprzeczając, jakoby uważał

się kiedykolwiek za proroka, ale broniąc słuszności swoich katastroficznych prognoz: "Nie głoszę niczego innego jak tylko naukę doktorów Kościoła. Gdybym kiedykolwiek się od niej oddalił, byłbym gotów odwołać to przed całym ludem.

Powtarzam na koniec to, co zawsze mówiłem: poddaję siebie samego i swoje pisma osądowi Świętego Kościoła Rzymskiego"-

Aleksander odpowiedział, że jest gotów odwołać decyzję o połączeniu zakonów, jeśli przeor zejdzie z ambony. Mnich

odmówił, stwierdził, że Signoria jest za nim, a on nie boi się papieża. Jego kazania stały się jeszcze bardziej zuchwałe, jawnie wyzywające:

"Chciałbym milczeć, nie mówić, ale nie mogę, ponieważ słowo Boże płonie we mnie jak ogień, jeśli go nie wypowiem, spali szpik w moich kościach". Borgia i tym razem nie stracił cierpliwości, ale stracili ją kardynałowie, znużeni mnisimi inwektywami i zdecydowani ukarać tego, kto je wypowiada.

7 listopada 1496 r. papież wydał następne brewe, w którym ogłosił połączenie dwu zakonów dominikańskich. Girolamo replikował: "Przyłączenie się do nowego zgromadzenia

nie zależy wyłącznie od mojej decyzji, lecz także od woli

250 braci, którzy napisali do papieża, że są temu przeciwni, a ja nie mogę ani nie chcę sprzeciwiać się ich postanowieniu,

które wydaje mi się słuszne i uczciwe. Połączenie, jakiego

pragnie papież, jest niemożliwe, nierozsądne i szkodliwe, bowiem wyniknęłoby z niego pogorszenie dyscypliny. Bracia

z klasztoru św. Marka nie mogą być do tego zmuszeni, ponieważ przełożeni nie mają możliwości nakazać im niczego, co

byłoby sprzeczne z konstytucją zakonu, chrześcijańskim miłosierdziem i ze

zbawieniem naszych dusz. Musimy więc przypuszczać, że zostali oni oszukani przez fałszywe informacje

i sprzeciwiać się nakazowi obrażającemu chrześcijańskie miłosierdzie. Nie

powinniśmy lękać się gróźb i ekskomunik

i raczej powinniśmy narazić się na śmierć, niż podporządkować się tej decyzji, gdyż zatrzałoby to i skaziło nasze dusze". I z całym spokojem zabrał się znów do głoszenia

kazań

i prorocत्व.

Aleksander zwrócił się więc do Signorii, która przysłała

do Rzymu swego przedstawiciela. Ale i ta inicjatywa zakończyła się fiaskiem. Mnich nadal wzywał na pomoc Francuzów

i atakował papieża: "Przyjdź tutaj łajdaki Kościele, przyjdź tutaj i wysłuchaj, co Pan ci mówi: Dałem ci piękne szaty, a ty uczyniłeś z nich bóstwo; ze świętych naczyń uczyniłeś naczynia pychy, z sakramentów uczyniłeś przedmiot świętokupstwa, w swej rozwiązłości stałeś się wszeteczną nierządnicą;

jesteś gorszy niż odrażające zwierzę. Kiedyś wstydziłeś się swoich grzechów, dziś już nie. Kiedyś kapłani swoich synów nazywali synowcami, dziś już nie są synowcami, lecz zawsze synami. Stałeś się domem publicznym, zbudowałeś wszędzie dom publiczny. Co robi nierządnica? Zasiada na salomonowym tronie i każdego wzywa: kto ma pieniądze jest wpuszczony i robi, co mu się podoba, kto pragnie dobra, jest wypędzany precz. Tak więc, o nierządny Kościele, pokazałeś swoją brzydotę całemu światu, a twój fetor wzbił się pod niebiosa.

Twój nierząd rozprzestrzeni się wszędzie: w Italii, Francji, Hiszpanii".

Tego już było za wiele. Nawet ci, którzy go popierali, zaczęli się niepokoić, a Signoria zakazała wszystkim zakonnikom wygłaszania kazań aż do Wniebowstąpienia. Tylko Savonarola nie usłuchał wezwania, twierdząc, że prześladując

jego, prześladuje się Boga. Wybuchły poważne zamieszki.

Ambasador Somenzi tak to skomentował: "Wróciły czasy gwelfów i gibelinów". Przeor spiesznie wysłał list do papieża: "Dlaczego mój pan gniewa się na swego sługę?" Ktoś wyraził podejrzenie, że Savonarola postradał zmysły, a on sam robił wszystko, by to potwierdzić.

"Mnich - pisze Pastor - uchylił się od wymaganego odeń obowiązku poddania próbie prawdy swego proroczego daru; próbie, którą mogła nakazać wyłącznie Stolica Apostolska. Mimo papieskiego zakazu wygłaszał wielokrotnie kazania i odmówił przyłączenia się do Kongregacji Toskańsko-

Rzymskiej zakonu dominikanów. Co by się stało z autorytetem papieża, gdyby inni poszli za przykładem tego, który odmawiał posłuszeństwa najwyższemu zwierzchnikowi; wymagał, aby słuchano wszystkich jego rozkazów, tak jakby to było Boskie objawienie?"

Wreszcie 13 maja 1497 r. Aleksander ogłosił ekskomunikę: "Od wielu godnych wiary osób usłyszeliśmy, że niejaki

brat Girolamo Savonarola, obecnie - o ile nam wiadomo

- wikariusz parafii św. Marka we Florencji, szerzy szkodliwe

nauki ku zgorzeniu i zepsuciu prostych dusz. Nakazaliśmy

mu, w imię świętego posłuszeństwa, by stanął przed nami,

wytłumaczył się z błędów, w jakie popadł, i zaprzestał swoich

kazań, on jednak nie zechciał być posłuszny, przedstawiał

rozmaite usprawiedliwienia, które my ze zbytnią pobłażliwością przyjmowaliśmy w nadziei, że nasza łagodność

pozwole mu się opamiętać. Mimo to trwał on w swoim uporze. Po czym w drugim

brewe z 7 listopada 1496 r. nakazaliśmy mu, pod groźbą ekskomuniki, przyłączyć klasztor św.

Marka do nowo utworzonego przez nas zgromadzenia tokańsko-rzymskiego. Ale i wówczas pozostał stanowczy

w swym uporze, narażając się tym samym na ekskomunikę.

Dlatego teraz rozkazujemy wam, abyście w dni świąteczne

w obecności zgromadzonego ludu ogłosili wyklętym wyżej

wymienionego brata Girolama i abyście zobowiązali każdego, aby go za wyklętego uważał, gdyż nie był on posłuszny

naszym apostołskim napomnieniom i rozkazom. Powinniście również, pod groźbą tej samej kary ekskomuniki, zakazać każdemu udzielania mu pomocy, utrzymywania z nim

stosunków lub chwalenia go zarówno w słowach, jak i w czynach, jako że jest on wyklęty i podejrzany o herezję".

Do przyspieszenia tego kryzysu przyczyniła się z pewnością wolta dokonana przez Signorię, która stała się antyfrancuska. Savonarola odpowiedział, że ekskomunika oparta jest na fałszywych oskarżeniach, które ją unieważniają w oczach ludzi i Boga. Ale na tym nie koniec. W dniu Bożego Narodzenia 1497 r. odprawił trzy msze, udzielił komunii swoim zwolennikom i zapowiedział, że znów wejdzie na ambonę. Władze kościelne zareagowały na to rozciągnięciem anatemy na całe audytorium.

Wkrótce potem, 11 lutego 1498 r., za zgodą Signorii, która nieoczekiwanie przeszła na jego stronę, powrócił na ambonę.

"Czego chcą ci, którzy posługując się fałszywymi informacjami przygotowali ekskomunikę? Każdy to dobrze wie: chcą zniszczyć uczciwe życie i dobre rządy, a otworzyć drzwi wszelkiemu grzechowi. I uczciwe życie zostało zdeptane. Teraz, gdy przyszła ekskomunika, niechaj idą do karczmy wieść rozwiązłe życie. Dlatego ja tej ekskomuniki nie uznaję, bo nie mogę działać przeciwko miłosierdziu. Ten więc, kto poleca działać przeciwko miłosierdziu, które jest pełnią nowego prawa, niech będzie przeklęty! Gdyby nawet to powiedział anioł, gdyby to powiedzieli wszyscy święci i Maryja Dziewica (co oczywiście nie jest możliwe), niech będzie przeklęty! I jeśli jakiś papież powiedział kiedykolwiek coś przeciwko temu, co ja mówię, niech będzie przeklęty! Nie mówię, że taki papież był, ale jeśli był, to nie był narzędziem Pana, lecz złamanym mieczem. Niektórzy boją się, że choć ta ekskomunika nie jest obowiązująca dla Boga, to jednak ma moc w Kościele. Mnie wystarczy, że nie mam związanych rąk przez Chrystusa. O Panie mój, jeśli uczynię coś, by zdjęto ze mnie tę ekskomunikę, pošlij mnie do piekła. Uznam to za grzech śmiertelny".

Nazwanie papieża "złamanym mieczem" było już poważną sprawą, ale wyklęcie go było czymś niesłychanym. Nikt nie odważył się na coś takiego.

W swym uniesieniu nie oszczędzał też kleru: "Pycha duchownych wypełnia cały świat, ale nie mniejsze jest ich skąpstwo. Wszystko robią dla pieniędzy, dzwony rozgłaszają ich

skąpstwo, żądają tylko chleba, pieniędzy i świec. Chodzą na nieszpory i msze, ponieważ z nich płyną dla nich zyski, ale nie chodzą na jutrznie, bo wtedy nie zbiera się na tacę. Sprzedają beneficja, sprzedają sakramenty, sprzedają śluby, sprzedają wszystko. A potem boją się ekskomuniki. Gdy zapada wieczór, jeden idzie do domu gry, drugi do konkubiny. Gdy uczestniczą w egzekwiach, wprasza się na wystawne uczyty; zamiast

modlić się za zmarłego - je się, pije i wesoło papla. A jakim szpetnym przywarom i nałogom się oddają! Ale za dnia chodzą wystrojeni, noszą piękne koszule, są schludni, wytworni. Inni nie znają nawet reguły swego zakonu, nie wiedzą, gdzie się mieści, są pełni ignorancji. Nie wiedzą, co to znaczy spowiadać wiernych i troszczyć się o ich dusze. Zrujnowali Twój [Boga] dom od fundamentów; nie ma już w nim wiary, nie ma miłosierdzia, nie ma cnoty". Posuwał się dalej: "Spójrz, czy jest jakiś ksiądz lub kanonik, który chciałby żyć obyczajnie.

Gdyby ksiądz lub kanonik tak czynił, wyśmiano by go i nazwano obłudnikiem. Teraz już się nie mówi: moi bratankowie,

lecz: mój syn, moja córka. Nierządnicę chodzą jawnie do Świętego Piotra. Każdy ksiądz ma nałożnicę; nikczemności popełnia się otwarcie. Tej trucizny tyle się nagromadziło w Rzymie,

że Francja, Niemcy i cały świat jest od niej zapowietrzony.

Doszliśmy do tego, że każdego przestrzegamy, by trzymał się z dala od Rzymu, że mówimy: "Chcesz zepsuć swego syna?"

Zrób z niego księdza"".

Był tak bardzo przekonany o swej racji, że ostatniego dnia karnawału wystąpił z taką oto szaleńczą inwokacją: "O Panie, jeśli nie działałam ze szczerego serca, jeśli moje słowa nie pochodzą od ciebie, uderz we mnie zaraz piorunem". Brak reakcji z niebios rozzuchwiał "Płaksy" i wzmógł zaufanie zmiennej Signorii do przeora.

Stosunki między Signorią a Rzymem, po lepszych i gorszych momentach, stały się tak napięte, że Aleksander VI, chcąc zmusić mnicha do milczenia, zagroził interdyktem samej Florencji. Próbował go udobruchać ambasador Toskanii.

"Nie potępiam Savonaroli za nauki, które głosi - odpowiedział mu papież - ale za to, że nie chce poprosić o zdjęcie ekskomuniki, a nawet twierdzi, że ta kara jest nieważna.

I nadal głosi kazania wbrew naszej wyraźnej woli. To wszystko jest jawnym lekceważeniem naszego autorytetu i Stolicy

Apostolskiej oraz stanowi bardzo niebezpieczny przykład".

9 marca papież w kolejnym brewe zaostrzył ton: "Ten

zuchwalec być może wierzy, że tylko on został wybrany, podczas gdy Pan Bóg nadał św. Piotrowi, naszemu poprzednikowi, władzę wiązania i rozwiązywania. Urząd pasterski nie pozwala nam już dłużej tolerować poczynań tego nieposłusznego dominikanina. Dlatego jeszcze raz stanowczo żądamy albo przysłania Savonaroli do Rzymu albo zamknięcia go w klasztorze, tak aby nie mógł ani wygłaszać kazań, ani z nikim rozmawiać, póki nie opamięta się i nie zasłuży na nasze rozgrzeszenie. Jeśli nie spełni się tego rozkazu, na Florencję zostanie wydany interdykt. Od Savonaroli żądamy tylko, by uznał nasz najwyższy autorytet".

Wkrótce potem papież powiadomił Signorię, że nie zadowolony się zejściem przeora z ambony: ma on być aresztowany

i wysłany do Rzymu. Gdyby Florencja temu się sprzeciwiła, wyklnie ją, uwięzi jej poddanych mieszkających w Rzymie

i skonfiskuje ich dobra. Signoria zgodziła się spełnić pierwsze żądanie, ale pominęła milczeniem dwa pozostałe. Wówczas mnich postawił wszystko na ostatnią kartę: wezwał władców Hiszpanii, Francji, Anglii, Węgier i Niemiec, by zwołali sobór i obalili papieża. Wezwanie jednak pozostało bez echa.

Gra jeszcze trwała, ale obręcz wokół mnicha zaciskała się coraz bardziej, był już osamotniony. Franciszkanin Francesco di Puglia wezwał go do poddania się wraz z nim "próbie ognia". "Wiem, że spłonę - powiedział, ale jestem gotów na tę ofiarę, aby wyzwolić lud. Jeśli Savonarola nie spłonie razem ze mną, możecie go uważać za prawdziwego proroka".

Wyzwanie podjął jednak nie Savonarola, lecz jego zwolennik, Domenico da Pescia, który nie wątpił, że Bóg przyzna rację przeorowi, a nie papieżowi.

7 kwietnia, w dniu wyznaczonym na "sąd boży", ogromny tłum z miasta i okolic zebrał się na placu Signorii, gdzie na drewnianym podwyższeniu umieszczono dwa stosy drewna nasyconych oliwą i smołą. Dominikanie, których prowadził Savonarola niosący Przenajświętszy Sakrament, przybyli na miejsce w procesji modląc się i śpiewając. Wcześniej przybyli ich rywale w rozproszonym szyku i w milczeniu. Obydwie strony zaczęły natychmiast dyskutować i zgłaszać różne sprzeczności. Franciszkanie, obawiając się, że sutanna Domenica może być zaczarowana, zażądali, aby ją zmienił na inną.

Przed wejściem w ogień - powiedzieli - powinien on również zdjąć z piersi krucyfiks, który również wydał im się podejrzany.

Poważniejszy spór dotyczył hostii, którą Domenico chciał zabrać ze sobą na stos. Franciszkanin Giuliano Rondinelli sprzeciwił się, uznając to za herezję. Wmieszali się wówczas przedstawiciele władz, ale porozumienie było niemożliwe, gdyż

dominikanin nie chciał rozstać się z hostią. Savonarola, choć wiedział, że prawo kanoniczne zakazuje posługiwania się sakramentem w eksperymentach osobistych, wziął w obronę

Domenica.

Czas mijał, tłum się niecierpliwił, ale nie było widać końca sporu. Zapadał już wieczór, gdy postanowiono odłożyć

widowisko. Publiczność zaczęła złorzeczyć przeciwko dominikanom, którzy swymi wykrętami uniemożliwili odbycie

"sądu", i przeciw Savonaroli, który się od niego uchylił. "Tak

więc, w ciągu jednego tylko dnia - komentuje Pastor

- Savonarola stracił w oczach mas aureolę Boskiego proroka. Jego los był

przesądzony, stał się ofiarą bezlitosnej zemsty

ludu zawiedzionego w swych nadziejach".

"Wściekli", bardziej wściekli niż kiedykolwiek, przypuścili atak do klasztoru św.

Marka i tylko aresztowanie uratowało

Girolama przed gniewem przeciwników. Wraz z Domenikiem

przyprawiono go do pałacu Signorii wśród szyderstw i obelg

ludu, tego ludu, który przez długie lata śpiewał mu hymny

pochwalne.

Kiedy papież dowiedział się o tym, nie ukrywał swego

zadowolenia i zwrócił się do Signorii o wydanie mu więźnia.

A ponieważ Signoria nie zgodziła się, wysłał na proces swoich

dwóch przedstawicieli.

Proces poprzedziły bezlitosne przesłuchania i okrutne tortury. Trzem oskarżonym (do

Girolama i Domenica dołączono też brata Silvestra) nie oszczędzono żadnej

męczarni. Silvestro natychmiast się załamał. Domenico natomiast bronił

do końca swego przeora, który wyczerpany długą walką uznał

swoją winę. Potem cofnął to zeznanie, by znów skapitulować

pod ręką oprawcy. Zaprzeczył jakoby był prorokiem, przyznał, że był ambitny i - a to

najbardziej niepokoiło Aleksandra VI - spiskował przeciw papieżowi. To

wystarczyło, by

posłać Savonarolę i jego dwóch akolitów na szubienicę pod niezmiernie poważnymi oskarżeniami - o herezję i schizmę.

Wyrok wydany wspólnie przez państwo i Kościół nikogo nie zdziwił, z ulgą został przyjęty przez papieża, który wspaniałomyślnie udzielił oskarżonym rozgrzeszenia, uradował wrogów przeora, wśród których znajdowali się obecnie również dominikanie z klasztoru św. Marka.

Właśnie oni 21 kwietnia napisali do papieża: "Nie tylko my, ale nawet ludzie o wiele większym rozumie dali się oszukać przebiegłemu bratu Girolamowi. Głębia jego nauki, prawość jego życia, świętość obyczajów, udawana pobożność, prestiż, jaki zdobył przepędzając z miasta złe obyczaje, lichwę, wszelkiego rodzaju przywary i grzechy, liczne wydarzenia, które wykraczają poza wszelkie wyobrażenia i ludzkie siły, potwierdzały jego prorocтва, tak że my - gdyby on sam się nie wycofał i nie oświadczył, że jego słowa nie pochodzą od Boga - nigdy byśmy w niego nie zwątpili. Nasza wiara w niego była tak wielka, że wszyscy z radością byliśmy gotowi wydać nasze ciała na łup płomieni, by zaświadczyć o prawdziwości jego nauki".

Wyrok został wykonany następnego dnia po ogłoszeniu na tym samym placu Signorii, na którym "Płaksy" rozpalali "stosy próżności". Ogromny, złorzeczący tłum cisnął się wokół podwyższenia, na którym wznosiły się trzy szubienice Trzej mnisi, bez habitów i boszo szli szeregiem: na czele Silvestro z twarzą ściągniętą strachem, potem Domenico uśmiechnięty i prawie wesoły i na końcu zrezygnowany i spokojny Girolamo. Kiedy towarzyszący mu ksiądz zapytał, w jakim duchu staje w obliczu męczeństwa, Savonarola całując krucyfiks odpowiedział lakonicznie: "Chrystus wiele dla mnie wycierpiał"

Pierwsi zostali straceni Domenico i Silvestro potem kat

założył pętlę na szyję przeora. Ktoś z widzów krzyknął: Proroku, teraz przyszła pora na dokonanie cudu!" Kat podpałił stos pod szubienicami i trzej mnisi kołysząc się na sznurze zaczęli się palić. Nieoczekiwany podmuch wiatru odgarnął na chwilę płomienie od trupów, a wielu ludzi krzyknęło że to cud.

W tym momencie grupa łobuzów zbliżyła się do podwyższenia i zaczęła szydzić z ofiar zamienionych już w makabryczne pochodnie. Miłosierne damy poprosiły wówczas

o pozwolenie zebrania do miedzianych urn ich prochów ale strażę otaczającą szafot uniemożliwiły im to Kiedy poinformowano o tym Signorię, ta rozkazała wrzucić żalosne szczątki do Arno, z obawy, by nie stały się przedmiotem czci.

"Tak skończył Girolamo Savonarola - pisze Ridolfi

- Jego prochy spadły na całe chrześcijaństwo. Znow barbarzyńcy przyszli na włoskie ziemie, tak jak to przepowiedział

Rzym został spustoszony, a Bazylika św. Piotra zamieniona

w żołnierski biwak i w stajnię. Przede wszystkim jednak przewidział w swych słynnych prorocत्वach trzy rzeczy: że niewierni się nawrócą (gdy to mówił, pewien żarliwy Liguryjczyk niósł

na nieznane ziemie wiarę w owego Chrystusa, którego miał w swoim imieniu*); że na Kościół spadnie bicz boży, straszliwszy niż można było sobie wyobrazić; że na skutek tego

Kościół się odnowi, i to, czego brat nie mógł osiągnąć za życia, a przyspieszył być może swą śmiercią... Gdyby go usłuchano, Luter może by się nie zbuntował, a przynajmniej nie mógłby nic zdziałać po tej stronie Alp, reforma zaś, której pilną potrzebę odczuwał każdy chrześcijanin, zrodziłaby się w samym łonie Kościoła rzymskiego".

Nawet jego wrogowie przyznawali, że ferraryjski mnich zmarł jak męczennik. Nie wszyscy natomiast uznali jego świętość. Jeśli bowiem praktykował cnotę i piętnował zło, jeśli głosił królestwo niebieskie i demaskował nieprawości Kościoła i książąt, to nie miał litości dla wrogów: prześladował ich, ograbiał, kazał zabijać. I to nie w imię praw ludzkich, ale praw Boskich, które powinny być nieco bardziej miłosierne. Rozpalił swoją wiarę aż do fanatyzmu i zamiast pokoju siał nienawiść. Pod jego rządami Florencja była nie mniej zepsuta niż pod rządami Medyceuszów, stała się tylko bardziej bigoteryjna i obłudna. Jego teokracja była chimera - z hałasem ustanowiona, równie hałaśliwie i tragicznie upadła.

Trudno natomiast byłoby potępić jego ostre wystąpienia przeciwko demoralizacji kleru, korupcji i nepotyzmowi papieży. Gdyby Kościół wziął sobie do serca jego upomnienia, reformacja protestancka nie wybuchłaby, a gdyby wybuchła, to nie z taką gwałtownością. Jego odwaga, w połączeniu z pewną dozą naiwności, z jaką stawiał czoło potędze Borgiów, budziła podziw i szacunek. I nie tylko dlatego, że zdobył aureolę męczeństwa. Krótko mówiąc, tym, co u Savonaroli nam się nie podoba, jest jego urojenie, że przemawia i działa z polecenia Boga, oraz jego ambicje polityczne skrywane za * Chodzi o Krzysztofa Kolumba, Cristoforo Colombo. Po włosku Chrystus brzmi Cristo (przyp. tłum.).

falszywą pokorą - ambicje równie naganne u papieża, co u przeora.

Był jednak protagonistą swej epoki. Machiavelli nazwał go "bezbronny prorokiem" i przyznał, że "o tym człowieku trzeba mówić z szacunkiem". Nie mniej wspaniałomyślny jest Guicciardini: "Jeśli był on dobry, to mieliśmy w naszych czasach wielkiego bohatera,

jeśli był zły - to wielkiego człowieka". Gregorovius mówi o nim jako o "męczenniku ideału",

"przeklinającym Daniela", florenckim "Coli di Rienzo"

z dodatkiem fanatyzmu tak charakterystycznego dla dominikanina... Poniósł fiasko dlatego, że jego wizjonerskie ekstazy

i fałszywe proroctwa nudziły lud i mogłyby doprowadzić do

ruiny Republiki". Pastor ocenia go jako "człowieka wielkiego rozumu i

nieposzlakowanych obyczajów, ale przy tym egzaltowanego fantastę". Jego

największymi błędami były "ingerowanie w sprawy polityczne i nieposłuszeństwo Stolicy

Apostolskiej. Jego intencje, przynajmniej w pierwszym okresie działalności publicznej, były czyste i szczerze. Później impulsywny charakter i rozpalone wyobrażenia popchnęły go

daleko poza granice, jakie zakreślał mu stan kapłana i zakonnika. Stał się w praktyce przywódcą stronnictwa politycznego,

fanatykiem, domagającym się śmierci dla wszystkich wrogów republiki. To właśnie musiało go doprowadzić do zguby.

W teorii był zawsze wierny katolickim dogmatom. Buntując

się jednak przeciw ekskomunie i żądając zwołania soboru,

co doprowadziłoby do schizmy, reprezentował tendencje niekorzystne dla Kościoła.

Usprawiedliwia go to, że we Florencji, w Rzymie, w całych Włoszech stan

moralności był niezwykle opłakany, a papieństwo wraz z Aleksandrem VI osiągnęło szczyty zeświecczenia. Mnich w swym żarliwym pragnieniu

* Przywódca powstania ludowego w Rzymie w 1354 r., rzecznik zjednoczenia Włoch pod egidą Kościoła (przy. tłum.).

odnowy moralnej nie tylko bezlitośnie atakował wyższy i niższy kler, ale przy tym zapomniał, że jego kazania-inwektywy

odbierały wszelkie zaufanie do Państwa Kościelnego. Zapomniał też, że na głoszenie kazań musi mieć zezwolenie swoich przełożonych i że ten, kto został ukarany

ekskomuniką,

musi ten fakt respektować. Gdy głosił, że jest prorokiem wysłanym przez Boga, nie chciał nikogo oszukiwać, ale niestety zbyt szybko dowiódł, że duch, który go ożywił, nie przyszedł z góry, gdyż oznaką nadprzyrodzonego posłannictwa jest przede wszystkim pokorne posłuszeństwo wobec najwyższej władzy ustanowionej przez Boga".

Również Balbo wydaje o nim surowy sąd: "Z Savonaroli niektórzy robią świętego, inni herezjarchę, prekursora Lutra, inni bohatera wolności. Nie pomyślą jednak o tym, że: prawdziwi święci nie posługują się świątyniami do załatwiania ludzkich spraw; prawdziwi heretycy nie umierają na łonie Kościoła, jak zmarł, choć prześladowany, Savonarola; prawdziwi bohaterowie wolności są trochę bardziej twardzi, nie podnoszą takiej wrzawy. Był entuzjastą dobrej sprawy i być może jego działalność przyniosłaby pożytek, gdyby ograniczając się do spraw kościelnych poprzestał na wygłaszaniu kazań piętnujących wzrastające zepsucie w beztroskich Włoszech".

Spectator na łamach "Allgemeine Zeitung" pisał w roku 1898. "Chorobliwy temperament i nadmierne podekscytowanie sytuacją istniejącą w Kościele, która przejmowała zgrozą każdą uczciwą duszę, wytworzyły w nim skłonności, które wszystko wyjaśniają: zarówno jego wiarę we własny proroczy dar i specjalne posłannictwo, jak i jego niepowściągliwość i ekstrawagancje w walce przeciw Aleksandrowi VI, a także jego ideę, by Florencję zamienić w klasztor".

Corvo i inni uczeni uważają go za szaleńca. Kurth kwestionuje jego posłannictwo - reformy mnicha byłyby gorsze niż zło, które chciał zwalczać. Durant widzi w nim "średniowiecze, które przetrwało w Renesansie i chciało go zniszczyć". Savonarola był świadkiem moralnej dekadencji Włoch i upadku wiary; bezskutecznie, odważnie i fanatycznie przeciwstawiał się

zmysłowemu i sceptycznemu duchowi swoich czasów. Po średniowiecznych świętych odziedziczył moralną żarliwość i intelektualną prostotę. Poniósł klęskę z powodu swoich ograniczeń intelektualnych i swego wybacznego, ale irytującego egotyzmu. Przesadzał ze swoją boską inspiracją i naiwnie nie doceniał trudności w przeciwstawianiu się jednocześnie władzy papieskiej i ludzkim instynktom. Można go uważać za protestanta ante litteram choćby z racji domagania się soboru, który by zreformował Kościół, ale nie podzielał on żadnych buntowniczych poglądów Lutera w dziedzinie teologii. Jego wielkość polega na podjęciu wysiłków zmierzających do wywołania rewolucji moralnej i uczynienia ludzi uczciwymi, dobrymi i sprawiedliwymi". Wysiłki szlachetne, ale daremne. Może dlatego, że nie była jeszcze na to pora.

A może dlatego, że spośród wszystkich rewolucji najtrudniejsza jest rewolucja moralna.

IX

ZBRODNIA DOSKONAŁA

W maju 1494 r., na krótko przed wkroczeniem do Włoch Karola VIII, Lukrecja, której towarzyszyły Adriana Mila i Giulia Farnese, opuściła Rzym, by udać się do Pesaro. Od niespełna roku była żoną Giovanniego Sforzy, zwanego Sforzino, ale jeszcze ani razu nie przestąpiła bram Pesaro, którego mąż był władcą. Myśl o tym, że opuszcza Rzym, ojca, braci, że wyrzeka się przyjemności i przepychu papieskiego dworu i rzymskiej socjety, odbierała jej dobry humor, który był jej najprzyjemniejszą cechą. W Pesaro miała się śmiertelnie nudzić nie tylko dlatego, że śmiertelnie nudny był jej mąż, ale również dlatego, że równie nudne było tamtejsze towarzystwo. Jej wyjazd z Rzymu przyspieszyła jedna z powtarzających się epidemii, którym sprzyjał niezdrowy klimat miasta,

i które powodowały więcej ofiar niż wojna. 8 czerwca wraz z długim orszakiem dam, szlachty, kamerdynerów i lokajów przybyła do Pesaro witana przez małżonka i poddanych. Przez wiele dni udekorowane odświętnie miasto bawiło się wesoło. Jedyną osobą, która się nie bawiła lub udawała, że się nie bawi, była "piękna Giulia". Tak pisała do swego dalekiego kochanka: "Będąc z dala od Waszej Świątobliwości, któremu zawdzięczam wszelkie dobro i szczęście, nie mam żadnej przyjemności ani zadowolenia w korzystaniu z uciech, gdyż tam, gdzie jest mój skarb, jest serce moje. Wszystko to nic nie warte, jeśli nie mogę paść do stóp Waszej Świątobliwości, a ten, kto by twierdził coś innego, byłby głupcem". Aleksandra ogromnie to uradowało i kiedy w następnym liście Giulia Farnese wychwalała powaby pięknej Katarzyny Gonzagi, z emfazą zakochanego odpisał: "Rozpływając się tak nad urodą tej osoby, która nie byłaby godna zawiązać ci trzewika, zachowujesz się z wielką skromnością; wiemy, dlaczego tak czynisz: wiadomo ci bowiem, że każdy, kto do nas pisze, zapewnia, iż kiedy się do niej zbliżałaś, ona wyglądała jak kaganek przy słońcu. Przedstawiając ją jako nadzwyczaj piękną, ukazujesz nam swoją doskonałość, co do której nigdy naprawdę nie mieliśmy wątpliwości. I chcielibyśmy, aby równie zupełnie jak to nasze przeświadczenie było twoje oddanie osobie, która cię miłuje bardziej niż ktokolwiek inny. A kiedy sobie to przemyślisz, jeśli jeszcze tego nie uczyniłaś, uznamy cię za równie rozumną, co doskonałą". Teraz z kolei radowała się Giulia, która odwrotną pocztą odpowiedziała: "Niech Wasza Świątobliwość będzie najzupełniej pewny, że ja, bacząc zarówno na swój honor, jak i mając wzgląd na Waszą miłość, dniem i nocą o niczym innym nie myślę jak tylko

o tym, bym okazała się prawdziwą świętą Katarzyną, jeśli to możliwe". Nie wiemy, czy była szczerą, ale wydawała się szczerą, a to było najważniejsze.

Od swojej kobiety Aleksander wymagał prawie absolutnej wierności (prawie, gdyż Giulia była zamężna, a on sam pobłogosławił ten związek). Hiszpańska krew, a być może również niemłody już wiek - w styczniu skończył 64 lata - sprawiały, że w sprawach sercowych był bardzo podejrzliwy. Na szczęście w owym czasie Orsino Orsini znajdował się daleko, a nad Giulią i jej cnotą czuwały Lukrecja i Adriana.

W pierwszych dniach lipca spokój papieża zakłócił nieoczekiwany wyjazd Giulii Farnese do Capodimonte, gdzie przebywał jej ciężko chory brat Angelo. Lukrecja i jej mąż, obawiając się wymówek papieża, którego Giulia nie zawiadomiła o swej podróży, próbowali ją powstrzymać. Nie chciała jednak słuchać żadnych argumentów i 12 lipca w towarzystwie Adriany opuściła Pesaro. Aleksander dowiedziawszy się o tym wpadł w gniew, który przekształcił się w furie, gdy doszła go wiadomość, że Orsino ze swej kwatery głównej w Bassanello upomniał się o żonę.

Nie wiemy, co się stało. Pewne jest tylko to, że Giulia Farnese przybywszy do Capodimonte nie chciała już wrócić do Pesaro. Nawet pełne pogroźek listy, które papież wysyłał do niej, do teściowej i do jej brata nie skłoniły jej do zmiany postanowienia. 22 października oburzony Aleksander napisał do Adriany: "Nareszcie odsłoniłyście waszą złą duszę i złośliwość. Bądźcie pewne, że za wasze oszustwo spotka was odpowiednia kara".

Tego samego dnia w tonie nie mniej pogardliwym zaatakował brata Giulii: "Wiecie, ile dla was uczyniłem, i z jaką

miłością. Nigdy bym nie sądził, że tak szybko o tym zapomnicie i będziecie przedkładać Ursina* nad nas. Iterum proszę was i napominam, abyście taką monetą nam się nie odpłacali, jako że nie dotrzymujecie wiary, której dowody wiele razy nam dawaliście i uchybiacie swemu honorowi".

Do kochanki zaś zwrócił się z ostrą reprimendą: "Julio, niewdzięczna i perfidna. Twój list otrzymaliśmy za pośrednictwem Navarica. W tym liście powiadasz nas i oświadczasz,

że nie jest twoim zamiarem przybyć tu wbrew woli Ursina.

Dotychczas bardzo dobrze rozumieliśmy twoją złą duszę i duszę tych, którzy służą ci radą; biorąc jednak pod uwagę, że twoje słowa są udawane i sztuczne, nie możemy wcale uwie-

* Tekst tego i następnego listu Borgii jest przytoczony w jego

XV-wiecznej formie językowej. Stąd archaiczne brzmienie użytych tu nazwisk i imion: Ursino zamiast Orsino i Julia zamiast Giulia (przyp. tłum.).

rzyć, żebyś mogła okazać nam tyle niewdzięczności i perfidii

po tym, jak tyle razy przysięgałaś nam wiare i dawałaś dowody, że słuchasz naszych rozkazów i nie zamierzasz zbliżyć się

do Ursina. Nie możemy uwierzyć, że teraz chcesz zrobić coś

odwrotnego i jechać do Bassanello wystawiając na niebezpieczeństwo swoje życie;

nie możemy też uwierzyć, że czynisz to

w innym celu, niż jeszcze raz dać się zapłodnić przez owego

kiepskiego ogiera z Bassanello. I mamy nadzieję, że wkrótce

ty i bardzo niewdzięczna madama Adriana spostrzeżecie swój

błąd i okażecie należytą skruchę. Tak więc sub pena excommunicationis late sententie et maledictionis eterne* rozkazujemy

ci, abyś nie wyjeżdżała z Capo del Monte lub z Marta i nie

udawała się do Bassanello, a to z powodu spraw dotyczących naszego państwa".

Jakie były te "sprawy dotyczące naszego państwa", tego

papież nie mówi, a nam trudno się domyślać. Orsiniowie w owej chwili należeli do obozu papieskiego, nie było więc potrzeby pozyskiwać ich dla sprawy Borgii, skoro uznali ją już za swoją. W tym czasie nie było żadnych nieuregulowanych spraw w stosunkach między Aleksandrem a Orsinem. Być może, ale jest to tylko hipoteza, Giulia poprosiła papieża o pozwolenie na zobaczenie męża, z którym miała córkę. Wątpimy, aby chciała zerwać związek z papieżem, pogodzić się z Orsinem i "dać się przez niego zapłodnić", jak insynuował niezwykle zazdrosny Rodrigo.

List papieża, niezbyt godny wikariusza Chrystusa, odniósł jednak skutek, chyba także dlatego, że groził bardzo poważnymi sankcjami. W końcu Orsini się poddał, otrzymał w zamian okazałą sumę pieniędzy, którymi opłacił swoje wojsko.

* Poprawnie po łacinie ten tekst winien być tak napisany: sub poena ex-communicationis, latae sententiae et maledictionis aeternae. (Pod karą wyklęcia, daleko sięgającego wyroku i wiecznego potępienia - przyp. tłum.).

Giulia eskortowana przez nieodłączną teściową-rajfurkę wyruszyła w drogę powrotną do Rzymu, ale w pobliżu Viterbo orszak natknął się na patrol francuski, który zatrzymał

Giulię i doprowadził ją do Montefiascone. Nie pozostała tam jednak długo, gdyż papież nie mogąc się doczekać, kiedy ją znów uściska, zażądał, by wypuszczono ją natychmiast na wolność.

W Rzymie powitał ją osobiście; na tę okazję przywdział strój szlachecki: szeroki czarny kaftan ozdobiony brokatem, aksamitny beret, wysokie buty, a u pasa sztylet i szpada (marsowy wygląd łatwiej mu było uzyskać niż uduchowiony). Spędzili razem noc i incydent szybko poszedł w niepamięć. Ale

nie zabrakło dalszych konsekwencji. Orsino, być może w odwecie, przeszedł na

stronę wroga, któremu oddał dobrze

uzbrojoną twierdzę w Bracciano. Papież nazwał to zdradą.

Za niewierność często płaci się niewiernością.

Lukrecja wróciła do Rzymu później, po bitwie pod Fornovo. Otworzyła znów swój piękny dom przy Santa Maria in

Portico i nie chciała brać udziału w stołecznej dolce vita.

Mąż pozostał z nią aż do marca, kiedy to papież wysłał go

z wojskiem ligi, by uwolnił Kampanię od Francuzów. Po wykonaniu tego zadania zamiast wrócić do Rzymu, skierował

się do Pesaro. Powrócił dopiero w styczniu następnego roku

(1497).

"Sforza - pisze Gregorovius - był już zużyтым narzędziem, które Aleksander chciał wyrzucić. Małżeństwo córki

z panem na Pesaro nie było mu potrzebne, gdyż Sforzowie

stracili wszelkie znaczenie". Giovanni zdawał sobie z tego

sprawę i być może obawiał się, że papież chce go się pozbyć.

Nie mógł już liczyć ani na Ascania, ani na Ludovica gotowych

poświęcić go, gdyż na przyjaźni z papieżem zależało im bardziej niż na nim.

Opuszczony przez wszystkich, z wyjątkiem

chyba żony, dobrze robił pozostając możliwie jak najdłużej

w Pesaro i unikając dłuższych pobytów w Rzymie, gdzie czuł

się intruzem i był nim rzeczywiście.

10 sierpnia 1496 r. przybył do Rzymu Juan, książę Gandii.

Choć nie miał doświadczenia wojskowego, Aleksander spieszenie mianował go dowódcą wojsk papieskich, gonfalonierem

Kościola, rektorem Viterbo i Ojcowizny Świętego Piotra, co

wywołało protesty kardynałów, z którymi się nawet nie skonsultowano.

Juan był nie tylko niepoprawnym lekkoduchem, wielkim

kobieciarzem i nierobem. Był także człowiekiem nieudolnym,

lecz przepelnionym ambicją, podsycaną niemądrze przez ojca,

który marzył dla niego o tronie neapolitańskim, wakującym od czasu śmierci bezpotomnego Ferrandina.

Działania zbrojne uwidocznily wkrótce jego miernotę oraz krótkowzroczność papieża. Po dobrym początku wojna przybrała bowiem bardzo niekorzystny obrót, mimo że Aleksander przydzielił synowi do pomocy Guidobalda, księcia Urbino, kondotiera zahartowanego i doświadczonego w bojach.

Ale ani waleczność, ani doświadczenie Guidobalda nie na wiele się zdały w walce z o wiele silniejszym przeciwnikiem.

Oblężenie Bracciano, twierdzy Orsinich, zakończyło się niepowodzeniem, nieudane też były powtarzane później próby

jej zdobycia. Gdy Guidobaldo został ranny i głupi książę Gandii pozostał sam na czele wojska, poniósł szereg dotkliwych

porażek. Kiedy w końcu przysłała mu w sukurs artyleria, zdołał zawładnąć Isolą i Trevignano. Ale Bracciano, główny punkt oporu, pozostało w ręku Orsinich.

Ci zaś, rozzuchwaleni nieudolnością oblegających, dokonywali nieustannych wypadów z twierdzy i zapuszczali się aż

pod mury Rzymu. Papież, który chciał jak najszybciej zakończyć tę wojnę (i gdyby nie Juan, chyba by mu się to udało), był

tym tak wstrząśnięty, że aż się rozchorował. Kiedy przekonał

się, że sytuacja jest beznadziejna, dał wojskom rozkaz odwrotu. Jednakże 24 stycznia 1497 r. zostały one rozbite, Guidobaldo dostał się do niewoli, a Orsiniowie zostali panami

całej rzymskiej Kampanii. W dwanaście dni później, 5 lutego,

zawarto pokój: zwycięzcy wypłacili Kościołowi 50 tysięcy florenów otrzymując w zamian swoje zamki: papież zachował

Anguillare i Cerveteri, a nieszczęsny książę Urbino musiał sam za siebie zapłacić okup.

Bardziej pomyślne - i opatrnościowe - było odbicie

Ostii przez hiszpańską milicję Gonzala de Cordoba. Ta twierdza, pozostająca w

rękach Francuzów sprzymierzonych z kardynałem della Rovere, była prawdziwym mieczem Damoklesa wiszącym nad głową papieża, skłóconego z wielkim intrygantem Giulianem, któremu skonfiskowano dobra.

W tym konflikcie ani papież, ani kardynał nie byli skłonni do ugody. Jego następstwa uwidoczniły się na forum Kolegium Kardynałów podzielonego na zwolenników Francji

i zwolenników Hiszpanii. Przyczyniło się to tylko do zaostrzenia sporu.

W stosunkach ze swoimi przeciwnikami Aleksander stosował politykę silnej ręki.

Swoją absolutną władzę zamierzał

sprawować w sposób absolutny; nie przyjmował żadnej krytyki, uwag, opierał się wszelkiej presji. Kiedy kardynał Peraudi

ośmielił się oświadczyć wysłannikom Florencji: "Gdy myślę

o życiu, jakie prowadzi papież i niektórzy kardynałowie, przejmuję mnie zgroza, że muszę mieszkać w kurii; nie chcę już

o niej słyszeć, jeśli Bóg nie zreformuje swojego Kościoła",

odповідzią Borgii było przekazanie księciu Gandii i jego

spadkobiercom księstwa Benevento oraz miast Terracina

i Pontecorvo.

Juan jednak nie zdążył się nacieszyć nowymi, niezasłużonymi beneficjami, gdyż w tydzień później został w tajemniczych okolicznościach zamordowany. O zbrodni - jednej

z najgłośniejszych w owym stuleciu - mówiono przez wiele

miesiący, ale nikt, łącznie chyba z papieżem, nie zdołał wyjaśnić jej pobudek i

wykryć sprawcy. Można było tylko odtworzyć wydarzenia, które ją poprzedziły.

14 czerwca 1497 r. w domu Vannozzy spotkali się na

obiedzie księżę Gandii, jego bracia Cezar i Jofre, żona tego

ostatniego, Sancia, kardynał Monreale i inni przyjaciele.

W pewnej chwili pojawił się zamaskowany mężczyzna, który

usiadł obok księcia, sprawiając wrażenie, że jest z nim w zażyłych stosunkach. Gdy zapadła noc i uprzątnięto ze stołów,

goście pożegnali się z gospodynią. Juan i Cezar wsiedli na muły i wraz ze swoimi eskortami skierowali się w stronę Watykanu, ale dotarwszy do pałacu Cesarini, rezydencji kardynała Ascania Sforzy, rozstali się: Cezar pojechał dalej przez plac św. Piotra, Juan zaś ze swym lokajem i nieznanym skręcił w stronę placu Giudea. Tam księżę posłał lokaja do domu po jakąś broń i kazał mu wrócić w to samo miejsce. Jeśli po upływie godziny - powiedział mu - on, księżę, tu nie wróci, lokaj może iść do domu i spokojnie spać. Juan wraz z zamaskowanym mężczyzną wsiedli znów na muły i truchtem pojechali w stronę kościoła Santa Maria del Popolo.

Nazajutrz domownicy na próżno czekali na jego powrót.

Z początku nikt się zbytnio nie niepokoił, gdyż księżę Gandii prowadził bardzo nieuregulowany tryb życia. Dopiero po południu pojawiły się pierwsze obawy, które wieczorem przekształciły się w okrutną pewność. Przerażony papież kazał przeszukać miejsca, w których zazwyczaj bywał jego syn, polecił rozpytać przyjaciół, przyjaciółki, znajomych. Nikt jednak nic nie wiedział, nikt nie był w stanie udzielić żadnych

wskazówek. Dopiero odnalezienie tego samego dnia śmiertelnie rannego stajennego rzuciło nieco światła na to, co

się stało. Jednakże stajenny, ugodzony wielokrotnie sztyletem, zabrał do grobu tajemnicę. Następnie odnaleziono muła:

potargane strzemiona wskazywały, że odbyła się gwałtowna bójka. Rozwiało to ostatnie wątpliwości co do losu księcia.

Nazajutrz, 16 czerwca, ludzie prowadzący dochodzenie, przesłuchując dalmatyńskiego przewoźnika - znamy tylko jego imię: Giorgio - właściciela składu drewna nad brzegiem Tybru, dowiedzieli się,

że w nocy z 14 na 15 czerwca

wrzucano do rzeki trupa. "Koło godziny drugiej - opowiadał mimowolny świadek, którego słowa przytacza Burcardo

- leżałem w swojej łodzi pilnując drewna. Dwaj piesi wyszli z zaułka po lewej stronie szpitala degli Schiavoni na drogę publiczną w pobliżu rzeki. Rozejrzeli się uważnie dookoła, czy ktoś nie idzie, a nie widząc nikogo, wrócili z powrotem do zaułka. Wkrótce potem dwaj inni mężczyźni wyłonili się z zaułka zerkając również dookoła i nie widząc nikogo dali znak swoim kompanom. Wówczas pojawił się jeździec na białym koniu, który z tyłu, za siodłem, wiózł przerzuconego

trupa: jego głowa i ręce zwisały z jednej strony, a nogi

- z drugiej. Po lewej i prawej stronie dwaj pierwsi mężczyźni podtrzymywali trupa, aby nie spadł. Przybywszy na miejsce, gdzie wrzucano śmiecie do rzeki, jeździec obrócił konia tyłem do wody, a ci dwaj, którzy stali po bokach, wzięli trupa, jeden za ręce, drugi za nogi, ściągnęli go z konia i wzięwszy rozmach wrzucili do wody. Na pytanie jeźdźcy, czy trup jest już w wodzie, odpowiedzieli:

"Tak, panie". Potem jeździec spojrział

jeszcze raz na rzekę i widząc, że płaszcz zmarłego unosi się na wodzie, zapytał, co to za czarny przedmiot. A oni odpowiedzieli: "To płaszcz".

Wówczas jeździec rzucił kilka kamieni

i płaszcz poszedł na dno. Po czym widząc, że płaszcz zatonął,

cała piątka odeszła, bo także ci dwaj, którzy wyszli z zaułka,

by sprawdzić, czy ktoś nie idzie, przyłączyli się do jeźdźcy i do

dwóch pozostałych; zniknęli w zaułku prowadzącym do szpitala San Giacomo i już ich nie widziałem".

Na pytanie, dlaczego nie poinformował o tym od razu

gubernatora, przewoźnik, który najwidoczniej nie chciał mieć

kłopotów, odpowiedział: "W ciągu wielu nocy widziałem

- od czasu jak wykonuję ten zawód - przeszło setkę zabitych ludzi wrzucanych do wody właśnie w tym miejscu, i nikt się tym nie zajmował; dlatego nie przywiązywałem żadnej wagi do tego wydarzenia". Zmobilizowano natychmiast trzystu flisaków i rybaków, którzy zaczęli przy pomocy żerdzi i sieci przeszukiwać rzekę. Około południa, po wielogodzinnych wyczerpujących poszukiwaniach, nieopodal Santa Maria del Popolo, na odległość strzału od ogrodu Ascania Sforzy, rybak Battistino da Taglia wydobył z wody młodego mężczyznę w kaftanie, kurtce, butach, pończochach, rękawiczkach i z przytroczoną do pasa sakiewką, z trzydziestoma dukatami, co oznaczało, że nie było to morderstwo na tle rabunkowym. Na zwłokach, ciężkich od oblepiającego je błota, stwierdzono dziewięć ran zadanych sztyletem w głowę, w klatkę piersiową, w uda i - ta rana była śmiertelna - w szyję, straszliwie poszarpaną. Był to, bez żadnych wątpliwości, syn papieża. Zwłoki umieszczono w łodzi i przewieziono do pobliskiego zamku św. Anioła, gdzie papiescy pokojowcy rozebrali je, umyli i ubrali w mundur kapitana generalnego Kościoła. Tego samego wieczora rodzina, dwór watykański, zagraniczni ambasadorowie oraz stu ludzi z pochodniami, odprowadzili ciało złożone we wspaniałej trumnie do kościoła Santa Maria del Popolo.

"Aleksander był głęboko wstrząśnięty - pisze Burcardo

- kiedy dowiedział się, że księżę został zamordowany i rzucony jak śmieć do Tybru. Przejęty niezmiernym bólem zamknął się w swojej komnacie i gorzko płakał. Od środy wieczorem do soboty rano nic nie jadł ani nie pił, a od czwartku do niedzieli nie zmrużył oka". Jego rozpaczliwe krzyki i zawodzenie przebijały ściany papieskich apartamentów siejąc w całym mieście lęk i przerażenie. Obawiano się zemsty katalońskich siepaczy,

którzy uzbrojeni po zęby grasowali po ulicach Rzymu. Kupcy pozamykali sklepy, ludność zabarykadowała się w domach, a patrycjusze schronili do swoich warownych dworów.

W Watykanie chaos sięgnął szczytu; nikt nie ośmielał się zbliżyć do papieża, który nie chciał też nikogo widzieć, wołał syna i przeklinał nieznanymi morderców. Dwa najzupełniej przypadkowe wydarzenia, ale interpretowane jako złowieszczy znak, zwiększyły jeszcze strach: piorun uderzył w papieskie komnaty, nie powodując na szczęście ofiar; a statua anioła runęła z gmachu Mole Adriana. Wielu rzymian - opowiada Sanudo - "widziało i słyszało, jak z Bazyliki św. Piotra wydostała się ogromna chmara diabłów, widziało także tyle światła, że bazylika zdawała się płonąć od fundamentów po dach".

Były to oczywiście tylko halucynacje wywołane atmosferą grozy panującą w mieście po zabójstwie księcia Gandii, i to nie tylko wśród ludu, lecz także wśród sceptycznego kleru i przestraszonej arystokracji. Wszyscy byli wstrząśnięci.

Żal, przynajmniej pozornie, był powszechny. Nawet Savonarola i Giuliano Della Rovere przyłączyli się - nadsyłając pełne współczucia listy - do żałoby niepokieszonego

Aleksandra, który 19 czerwca na konsystorzu skarżył się:

"Większego bólu nie możemy doznać, gdyż kochaliśmy go niezmiernie i nie cenimy sobie już papieżstwa ani niczego innego; nawet gdybyśmy byli siedmiokrotnie papieżem, wszystko byśmy oddali, by przywrócić życie księciu.

Bóg to uczynił

z powodu jakiegoś naszego grzechu, a nie dlatego, że księżę zasłużył na tak okrutną śmierć".

Na tym samym konsystorzu zapowiedział reformę Kościoła, wprowadzenie nowego ładu w Państwie Kościelnym, ukrócenie wszelkich skandali i nadużyć. Zacznie - powiedział - od siebie samego. W owej chwili był chyba szczery

i niejeden naiwnie mu uwierzył.

Rozpoczęto tymczasem śledztwo, które jednak utrudniało wysuwanie coraz to nowych hipotez. Pierwsza, sformułowana już w dniu odnalezienia zwłok, brzmiała, że motywem

zbrodni była namiętność. "Wiadomo dobrze - pisał mantuański poseł do swego władcy - że ksiązę był do szaleństwa

zakochany w córce hrabiego Antonia Marii Della Mirandoli

i dlatego został wciągnięty w zasadzkę. Miejsce, w którym go utopiono, nie jest bowiem zbyt odległe od domu hrabiego.

Ponadto w środę nocą odnaleziono muła księcia, który błąkał

się od domu hrabiego do domu księżąt Parmy; muła schwytało kilku przechodniów i zaprowadziło do domu hrabiego, gdzie

oparci o mur stali dwaj uzbrojeni ludzie. Zapytani, czy muł do

nich należy, najpierw odpowiedzieli, że tak, ale na pytanie

o znaki szczególne muła nie umieli odpowiedzieć nic ponadto, że miał on małe siodło; a kiedy ci, którzy odnaleźli muła,

wahali się, czy go oddać na podstawie tylko tej jednej wskazówki dotyczącej małego siodła, owi uzbrojeni ludzie powiedzieli, że rezygnują z muła i odeszli do swoich spraw".

Juana miałby więc zabić albo rywal, albo sam ojciec dziewczyny uwiedzionej i zhańbionej przez mężczyznę, który jej nie

mógł poślubić. Nie można było z góry odrzucić tego przypuszczenia, ale jak się potem okazało, nie znaleziono żadnego poważnego dowodu na jego poparcie.

Bardziej przekonująca wydawała się hipoteza zemsty politycznej. Juan miał wielu wrogów w Watykanie i poza nim:

zaszczyty, jakie na niego spadły po powrocie do Rzymu, nie-

fortunna kampania przeciw Orsinim, arogancja i rozwiązłość

ściągnęły na niego nienawiść bardzo wielu ludzi. I wielu pragnęło jego śmierci.

Giovanni Sforza, jeden z pierwszych podejrzanych, był

z nim poważnie skłócony. Wielokrotnie oskarżał szwagra, że

jest kochankiem Lukrecji (o to samo oskarżał też Cezara i papieża). Dlatego jego pozycja w Watykanie była nadzwyczaj niepewna. Uważano go ponadto za intruza, awanturnika, szpiega na żołdzie księcia Mediolanu. Wszyscy przy tym

wiedzieli, że papież chciał unieważnić jego małżeństwo z Lukrecją (właśnie dlatego nazwał go nawet impotentem).

Zabijając księcia Gandii, Sforzino pomściłby więc swój honor. Fakt, że owego dnia nie było go w Rzymie, nie wykluczał

jego winy; zbrodnia mogła być dokonana na jego polecenie.

Ale i te podejrzenia wkrótce okazały się nieuzasadnione.

Stwierdził to sam papież na konsystorzu 19 czerwca: "Rozeszła się pogłoska - powiedział - że uczynił to pan na Pesaro. Jesteśmy pewni, że to nieprawda".

Podejrzenia skierowano więc na Ascania Sforze, który z racji swego profrancuskiego stanowiska był nieprzyjaźnie nastawiony do papieża i jego dzieci. Do zamordowanego żywił od dawna głęboką urazę. W czasie jednej z uczt Juan nazwał niektórych gości kardynała "nierobami", a ci odpłacili mu wyzywając go od "bękartów". Wywiązała się gwałtowna sprzeczka i był nawet jakiś trup.

Na wieść o znalezieniu ciała księcia Ascanio opuścił swój pałac, który później przeszukała policja, i schronił się w siedzibie wicekanclerza. O tym, że obawiał się represji świadczy

list, jaki wysłał do swego brata Ludovica: "Ponieważ jest w zwyczaju w Katalonii, a szczególnie w Barcelonie, że kiedy ktoś zostaje ranny lub zabity, jego krewni ranią lub zabijają tego, kto wyrządził im krzywdę, nawet jeśli nie ma żadnych dowodów jego winy, a ponieważ między panem na Pesaro a naszym domem istnieje pokrewieństwo, po wypadku podjąłem pewne środki ostrożności, aby krewni i słudzy księcia przejęci bólem nie uczynili jakiegoś fatalnego kroku". I na

wszelki wypadek nie pojawił się 19 czerwca na konsystorzu, na którym także został uniewinniony. "Nawet nie myślimy, że Jego Wielmożność mógłby nam wyrządzić tak wielką krzywdę, jako że uważaliśmy go zawsze za brata" - stwierdził papież.

Podejrzewano też Guidobalda di Montefeltro, który wraz z Juanem walczył przeciw baronom i po dostaniu się do niewoli sam musiał zapłacić za siebie okup. Uraza mogłaby mu włożyć broń do ręki, mógł też opłacić siepacza, ale papież nie zawahał się i tym razem zaświadczyć o jego niewinności: "Co do księcia Urbino nie mamy żadnych wątpliwości".

Orsinich również nie ominęły podejrzania. Wielu w Rzymie gotowych było przysiąc, że są winni, zwłaszcza że Aleksander nie wystąpił w ich obronie. Ze wszystkich wrogów Borgiów, oni byli najbardziej zawzięci, zwłaszcza po śmierci głowy rodu, Virginia, otrutego w więzieniu - tak przynajmniej szeptano sobie na ucho - na rozkaz papieża. Ponadto księżę

Gandii walczył przeciwko nim, a nawet jeśli nie sprawił im większych kłopotów (o wiele więcej krzywdy doznał on sam od Orsinich), to stanowił zawsze zagrożenie. "Im dłużej się bada - notuje Pastor - wydarzenia, które poprzedziły tę okropną zbrodnię, która być może nigdy nie będzie w pełni wyjaśniona, i wydarzenia, które potem nastąpiły, tym poważniejsze staje się podejrzenie ciężące na stronnictwie Orsinich.

Jest zarazem wielce prawdopodobne, że członkowie tej rodziny znając złe skłonności księcia zabili go przy okazji jakiejś jego miłosnej przygody. Jednakże nie można posunąć się dalej poza poważne podejrzenia".

Nie ominęły one też braci zamordowanego: Jofrego i Cezara. Pierwszy z nich miał zaledwie 16 lat i choć wiedział, że żona zdradza go z Juanem, a także z Cezarem, nie był ani tak

zazdrosny, ani tak odważny, by splamić się podobną zbrodnią. Rozgrzeszył go zresztą na konsystorzu sam ojciec:

"O księciu Squillace, minime".

Cezara zaczęto podejrzewać dopiero po upływie wielu miesięcy. W liście (raporcie) z 22 lutego 1498 r. ambasador ferraryjski w Wenecji napisał: "Znów usłyszałem, że sprawcą śmierci księcia Gandii był jego brat, kardynał". Pogłoska puszczona w obieg przez Giovanniego Sforze i Orsinich, którzy

uszli do Wenecji, rozeszła się w okamgnieniu po całym półwyspie: Paolo Capello potwierdził ją we wrześniu 1500 r.,

Silvio Savelli w roku następnym. Dziwna rzecz, ale nie podchwycili jej -

przynajmniej do 1500 r. - neapolitańscy literaci, najwięksi potwarcy Borgiów.

Dlaczego Cezar miałby zabijać swego brata? Bo był zazdrosny o względy, jakimi darzyła go Sancia? Przecież i jemu

ich nie odmawiała. A ponadto człowiek tak zimny i wyrachowany nie naraziłby nigdy na szwank swego honoru z powodu

kobiety, która nosiła nazwisko Borgia.

Mógł usunąć Juana, aby zagarnąć jego dobra i odziedziczyć po nim urzędy. Stawia tę tezę wielu historyków, między

innymi Sacerdote, który w ten sposób argumentuje: "Cezar,

któremu ojciec narzucił kardynalską purpurę, buntował się.

Zupełnie inne były jego marzenia i aspiracje. Nie księciem

Kościola chciał być, lecz władcą prawdziwego księstwa. Uważał się za człowieka czynu, a nawet dał tego wspaniałe dowody. Być może już w młodości marzył o koronie,

śnił o podboju środkowych i południowych Włoch. Wówczas

to kazał wyryć na swej szpadzie słowa Cezara: *Alea iacta est**,

i to wymowne motto otaczały ornamenty przedstawiające najważniejsze epizody z życia Juliusza Cezara, od przejścia przez

Rubikon po rzymskie triumfy. Kiedyś powiedział: "Albo Cezar, albo nikt". A jego

marzenia? Usunąć baronów, wikariuszy Kościoła. Przepędzić lub w razie konieczności zabić tyranów dzielących między siebie Państwo Kościelne. Być jedynym

Kości są rzucone (przy. tłum.).

panem. Obalić wszelkie przeszkody. A tymczasem jego ojciec po podjęciu decyzji o kampanii przeciw rzymskim baronom, dowództwo nad wojskami papieskimi powierzył księciu Gandii, a nie jemu, bo on był kardynałem. Nawet klęska nie otworzyła ojcu oczu. Pokonany książę został obsypany nowymi

honorami, inwestyturami nowych księstw, jemu też był przeznaczony tron w Neapolu. On zaś, Cezar, miał spędzić życie uginając się pod brzemieniem kardynalskiej purpury".

Ta teza nie przekonuje nas, nie przekonuje nawet takich historyków, którzy jak na przykład Pastor, nie są pobłażliwi dla Borgiów. Cezar swoje pragnienie czynu mógł zaspokoić również dźwigając purpurę kardynalską; czyż jego ojciec nie nosił jej przez ponad 30 lat? Czyż nie nosił jej Ascanio Sforza, a przede wszystkim wojowniczy Giuliano Della Rovere?

A poza tym, czy jest powiedziane, że Cezar nie marzył o włożeniu na głowę tiary w dniu, w którym następca jego ojca lub następca następcy spocznie w grobie? To prawda, że suknia duchowna nie była dla niego stosowna. Wierzący co prawda wcale nie był, ale Kościół w okresie Odrodzenia był pod pewnymi względami bardzo pobłażliwy. Było też coś więcej. Cezar 17 sierpnia 1498 r., w 14 miesięcy po zabójstwie

Juana, po którym odziedziczył funkcję kapitana generalnego, zrezygnował z kapelusza kardynalskiego. Jeśli zaś chodzi o księstwo Benevento, lenna i dobra brata, to nie przeszły one w jego ręce, lecz otrzymały je dzieci zmarłego. Cezar ograniczył się do administrowania dziedzictwem rzymskim.

Ten kto później rozpuścił pogłoskę o jego winie, był nieobecny w Mieście, kiedy dokonano zbrodni, lub miał interes w rzuceniu oszczerstwa na Borgiów. Jak na przykład Giovanni Alberto Della Pigna, który w czerwcu 1504 r. napisał, że wdowa po księciu Gandii kazała aresztować szwagra, by pomścić śmierć męża. O ile jednak wiadomo, Maria Enriquez utrzymywała zawsze dobre stosunki ze swym szwagrem.

A wreszcie, gdyby Cezar naprawdę zabił brata, Aleksander by o tym wiedział i z trudem by mu wybaczył. Rodzina była to rzecz święta, a jej członków obowiązywała absolutna solidarność. Biada temu, kto by ją pogwałcił. Zasada "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" być może jeszcze nie była sformułowana, ale Borgiowie już jej przestrzegali.

"Jeśli to straszliwe posądzenie - pisze słusznie Pastor - znajdowało coraz więcej wiary, aż wreszcie zostało powszechnie przyjęte, to na skutek późniejszego postępowania

Cezara. Ten kto pamięta, jak wielką nienawiść ściągnął on na siebie w Rzymie i w całych Włoszech, nie może się dziwić, że obok wielu uzasadnionych oskarżeń, pojawiło się także jedno niesprawiedliwe. To, że tylu ludzi w nie uwierzyło, tłumaczyć można, że wiadomości o skandalach na dworach rozchodziły się wówczas z nie mniejszą szybkością niż dzisiaj. Podejrzenia dotyczące Cezara dotarły nawet bardzo szybko do Hiszpanii, ale tam nie trafiły na podatny grunt".

Krótko mówiąc, nikomu nie udało się ustalić, kim był morderca lub mordercy. Po upływie tylu stuleci to zabójstwo okrywa nadal zasłona tajemnicy. Zasłona wcale nie tak gęsta, jak by sobie życzyli niektórzy historycy, ale gęstsza niż by sobie tego życzyli inni. Jeśli sprawcami zbrodni byli Orsiniowie - a naszym zdaniem byli - to nie zostawili odcisków

palców; czyli zbrodnia doszła...

Szkoda, że reforma Kościoła, która przecież mogłaby ułatwić rozwikłanie tej sprawy, pozostała martwą literą. Powołana przez papieża komisja do spraw reformy nie miała ani

odwagi, ani energii, by doprowadzić ją do końca. Zresztą sam papież po wyjściu z szoku uniemożliwił jej pracę. Nie miał on hartu Savonaroli ani Carafy. Kościół podobał mu się taki, jaki był, choć nie powinien przecież być taki. Gdyby miał siłę niezbędną do zreformowania go, oszczędziłby sobie szoku luteranizmu. Ale nie miał nawet siły zreformować samego siebie.

Rozkazał co prawda Jofremu i Sancii, by opuścili Rzym i usunęli się do Squillace; zagroził co prawda Lukrecji, że wyśle ją do Walencji, ale potem wszystko powróciło do poprzedniego stanu. A nawet było gorzej. Z reformy pozostała

tylko bulla. Warto może zacytować jej pompatyczny i ambitny początek:

"Zrządzeniem Boskim postawieni na strażnicy

Świętej Stolicy Apostolskiej, abyśmy zgodnie z naszą pasterską

posługą wyrwali z korzeniami to, co powinno być wyrwane,

i zasadzili to, co zasługuje na posadzenie, myślimy całą duszą

o reformie obyczajów, które - jak istotnie zaobserwowaliśmy - powszechnie upadają.

Dawne zbawienne prawa, przy

pomocy których sobory i papieże nakładali hamulce na lubieżność i skapstwo,

zostały złamane, pojawiła się rozwiązłość, której nie można już tolerować, ponieważ natura śmiertelnych skłania się do złego i nie zawsze niższe apetyty są

posłuszne rozumowi, lecz - jak mówi apostoł - rozum

staje się niewolnikiem grzechu. Będąc jeszcze tylko kardynałem pracowaliśmy w tym kierunku za pontyfikatu Piusa II,

Pawła II, Sykstusa IV i Innocentego VIII i już od początku

naszego pontyfikatu pragnęliśmy tę myśl przedłożyć wszystkim innym, ale ze względu na niezmiernie trudną sytuację,

w jakiej się znaleźliśmy na skutek wkroczenia Karola, króla Francji, byliśmy zmuszeni odłożyć tę sprawę aż do chwili obecnej. Rozpoczynamy więc reformę od naszej kurii rzymskiej, która musi się składać z osób należących do różnych chrześcijańskich narodów i dawać innym przykład cnotliwego życia".

Kazanie brzmiało dobrze, ale z jakże zdyskredytowanej ambony zostało wygłoszone!

MAŁŻEŃSTWA I SOJUSZE

W niewiele tygodni po śmierci księcia Gandii Aleksander wysłał Cezara, jako swego legata, do Neapolu na koronację nowego króla Federica.

Wstępował on na tron w niezmiernie trudnej chwili. Ostatnie wydarzenia polityczne i militarne poważnie osłabiły dynastię aragońską, a resztki jej autorytetu zostały zakwestionowane i zagrożone przez wichrzycielskich baronów. Największe jednak niebezpieczeństwa pochodziły z zewnątrz. Na królestwo wielu sobie ostrzyło apetyt, łącznie z papieżem, który chciał je zaanektować nie tyle po to, by powiększyć Państwo Kościelne, ile potęgę własnej rodziny.

Ponieważ w stolicy srożyła się wówczas zaraza, ceremonia odbyła się w Kapui, skąd dopiero potem Cezar udał się do Neapolu, gdzie zatrzymał się na dwa tygodnie. Tam poznał córkę hrabiego Alife, Marię Diaz Garlon, i został jej kochankiem. Kronikarz odnotowuje, że wydał na nią okrągłą sumkę 200 tysięcy dukatów. Ale nie ze swojej kieszy, lecz na konto króla, którego był gościem. Pogorszyło to jeszcze bardziej już i tak zły stan finansów aragońskich.

Kiedy wrócił do Rzymu, Federico odetchnął z ulgą.

Odetchnęli też baronowie, którzy podjęli na nowo swe spory i waśnie.

Podróż nie mogła zakończyć się pomyślniejszym wynikiem. Podporządkowanie królestwa Neapolu Kościołowi stało się faktem. Aragończycy i ich ewentualni

spadkobiercy,

chcąc nie chcąc, musieli teraz liczyć się z Rzymem, to znaczy z papieżem, który, choć niechętnie, zalegalizował ich oparte na kruchych podstawach aspiracje.

Cezar uzyskał także inwestyturę Benevento, oficjalnego lenna Kościoła, dla Giovanniego II, wnuka papieża i pierworodnego syna księcia Gandii. Również ten skandal nie wywołał żadnego skandalu, a jeśli nawet, to poszedł szybko w zapomnienie. Nie był zresztą pierwszy i wcale nie miał być ostatni.

Powróciwszy do Rzymu z początkiem września Cezar spostrzegł, że nabawił się owej "francuskiej choroby", która właśnie wówczas, przenoszona głównie przez wojsko, szerzyła się

w postaci niemal epidemicznej na całym kontynencie. Żadnemu z lekarzy nie udało się go wyleczyć i przez resztę swego

życia będzie nosił na twarzy i rękach odrażające stygmaty tej choroby.

Była to jedyna przykra strona pomyślnej misji. Papież nie ukrywał zadowolenia: to on sam, z Rzymu, dopilnował jej przebiegu. Choć wielu historyków temu zaprzecza, prawdziwym mózgiem polityki watykańskiej i borgiańskiej był Rodrigo. Cezar był tylko jego pozbawionym skrupułów narzędziem.

Jego swoboda działania była zawsze taka, jaką pozostawiał mu ojciec, inspirujący każde jego posunięcie. Słabość, jaką papież miał do syna, w niczym nie zmieniała tego stosunku zależności. Dopóki żył ojciec, syn zwyciężał. Nie chodzi o to,

że Cezar nie miał żadnego wpływu na Aleksandra. Miał, i to ogromny. Jednakże polityka borgiańska, w złym i w dobrym, była dziełem papieża. Cezar, główny beneficjent tej polityki, tylko jej sekundował.

To papież kazał mu zdjąć purpurę, którą on, obtorto collo, kiedyś włożył i która nigdy nie zmusiła go do złożenia

ślubów ani do wyrzeczeń. Gdyby nieudolny Juan nie umarł, trudno byłoby mu zrezygnować z kardynalskiego kapelusza, który w zamyśle Aleksandra miał się kiedyś zamienić w tiarę. Jednakże przedwczesna śmierć Juana pokrzyżowała te plany. Bez solidnej podpory doczesnej - a czyż może być lepsza podpora niż państwo teoretycznie zależne od Kościoła, ale faktycznie suwerenne? - niektóre cele musiałyby nieuchronnie stać się mirażami. Będąc więc zmuszeni wybierać między niepewnym pontyfikatem a pewnym księstwem, ojciec i syn wybrali to drugie.

Pierwszym krokiem do wykrojenia takiego księstwa w kalejdoskopowej magmie, jaką stanowił półwysep, był właśnie powrót Cezara do stanu świeckiego. Powrót niełatwy nawet dla papieskiego syna. Brakowało bowiem precedensu i Kolegium Kardynałów wahało się przed dokonaniem takiego gestu, który mógłby spowodować - i tak rzeczywiście się stało - wielką wrzawę. Mianowanie Cezara kardynałem wywołało swego czasu skandal, łatwo więc było przewidzieć, z jaką krytyką spotkałaby się decyzja o przywróceniu go do stanu świeckiego.

Ale przecież krytyka, nawet uzasadniona, nie mogła powstrzymać Aleksandra. To on był papieżem i jego wola nie podlegała dyskusji. "W piątek 17 sierpnia 1498 r. - notuje pilnie Burcardo - odbył się tajny konsystorz, na którym kardynał Valentino oświadczył, że już od dzieciństwa, całym sercem skłaniał się do stanu świeckiego, jednakże Ojciec Święty absolutnie żądał, aby poświęcił się stanowi duchownemu, a on nie uważał za właściwe sprzeciwiać się jego woli. Ponieważ jednak nadal całym swym sercem skłaniał się ku stanowi świeckiemu, błagał Świętego Naszego Pana, aby raczył aktem

specjalnej łaski zezwolić na wyrzeczenie się sukni duchownej i godności kościelnych, powrót do stanu świeckiego i zawarcie związku małżeńskiego; obecnie więc prosi przewielebnych księży kardynałów, by zechcieli wyrazić zgodę na taką dispensę". I wszyscy - dodaje mistrz ceremonii - "w jednomyślnym i zgodnym głosowaniu uznali, że decyzję dotyczącą takiej dyspensy należy pozostawić woli i wyrokowi Naszego Świętego Pana, papieża". A co innego mogliby zrobić? Nawet jeśli taka zgoda budziła w głębi ich dusz odrazę, musieli być posłuszni.

Nie wszyscy jednak byli posłuszni, gdyż nie wszyscy brali udział w tym konsystorzu, co zmusiło papieża do zwołania drugiego, na 23 sierpnia. Poleciał purpuratom, by byli obecni, gdyż poddane zostaną pod dyskusję sprawy wielkiej wagi, "dla dobra Kościoła". "Dobro" oznaczało zazwyczaj dobro Borgiów, a nie Boga. Po uzyskaniu placet Kolegium Kardynałów Aleksander chciał mieć też zgodę króla Hiszpanii, którą otrzymał w zamian za przekazanie prałatom iberyjskich beneficjów Cezara.

I tym razem wywołało to ogromne wrażenie, bo i tym razem nadużycie było ogromne. Sanudo tak to skomentował: "Gdy kardynał Aleria chciał się zrzec kapelusza, by zostać zakonikiem, na konsystorzu było wiele głosów przeciwnych, ten zaś wszystkie głosy miał za sobą. Tak więc w Kościele Bożym wszystko jest na opak".

Po zrzeczeniu się purpury Cezar mógł starać się o państwo. Ale jak to zrobić? Zdobyć je zbrojnie czy wejść w koligację z jakimś władcą i zapewnić sobie po nim sukcesję? W porozumieniu z ojcem wybrał tę drugą drogę. Jak można było przewidzieć, swe awanse skierował najpierw w stronę Neapolu nie tylko dlatego, że to królestwo, choć słabe i podzielone, było pod względem obszaru i liczby

ludności jednym z największych we Włoszech, ale również z tego względu, że Borgiowie byli już z nim powiązani.

W 1494 r. - jak już wspominaliśmy - Jofre ożenił się z Sancią, a w lipcu 1498 r., na kilka miesięcy przed rezygnacją Cezara z kapelusza kardynalskiego, Alfons d'Aragon, księżę Bisceglie, brat Sancii i naturalny syn zmarłego Alfonsa II, pojął za żonę Lukrecję.

Tutaj musimy się cofnąć w czasie. Pozostawiliśmy córkę papieża w momencie, gdy zaczęła mieć kłopoty ze swym pierwszym mężem, bezbarwnym i niezdecydowanym Sforzino. Nie było to małżeństwo z miłości, lecz związek polityczny zawarty wyłącznie z wyrachowania. Lukrecja, która miała wówczas 13 lat, uległa posłuszenie woli ojca. Nie kochała Giovanniego, a Giovanni nie kochał jej. Szczegół to zresztą bez znaczenia, jako że to małżeństwo nie było uwieńczeniem uczucia, lecz miało umocnić sojusz, który zresztą potem stał się kulą u nogi Aleksandra, przeszkodą w jego planach podboju południa.

Po ślubie Jofrego z Sancią, małżeństwo Lukrecji z Alfonsem, księciem Bisceglie, miało utorować drogę do małżeństwa Cezara z Carlottą, prawowitą córką Federica II z Neapolu. Było wszakże jedno "ale", Sforzino, który za żadną cenę nie chciał zrezygnować z żony. I rzeczywiście, kiedy papież zażądał, by się z nią rozwiódł, otrzymał odmowną odpowiedź. Nawet oskarżenie - niesłuszne - o impotencję nie wpłynęło na zmianę jego stanowiska, a nawet jeszcze je umocniło. Wtedy to - zdaniem ówczesnego kronikarza - teść i szwagier postanowili go usunąć: "Pan Giovanni Sforza i madonna Lukrecja Borgia zostali w uprzejmy sposób zaproszeni do Rzymu. Tam pewnego wieczoru - a był

w komnacie wspomnianej pani Jacomino pokojowiec pana
Giovanniego - przybył księżę Valentino, jej brat, a Jacomino, aby nie być widziany,
na jej rozkaz skrył się za krzesłem. Valentino, nie wiedząc nic o Jacominie i
rozprawiając
swobodnie z siostrą, powiedział między innymi, że wydano
rozkaz zabicia pana Giovanniego Sforzy, aby dać ją za żonę
margrabiemu Ferrary. Gdy Valentino wyszedł, pani Lukrecja powiedziała
Jacominowi: "Słyszałeś, co powiedziano?
Zawiadom go o tym" Pokojowiec natychmiast wykonał
rozkaz, pan Giovanni wsiał na tureckiego konia i popuściwszy cugli, galopując
przez 24 godziny, przybył do Pesaro,
gdzie koń natychmiast padł". Mamy wątpliwości, czy ta
relacja jest prawdziwa. Gdyby Borgiowie mieli naprawdę zamiar zamordować
Sforzina, nie informowaliby o tym jego
żony.

Wykluczamy, aby chcieli go zabić. Pokrewieństwo, choć
dalekie, Giovanniego z Morem i kardynałem Ascaniem odradzałyby taki krok.
Zresztą to, że Sforzino bał się o swoje życie
do tego stopnia, że aż uciekł z Rzymu, niekoniecznie oznaczało, że Aleksander i
Cezar chcieli go zlikwidować. W Rzymie był on już obcym, unikali go przyjaciele,
wrogowie z niego kpili. Ambasador Stefano Terra wyraża przypuszczenie,
że przyczyną jego powrotu do Pesaro było bezwstydnne prowadzenie się żony.
Dlaczego jednak przybywszy do tego miasta
prosił ją, aby za nim tam przyjechała?

Papież głośno mówił o impotencji zięcia. Rozpuszczał
pogłoski, że nigdy nie "zbliżył" się on do Lukrecji, która pozostała czysta jak
dziewica. Mówiono także, że małżonkowie
zostali poddani dokładnemu i niedyskretnemu badaniu,
które potwierdziło dziewictwo żony i defekty męża. Były to
jednak tylko plotki.

Ponieważ Sforzino uparcie zapewniał o swej męskości, teść zwrócił się o pomoc do Mora, który nie odważył się jej odmówić. Kiedy więc Giovanni w przebraniu przybył do Mediolanu licząc na jego solidarność, Ludovico starał się go przekonać, aby się poddał i zgodził na rozwód. A jeśli będzie się upierał przy swoim, wówczas cofnie mu swą przyjaźń. Giovanni zareplikował, że Aleksander jest kochankiem Lukrecji, która obdarza także względami Cezara (Sannazzaro nazwał ją jadowicie "córką, żoną i synową papieża"). Ludovico zażądał od krewniaka, by publicznie złożył dowód swej męskości odbywając z żoną stosunek w obecności komisji ekspertów i prałatów. Giovanni jednak odmówił. Również druga propozycja, nie mniej upokarzająca i nieprzyzwoita, by tę próbę przeprowadził ze zwykłymi kurtyzanami, została z pogardą odrzucona przez nieszczęśnika, zdecydowanego bronić swego honoru. Czyż jego pierwsza żona, Magdalena Gonzaga, nie zmarła przy porodzie? Papież co prawda rozpuścił pogłoskę, że sprawcą jej odmiennego stanu był ktoś inny, ale jakie dowody mógł przytoczyć na uzasadnienie takiego oszczerstwa? Krótko mówiąc, Sforzino nie zamierzał się ugiąć. Powiedział to bez ogródek kardynałowi Ascaniowi: "Nie mogę zgodzić się z tym postanowieniem, którego ani Bóg, ani żaden rozumny człowiek nie może pojąć, a gdybym nawet się zgodził, nie byłoby ono ważne z racji tego, co było między mną a wspomnianą madonną Lukrecją, o czym obszernie mówiłem z księciem, panem Mediolanu, a o czym nie chcę teraz mówić i nie powiem, nawet jeśli użyje się wobec mnie siły". Dodał też, że raczej "poświęci życie i państwo" niż ustąpi.

Ale ta próba sił nie mogła się przedłużyć między innymi dlatego, że papieżowi spieszo było unieważnić ten związek

i doprowadzić do nowego małżeństwa. Kiedy wreszcie Sforzino zdał sobie sprawę, że upierając się może naprawdę "stracić życie i państwo", skapitulował. I 20 grudnia 1497 r. małżeństwo zostało unieważnione.

Koszty tej drażliwej sprawy, jakby wziętej z książki Boccaccia, zapłacił jednak nie tylko Giovanni. Szwanek ponieśli

również Borgiowie. Oskarżenie o kazirodztwo rozeszło się bowiem szybko po całym półwyspie i przedostało za Alpy.

Prawdziwe czy fałszywe - a wszystko na to wskazuje, że fałszywe - podniecało wyobraźnię i dawało asumpt do najbardziej pikantnych oszczerstw. Wielu wrogów Borgii - od

Sannazzaro po Pontano, od Matarazzo po Guicciardiniego

- podchwytywało je i rozpowszechniało w swoich pismach i pamfletach.

Wiadomo było, że papież wcale nie jest święty. Wiadomo też było, że nie jest nim Cezar. Nikt jednak nie mógł udowodnić i nie udowodnił, że obaj korzystali ze względów córki

i siostry. Gdyby rzeczywiście istniały między nimi stosunki

kazirodcze, Burcardo w swoim nader pedantycznym i beznamiętnym Dzienniku wspomniałby o nich. Historii, a nawet

kroniki nie pisze się na podstawie "mówi się". Można tylko pisać skandalizujące powieści.

Jeśli zaś chodzi o Lukrecję, to robienie z niej "największej dziwki Rzymu" jest co najmniej przesadą. Być może, biorąc

pod uwagę środowisko, w jakim żyła, powietrze, którym oddychała, nie była wzorem cnoty. Ale nie była też Mesaliną;

brakowało jej nie tylko temperamentu, ale i czasu. Kiedy

poślubiła Sforzina, miała zaledwie trzynaście lat, a gdy się

z nim rozwiodła, by wyjść za mąż za Alfonsa, księcia Bisceglie

- siedemnaście.

Na kilka miesięcy przed nowym ślubem, ojciec, aby

uciszyć nieco hałas wywołany zerwaniem z Giovannim, zamknął ją w klasztorze św. Sykstusa, gdzie -jak mówiły złośliwe języki - powiła dziecko. I w tym wypadku chodzi o legendę otoczoną dość nieprzeniknionym mrokiem tajemnicy.

Według oszczerców zaszła ona w ciążę z niejakim Pedrem Calderonem, zwanym Perotto, zaufanym pokojowcem papieża.

2 marca 1498 r. Cristoforo Poggio, sekretarz rodziny Bentivoglio, informował z Bolonii margrabiego Gonzagę, że ów

Perotto został wtrącony do więzienia za to, że Lukrecję "uczynił brzemienną". 14 lutego Burcardo zanotował: "W ubiegły

czwartek, 8 bieżącego miesiąca, Perotto wpadł nie z własnej woli do Tybru i dzisiaj z tej rzeki został wyłowiony, o czym się dużo mówi w Rzymie". A więc pokojowiec został uwięziony

i wrzucony do Tybru. Dlaczego wobec tego wenecki ambasador Paolo Capello w Liście do Silvia Savelli napisał: "Cezar

podobno własną ręką, w obecności papieża, zabił pana Perotto tak, że krew trysnęła na twarz papieża, którego Perotto był faworytem"?

Jeśli Perotto naprawdę został zabity za to, że uczynił

Lukrecję brzemienną, to dlaczego Burcardo o tym nie

wspomina? Dlaczego pogłoski szerzą się w Wenecji i w Bolonii, ale nie w Rzymie?

W tym "kryminale" czujemy jakiś

smród. Być może słuszność ma Ferrara, który pisze: "W tym,

co się mówi na temat śmierci Perotta, tkwi potrójna sprzeczność. Według Burcarda znalazł on śmierć w Tybrze, według

Poggio - w więzieniu, według Listu do Silvia Savelli

- w czasie gwałtownej sprzeczki w Watykanie. Późniejsi historycy zsumowali

wszystkie trzy wersje: Perotto został aresztowany, następnie doprowadzony do

Watykanu, zabity w obecności papieża, wrzucony do Tybru i wreszcie wyłowiony przez

te same władze, które go tam wrzuciły. O owym rzekomym

dziecku Lukrecji nic nie wiadomo, znika z klanu Borgiów, który przecież chroni, pomaga i wynosi do góry wszystkich swoich członków, a zwłaszcza bękarty".

Nieuzasadnione więc wydaje się utożsamianie tego nigdy nie urodzonego dziecka ze słynnym "rzymskim infantem", który urodził się w tym samym czasie, ale nie z łona Lukrecji, choć jej właściwie go przypisywano. "Historia - pisze Fusero - nie może uczynić nic innego, jak tylko stwierdzić jego istnienie nie żądając od niego dokładnego udokumentowania swego pochodzenia i wystrzegając się przede wszystkim dowiadywania się imienia matki". Na chrzcie dano mu imię Giovanni. W sierpniu 1501 r. w wieku trzech lat otrzymał inwestyturę księstwa Nepi; rósł u boku Lukrecji, która nazywała go zawsze bratem i jako taki figuruje w dotyczących go dokumentach. Kiedy 8 lipca 1519 r. przebywając we Francji otrzymał wiadomość o śmierci Lukrecji, napisał do księcia Alfonsa d'Este, że żadna w świecie strata nie byłaby dla niego bardziej bolesna niż śmierć "księżnej pani, mojej siostry". I nie wydaje się, aby ktokolwiek - poza bredzącymi o kazirodztwie - podawał kiedykolwiek w wątpliwość, że byli rodzeństwem. Podejrzliwy Alfons d'Este, który nie pozwolił nigdy Lukrecji przyjmować na dworze w Ferrarze jej legalnego syna z drugiego małżeństwa, z całą pewnością nie zgodziłby się na przyjmowanie tam księcia Nepi, gdyby Lukrecja nie była jego siostrą, lecz matką i miała go z kochankiem.

Któż więc był ojcem "rzymskiego infanta"? A kto matką?

W bulli papieskiej z 1 września 1505 r. stwierdza się, że jest to syn Cezara Borgii i kobiety wolnego stanu. W drugiej bulli z tego samego dnia nazywa się go synem papieża i tej samej kobiety. Wierzmy bardziej drugiemu dokumentowi niż

pierwszemu. "Rzymski infant" był najprawdopodobniej synem papieża i Giulii, ale dla uniknięcia skandalu przypisano go Cezarowi. Druga bulla miała uzasadnić inwestyturę "infanta" jako księcia Nepi na wypadek, gdyby ją ktoś kwestionował. Miano ją ujawnić tylko wtedy, gdyby ktoś podał w wątpliwość prawa bastarda. Są to oczywiście tylko domysły, ale oparte na dość przekonujących przesłankach. Jedno w każdym razie jest dla nas pewne: Lukrecja nie ma z tym nic wspólnego.

Wątpimy bowiem, aby podejrzliwy i wyrachowany król Neapolu zezwolił w takiej sytuacji na ślub swego bratanka z córką papieża. A ślub odbył się normalnie w pałacu watykańskim 21 lipca 1498 r. Pan młody był o rok młodszy od oblubienicy, która miała 18 lat, i wyglądał jak Adonis: jasnowłosy, dobrze zbudowany, zwinny, o miłym charakterze. Lukrecja zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Kochała go tak, jak nigdy nie kochała Sforzina i jak nigdy nie pokocha nikogo innego. Ale i to małżeństwo nie było szczęśliwe. I nie dlatego, że mąż i żona nie zgadzali się ze sobą, wręcz przeciwnie, zgadzali się doskonale. Ale dlatego, że i tym razem

- a nie będzie to ostatni raz - wmieszała się w to polityka.

Po ślubie Lukrecji z Alfonsem miał nastąpić drugi, ważniejszy związek: Cezara z córką Federica, Carlottą, który byłby podstawą żelaznego przymierza między Borgiami a Aragończykami. Dziewczyna jednak przebywała we Francji, na dworze nowego króla, Ludwika XII. Niedawno temu objął on sukcesję po Karolu VIII, który zmarł uderzywszy głową w architrav. Nie miała najmniejszej chęci wychodzić za mąż za Cezara, gdyż była zakochana w kimś innym. Jeśli zaś chodzi o jej ojca, to dostrzega! on dobrze ryzyko związane

z tym małżeństwem: ślub córki z Cezarem mógłby przesądzić o sukcesji na tronie, który wpadłby w szpony Borgiów. Aleksander i Cezar potrzebowali mediatora i to nie było jakiego.

A ktoś mógłby być lepszy od Ludwika, który z kolei sam potrzebował papieża, gdyż chciał się rozwieść ze swą żoną Joanną, kobietą monstualną, z garbem z przodu i z tyłu, by ożenić się z wdową po swoim poprzedniku, piękną Anną Bretońską? Bez zgody papieża zawarcie tego nowego małżeństwa, niezbędnego Ludwikowi do skonsolidowania unii z Bretanią - której Anna była jedyną dziedziczką - byłoby niemożliwe.

Obydwie strony miały jednak także inne powody, by dążyć do porozumienia. Rezygnując z kapelusza kardynalskiego Cezar wyrzekł się wszystkich beneficjów kościelnych i związanych z nimi wielkich dochodów, szacowanych na około 35 tysięcy dukatów. Gdyby Ludwik dał mu dwa lenna, Valentinois i Diois w południowej Francji, do których Kościół rościł sobie zresztą od dawna prawa, wynagrodziłby sobie te straty.

Ludwik ze swej strony, poza zezwoleniem na rozwód, potrzebował kapelusza kardynalskiego dla arcybiskupa Rouen, Georges d'Amboise, największego ze swych faworytów, oraz papieskiego poparcia przy podboju księstwa Mediolanu i królestwa Neapolu. Poza Valentinois i Diois ofiarował Cezarowi sześć okrętów, którymi miał on przy płynąć do Francji, "stu żołnierzy" i "roczną pensję w wysokości 10 tysięcy franków", hrabstwo Asti oraz osobiste poparcie w jego walce z wikariuszami apostolskimi w Romanii; o tej sprawie nie należało rozmawiać z Federico, chyba że "za pośrednictwem Jego Świątobliwości".

To ostatnie ustępstwo było raczej dwuznaczne. Ludwik

wiedział, że sprzyjając małżeństwu Cezara z córką Federica popierał roszczenia Borgiów do tronu aragońskiego. Ale wiedział też, że jest silniejszy od papieża i że w odpowiedniej chwili to królestwo będzie jego. Wiedział wreszcie, że Aleksander i Cezar patrzą pożądliwie na Romanię i gorąco pragną dostać ją w swoje ręce. Gdyby Francja pomogła im poskromić swarliwych tyranów, wówczas Borgiowie może by zrezygnowali z Neapolu. 17 sierpnia 1498 r., w tym samym dniu, w którym Cezar poprosił o zezwolenie mu na powrót do stanu świeckiego, Ludwik wysłał do Rzymu swego emisariusza z patentem inwestytury księstwa Valence (druga Walencja, po hiszpańskiej) i otaczającego ją regionu Valentinois dla młodego Borgii. Pozostało mu tylko przebyć Alpy, aby podpisać porozumienie i przejąć lenno. Król Hiszpanii powiadomił, że dezaprobuje projekt tej podróży, podobnie jak był przeciwny powrotowi Cezara do stanu świeckiego. I wszelkimi sposobami starał się jej przeszkodzić lub przynajmniej ją odwlec. Obawiał się nie bez racji, że sojusz między Ludwikiem a papieżem będzie dla niego niekorzystny. Aleksander jednak zachował przytomność umysłu. Syn - powiedział - jedzie do Francji jako zwykły obywatel, a nie jako jego wysłannik, to znaczy będzie reprezentował tylko samego siebie. Rozpoczęły się więc przygotowania do podróży, opóźniane wszakże z powodu nieudzielenia jeszcze Ludwikowi dyspensy: Kolegium Kardynałów było podzielone i dyskusje się przedłużały. Ekspedycja spóźniała się jednak również z innych powodów. Valentino - tak od razu po otrzymaniu lenna Valence nazwano Cezara - chciał zrobić jak najlepsze wrażenie na Ludwiku i jego poddanych i pokazać się im z orszakiem i ekwipunkiem godnym swojej pozycji.

Rzymskie sklepy złotnicze zostały ogołoczone. Krawcy, szewcy pracowali dzień i noc, by dostarczyć młodemu Borgii odpowiedniej garderoby. Cezar pożyczył od margrabiego Mantui konie, a od Ippolita, kardynała Ferrary, orkiestrę. Kazał także zrobić sobie "wygódkę pokrytą z wierzchu złotym brokatem, a w środku kaszmiem, ze srebrnymi nocnikami umieszczonymi w srebrnym uryale". Kiedy wszystko było gotowe, ruszył w podróż z listem ojca do Ludwika, z 200 tysiącami dukatów w kieszeni zabranymi skazanemu na śmierć za herezję biskupowi Calahorry.

Towarzyszyli mu baron de Villeneuve, majordom Ramiro de Lorca, lekarz Gaspare Torella, sekretarz Agapito, przeszło 30 rzymskich szlachciców oraz chmara sług, giermków, paziów i stajennych. W Civitavecchia karawana załadowała się na sześć statków, oddanych do dyspozycji Cezarowi przez Ludwika. Wzięto kurs na Marsylię, gdzie Valentina powitano jak monarchę.

Z Marsylii pojechał do Awinionu, gdzie oczekiwał go Giuliano della Rovere, który przyjął Cezara bardzo wylewnie i obsypał prezentami. Następnie pojechał do Valence, stolicy swego księstwa, która mu ofiarowała 12 woskowych świec, 12 szkatulek słodyczy, 6 beczulek białego i różowego wina. Potem dotarł do Chinon, ówczesnej siedziby dworu królewskiego. Ponieważ Cezar nie był ani księciem krwi, ani głową państwa, Ludwik nie mógł mu zgotować przyjęcia, jakiego by pragnął i on, i jego gość. Udali, że spotykają się przypadkiem na polowaniu, o dwie mile od pałacu królewskiego.

Przybywszy do pałacu młody Borgia został wprowadzony do jadalni króla, który odpowiedział na jego ukłon zdjęciem beretu. Wówczas Valentino schylił się, by ucałować mu stopę,

lecz Ludwik wyciągnął rękę, którą on dotknął wargami. Po kolacji - opowiada Sanudo - Cezar "powrócił do komnaty króla, gdzie pozostał aż do czwartej nad ranem, a król nie szczędził mu pochlebstw. Nazajutrz po południu Ludwik wezwał go do siebie i w towarzystwie paru osób poszli do kobiet". Trzeciego dnia rozpoczęły się wreszcie rozmowy. Mówiono o rozwodzie Ludwika i ślubie Cezara, o podboju Mediolanu i Neapolu. Ta ostatnia sprawa była przedmiotem długiej dyskusji, gdyż obaj pragnęli aragońskiej korony. "Aleksander VI i jego syn - stwierdza wnikliwie Sacerdote - żyją, można by powiedzieć, z dnia na dzień, i w swoim pragnieniu znalezienia państwa dla Cezara błądzą wzrokiem po różnych regionach Włoch: raz ich oczy spoczną na Sienie, raz na Pawii, kiedy indziej na Rawennie lub Neapolu. Najdłużej zatrzymują się na Neapolu, który dla urzeczywistnienia wielkich marzeń Valentina stanowiłby najważniejszy punkt wyjścia i oparcia. Kiedy jednak Borgiowie obiecują pomoc królowi Francji w zawładnięciu tym królestwem, wiedzą jednocześnie, że nie stwarzają przeszkód w realizacji własnego projektu, ale że pod pozorem udzielania pomocy Ludwikowi XII zapewniają sobie jego pomoc. Niechaj więc król Francji przyjdzie i przepędzi Aragończyków i usadowi się w Castel Novo. Nie pozostanie tam zbyt długo. Neapolitańczycy szybko go się pozbędą. W wyniku jednak małżeństwa z córką króla Cezar Borgia wystąpi z roszczeniami do sukcesji, a ponieważ z pomocą tegoż Ludwika XII stanie się władcą Romanii i unieszkodliwi baronów, będzie mu łatwo ogłosić się królem Neapolu".

Łudził się jednak. Federico był twardym orzechem do zgryzienia i tylko król Francji groźbą lub pochlebstwem mógłby rozproszyć jego nieufność i skłonić do zgody. Założywszy oczywiście, że naprawdę chciał to zrobić, w co wątpimy. To

on sam pragnął zaanektować Neapol, a także zawładnąć Mediolanem. Papież o tym wiedział, choć udawał, że nie wie. Wiedział tak dobrze, że kazał Cezarowi powiadomić króla o nominacji dell'Amboise'a na kardynała, ale nie o udzieleniu Ludwikowi dyspensy. Kroniki nie mówią, kiedy dokładnie mu jej udzielił. Zanotowały tylko, że 7 stycznia Ludwik poślubił Annę, a Valentino dostał w nagrodę pannę Issoudun.

Tymczasem poza Francją sojusz między tiarą a liliami budził zakłopotanie i obawy. Moro widział w tym zagrożenie dla własnego księstwa, Aragończyk dla swego tronu. Król Hiszpanii znalazł się między rzymskim kowadłem a francuskim młotem; to już był szczyt wszystkiego, że kataloński papież wdał się w konszachty polityczne z jego najgorszym wrogiem. Musiał coś zrobić i to szybko. W tym celu wysłał do Rzymu dwóch ambasadorów.

Ich rozmowa z papieżem była burzliwa: oskarżyli go przede wszystkim o to, że pozwolił Cezarowi na zrzucenie sutanny, następnie insynuowali, że to Bóg chciał śmierci księcia Gandii, aby ukarać swego wikariusza za jego winy. Aleksander zareplikował z wściekłością: "Waszych królów Bóg bardziej doświadczył, bo odebrał im potomstwo, za to, że wtrącali się w sprawy kościelne". Kiedy po miesiącu dwaj wysłannicy, tym razem w towarzystwie swoich neapolitańskich i portugalskich kolegów, podjęli znów swą misję, papież wyraził wątpliwości co do uczciwości ich monarchini i zagroził, że jeśli nie będą mu okazywać większego szacunku, każe ich wrzucić do Tybru.

Tymczasem za Alpami rokowania między Valentinem a Aragończykiem w sprawie ślubu spełzły na niczym: Federico i jego córka nie chcieli nawet o nim słyszeć. Ludwik

z trudem ukrywał rozczarowanie, a dwór się z niego śmiał.

Cezar obrażony z powodu tylu sprzeciwów zagroził, że powróci do Rzymu, ale ojciec kazał mu zostać. Jego nagły powrót wyglądałby na afront i sprawiłby, że obydwaj straciliby

twarz. Skorzystały z tego Mediolan, Neapol i Florencja, by oferować Aleksandrowi sojusz. Ojciec i syn natychmiast oświadczyli, że są gotowi przyjąć ofertę, ale kiedy 9 lutego sprzymierzeni Wenecjanie i Francuzi wezwali Borgiów, by się do nich przyłączyli, ci zmienili zdanie. Spowodowało to na nowo usztywnienie stanowiska Federica, co w rezultacie doprowadziło do rozpadu tego bardzo kontrowersyjnego przymierza. Cezar musiał sobie szukać innej żony. Ale gdzie?

Na dworze francuskim roiło się od panien na wydaniu:

pięknych, uczonych, błyskotliwych, z najlepszych domów. Nie wszystkie miały takich ojców jak Federico i nie wszystkie miały szkorbut jak Carlotta. Ludwik, który się zobowiązał ożenić swego gościa, osobiście zajął się selekcją. Przyjrząwszy się wszystkim możliwym kandydatkom wybrał Carlottę d'Albret, szesnastoletnią córkę Alaina i siostrę króla Nawarry. Nie była Aragonką, ale nie brakowało jej uroku.

Ojciec nie stawiał przeszkód, a tym bardziej brat, który potrzebował Ludwika, gdyż jego królestwu nieustannie zagrażali Hiszpanie. W zamian za to Alain zażądał kapelusza

kardynalskiego dla swego syna Amanieu, 100 tysięcy dukatów w posagu oraz przekazania córce wszystkich dóbr męża

w razie, gdyby go przeżyła. Ludwik zaprotestował mówiąc, że

100 tysięcy dukatów to za dużo. Uczynił tak między innymi

dlatego, że zgodnie z porozumieniem te pieniądze miał wypłacić z własnej kieszeni.

Po wyczerpującej szarpaninie i targach uzyskał obniżkę.

10 maja 1499 r. w królewskim zamku w Blois odbyła się

ceremonia zaślubin. Po bardzo skromnej uroczystości religijnej, w której uczestniczyło niewiele osób (dziwne, że nie było ojca Carlotty), odbyły się jak zwykle uczyty, bale, turnieje.

23 maja - opowiada Burcardo - przybył do Rzymu francuski kurier, by powiadomić papieża, że Cezar poślubił Carlottę i skonsumował małżeństwo, złożwszy osiem razy ofiarę na ołtarzu Wenery. Wyczyn ten został potwierdzony przez Ludwika, który wyznał, że nie udało mu się dokonać aż tyle z własną żoną, choć ją kocha do szaleństwa. W związku z tym pojawiła się pogłoska - zapisana przez kronikarza - że Cezar, aby wzmóc swą męskość, poprosił aptekarza o afrodyzjak, ale ów przez pomyłkę dał mu pigułki przeczyszczające.

W rezultacie biedny oblubieniec "całą noc" spędził w wygodce, zamiast w małżeńskim łóżu. Ta pogłoska została jednak wkrótce zdementowana.

Aleksander nie ukrywał zadowolenia. Ten rekord, który sam w przeszłości wielokrotnie osiągał, przepelniał go dumą.

Sukcesja - a to najbardziej leżało mu na sercu - byłaby więc zagwarantowana, a dynastia miałaby zapewnione trwanie.

Teraz Cezar mógł już powrócić do Rzymu. Zanim jednak wyruszył w podróż, mianował niejakiego Charlesa Seytre swoim namiestnikiem w Valentinois i Diois, po czym wraz z Ludwikiem wyjechał do Lyonu wstępując po drodze do Issoudun.

Tam przekazał swej żonie pełną władzę nad wszystkimi swoimi posiadłościami i w lipcu (1499 r.) pożegnał się z nią.

Nigdy już się nie zobaczyli. 9 września dotarł do Grenoble, skąd udał się do Mediolanu. Zaledwie przekroczył jego bramy, napisał do Seytre'a list polecając jego opiece żonę i powierzając mu zarządzanie lennami.

Dlaczego Carlotta, która w maju następnego roku powije córkę, nie pojechała za nim? Dlatego, że była brzemienna?

By nie oddalać się od swoich posiadłości? Dlatego, że Ludwik, który nie dowierzał - i miał rację - Borgiom, którzy z kolei nie dowierzali - i słusznie - jemu, uważał ją za zakładniczkę? A może z tych wszystkich powodów razem wziętych?

XI

KSIAŻĘ ROMANII

6 października 1499 r. Ludwik XII i jego "kuzyn" Cezar wkroczyli triumfalnie do Mediolanu. Miesiąc wcześniej, 6 września, miasto dostało się w ręce Giana Giacomu Trivulzia, dowódcy wojsk francuskich. Był to łatwy podbój: Moro musiał sam stawić czoło potężnemu wrogowi, gdyż wszyscy, nawet krewni i byli sojusznicy albo przyłączyli się do Ludwika, albo zachowali neutralność.

Koalicja antysforzowska, na której czele stali Francuzi, wydawała się niezwyciężona. Mogła ona liczyć, poza poparciem Borgiów, również na poparcie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Weneckiej, która gorąco pragnęła rozszerzyć swą ekspansję na Lombardię, solidarność Ferrary i Mantui oraz na bezstronność Florencji, która wcale się nie pogodziła z utratą Pizy. Jeśli zaś chodzi o Maksymiliana I, który ożeniwszy się z Biancą Marią Sforza skolidował się z Ludovikiem, to zmagał się on ze szwajcarskimi rebeliantami i nie mógł nikomu przyjść z pomocą. Niepewną sytuację księcia pogarszała jeszcze jawna wrogość poddanych; jego już i tak chwiejny tron zaczął się chwiać jeszcze bardziej.

W ostatnich czasach prestiż Sforzów całkowicie upadł.

Księżciu dochoowało wierności tylko 3 tysiące piechoty pod wodzą Bernardina da Corte, któremu Ludovico powierzył obronę zamku Sforzów, warowni bardzo potężnej, w zasadzie nie do zdobycia. Sam Moro wołał prosić o schronienie swego

powinowatego, cesarza, i uciec do Niemiec, gdzie już przebywały jego dzieci, brat, kardynał Ascanio oraz skarbiec książęcy zawierający 200 tysięcy dukatów.

Po zdobyciu bez jednego strzału miasta, Trivulzio przypuścił szturm do zamku, którego obrońcy, mając znaczne zapasy żywności i amunicji, mogliby dokonywać niebezpiecznych wypadów i pozyskiwać dla sprawy księcia zmienną w nastrojach ludność. Jak jednak zdobyć ten zamek? Można go zbombardować, ale wówczas zostałby zniszczony i nie uniknęłoby się przelewu krwi. Można by obrońców wziąć głodem, ale oznaczałoby to stratę cennego czasu. Ktoś chytrze zaproponował, aby przekupić da Corte, który w zamian za pokaźną sumę pieniędzy oddał istotnie twierdzę w ręce wroga. Moro pełen odrazy, jaką wywołał w nim ten gest, nie mniej nikczemny niż jego własna ucieczka, tak to skomentował: "Od czasu Judasza nie było większego zdrajcy niż Bernardino Curzio".

Kiedy Ludwik wraz z Cezarem wkroczył do Mediolanu, powitano go raczej jak wyzwoliciela niż najeźdźcę. To, że był cudzoziemcem i sięgał po koronę, do której nie miał najmniejszych praw, wcale nie przeszkadzało 300 tysiącom obywateli w wiwatach. Udzielanie pomocy zwycięzcy i oddawanie mu się w służbę było przez stulecia ulubionym zajęciem naszego ludu. I jest nim nadal. Z tych radosnych nastrojów skorzystał oczywiście również książę Valentino. Król traktował go jak równego sobie.

Podnosiło to prestiż młodego Borgii. Te wielkie względy nie były podyktowane ani przyjaźnią, ani sympatią, lecz tylko cynizmem i wyrachowaniem. Ludwik potrzebował Cezara, a Cezar Ludwika. Ani jeden, ani drugi nie miał złudzeń co do trwałości sojuszu zawartego w imię obopólnych interesów. Interesów, które mogłyby być nawet zbieżne i były zbieżne, ale już jutro mogłyby stać się sprzeczne i przekształcić kruchą

przyjaźń we wrogość. Borgiowie mieli sprzyjać podbojowi Mediolanu i Neapolu przez Francuzów, Ludwik miał pomóc Cezarowi i dać mu *carte blanche* w czekającej go walce z baronami Romanii.

To ostatnie przedsięwzięcie było kosztowne i ryzykowne, region był bowiem ogarnięty chaosem. Suwerenność papieża była tu jedynie czysto formalna. Wikariusze, którzy zarządzali w imieniu papieża, byli od niego zależni tylko na papierze.

W rzeczywistości postępowali tak jak im było wygodnie. Nie uznawali ani reguł, ani praw, ani wiary, ani moralności. Nieokiełznani, ambitni, okrutni, pełni wszelkich przywar i nałogów, gotowi popełnić każde oszustwo, znienawidzeni przez

poddanych, zwalczali się nawzajem nie przebierając w środkach.

Byli najgorszym cierniem w ciele Kościoła. "Byli oni biedni - pisze Machiavelli w Rozważaniach - a chcieli żyć bogato, dlatego musieli chwycić się wszelkiego rodzaju niecznych

sposobów wzbogacania się, nie gardząc żadnym wybiegiem.

Na przykład ogłaszali prawo, które czegoś wzbraniało, po czym własnym postępowaniem zachęcali do nieprzestrzegania go i nie karali pierwszych przeciwko niemu wykroczeń;

dopiero kiedy winowajców zebrało się wielu, przypominali sobie, że trzeba ich ukarać. Nie chodziło im oczywiście

o zapewnienie poszanowania tego prawa, lecz o to, aby zaspokoić swą chciwość ściągając od winnych grzywny. Wynikało stąd wiele zła: poddani ubożeli, a nie stawali się lepsi;

silniejsi z nich starali się wyrównać sobie straty kosztem słabszych"*.

* N. Machiavelli, Książę. Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza. Warszawa 1984, s. 237-238.

Podjęmowane przez papieży próby przywrócenia porządku lub przynajmniej ograniczenia chaosu nie zostały uwieńczone sukcesem. Tyrani byli twarde

orzechem do zgryzienia, a milicja papieska zbyt słaba, by zmusić ich znów do pełnienia funkcji wikariuszy, a poddanych do posłuszeństwa.

W swej aroganckiej samowoli nie wypełniali nawet zobowiązań wobec Kościoła, odmawiając płacenia należnych podatków.

Terytoria pozostające w ręku tych bezczelnych wasali obejmowały Imolę i Forlì, lenna Cateriny Sforzy, Faenzę zarządzaną przez Astorre Manfrediego; Rawennę i Cervię kontrolowane przez Wenecję, pod której "opieką" pozostawało również Rimini.

Borgiowie zdawali sobie sprawę, że siły, jakimi dysponowali, były niewystarczające i że tyrani, mocno między sobą skłóceni, w razie zagrożenia mogliby połączyć się w koalicję. Była ponadto "Najjaśniejsza", która wcale nie zamierzała zrezygnować z trzech nadadriatyckich miast.

Tak więc kampania, pełna niewiadomych, z trudem doszłaby do skutku bez interwencji lub poparcia Ludwika, najpotężniejszego wówczas monarchy w Europie.

Jaki włoski

książę, jaka liga państw mogłaby bowiem stawić mu czoło?

Lepiej więc wspomagać jego plany, a przynajmniej nie przeszkadzać.

Francuska pomoc dla Cezara znalazła konkretny wyraz

w oddaniu mu do dyspozycji 300 lanc, to znaczy 300 taktycznych jednostek kawalerii dowodzonych przez Yvona

d'Alegre, oraz 4 tysięcy żołnierzy gaskońskich i szwajcarskich

pod wodzą bailifa (włodarza) Dijon. Do tych kontyngentów

przyłączono oddziały żołnierzy zwerbowanych w Cesenie przez

Achille Tibertiego i Ercole Bentivoglia, a także małą armię

papieską. W sumie 15 tysięcy ludzi (niektórzy twierdzą, że nie było więcej niż 10 tysięcy). Wyprawa nie mogła się zacząć pod

lepszymi auspicjami.

Nikt już nie miał wątpliwości co do przyczyn rozpoczęcia

tej kampanii, Borgiowie nie czynili zresztą z tego tajemnicy.

Cezar zrećnie manipulowany przez ojca, który był mózgiem tej operacji, nie zadowoliliby się zlikwidowaniem despotów i spacyfikowaniem regionu. Chciał stworzyć tam własne, osobiste dominium, czyli przekształcić owe terytoria - niegdyś należące do Kościoła - w załączek dynastycznego państwa odnoszącego się z respektem do papieżstwa, ale faktycznie niezależnego.

Wiele dyskutowano nad rozmiarami tego państwa. Jakie terytorium miało objąć? Jak daleko sięgałyby jego granice?

Na te pytania nawet Borgiowie nie byliby w stanie odpowiedzieć. Czy Cezar naprawdę pragnął zjednoczenia półwyspu zaczynając właśnie od Romanii, tego nie wiemy i prawdopodobnie on sam też tego nie wiedział. Jego ambicje i ambicje Aleksandra były ogromne, ale ani jednemu, ani drugiemu nie brakowało realizmu. Nie przeceniali oni - zwłaszcza Aleksander, który był przezornym politykiem i przebiegłym dyplomata - własnych sił i nie lekceważyli sił przeciwnika, którym byli nie tylko tyrani Romanii, Wenecjanie, Florentczycy, lecz także rzymscy baronowie oraz kardynałowie, począwszy od della Rovere. Gra szła o dużą stawkę, a jej wynik, mimo francuskiego poparcia, nie był wcale przesądzony. Każdy gest musiał więc być przemyślany, każdy ruch wymagał namysłu i przenikliwości. O losach walki miały bowiem zdecydować nie tylko wojska, lecz także przebiegłość stron. A tej Borgiom nie brakowało, o czym świadczył ich sojusz z Ludwikiem.

Po niezmiernie serdecznym spotkaniu z "kuzynem"

Cezar opuścił Mediolan, a zarazem Emilię, skąd miał wyruszyć do Romanii. 15 listopada przybył do Modeny, ale już

I

17 nagle i potajemnie z niej wyjechał. Nazajutrz bardzo zdżony, wraz z paroma

wiernymi mu ludźmi przekroczył bramy

Rzymu.

Skąd tak wielki pośpiech? Co się stało? Ktoś - taka była przynajmniej oficjalna wersja - chciał otruć papieża. Spisek został wykryty, a jego uczestnicy wydani w ręce sprawiedliwości. Bezkarny pozostał jedynie mocodawca, a właściwie mocodawczyni, Caterina Sforza, pani na Imoli, pierwszego

celu zbliżającej się kampanii borgiańskiej. Sprawy - według

Aleksandra - wyglądały tak: Caterina mając nadzieję, że eliminacja ojca odsunie zagrożenie ze strony syna, poleciła niejakiemu Tommasino da Forli, papieskiemu pokojowcowi, aby przekazał Aleksandrowi list, który przez długi czas

trzymano w bezpośrednim kontakcie ze zwłokami zadżumionego, aby go przesycić jego jadami. Skutek miał być natychmiastowy. W ciągu kilku godzin list miał zabić odbiorcę.

Jednakże nieostrożny doręczyciel okazał się niewybaczalnie

lekkomyślny i powiedział o tym przyjacielowi, który powiadomił policję lub być może samego papieża. Wieczorem

18 listopada trzech spiskowcy zostali aresztowani, doprowadzeni do zamku św. Anioła i poddani przesłuchaniu. Wszyscy

wyznali swą winę. Papież spiesznie poinformował o tym Florentczyków, protektorów Cateriny, i polecił odprawić dziękczynne Te Deum.

Na temat tego niejasnego epizodu - zrelacjonowanego

nam przez Burcarda - wypisano wiele atramentu. Gregorovius, Burkhardt, Pasolini zaprzeczają istnieniu spisku. Sacerdote w swojej bardzo erudycyjnej biografii Valentina pisze:

"Jest niezaprzeczalne, że choć w owych czasach stosowanie trucizny dla pozbycia się wroga było dosyć rozpowszechnione, to jednak sposób wybrany przez Caterinę Sforza w celu

wyprawienia Aleksandra na tamten świat był bardzo dziwny". Nie ulega wątpliwości, że tyranom Romanii byłoby wygodne, a nawet sprawiłoby im przyjemność pozbycie się papieża. Ale też nie ulega wątpliwości, że Aleksander VI, człowiek bardzo przebiegły i nieufny, nie był łatwym łupem. W owej epoce bardzo często posługiwano się zatrutymi listami i Borgiowie dobrze o tym wiedzieli.

Mogłaby to być więc sprawa ukartowana przez papieża w celu zdyskredytowania Cateriny w oczach Florentczyków, którzy udzielali jej poparcia. Jest to tylko jedna z wielu hipotez, których pełno w kontrowersyjnej biografii Borgiów. Być może nieprawdziwa, ale bardzo prawdopodobna.

Jakkolwiek by się sprawy miały, głos trzeba było oddać armii. Caterina - co do tego wszyscy są zgodni - sprzedałaby drogo własną skórę.

Płynąca w jej żyłach gorąca krew

Sforzów nie pozwalała mieć wątpliwości co do jej wojowniczych zamiarów.

Wrogowie z mieszaniną strachu i podziwu

nazwali ją "virago crudelissima" i "diabłem wcielonym";

pewien wenecki kronikarz określił ją jako "kobietę o wielkiej

duszy i sercu, sine dubio - pierwszą damę Italii". Francuzi

zobaczywszy ją w walce, nadadzą jej imię jednej ze swoich

armat, wielki honor dla kobiety, która - nie czyniąc z tego

tajemnicy - nad Wenere przedkładała Marsa.

Miała niezmiernie burzliwe życie. Była nieprawą córką

rozzutnego i rozwiązłego Galeazza Marii Sforzy, brata Ludovica Mora,

zamordowanego w kościele św. Stefana. Miała

wtedy 13 lat. Wychowała ją macocha, Bona Sabaudzka.

W wieku 16 lat poślubiła bratanka Sykstusa IV, Girolama

Riaria, brutala, który ciągle ją zdradzał. Padł on ofiarą spisku

(najpierw został zasztyletowany, a następnie, przy aplauzie

ludu, wyrzucony przez okno). Caterina, choć nie kochała swego męża, pomściła go, urządzając rzeź, po czym zastąpiła go niejakim Jacopem Feo, który wkrótce sprawił, że gorzko tego żałowała. Ale i po nim niebawem została wdową; Jacopo wracając z polowania został ugodzony piką i zmarł na miejscu.

Sprawcą był jeden z jego bardzo licznych wrogów. Tytułem represji Caterina kazała wymordować wszystkich spiskowców, łącznie z ich żonami i dziećmi. Następnie zawarła nowy związek małżeński z Giovannim de'Medici, bardziej udany od poprzednich, ale też nie nazbyt szczęśliwy. Ten małżonek również zmarł przedwcześnie, choć we własnym łóżku. Caterina szybko go opłakała, ale nie chciała więcej wychodzić za mąż. Być może dlatego, że czwartego męża - zważywszy na precedensy - nie znalazłaby.

Mało zresztą miała czasu dla rodziny. Poddani nienawidzili jej i wykorzystywali każdą okazję, by zmanifestować niezadowolenie, podsycane okrucieństwem hrabiny i zachłannością jej poborców podatkowych. Rządziła żelazną ręką, a kat był zawsze w pobliżu. Kiedy mieszkańcy Forli zbuntowali się grożąc, że jeśli nie spełni ich żądań, zabiją jej dzieci, zadarła spódnicę i ryknęła: "Mogę jeszcze zrobić sobie inne".

Kiedy Cezar rozpoczął działania wojenne, miała 36 lat i sławę wojowniczką, która grasowała po całym półwyspie, a nawet przekraczała jego granice. Świadoma swej słabości militarnej i wiedząc, że może liczyć tylko na siebie, robiła wszystko co w jej mocy, by uniknąć starcia. Ale nawet spóźniona chęć zapłacenia Kościołowi zaległych danin nie dała rezultatu.

24 listopada 1499 r. część wojsk Cezara stanęła u wrót

Imoli, która poddała się bez strzału. Kiedy bowiem kondotier Achille Tiberti zażądał od mieszkańców, by się poddali, ci bez wahania otworzyli mu na oścież bramy. Cezar mianował swym przedstawicielem kuzyna, kardynała Giovanniego Borgię, i przyjął hurtem wszystkie petycje obywateli, którzy prosili, "aby Valentino rządził imolskim ludem sprawiedliwie i dobrotliwie; zapewnił mu pokój i bronił go przed wojną; by anulował wszystkie procesy karne wytoczone mieszkańcom miasta, okręgu i hrabstwa Imoli; by zreformował statuty; ob-
sadzał wszystkie urzędy, poza urzędami podesty, kasztelana i gubernatora, wyłącznie imolańczykami; wynagrodził imolańczykom szkody wyrządzone przez jego żołnierzy".

Dobrowolna kapitulacja miasta, której Caterina się nie spodziewała, była dla niej dotkliwym afrontem. Krzyczała, że to zdrada, zemsta i dla przykładu kazała ściąć głowy wielu zakładnikom. Nie powstrzymało to forlańczyków od pójścia w ślady Imoli. Cezar wjechał do miasta na białym koniu wraz z d'Alegrem i miejscowymi notablami, ale został chłodno przyjęty przez ludność oburzoną zachowaniem wojska, które dopuszczało się niesłychanych gwałtów i grabieży.

Caterina widząc zbliżające się niebezpieczeństwo zdobyła warownię atakiem 2 tysięcy żołnierzy zdecydowanych zmyć hańbę tego, kto - "jak kurwa" - poddał się Valentinowi, i z bezpiecznego schronienia wydała rozkaz ostrzeliwania oblegających i domów nielojalnych poddanych. Cezar, zanim odpowiedział na ogień, usiłował dwukrotnie skłonić ją do dobrowolnego oddania fortecy, ale odmówiła. Uczyniła też coś więcej. Zastawiła na niego pułapkę: w czasie trwania rokowań z Borgią kazała kasztelanowi podnieść most zwodzony. Ten jednak źle obliczył czas i Valentino zdołał uratować się skacząc z mostu.

Księżęca artyleria zaczęła wówczas bombardować cytadelę, która na każdy strzał odpowiadała strzałem; huk był piekielny. Wydawało się, że rezerwy, jakimi dysponuje Caterina, są niewyczerpane, a jej woła obrony jest desperacka. Biegała z jednego miejsca warowni w drugie, rozdzielając żywność i amunicję, ustawiała i przesuwała kolumbryny, armaty, moździerze, groziła śmiercią każdemu, kto wspomniał choćby o poddaniu, dodawała odwagi żołnierzom, wystawiając się z pogardą śmierci na strzały. Kiedy powiedziano jej, że Cezar obiecał 10 tysięcy dukatów temu, kto by ją schwycił, powiedziała, że tyle samo da temu, kto jej sprowadzi księcia żywego, a połowę, jeśli dostarczą jej go martwego. Czas działał na korzyść Borgii, ale przedłużające się oblężenie mogłoby osłabić także jego: 15 tysięcy żołnierzy to było ogromne obciążenie, zaczynało brakować pieniędzy, żołd wypłacano coraz bardziej nieregularnie, Szwajcarzy zaczęli domagać się zaległych wypłat. Bardzo niewiele pozostało do zrabowania, gdyż Caterina kazała zatopić pola, zniszczyć zbio-ry, wybić bydło. A poza tym zima była w pełni, panowały dotkliwe chłody; mgła, śnieg i lód niezmiernie utrudniały operacje. Papież zresztą pragnął już zakończenia kampanii nie mogąc sobie poradzić z jej kosztami. 12 stycznia Cezar przypuścił potężny atak na fortecę, która wreszcie ustąpiła. Żołnierze Borgii wtargnęli do niej jak rwący potok, staczając okrutne walki wręcz z wrogami dowodzonymi przez hrabinę, która z mieczem w ręku, otoczona ze wszystkich stron, zadawała mordercze ciosy. Poddała się jako ostatnia, kiedy już warownia była całkowicie zdobyta, a jej teren zasłany czterystoma trupami i mnóstwem rannych. "Księżę, jestem z tobą" - powiedziała poddając się rozczochrana i pokrwawiona gaskońskiemu kapitanowi, który

jednak odmówił przekazania jej Valentinowi, gdyż to on, kapitan, ją pojmał, a więc on powinien otrzymać 10 tysięcy dukatów nagrody. Doszło do gwałtownej sprzeczki i mało brakowało, by nie zakończyło się to rozlewem krwi. Cezar tłumacząc, że pojmanie hrabiny przyszło kapitanowi łatwo, chciał mu wypłacić tylko 2 tysiące. Na to kapitan wyciągnął szpadę grożąc, że zetnie głowę obiektowi tego niezbyt rycerskiego sporu. Zdaniem Malipiero jednak Gaskończyk zwrócił broń przeciwko Valentinowi i ta wersja wydaje nam się bardziej prawdopodobna. Wreszcie po długich targach obaj zgodzili się na 4 tysiące.

Po załatwieniu tej sprawy powstał natychmiast drugi problem: czyim jeńcem jest Caterina, Cezara czy bailifa Dijon, czyli króla Francji? Nie był to błahy problem, jako że wojskowy kodeks postępowania obowiązujący za Alpami zabraniał brania do niewoli kobiet. Valentino nie chciał jednak wyrzec się zdobyczy. Bo co by powiedział ojcu? Musiał za wszelką cenę dostać w swoje ręce Caterinę. I dostał.

Tej samej nocy zaprowadził Caterinę do swego apartamentu i tam pochlebstwem i groźbą pozyskał nawet jej względy. Zważywszy, jakim człowiekiem był Cezar, a właściwie, jacy oni byli oboje, nie ma się czemu dziwić. Zwycięzca i zwyciężona byli w gruncie rzeczy do siebie podobni i być może wzajemne uczucie miłości-nienawiści odpychało ich od siebie, a zarazem przyciągało. Oboje byli popędliwi, wojowniczy, stawiali się ponad prawem i moralnością.

21 stycznia Cezar musiał chwilowo rozstać się ze swoją kochanką-jeńcem. Kiedy bowiem szykował się do marszu na Pesaro, trzeci cel jego kampanii, bailif Dijon zażądał

oddania hrabiny. Valentino to uczynił, a następnie wysłał umyślnego do Yvo d'Alegre, który znajdował się w Forlimpopoli, aby rozstrzygnął spór. Yvo d'Alegre powrócił spieszenie do Forli, zebrał oponentów na głównym placu miasta, rozkazał bailifowi oddać Caterinę Borgii, temu ostatniemu zaś polecił nie uważać jej za jeńca, lecz za swojego i papieskiego gościa. Cezar obiecał to i otrzymał Caterinę.

23 stycznia powierzwszy zdobyte miasta gubernatorowi Ramirowi de Lorca, Cezar na czele wojska, mając u boku hrabinę, która ubrana na czarno dosiadała przepięknego białego konia, ruszył w kierunku Pesaro. W pobliżu Montefiore dopędzili go wysłannicy Ludwika, który prosił - był to raczej rozkaz niż prośba - o natychmiastowe odesłanie francuskich oddziałów. Co się stało?

Po powrocie króla Ludwika do ojczyzny nieudolne rządy Trivulzia wywołały wielkie niezadowolenie zmiennych Mediolańczyków, którzy już mieli dosyć nowego pana i zmusili najeźdźców do szukania schronienia w zamku Sforzów. We wznieceniu buntu prawdopodobnie maczał palce wielki intrygant Moro, który 5 lutego wrócił do Mediolanu wynoszony pod niebiosa przez poddanych. Trivulzio w pośpiechu i gniewie opuścił miasto i zatrzymał się ze swoimi wojskami w Ticino, przygotowując się do kontrofensywy. Potrzebował jednak ludzi. Trochę ich zwerbował w Szwajcarii i w Niemczech, trochę przysłał mu Ludwik, resztę miał mu właśnie zwrócić Cezar.

Mógł więc w ten sposób przegnać znów, tym razem na zawsze, Sforze i podporządkować sobie Mediolańczyków, którzy zgotowali mu jak zwykle triumfalne powitanie. Moro,

przebrany za szwajcarskiego strzelca, próbował ratować się ucieczką, ale rozpoznano go, aresztowano i przewieziono najpierw do Lyonu, potem na zamek Lys-Saint-Georges i w końcu do warownego, niedostępnego zamku w Loches, gdzie miał spędzić resztę swoich dni.

W ten sposób zeszła ze sceny jedna z najbardziej symbolicznych, dwuznacznych i kontrowersyjnych postaci owej epoki, najdoskonalsze być może wcielenie renesansowego księcia: przebiegły, pozbawiony skrupułów intrygant, gotów zdradzić przyjaciela, przyłączyć się do wroga, oszukać go z nowym sojusznikiem, by i do niego odwrócić się również plecami. Nie był - jak już stwierdziliśmy - wyjątkiem, a nawet mieścił się w normie, ale łatwość, szybkość, zręczność, z jaką zmieniał front, uczyniły z niego mistrza tej polityki, która nie tylko zaszkodziła dobremu imieniu Italii, ale też podporządkowała ją na całe stulecia cudzoziemcom.

Nieoczekiwane wydarzenia mediolańskie zmusiły Cezara do odłożenia na później swych planów. Kontynuowanie bowiem kampanii bez Francuzów było nader ryzykowne, zwłaszcza że wśród jego własnych żołnierzy, opłacanych nieregularnie, zaczęło się szerzyć niezadowolenie. Lepiej było pozostawić wszystko jak jest i pozwolić sobie na krótki urlop w Rzymie, gdzie Aleksander umierał z pragnienia uściskania i ufetowania syna, który tak dobrze wypełniał jego rozkazy i tak wiernie realizował jego plany.

Valentino przekroczył bramy miasta 26 lutego, witany jak nowy Cezar. Wiódł z sobą Caterinę, i to nie w złotych łańcuchach, jak napisał pewien współczesny, ale wolną, na białym koniu, wystrojoną jak królowa. Papież chciał ją natychmiast przyjąć, nie tyle nawet z ciekawości, jaką budziła ta "virago", ile pragnąc ją skłonić do zrezygnowania ze swoich lenn, ale hrabina pilnie baczyła, by tego nie uczynić. Zagwarantowanie nietykalności przez króla Francji rozzuchwaliło ją. Wiedziała,

że papież nie ma prawa do niczego jej zmusić i że wcześniej czy później, chcąc czy nie chcąc, będzie musiał pozwolić jej na wyjazd do Florencji, gdzie oczekiwali krewni i przyjaciele. Ponieważ Aleksander wahał się, czy wypuścić ją na wolność, postanowiła sama się uwolnić z pomocą pewnego sługi. Ale ten plan został wykryty. Sługa skończył w Tybrze, a ona, lepiej potraktowana, trafiła do zamku św. Anioła, gdzie przebywała aż do czerwca 1501 r., kiedy to d'Alegre będąc przejazdem w Rzymie poprosił o wypuszczenie jej z więzienia i tej prośbie uczyniono zadość. W zamian za to Caterina zrzecze się na jego korzyść swoich posiadłości, czego przedtem odmówiła papieżowi. Pobyt Valentina w Rzymie, po 15 miesiącach nieobecności, był krótki, ale bogaty w wydarzenia, z których najdramatyczniejszym było zabicie młodego Alfonsa di Bisceglie, drugiego męża Lukrecji. Od czasu, gdy Borgia stanął po stronie Francuzów, jego stosunki z Aragończykami, dawnymi sojusznikami, uległy pogorszeniu. Powodem tej wolty było poparcie udzielone przez Ludwika Cezarowi w jego walce przeciw romańskim tyranom, poparcie niezbędne do stworzenia na tym terytorium fundamentów państwa borgiańskiego. Taka zmiana frontu nie mogła nie spowodować kryzysu w dynastycznych związkach małżeńskich między Sancią i Jofrem oraz między Alfonsem i Lukrecją. Ucierpiało na skutek tego przede wszystkim to drugie małżeństwo, gdyż pierwsze i tak było źle dobrane. Książątko Bisceglie i córka Aleksandra kochali się naprawdę, choć to król Neapolu i papież skojarzyli ową parę: tym razem racja stanu i racje serca zbiegły się. Jednakże nagromadzenie się tyłu chmur nad jego głową skłoniło Alfonsa w sierpniu 1499 r. do opuszczenia Rzymu i schronienia się w Genazzano, u proaragońskich Colonnów.

W odwet za to papież odesłał Sancię do Neapolu. Jeśli zaś chodzi o Lukrecję, to popadła w taką prostrację, że Aleksander, aby ją pocieszyć i rozerwać, mianował ją gubernatorem Spoleto i Foligno. Wielu się tym oburzało i nie bez powodu. Córka papieża nie miała bowiem

jeszcze 20 lat i była pozbawiona wszelkiego doświadczenia w działalności administracyjnej. Aleksander jednak jak zwykle nie chciał słuchać żadnych argumentów. Jego decyzje, złe czy dobre, nie podlegały dyskusji, zwłaszcza gdy mieli na nich skorzystać krewni.

19 września jednak, dzięki wstawiennictwu Giovanniego Cervillona, przyjaciela papieża, i króla Neapolu, Lukrecja mogła znów uściskać swego męża, do którego pojechała do Spoleto. Po czterech dniach para przeniosła się z tego miasta do Nepi, gdzie oczekiwał ich Aleksander. Stamtąd wrócili razem do Rzymu i tam 1 listopada Lukrecja powiła syna, któremu na cześć dziadka dano imię Rodrigo.

W parę miesięcy później, 26 lutego, przybył do Rzymu również Cezar, przyjmowany jak zwykle z wielkimi honorami. Borgiańska reklama przeszła wszelkie wyobrażenia;

sławiono głośno jego zwycięstwa i kiedy 9 marca papież nadał mu wikariat Imoli i Forli, samowolnie wyłuskując te miasta z Ojcowizny Świętego Piotra, nikt się nie zdziwił.

Podobnie jak nikt się nie zdziwił, gdy Aleksander mianował swego syna gonfalonierem i kapitanem generalnym Kościoła.

Tymczasem wzrastało napięcie w stosunkach z Neapolem. Jeśli nie doszło jeszcze do zerwania, to dzięki harmonii,

jaka panowała między Alfonsem a Lukrecją, która, obok siostry Sancii, była jedyną osobą cieszącą się zaufaniem Alfonsa. Schwagier i teść odnosili się do niego zdecydowanie

wrogo. Coraz rzadziej się widywali, a przy spotkaniu ledwie się sobie kłaniali. Krótko mówiąc, Alfons był w Rzymie całkowicie osamotniony. 15 lipca rozeszła się wieść, że Alfons został ranny. "Okolo dziesiątej wieczorem - opowiada Burcardo - jaśnie wielmożny pan Alfons di Aragona przechodząc koło Bazyliki św.

Piotra został przed pierwszym wejściem napadnięty przez dwóch osobników i poważnie zraniony w głowę, prawe ramię i udo. Napastnicy uciekli schodami św. Piotra, gdzie na nich czekało około 40 mężczyzn na koniach, a potem wszyscy odjechali w kierunku Porta Pertusa".

Alfons, nieprzytomny i uznany przez napastników za zmarłego, został natychmiast przeniesiony do pałacu papieskiego, tam przybiegła Lukrecja, która widząc męża w takim stanie, zemdląca. Powiadomiony papież wysłał specjalny oddział straży do pilnowania apartamentu zięcia. Zastosowanie takiego środka ostrożności obudziło niemało podejrzeń. Lekarze, którzy spieszenie przybyli do wezglowia rannego, uznali, że to już koniec, a pewien kardynał udzielił mu nawet rozgrzeszenia in articulo mortis. Tylko cud mógłby go uratować. I cud, wbrew wszelkim oczekiwaniom i diagnozie, stał się. Po kilku tygodniach życia księcia Bisceglie nie zagrażało już niebezpieczeństwo.

Jego los był jednak przesądzony. "We wtorek, 18 sierpnia - informuje nas Burcardo - dostojny Alfons d'Aragona, książę Bisceglie i Salerno, który postanowił nie umrzeć z odniesionych ran, został uduszony we własnym łóżu o czwartej po południu. O tej samej godzinie zwłoki zostały przeniesione do Bazyliki św. Piotra i tam pochowane w kaplicy Santa

Maria delle Febbri. Czcigodny Francesco Borgia, arcybiskup Cosenzy, skarbnik papieża, odprowadził wraz ze swym dworem zwłoki do grobu. Zostali aresztowani i doprowadzeni do

zamku św. Anioła lekarze i pewien garbus, ale potem ich uwolniono, bo byli niewinni, o czym dobrze wiedzieli ci, którzy kazali ich aresztować".

Zaczęło się błędne koło domysłów: kim byli mordercy?

Kim był mocodawca? Kto miał interes w tym, by zabić Alfonsa? I dlaczego? Czy była to osobista zemsta czy zbrodnia polityczna? Czy istniał związek między śmiercią księcia Gandii i księcia Bisceglie? Dlaczego papież tak spieszenie posłał

własną straż? Wysunięto sporo hipotez, wymieniano szeptem sporo nazwisk, jedno przede wszystkim pojawiło się w depe szach ambasadorów: Cezar Borgia.

Już po zranieniu Alfonsa wymieniano je, choć ze zrozumiałą ostrożnością. Tym razem jednak mówiono otwarcie.

20 sierpnia ambasador wenecki Capello pisał: "Dziś w nocy wzięto kilka sług księcia Bisceglie, jeden z nich wyznał po torturach, że w sprawę był zamieszany służący księcia Valentino". To samo mówili prawie wszyscy przedstawiciele dyplomatyczni i na całym półwyspie nikt nie miał już wątpliwości,

kim był prawdziwy sprawca.

Nie wiemy dokładnie, w jaki sposób dokonano zbrodni.

Zdaniem Sanuda i cytowanego już Burcarda, książę został uduszony we własnym łóżku. Według relacji posła florenckiego, który opiera się jednak tylko na pogłosce, Alfons, widząc wchodzącą do komnaty straż papieską, zerwał się z łóżka, potknął, uderzył głową i "ze strachu oraz bólu umarł zaraz potem".

Bardziej szczegółowa, a zarazem najbardziej przekonująca jest wersja preceptora ofiary, poety Raffaelego Brandolina: "Alfons nie miał gorączki i prawie nie odczuwał bólów,

a w każdym razie były to bóle niewielkie. W swojej sypialni

gawędził żartobliwie z żoną, siostrą i kilkoma domownikami, kiedy wpada do pokoju Michelotto, nikczemny zausznik Cezara, siłą obezwładnia wuja Alfonsa i ambasadora królewskiego i związawszy im mocno ręce na plecach przykazuje zbrojnym ludziom, którzy stali za drzwiami, aby doprowadzili ich do więzienia. Lukrecja i Sancia zdumione tym nowym, groźnym incydem, krzyczą po kobiecemu na Michelotta, pytając, jak mógł się poważyć na taki występki na ich oczach i w obecności Alfonsa, Michelotto usprawiedliwia się jak może, po łajdacku, oświadcza, że musi być posłuszny cudzej woli, że musi czynić wszystko na każde skinienie, ale one, jeśli chcą, niech idą do papieża, gdyż dla nich sprawą niezmiernie łatwą będzie uzyskać uwolnienie aresztowanych. Gniewne i zdjęte litością udają się do papieża i usilnie proszą o uwolnienie więźniów. Tymczasem Michelotto, największy nikczemnik wśród zbrodniarzy i największy zbrodniarz wśród nikczemników, dusi Alfonsa, który z oburzeniem próbował protestować przeciwko temu gwałtowi. Kiedy kobiety wróciły od papieża, zastały przed drzwiami komnaty uzbrojonych ludzi, którzy wzbronili im wejścia i powiadomili, że Alfons nie żyje. Michelotto, sprawca tej zbrodni, wymyślił chytrą, nieprawdziwą i nieprawdopodobną wersję, że Alfons, przerażony niebezpieczeństwem, widząc, jak odrywa się od niego ludzi, z którymi łączyły go więzy pokrewieństwa i przyjaźni, padł bez zmysłów na podłogę, a z rany, którą przedtem otrzymał w głowę, wypłynęło tak dużo krwi, że wyzionął ducha. Kobiety przerażone takim okrucieństwem, zdjęte strachem, przepełnione bólem wypełniają dom krzykiem, płaczem, kobiecymi lamentami; jedna woła męża, druga brata, łzom nie widać końca".

Jest też inna wersja, którą warto przytoczyć: Alfons raniony przez siepaczy Valentina,

już rekonwalescent, widząc
jak przez ogród, pod jego oknami, przechodzi szwagier, wypuścił w jego kierunku
strzałę, która jednak chybiła celu. Stąd
zemsta Cezara dokonana rękami Michelotta. Niewykluczone, że tę wersję
rozpowszechnił sam Borgia, aby usprawiedliwić represje. Możliwe, że księżę
skierował naprawdę swój łuk
na Cezara, który wiedząc o nieudanym zamachu na Alfonsa,
wyznał wcześniej ojcu: "Tego, czego się nie zrobiło w porze
obiadu, zrobi się w porze wieczerzy".

Są to jednak - powtarzamy - tylko domysły. Nie mamy
nieodpartych dowodów winy Valentina, podobnie jak nie mieli
ich współcześni. Ale nie mamy też dowodów jego niewinności; fakt, że król Neapolu
nie oskarżył Cezara o spowodowanie śmierci swego wnuka, nie wystarczy, by go
uniewinnić.

Valentino miał wiele powodów, by chcieć się pozbyć szwagra: Alfons nie robił
tajemnicy ze swej przyjaźni z Colonnami, najgorszymi wrogami papieża i księcia; w
kołach watykańskich wrogich papieżowi Alfons cieszył się wielką sympatią;
jego małżeństwo z córką papieża stanowiło przeszkodę dla
profrancuskiej polityki papieża; opatrnościowe wdowieństwo
Lukrecji umożliwiłoby nowy dynastyczny związek małżeński.
Wykluczamy, aby motywem zbrodni była kazirodcza miłość
do siostry, jak insynuują niektórzy biografowie, lubujący się
w skandalach. Gdyby Valentino pragnął korzystać ze względów Lukrecji, nie musiał
zabijać szwagra, który w Rzymie
przebywał krótko i coraz rzadziej.

Jeśli nawet najwięcej poszlak wskazuje na Cezara, a wraz
z nim na papieża, to nie możemy wykluczyć odpowiedzialności innych. Księżę
Bisceglie miał w Rzymie wielu wrogów,
począwszy od Orsinich, którzy nie chcieli mu wybaczyć przyjaźni z Colonnami. Być
może inni żywili też urazę do niego

lub do Aragończyka, którego Alfons był przedstawicielem w Mieście. Ktoś też wysunął - bardzo nieprzekonującą - hipotezę, że księcia Bisceglie zabili siepacze Ludwika, który obawiał się, że książątko mogłoby posiąć niezgodę między nim a Borgiami. Czy jednak francuskiemu monarsze nie byłoby wygodniej zwrócić się do Aleksandra i Cezara? Zadowolającej odpowiedzi na to pytanie nie potrafili udzielić ani współcześni, ani potomni. Tajemnica śmierci Alfonsa, choć mniej nieprzenikniona niż zagadka śmierci księcia Gandii, pozostaje jednak tajemnicą.

Najbardziej przygnębiona była oczywiście Lukrecja, która poprosiła papieża, by pozwolił jej usunąć się na jakiś czas do Nepi. Papież zgodził się, ale Lukrecja, niezdolna do głębokich uczuć i namiętności, zapomniała szybko i o tym dramacie. Ojciec i brat uczynili z niej pionka w swojej polityce, a ona posłusznie włączała się w ich grę. Grę, która tłumiała jej uczucia, kazała milczeć sercu, deptała jej prawa żony i matki.

Aleksander i Cezar tymczasem nadal knuli swoje intrygi, zwłaszcza że czas naglił. Kampania w Romanii z powodów od nich niezależnych została przerwana po serii nieoczekiwanych sukcesów. Należało do niej jak najszybciej wrócić; trzeba było kuć żelazo póki gorące. Ale jeśli fortuna tak bardzo

przychylna odwróci się od nich?

W ostatnich miesiącach obydwaj mieli dziwne przeczucia.

Kilku przyjaciółom - relacjonuje poseł mantuański Cattanei

- Valentino zwierzył się: "Wiem, że w wieku 26 lat zagrozi mi niebezpieczeństwo, że zakończę życie z orężem w ręku i zginę od oręża". "Na jego prośbę - pisze Sacerdote

- niemiecki humanista Laurentius Beheim sporządził kiedyś horoskop, w którym

przepowiedział mu wcale niewesołą przyszłość: upadek potęgi i przedwczesną śmierć. Czy ta przepowiednia go niepokoiła, dręczyła jego duszę?" I dodaje:

"Któż to wie?" Prawdopodobnie syfilis, który zszpecił mu twarz i ręce, zaatakował mózg, pobudził wyobraźnię, wzmógł wolę czynu i pragnienie potęgi. Trudno powiedzieć, z braku wyczerpujących danych klinicznych, kiedy choroba zaczęła wywierać wpływ na jego osobowość. Ale prawdopodobnie ten wpływ istniał. Nieufność, skrytość, okrucieństwo, dziwactwa są dość jednoznacznymi symptomami niszczącego procesu chorobowego.

Różne znaki odbierały też sen i dobry humor Aleksandrowi. Pewnego popołudnia, w czasie burzy, zawalił się sufit

nad jego baldachimem. Papież cudem uszedł cało. Jedna z belek wytrzymała bowiem napór i dzięki temu kawał tynku nie spadł na niego. Skończyło się na wielkim strachu i kilku niewielkich ranach głowy i ramion. W tym wydarzeniu wielu dopatrywało się znaku niebios, boskiego ostrzeżenia dla godnego potępienia wikariusza, który natychmiast zarządził odprawienie dziękczynnego Te Deum. Kiedy indziej pod jego nogi spadła z góry sowa.

Ale i te złe znaki poszły wkrótce w zapomnienie: nastąpiły bowiem inne wydarzenia.

Po okresie przymusowej stagnacji spowodowanej wycofaniem się Francuzów, należało

jak najszybciej wznowić ofensywę w Romani. Imola i Forli były tylko dwoma elementami wielkiej mozaiki wymarzonej przez papieża i księcia. Zanim tyrani przejdą do ataku, trzeba było rozszerzyć możliwie jak najbardziej obszar podbojów.

Pierwsza została podbita Cesena; w tym wypadku również prawie nie użyto broni. Po pierwsze dlatego, że nie rządził nią żaden despota, gdyż miasto podlegało

bezpośrednio

jurysdykcji Stolicy Apostolskiej, a po drugie, że głowa jednego z największych rodów, Polidoro Tiberti, w zamian za sto skudów i tytuł barona, zobowiązał się skłonić mieszkańców do zaakceptowania borgiańskiego jarzma. Pod koniec września Valentino wkroczył do Ceseny i 4 października Aleksander uznał jego suwerenność nad Romanią, Marche i Umbrią, dotychczasowym lennem Kościoła.

"Papieżowi pilno uczynić Cezara wielkim i królem Italii"

- napisał w lipcu poseł mantuański, Cattanei. Obawiając się jednak, że wezmą go za wizjonera, wyjaśnił: "Nie śnię o tym. Nie wszystko można odmalować i opisać; ale niech nikt nie myśli, że mam nie wszystkie klepki w porządku".

Słowa "król Italii" wydawały się utopią w kraju rozbitym na państwa i państewka prowadzące między sobą nieustanne walki i rozdierane przez wewnętrzne spory. Gdyby nawet jakiś włoski książę marzył o zjednoczeniu półwyspu i nikt wewnątrz by mu się nie przeciwstawił, to obce wojska rozsiane po całym terytorium - od Piemontu po Sycylię, z pewnością by mu to uniemożliwiły. To, że Aleksandrowi było "pilno

uczynić wielkim" swego syna, nie ulega wątpliwości, ale wykluczamy, by mógł marzyć dla niego o koronie króla Włoch;

uchybiałoby to rozumowi tego człowieka, który był wprawdzie bardzo złym papieżem, ale wielkim politykiem, pozbawionym przesądów, pragmatycznym, mocno stojącym na ziemi. Nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że nie przyszła jeszcze pora, że musi upłynąć dużo wody w Tybrze, zanim włoska

mozaika stanie się narodem, Włosi wyrzekną się swoich partykularyzmów, a cudzoziemcy zrezygnują z ingerencji. Nie;

tym, do czego zmierzał Aleksander, było silne i zwarte państwo borgiańskie, formalnie powiązane z Kościołem, ale faktycznie samodzielne. Państwo

zapewniające trwałość dynastii, której nie bez racji uważał się za założyciela, państwo

walczące o palmę pierwszeństwa z Mediolanem, Wenecją, Florencją i Neapolem. Więcej nie mógł chcieć ani oczekiwać.

W jego doczesnych planach, jedynych, które go interesowały, nie było miejsca na utopię.

Nie zapominajmy zresztą, że zbliżał się do siedemdziesiątki i choć tryskał zdrowiem, nie miał już dawnej energii.

Jego pontyfikat nie mógł być wieczny, w Kolegium Kardynalskim miał więcej wrogów niż przyjaciół, kuria nieustannie

mu się przeciwstawiała. Ponadto kampania w Romanii dopiero się zaczynała: do Imoli, Forli, Ceseny miały dojść Rimini i Faenza, bez których podbój byłby niepełny.

Jednakże te

miasta należały do strefy wpływów Wenecji. "Najjaśniejsza" zaproponowała nawet Astorre Manfrediemu, że odstąpi mu Faenzę za kawałek jego terytorium. Do zamiany nie doszło, ale sam fakt, że była o tym mowa, świadczył, jakie stosunki panowały między państwem romańskim a republiką na lagunie.

Aleksander użył całej swej dyplomatycznej sztuki, aby przyciągnąć Wenecję do własnego obozu: gdyby porzuciła ona

Manfrediego, poparłby ją przeciwko Turkom. Jednakże doża

Barbariego stanowczo odrzucił tę propozycję, co jednak nie zniechęciło papieża, który znów przypuścił szturm: "Pragnę

- powiedział ambasadorowi Capello - aby Cezar miał swoje państwo w Italii pod protektoratem i kierownictwem Wenecji". Poseł przekazał te słowa Republice i na

tym się skończyło. Dopiero kiedy król Francji, na żądanie potężnego

kardynała Rouen, oferuje Valentinowi swoją pomoc, a sułtan

wyrzuci Wenecjan z niektórych ich baz na Wschodzie, "Najjaśniejsza" zrezygnuje z Rimini i Faenzy, umożliwiając akcję

Borgiom. Aleksander, by spłacić dług, zobowiąże się - ale tylko w słowach - do stworzenia w Kolegium Kardynalskim większości przychylniej wyborowi weneckiego papieża, a sam Cezar obieca, że będzie działał w tym kierunku. Republika mianuje wówczas Cezara szlachcicem weneckim i podaruje mu nawet pałac nad Canal Grandę.

Poważnym problemem było finansowanie kampanii, jako że kasy były prawie puste. Gdzie znaleźć fundusze? Nie można było podwyższyć już i tak nadmiernych podatków ani zmusić do płacenia nowych dziesięcin. Nie pozostawało nic innego, jak wybrać nowych kardynałów, wystawić na licytację dalsze

kapelusze. Nabywców nie brakowałoby, gdyż purpura była łakomym kąskiem. Spośród 12 wstępnie wybranych kardynałów arcybiskup Sewilli wpłacił 25 tysięcy złotych dukatów, biskup Modeny - 22 tysiące, a biskup Como - 20 tysięcy.

Dzięki uzyskanej w ten sposób sumie Valentino mógł sformować 12-tysięczną armię żołnierzy uzbrojonych w szpady, piki, noszących hełmy i czerwono-żółte kaftany, które wzbudziły podziw Machiavellego.

Cezar wyruszył więc na Romanię, towarzyszył mu pstrokaty tłum artystów, literatów, błaznów, prostytutek. Był z nim także jego osobisty medyk, Gaspare Torella, który przed dwu laty zadedykował mu rozprawę o syfilisie. Po krótkim postoju w zamku Nepi, dokąd po śmierci Alfonsa usunęła się Lukrecja, Cezar wyruszył na Rimini, które Pandolfo Malatesta, zwany przez swych poddanych Pandolfaccio, oddał mu bez oporu. W zamian tyran uzyskał zapewnienie o nietykalności własnej osoby i rodziny oraz 290 tysięcy dukatów za odstąpienie fortecy, a także pewną sumę, którą miano ustalić, za pozostawioną broń i amunicję i zezwolenie na odejście z całym

swym dobytkiem. Pandolfaccio wsiadł na okręt i odpłynął.

Będąc jednak już na pełnym morzu przypomniał sobie, że w Rimini zostawił swego psa. Wziął więc pióro i papier i poprosił o jego zwrot.

Jeszcze łatwiejsze było zdobycie Pesaro. Pan tego miasta,

Giovanni Sforza, były mąż Lukrecji, uciekł po cichu, nie zabierając nawet koszuli na zmianę, zanim jeszcze Valentino przekroczył bramy miasta. Całkowicie izolowany, znieawidzony

przez mieszkańców, nie mógł podjąć mądrzejszej decyzji.

Potem przyszła kolej na Faenzę, twardszy orzech do zgryzienia niż Forli. W przeciwieństwie do Cateriny Sforzy, Astorre

Manfredi był bowiem uwielbiany przez swoich poddanych.

Miał zaledwie 15 lat, ale trudne dzieciństwo i rodzinne tragedie, których był świadkiem, sprawiły, że stał się nad wiek

dojrzały. Jako dziecko stracił ojca, mężnego i dwornego

Galeotta, zabitego z powodu zazdrości matki, straszliwej Franceski Bentivoglio.

Galeotto nierozważnie sprowadził z Ferrary swoją kochankę przebraną za mniszkę.

Ale mimo to intryga miłosna

została wykryta. Francesca poprzysięgła zemstę i to najokrutniejszą. Udając chorobę, położyła się do łóżka, kazała

zamknąć okna, pogasić światła i następnie wezwać męża.

Skoro tylko Galeotto wszedł do komnaty, rzucili się nań siepacze małżonki zadając mu wiele ran sztyletem. Po czym

wdowa zabarykadowała się z synem w warowni, czekając

aż jej ojciec, Giovanni Bentivoglio, władca Bolonii, zajmie

miasto. Jednakże szybka interwencja Florencji i powstanie ludności Faenzy zażegnały tę groźbę. Lud ogłosił małego

Manfrediego panem Faenzy pod kuratelą 96 obywateli imiasta.

Astorre, dowiedziawszy się o zakusach Borgiów na swe

miasto, usiłował szukać jakiegoś ratunku, ale było już za późno. Florencja i Wenecja nie ruszyły się; papież, który go wyklął i odebrał tytuł wikariusza, nie cofnął interdyktu nawet wtedy, gdy Manfredi ofiarował się spłacić swoje długi wobec Kościoła. Pozostawała już tylko wojna. 19 listopada Cezar rozłożył się z wojskami pod Faenzą i rozkazał przystąpić natychmiast do bombardowania. Zaraz jednak pojął, że nie będzie to zdobycz tak łatwa jak Rimini i Pesaro. Mieszkańcy skupieni wokół Astorre Manfrediego byli zdecydowani drogo sprzedać życie swoje i swojego pana. Również pogoda nie sprzyjała oblegającym. Choć zima jeszcze się nie zaczęła, przedwczesne opady śniegu utrudniały ruchy wojsk i opóźniały dostawy. Zapowiadało się trudne i długotrwałe oblężenie. Cezar rozkazał zwinąć namioty i czekać wiosny. Po czym wyjechał na inspekcję swoich posiadłości, która zakończyła się w Cesenie, stolicy księstwa. Tymczasem Faenza umacniała mury obronne i przygotowywała załogę do walki. "4 lutego - pisze podesta Rawenny - mieszkańcy miasta wzięli udział w uroczystej mszy w katedrze, gdzie wszyscy się wyspowiadali, przyjęli komunię świętą i przysięgli na krucyfik, że pozostaną zjednoczeni, dochowają wierności swemu panu i raczej umrą niż poddadzą się księciu Valentino. Wybrano też kilku ludzi, by wyjechali na wieś dokonywać rekwizycji, a tym, którzy mówiliby o ugodzie, postanowiono ścinać głowy. Wszystkie zgromadzenia zakonne, kanonicy i księża oddali swoje srebra, to jest krzyże i kielichy, panu Faenzy, a bracia z Monte di la Pieta ofiarowali gotówkę". Aleksander, któremu było pilno zakończyć działania wojenne, w zamian za poddanie się obiecał Manfrediemu kapelusze kardynalski i dożywotnią rentę w wysokości 5 tysięcy

dukatów, ale młodzieniec z pogardą odrzucił jedno i drugie.

Jeśli Cezar chce mieć Faenzę - odpowiedział - niech ją zdobędzie orężem.

Oblężenie rozpoczęło się wiosną i tym razem weszło w decydującą fazę. Atakujący nie dawali chwili wytchnienia przeciwnikowi, który walczył z niezwykłą odwagą. Valentino żywił dla niego tak wielki podziw, że wykrzyknął: "Z takim wojskiem podbiłbym Włochy". Trudno nawet zliczyć przykłady heroizmu po obu stronach. Taddeo della Volpe, kapitan wojsk Cezara, zraniony strzałą w oko, wyjął ją własnymi rękami i na nowo rzucił się w wir walki wołając, że w ten sposób będzie widział tylko pół niebezpieczeństwa. Nie brakło oczywiście przypadków tchórzostwa, ale regułą było męstwo. Kiedy pewien imolańczyk wydostawszy się z miasta zgłosił się do Cezara, by mu wskazać, z której strony należy atakować, Valentino najpierw go wysłuchał, a potem kazał powiesić pod murami, na oczach obrońców Faenzy - już wygłodzonych i wyczerpanych. Po czym wykorzystując informację przypuścił ostatni atak. Miasto poddało się i delegacja Manfrediego przybyła do księcia w celu wynegocjowania warunków kapitulacji. Pokonani prosili o darowanie im życia, wolność dla swego pana i jego rodziny, niestosowanie represji i osobistej zemsty, zwolnienie z podatków w celu usunięcia zniszczeń wojennych, potwierdzenie istniejących statutów obywatelskich, obsadzanie urzędów publicznych mieszkańcami Faenzy, pozostawienie w mieście tylko oddziałów potrzebnych do utrzymania porządku. Cezar przyjął wszystkie żądania i wezwał do siebie Manfrediego. Spotkanie było bardzo serdeczne. Zwycięzca pogratulował zwyciężonemu mężnej obrony i zaproponował mu, by

z nim pozostał (niektórzy historycy utrzymują jednak, że zmusił go do tego). Astorre zgodził się i to samo uczynił jego brat. Zadowolony i uśmiechnięty Valentino zawołał wówczas jakoby Michelotta Corellę, swe alter ego, i miał mu rozkazać, by odprowadził do Rzymu obydwu młodzieńców, polecając jednocześnie traktować ich z należyтыми względami. Silvestro Calandra twierdzi natomiast, że Astorre zatrzymał się na dworze Borgii aż do lipca (1501 r.), kiedy to również Cezar powrócił do Rzymu. Tam podobno bracia Manfredi zostali uwięzieni w Mole Adriana i zabici.

Tajemnica jest nieprzenikniona, nie rozjaśnia jej nawet lakoniczna notatka Burcarda z 9 czerwca 1502 r.: "Zostali odnalezieni w Tybrze utopieni i martwi pan Faenzy, około 18-letni młodzieniec kształtów i postawy tak pięknej, że podobnego mu nie znajdziesz wśród tysiąca jego rówieśników, z kamieniem u szyi, oraz dwóch młodzieńców, których ramiona były związane: jeden miał 15 lat, drugi około 25, oprócz nich znaleziono także kobietę i wielu innych".

Poza dwoma braćmi Manfredi, nie wiemy nic o pozostałych ofiarach. Nie mamy natomiast wątpliwości, kim byli mocodawcy zbrodniarzy. Byli nimi właśnie Borgiowie, jak wynika ze wszystkich ówczesnych źródeł.

Co popchnęło Cezara i Aleksandra do tej nikczemnej zbrodni? "Astorre - pisze Sacerdote - został zamknięty w zamku św. Anioła właśnie w chwili, gdy wychodziła z niego na wolność Caterina Sforza: z jej strony Valentino nie musiał się już niczego obawiać. Ludność Forli nie zapomniała o jej okrucieństwie i przemocy. A ponieważ szybko otworzyła Cezarowi bramy miasta zostawiając fortecę, by broniła się sama, teraz nikt z pewnością by się o nią nie upomniął. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa Astorre Manfrediego. Ludność Faenzy kochała go. Już tragedia jego rodziców otoczyła mu

głową aureolą sympatii i współczucia, a mieszkańcy z wielkim męstwem bronili Faenzy i dominium Manfredich. Cezar Borgia obawiał się więc, że pewnego dnia ludność Faenzy powstanie z okrzykiem "Astorre, Astorre". Młody wiek był w oczach Cezara okolicznością obciążającą, a nie łagodzącą. Wobec tego usunął go".

Przytoczmy jeszcze opinię Beufa: "Astorre był buntownikiem, który nie uląkł się zwykłych gróźb jak Pandolfaccio, ale ośmielił się wydać bitwę. Był to precedens zbyt niebezpieczny, aby Cezar mógł go tolerować. Trzeba było pokazać innym potencjalnym buntownikom, że opór prowadzi nieuchronnie do zagłady. A ponadto - rzecz jeszcze bardziej niebezpieczna - Astorre był bohaterem. Całe Włochy go podziwiała, a poddani kochali. Tak więc samo jego istnienie stanowiło trwale zagrożenie dla Cezara. Gdyby coś miało przytrafić się uzurpatorowi - przestrzega Machiavelli - prawowity książę odzyskałby z łatwością utracone państwo". Aby tego uniknąć, pozostawało tylko zabić Manfrediego i jego brata, ewentualnego pretendenta do sukcesji.

Tak też uczynił Cezar w porozumieniu z ojcem. Zgodnie z nauką florenckiego sekretarza i barbarzyńską moralnością swej epoki.

XII

PODOBÓJ TRWA

Między jednym podbojem a drugim Valentino zajmował się organizacją swoich nowych dominiów. Na kwaterę główną i stolicę obrał Cesenę, dokąd o każdej porze dnia i nocy, choć częściej nocy, gdyż nigdy nie kładł się spać wcześniej niż o świcie, przywoływał swoich współpracowników, przewodniczył zebraniom i naradom. Wysłuchiwał wszystkich, ale zawsze do niego należało ostatnie słowo, a

swoje decyzje przedkładał potem Aleksandrowi. Między ojcem a synem istniało całkowite zrozumienie, gdyż obaj zmierzali wytrwale do jednego celu: zapewnić pomyślność dynastii. Nieważne, jakimi drogami i jakimi środkami, cel bowiem wszystko uświęcał.

Jak już wiadomo, Cezar miał po swojej stronie Francję, ale poparcie Ludwika nie było bezwarunkowe. Kiedy na przykład księżę próbował skierować swoje macki w stronę Bolonii i Florencji, francuski sojusznik go powstrzymał.

Bolonia, uzależniona teoretycznie od Stolicy Apostolskiej, korzystała w praktyce ze znacznej autonomii. Ród Bentivogliów sprawował tam władzę absolutną, a jego związki z Rzymem polegały tylko na okazywaniu formalnego respektu. Dotychczas papież nie wysuwał roszczeń wobec miasta, ale Aleksander był zdecydowany domagać się swoich praw.

I nie tyle po to, aby przywieść z powrotem pod egidę Kościoła terytorium, które do niego należało, ile w celu rozszerzenia na zachód powstającego państwa borgiańskiego. Nie był to projekt łatwy do zrealizowania, szczególnie z powodu nieufności francuskiego monarchy, a także dlatego, że Bentivogliowie nie zrezygnowaliby łatwo ze swych posiadłości, choć zdobyli je drogą uzurpacji. Kiedy jednak wojska papieskie znalazły się w odległości 14 mil od miasta, skwapliwie oddali Cezarowi Zamek Boloński i zobowiązali się dostarczyć mu 300 jezdnych, których mógłby użyć "przeciwko każdemu, z wyjątkiem króla Francji". 20 kwietnia (1501 r.) została podpisana kapitulacja, a w kilka dni potem Aleksander mianował syna "księciem Romanii".

Teraz przyszła kolej na Florencję.

Ale i w tym wypadku trzeba było się liczyć z Ludwikiem, który nie życzył sobie, by nad Toskanią, leżącą na szlaku przemarszu jego wojsk z

Lombardii do Kampanii, ciążyła jakakolwiek hipoteka. I kiedy Cezar wyruszył na ten region, Aleksander pod naciskiem króla Francji rozkazał mu zawrócić do Rzymu. Syn może by usłuchał, ale jego kapitanowie, Orsiniowie i Vitellozzo Vitelli, któremu Florentczycy zabili brata, sprzeciwili się. I po raz pierwszy Valentino nie uległ woli ojca. Poprosił Signorię o zezwolenie na przemarsz swoich wojsk przez jej terytorium, ale ta postawiła warunek, aby armia podzieliła się na kilka części, zaś Orsiniowie i Vitellozzo pozostali poza jej granicami. Cezar zgodził się, ale zażądał, aby Republika mianowała go swoim kondotierem, nie stawiała przeszkód w zajęciu Piombino, wydała Vitellozzowi sześcioro swoich obywateli i zezwoliła na powrót Piera de'Medici. Signoria, mocno zaniepokojona takimi żądaniem, oświadczyła, że jest gotowa podjąć rokowania tylko w trzech pierwszych sprawach. Książę kontynuował więc marsz. W Campi jednak dotarli do niego florentcy pełnomocnicy. Zawarł z nimi nadzwyczaj korzystny układ, na mocy którego uzyskiwał dowództwo nad 300 ludźmi wraz z roczną pensją - przez

Zakładka

3 lata - 30 tysięcy dukatów. Dano mu ponadto wolną rękę w sprawie Piombino. Toskania pozostała więc dla niego nieosiągalna. Nie mógł też żywić złudzeń co do powrotu Medyceuszów. Republika była nietykalna. Jaki interes miałby bowiem Ludwik w jej obaleniu?

Cezar skierował się więc ze swoim wojskiem na Piombino, małe państewko nad Morzem Tyrreńskim, od którego była uzależniona Elba, wyspa o pewnym znaczeniu strategicznym. Sprawujący na niej rządy ród Appianich nie będąc w stanie sam odeprzeć atakujących, wezwał na pomoc Genuę

i Francję, ale ani jedna, ani druga nie ruszyły się. Pan na Piombino, Jacopo IV, poprosił wówczas Ludwika o rozmowę, ale ten mu odmówił, radząc, aby "bronił się lub ugodził z księciem, jako że wyprawie patronuje papież, a on, król, nie może jej przeszkodzić, gdyż potrzebuje Jego Świątobliwości". Appiani zdecydował bronić się i przez trzy miesiące stawiał czoło wrogowi. W końcu musiał skapitulować. Valentino dołączył jeszcze jeden cenny klejnot do swojej korony.

Zwycięzca nie mógł jednak uczestniczyć we własnym triumfie. Decyzja Ludwika wyruszenia na podbój Neapolu zmusiła go bowiem do natychmiastowego wycofania się do Rzymu. Stamtąd, połączywszy się ze sprzymierzonymi wojskami, wymaszerował na południe. Aleksander tymczasem

wydał bullę, w której stwierdził, że Federico Aragoński został złożony z tronu, który w ten sposób przypadł oficjalnie Francuzom i Hiszpanom. Ludwik XII i Ferdynand Katolicki już 11 listopada 1500 r.

w Grenadzie podzielili między siebie królestwo Neapolu:

Ludwik wziął sobie Neapol, Terra di Lavoro i Abruzję; Ferdynand - Kalabrię i Apulię. To samowolne posunięcie uzasadniano koniecznością dysponowania na południu bazami

wypadowymi przeciw Turkom, a jednocześnie przedstawiano jako karę wymierzoną królowi Neapolu za jego proosmańską politykę, Aragończyk bowiem prowadził konszachty z "półksiężycem" i kara mogła nawet uchodzić za uzasadnioną.

Pretekstem natomiast była sprawa baz, gdyż ani Ludwik, ani Ferdynand nie myśleli nawet o krucjacie. Mieli na głowie inne kłopoty.

Kiedy Federico dowiedział się o porozumieniu, które przez wiele miesięcy było utrzymywane w tajemnicy, najpierw nie chciał w nie uwierzyć, potem wpadł w panikę. Wiedział, że

Ludwik ma chętkę na jego królestwo, ale nie spodziewał się, że również Ferdynand, w którego żyłach płynęła ta sama krew, chce pozbawić go tronu. Krzyczał, że to zdrada, i zmobilizował wszystkie siły, łącznie z wiarołomnymi baronami, skoncentrowawszy je w Kapui. Na to silnie obwarowane miasto

wyruszyli Francuzi daremnie żądając jego kapitulacji. Kiedy ich dowódca, pan d'Aubigny, zobaczył, że oblężenie może długo potrwać, powierzył prowadzenie go Cezarowi, a sam wyjechał do Neapolu. Przed rozpoczęciem ataku Valentino próbował skłonić oblężonych, podobnie jak przedtem, by się poddali Francuzom bez walki, ale bez rezultatu. Kapuańczycy odrzucając takie propozycje "obrzucili go też obelgami,

używając bezecnych słów takich, jak skurwysyn i marran".

Wobec tego książę rozkazał zwiększyć częstotliwość ataków i nasilić bombardowanie.

Miasto jednak, choć znajdujące się w kleszczach głodu i pozbawione amunicji, stawiało rozpaczliwy opór. Zgubiła je zdrada jednego z mieszkańców, niejakiego Fabrizia, który otworzył wrogowi bramy. Francuzi pod wodzą Borgii jak bestie rzucili się na bezbronną ludność urządzając rzeź. "Piechota -pisze d'Auton -jako że lżej uzbrojona weszła pierwsza do Kapui, ogniem i mieczem unicestwiła wszystkich tych, których z bronią w ręku spotkała na ulicach lub znalazła ukrytych w domach. Nie darowali nikomu, jakiegokolwiek byłby stanu, tak że rynsztokami długo płynęła krew zabitych. Nie mówię nawet o skargach i żalonym płaczu zrozpaczonych kobiet i dzieci, które na własne oczy widziały, jak umierali ich mężowie i ojcowie, jak zabijano krewnych i przyjaciół, jak najeźdźcy rabowali ich mienie i niszczyli miasto. Powiem jednak, że nie tylko zabijano mężczyzn: wiele dziewcząt i kobiet zgwałcono, co jest najgorszym ze wszystkich wojennych ekscesów. Żołnierze

Valentina 30 najpiękniejszych kobiet uprowadzili jako branki do Rzymu".

Nie mniej wstrząsający opis, choć nie pochodzący od naocznego świadka, pozostawił nam Guicciardini: "Kobiety

różnych stanów, łącznie z tymi, które poświęciły się życiu zakonnemu, stały się ofiarą ohydnej żądzy i zachłanności zwycięzców; wiele z nich sprzedano po bardzo niskiej cenie

w Rzymie; idzie też fama, że w Kapui niektóre kobiety wolały umrzeć niż utracić cześć i rzucały się do studzien lub do rzeki.

Opowiada się, że wiele kobiet, które uszły cało z pierwszego szturm, schroniło się na wieżę. Książę Valentino chciał je wszystkie obejrzeć i przyjrząwszy się im dokładnie, zatrzymał sobie czterdzieści najpiękniejszych".

W tej przerażającej rzezi straciło życie - nie jest to jednak sprawdzone - około 4 tysięcy kapuańczyków, do czego należy doliczyć 3 tysiące piechoty i 2 tysiące jezdnych garnizonu zamordowanych już po poddaniu się miasta.

Francuzi oskarżyli Cezara o dokonanie tej rzezi, ale on obwinił swoich oskarżycieli. Wojska Valentina stanowiły tylko jedną dziesiątą całej armii; jakżeby one tylko mogły być odpowiedzialne za tę krwawą łaźnię? W rzeczywistości wszyscy w niej brali udział za zgodą swoich dowódców, na czele z Cezarem.

Po upadku Kapui Federico oddał Francuzom stolicę, a sam schronił się na Ischię. Tak skończyło się, bardzo niechwalebnie, panowanie aragońskie w państwie neapolitańskim; otworzyła się droga przed despotami równie nieudolnymi i drapieżnymi.

Po spełnieniu swojej misji i spłaceniu długu Ludwikowi, 15 września 1501 r., po dwumiesięcznej nieobecności, Valentino wrócił do Rzymu. Usunięcie króla Neapolu, najgorszego

wroga, wprawiło Aleksandra w dobry nastrój, nawet pokonanie Turka nie ucieszyłoby go bardziej. Mógł wreszcie wypowiedzieć wojnę rzymskim baronom, których Aragończyk był współnikiem.

Po wyeliminowaniu dwa lata wcześniej Caetanich przysła teraz pora na wicrzychielskich Colonnów, których fortece kazał Cezar skonfiskować. Ten los gotował również Savellim, winnym również zмовy z wrogiem i obrazy majestatu. Z ich dóbr papież utworzył dwa księstwa: księstwo Sermonety oddał wnukowi Rodrigowi; księstwo Nepi - Giovanniemu, "rzymskiemu infantowi".

"Nadając swoim wnukom - pisze Sacerdote - wszystkie te lenna, które należały do rzymskich baronów, Aleksander VI znów sprzeniewierzył niektóre dobra Kościoła, by przysporzyć korzyści swojej rodzinie. Tak więc podczas gdy Romania znalazła się we władzy Cezara, prawie całe Lacjum przechodziło w ręce tych dwojga dzieci; i jeśli nawet Kościół w osobach kardynałów zarządzał tymi ziemiami, to jednak czynił to na konto dwóch małych Borgiów". Swojej rodzinie papież nadal poświęcał wszystko wywołując coraz ostrzejszą, aczkolwiek bezskuteczną krytykę. Wrogów miał wszędzie, w Rzymie i poza nim, ale absolutna władza, którą posiadał, i z której korzystał bez żadnych zahamowań, pozwalała mu trzymać ich na wodzy. Oni zaś mścili się pisząc na jego temat ostre epigramaty i okrutne pamflety, których papież - w przeciwieństwie do swego nadzwyczaj drażliwego syna - nie zamierzał ani zakazywać, ani odpierać. Kiedy na przykład zaczął krążyć osławiony anonimowy List do Silvia Savelli, wydany w Taranto 15 listopada 1501 r., który niesłychanie rozgniewał Valentina, on poprzestał na takim oto komentarzu wypowiedzianym z olimpijskim spokojem: "Książę jest dobrym człowiekiem, ale nie potrafi znieść obelg. Nieraz mu mówiłem, że Rzym jest miastem wolnym i każdy może

pisać i mówić, co mu się podoba". Było w tym trochę przesady, ale też i sporo prawdy.

A przecież w Liście do Silvia Savelli nie szczędzono mu obelg ani oskarżeń. Ze wszystkich oskarżeń skierowanych przeciwko Borgiom to było najgwałtowniejsze i najbardziej stronnicze: "Nie ma takiej zbrodni ani niecnego czynu, którego by

nie popełniono publicznie w Rzymie lub w domu papieża.

Prześcignięto Scytów, w przewrotności prześcignięto Kartagińczyków, a w okrucieństwie i dzikości - Nerona i Kaligulę.

Wyliczanie rzezi, rabunków, gwałtów i kazirodztw trwałoby w nieskończoność. Szlachetny młodzieniec, Alfons d'Aragona, zięć papieża, został zabity w wyniku zadania mu najokrutniejszych ran, można by powiedzieć, że został dwukrotnie

zabity; szambelan papieża, Perotto, został zabity na jego rękach; czcigodne watykańskie domostwo splamiono krwią,

wszystkich urzędników kurii przerażenie zmusiło do ucieczki.

Innych zabito, raniono, wrzucono do Tybru albo otruto. Liczba tych ofiar jest nieskończona. Zło rośnie z każdym dniem".

A tak pisano o Cezarze: "Ojciec uwielbia go, gdyż jest tak samo jak on przewrotny i okrutny - trudno powiedzieć, który z nich dwóch jest bardziej obmierzły. Kardynałowie widzą

to i milczą, schlebiają papieżowi i podziwiają go. Ale wszyscy go się boją, a przede wszystkim boją się jego syna, który z kardynała stał się zbójem. Żyje na turecką modłę otoczony chmarą nierządnic, chroniony przez uzbrojonych żołnierzy.

Na jego rozkaz i z jego dekretu można być zabitym, ranionym, wrzuconym do Tybru, otrutym, wyzutym z wszelkiego

mienia. Aby uchronić się przed jego okrucieństwem, najszlachetniejsze rodziny musiały opuścić miasto, najlepsi obywatele się ukryli. I jeśli cesarz nie zaradzi temu złu, każdy będzie

musiał pomyśleć o ucieczce, o oddaleniu się z Rzymu".

Było oczywiste, że dla przeciwników Borgiów nastąpiły bardzo ciężkie czasy.

Aleksander i Cezar mieli mało skrupułów.

Biada temu, kto próbowałby stanąć im na drodze: na ich zemstę nie trzeba było długo czekać. Ten, kto popełnił błąd, płacił zań bez żadnego, nawet farsowego procesu. Takie metody stosowali oczywiście nie tylko Borgiowie; Sforzowie, Aragończycy, Medyceusze, Gonzagowie, Bentivogliowie, Estowie postępowali nie lepiej. Wiele z tych zbrodni, jakie przypisywał im autor Listu - możliwe, że był nim jeden z Colonnów - ojciec i syn naprawdę popełnili. Z innymi jednak nie mieli nic wspólnego. Nie wszystko, co się zdarzało w Mieście - a mogło się w nim zdarzyć wszystko - musiało być ich dziełem; oskarżenia brały się też stąd, że wielu ludzi pragnęło zguby papieża i księcia.

Kolegium Kardynalskie na przykład było im w znacznej części wrogie. Z wyjątkiem hiszpańskich purpuratów, wprzęgniętych do rydwanu Rodriga, któremu zawdzięczali kapelusze, beneficja i przywileje, wszyscy pozostali byli zbuntowani.

Powodów mieli aż nadto. Papież, pragnąc wywyższyć własny ród, dręczył ich i uciskał, a nawet niektórym konfiskował mienie. "Aleksander - pisał Pasquino - sprzedaje Chrystusa i klucze Piotrowe; ma prawo to czynić, bo kiedyś sam je kupił".

List nie oszczędza nawet prywatnego życia Borgiów, o którym tak wiele mówiono, a które mimo to nadal w wielu kwestiach pozostaje niejasne. Wspomina się tam o "gwałtach i kazirodztwie", ale bez podania konkretnych faktów i szczegółów. A fakty i szczegóły zawiera Dziennik Burcarda.

Ile jest prawdy w opowieści o słynnym "tańcu na kasztanach" urządzonym pewnej październikowej niedzieli 1501 r.

w watykańskim apartamencie Cezara? Czy jest prawdziwa czy wymyślona przez jakiegoś obdarzonego fantazją potwarcę? Czy naprawdę uczestniczyło w nim 50 prostytutek, które po uczcie tańczyły nago ze sługami przy świetle kandelabrow zabranych z ołtarza? Czy rzucono czy nie między te kandelabry garście kasztanów, które nierządnicę i lokaje zbierali schylając się i parząc się ze sobą zgodnie z naturą lub wbrew niej,

podczas gdy Aleksander, Cezar i Lukrecja pożądlawie się temu przyglądali? Czy po zakończeniu tej lubieżnej sarabandy rekordziści w kopulacji dostali naprawdę w nagrodę "jedwabne płaszcze, trzewiki, berety i inne przedmioty"?

Gregorovius, którego trudno podejrzewać o pobłażliwość wobec Borgiów, uważa, że opis tego incydentu został

włączony do Dziennika dopiero w późniejszych latach. Tego samego zdania jest również Ferrara: "Możliwe, że Cezar urządził zabawę, na temat której powstały później złośliwe plotki. Wiadomo, że w owym czasie surowi wysłannicy księcia Ercole d'Este (przyszłego teścia Lukrecji) wychwalali cnotę, moralność i pobożność córki papieża". Sacerdote, a wraz z nim większość historyków, twierdzi natomiast, że incydent zdarzył się naprawdę: "Za tym, że ta nieprzyzwoita zabawa miała miejsce, przemawia całe życie Borgiów, zepsucie panujące wówczas nie tylko w Rzymie, ale i na innych dworach".

Sacerdote powołuje się na Agostina Vespuciego, który w lipcu tegoż roku pisał do Machiavellego: "Co wieczór dwadzieścia pięć lub więcej kobiet przywozi się na łęku, w parę pacierzy, do pałacu, który stał się miejscem wszelkiej nieobyczajności".

Podobne wątpliwości istnieją co do drugiego wydarzenia, którego obserwatorami byli Aleksander i jego córka, a bohaterami cztery ogiery i dwie mulice. Papież, u którego boku

znajdowała się Lukrecja, widząc przechodzące pod oknami mulice kazał stajennym przyprowadzić cztery konie, by kolejno pokrywały owe mulice. Oboje z przyjemnością przyglądali się tej scenie śmiejąc się i zachęcając zwierzęta do kopulacji. Burcardo przekazuje nam również opis tego wydarzenia, rejestrując je z notariuszowskim dystansem, właściwym jego stylowi, w którym nie ma kokieterii, żadnego przymrużenia oka ani emocji. Czyżby on także był niewiarygodny i powtarzał plotki rozsiewane przez wrogów papieża? Aleksander mógł nawet nie przejmować się zbytnio swoją reputacją jako człowiek, ale do sprawy swej papieskiej godności przywiązywał wielką wagę. W zaciszu swojej alkowy mógł oddawać się - i z pewnością to czynił - najbardziej wyuzdanej rozpuszcie, ale wątpimy, by publicznie zachęcał do takich plugastw. Krótko mówiąc, uważamy, że ta cała historyjka jest nieprawdziwa. Potwarz, aby w nią uwierzono, musi być przynajmniej prawdopodobna. A ta nie jest. Borgiowie być może byli zdolni nawet do gorszych bezceństw, ale nie robili takich głupstw. A ponadto w owej chwili zarówno ojcu, jak i synowi zależało na niewywoływaniu skandali. Po długich rokowaniach Aleksander bowiem przekonał Ercole d'Este, pana Ferrary, by zezwolił na ślub swego pierworodnego syna Alfonsa z Lukrecją. Oblubieniec miał 25 lat, ona 21, poznali się w Rzymie w przededniu ślubu młodziutkiej Lukrecji ze Sforzinem, ale od tamtej pory nie mieli sposobności się widzieć. Alfons uchodził za jedną z najlepszych partii Italii, należał bowiem do jednego z najbardziej starożytnych i najznamienitszych rodów. Zwrócił nawet na niego uwagę król Francji, chcąc mu dać za żonę wdowę po hrabim d'Angouleme. Nie był Adonidem, ale miał męskie, choć nieco grube rysy twarzy, jak przystało na mężczyznę zajmującego się

polowaniami i wojną.

Kiedy ojciec zaproponował mu małżeństwo z Lukrecją, Alfons odniósł się do tego z tak małym entuzjazmem, iż Ercole

postanowił, że jeśli syn nie zmieni zdania, on sam będzie się

starał o rękę Lukrecji. |•.....||•

Związek ten w planach rodziców miał przynieść korzyści

zarówno Estom, jak i Borgiom. Ci drudzy zdobyliby potężnego sojusznika w regionie

- w Romanii - na który tak łakomym wzrokiem spoglądała "Najjaśniejsza", a w razie

wojny

z Florencją lub Bolonią, mogliby korzystać z baz ferraryjskich. Sojusz z Ercolem

sprzyjałby również zawarciu przymierza z Gonzagami i Montefeltrami, złączonymi

rozlicznymi

więzami z dynastią Estów.

Dla księcia Ercole to małżeństwo, z politycznego punktu

widzenia, byłoby mniej korzystne niż dla Borgiów. Ferrara

bowiem nie stawiała sobie ekspansjonistycznych celów. A ponadto potężny i

zuchwały sąsiad, jakim był Cezar, budził więcej obaw niż zaufania. Papież zresztą,

niezależnie od fatalnej

reputacji, miał już swoje lata. Związanie lub co gorsza skolidowanie się z nim było

bronią obosieczną: co bowiem się stanie po jego śmierci? Mało brakowało, by z

małżeństwa były

nici i tak by się chyba stało, gdyby nie interwencja króla Francji. Alfons jednak drogo

sprzedał swoją zgodę. Kosztowała

ona papieża 100 tysięcy dukatów w gotówce (narzeczony

z początku żądał podwójnej sumy) - poza strojami, klejnotami, zastawą stołową za

200 tysięcy, a także prawie całkowitym zwolnieniem z podatku kościelnego,

odstąpieniem miast

Cento i Pieve podległych arcybiskupowi bolońskiemu oraz

Porto Cesenatico i nadaniem wielu innych przywilejów członkom rodu d'Este. Był to

posag większy od tego, jaki wniosła

Bianca Maria Sforza cesarzowi.

Aleksander chciał coś wytargować, ale Ercole, człowiek nadzwyczaj chciwy, nie ustąpił. Wiedział, jak bardzo papieżowi ten związek leży na sercu i jak bardzo Cezar potrzebuje Ferrary do zrealizowania swych planów. To, czy córka papieża się zgadza, nie miało najmniejszego znaczenia w tym planie podyktowanym wyłącznie racją stanu.

Na reakcje nie trzeba było długo czekać. Wywołało je nie tyle moralne oburzenie, ile obawa przed dalszym wzrostem potęgi Borgiów. Zaprotestowały Florencja, Bolonia i Wenecja, a cesarz Maksymilian robił co mógł, byle tylko nie doszło do tego małżeństwa.

26 sierpnia 1501 r. podpisano w Watykanie kontrakt ślubny. Lukrecja nie ukrywała zadowolenia, choć nikt jej nie pytał o zgodę na to małżeństwo, a Alfons okazał tak mało entuzjazmu. I tym razem zgodziła się być pionkiem w grze, w której stawką było coś więcej niż ona, bierne narzędzie cynicznej i brutalnej polityki. "Kobieta zuchwała i intrygantka - zauważa przenikliwie Gregorovius - przeszłaby do porządku nad upokorzeniem, jakim jest poślubienie opornego mężczyzny, będąc świadoma swoich talentów i umiejętności. Inną, mniej silną, ale piękną i nie pozbawioną wdzięku, pociągałaby nieodparcie myśl zdobycia mężczyzny, który nie wybrał jej z własnej woli. W niej nie ma ani śladu pychy, lecz tylko dziewczęca radość ze szczęścia, jakie ją spotkało".

To, że Aleksander udając się z misją do Sermonety, powierzył jej na pewien czas zarządzanie sprawami państwa, nie zmienia w niczym naszego sądu o tej posłusznej i pozbawionej witalności kobiecie, która nie miała nic z Izabeli d'Este

czy Elisabetty Gonzagi. Gdyby nie taki ojciec jak Rodrigo i taki brat jak Cezar ani współcześni, ani potomni nie zajmowałiby się nią. W oczekiwaniu aż mąż i teść przyślą do Rzymu swoich przedstawicieli, Lukrecja przygotowywała wyprawę składającą się między innymi ze "szlaku do sukni wartości przeszło

15 tysięcy dukatów i 200 koszul, z których wiele kosztowało przeszło 100 dukatów". I tym razem Borgiowie się postawili.

Ale i Estowie nie byli gorsi: orszak ferraryjski liczył ponad 250 osób, wśród których znajdował się kardynał Ippolito i don Ferrante, bracia Alfonsa.

23 grudnia kawalkada przekroczyła bramy Miasta witana przez równie wspaniałe orszak papieski prowadzony przez Cezara i składający się ze szlachty, dyplomatów, prałatów, oficerów, straży papieskiej, muzykantów. Nigdy przedtem kwirycki nie byli świadkami bardziej triumfalnego wjazdu, nigdy nie widzieli większego przepychu.

Aleksander, sprawca tego farańskiego festynu, przyjął w swoim pałacu wysłanników księcia Ercole, którzy uklękli i ucałowali mu stopy. Potem Valentino odprowadził ich do Lukrecji spowitej w białą szatę przetykaną złotem, ze sznurem bardzo cennych pereł na szyi. 30 grudnia, w czasie ceremonii przewyższającej przepychem wszystko, co było poprzednio, don Ferrante, pełnomocnik Alfonsa, włożył na palec bratowej ślubną obrączkę. Po czym drugi brat, Ippolito, zaprezentował Lukrecji klejnoty. Rozpoczęła się wówczas cała seria zabaw, których kulminacją, choć nie zakończeniem, była corrida. Wziął w niej udział nawet Cezar; zakończyła się ona zabiciem 10 byków i jednego wołu.

Wreszcie 6 stycznia córka papieża na białej mulicy z orszakiem sług, pokojowców,

majordomów, minstreli i oczywiście z pięciuset Ferraryjczykami wyruszyła na spotkanie

z nowym losem. Przed opuszczeniem Miasta odbyła długą rozmowę z papieżem. To było ich ostatnie spotkanie. W romantycznym i romansowym życiu młodej córki Borgii otworzył się nowy rozdział.

17 lutego Aleksander i Cezar udali się do Piombino na uroczystości z okazji najnowszego podboju (aby bardziej uczcić to wydarzenie, papież zabrał ze sobą sedia gestatoria i złoty baldachim). Był to krótki pobyt, bo już 1 marca obaj udali się morzem w drogę powrotną do Rzymu. Natrafili na tak gwałtowną burzę, że ich statki miotane wichrem przez pięć dni błąkały się po Morzu Tyrreńskim.

Po powrocie Aleksander postanowił wznowić natychmiast operacje w buntujących się jeszcze państewkach. Ale to, co działo się na południu, uniemożliwiło jego zamysły. Francuzi i Hiszpanie - pod wodzą Louisa d'Armagnac i Gonzala de Cordoba - wiedli spór na przekór traktatowi z Grenady, który zamiast ustanowić pokój w regionie zamienił go w nowe pole bitwy. Król Ludwik i Ferdynand usiłowali pozyskać dla swojej sprawy to tego, to tamtego włoskiego potentata:

Ludwik kokietował Gonzagów i Estów, Ferdynand - Borgiów, którym ofiarował hiszpańskie lenna w państwie neapolitańskim. Zakłóciło to stosunki między Cezarem a Ludwikiem i opóźniało podbój - już ogłoszony - Urbino i Camerino.

W pierwszych dniach czerwca Valentino przestał się ociągać i wyruszył na Urbino, stanowiące dominium uczonych, wspaniałych i szczodrych Montefeltrich.

Panem tego miasta był szlachetny i podagryczny Guidobaldo, któremu Cezar nie tylko nie wypowiedział wojny, lecz poprzysiągł lojalność. Kiedy naiwny i nieświadom niebezpieczeństwa książę

dowiedział się, że wojska papieskie najechały jego księstwo, zawołał, że to zdrada, ale już było za późno. Obawiając się, że skończy jak Astorre, pod osłoną nocy wraz z bratankiem, giermkim, trzema szambelanami i garstką łuczników opuścił miasto i uciekł do Mantui. W cztery godziny potem Borgia wkroczył do Urbino.

Stamtąd wysłał natychmiast posła do Florencji z żądaniem wydania mu Guidobalda sądząc, że ten znalazł schronienie właśnie na jej terytorium. Zażądał też przysłania pełnomocnika w celu omówienia sytuacji. Republika wyprawiła do niego biskupa Volterry, Francesca Soderiniego wraz z jego sekretarzem Niccolem Machiavellim, 33-letnim mężczyzną, chudym i nerwowym, z małymi przenikliwymi oczami, wąskimi ustami o ironicznym, a zarazem tajemniczym wyrazie.

Spotkanie było krótkie, przystąpiono od razu do rzeczy.

Cezar, któremu Signoria odebrała dowództwo i przestała wypłacać pobory, zwracając się do Soderiniego zaczął tymi słowami (relacjonuje je Machiavelli): "Chcę najpierw zrozumieć, z kim mam traktować o naszym układzie, następnie chcę od was mieć nową gwarancję i kiedy mi ją dacie, przedstawicie mi wszystkie swoje zamierzenia; jeśli tak się nie stanie, będę zmuszony kontynuować kampanię i zabezpieczyć się przed wami na wszelkie sposoby, abym nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Zbyt dobrze wiem, że wasze miasto nie jest do mnie dobrze usposobione, że nawet nazywa mnie mordercą, że przysporzyliście wielkich kłopotów mnie, a także papieżowi i królowi Francji. Ten rząd mi się nie podoba i nie mogę mu ufać. Trzeba, abyście go zmienili i zdali mi sprawę z przestrzegania tego, co nam obiecaliście. W przeciwnym razie bardzo szybko dowiedziecie się, że nie godzę się na to. I jeśli nie zechcecie, abym był wam przyjacielem, doświadczycie, jakim

jestem wrogiem". Biskup odpowiedział, że Florencja nie jest mu wroga i że może jej ufać. Powinien tylko rozkazać Vitellozowi, aby się wycofał z Arezzo, które mu się dobrowolnie poddało.

"Nie spodziewajcie się - zareplikował Cezar - że zacznę działać na waszą korzyść, bo nie tylko na to nie zasłużyliście, ale staliście się tego niegodni; to prawda, że Vitellozzo jest moim człowiekiem, ale przysięgam wam, że o traktacie z Arezzo nic nigdy nie wiedziałem. Nie byłem niezadowolony z tego, że straciliście to miasto, przeciwnie - sprawiło mi to przyjemność i będzie mi przyjemnie, jeśli on [Vitellozzo] pójdzie jeszcze dalej".

Rozmowa zakończyła się właściwie niczym. O drugiej w nocy Valentino pożegnał się z gośćmi, którzy nazajutrz zwiedzili obozowisko wojsk papieskich. Porządek, jaki w nim panował, dyscyplina żołnierzy, ich doskonałe wyszkolenie, obfitość broni, amunicji - to wszystko zachwyciło Machiavellego, który wygłosił pochwałę tego wojska składającego się z wolnych obywateli, a nie najemników.

Nocą Cezar kazał znów wezwać biskupa i sekretarza i przedstawił im ultimatum (Signoria powinna się zdecydować: albo będzie z nim, albo przeciw niemu) i wyznaczył nieprzekraczalny termin czterech dni. Machiavelli miał przekazać to ultimatum Republice.

To pierwsze spotkanie z Cezarem i wiele następnych wywarły na autorze Księcia ogromne wrażenie. "Ten Pan

- zapisze w liście do Rady Dziesięciu florencki sekretarz jest prześwietny i wspaniały, a w wojennym rzemiośle tak śmiały, że nie ma rzeczy wielkiej, która nie wydałaby mu się małą. A pragnąc zdobyć sławę i państwo, nigdy nie odpoczywa, nie wie, co to zmęczenie i niebezpieczeństwo; udaje się

najpierw na miejsce, gdzie może toczyć się rozgrywka; kochają go żołnierze, zwerbował najlepszych ludzi w Italii. To

wraz z pomyślną fortuną czyni zeń człowieka zwycięskiego i budzącego postrach".

Ta pełna zachwytu, ale wolna od pochlebstw opinia jest tym godniejsza uwagi, że została sformułowana przez przeciwnika chłodnego, realistycznego i pozbawionego uprzedzeń,

który trzymał się faktów i trafiał w sedno. Cezar był wrogiem

numer jeden jego państwa, ale jako żołnierz i polityk miał

takie cechy jak odwaga, stanowczość, energia, bez których nie

wygrywa się bitew ani nie poskramia buntów. Borgia wiedział, czego chce, kiedy i z kim chce to osiągnąć. Nie był

człowiekiem półśrodków, łatwych kompromisów, kunktatorstwa, przetargów. Wobec niego trzeba było zająć stanowisko:

albo przeciw, albo za, z całym ryzykiem, jakie zawierało dokonanie tak stanowczego wyboru. Ta determinacja przede

wszystkim podobała się Machiavellemu i wzbudzała jego entuzjazm.

Odpowiedź Republiki na ultimatum Valentina była raczej ogólnikowa. Starano się grać na zwłokę w nadziei, że coś

się stanie, że Ludwik bardziej zdecydowanie weźmie miasto

w obronę. I tym razem zwłoka okazała się dla Florentczyków

opatrnościowa. Powrót francuskiego monarchy do Włoch

zmienił istotnie układ sił i osłabił nieprzejednanie Cezara.

Ale Ludwik także nie mógł mu się przeciwstawić, gdyż nadal

go potrzebował. Poprosił o wycofanie wojsk Vitellozza z ziemi toskańskiej i Cezar go usłuchał. A dialog z Signorią został

przerwany.

Tego samego dnia, w którym Soderini otrzymał rozkaz

powrotu do Florencji, do młodego księcia doszła wiadomość

o wzięciu Camerino i jego władcy, Giulia da Varano, wyklętego rok temu przez

Aleksandra.

Podboje Valentina rozszerzały się; coraz bardziej zaciskała się obręcz wokół garstki tyranów; łącznie z tymi, którzy przeszli na jego służbę w złudnej nadziei na uratowanie życia oraz odzyskanie w przyszłości utraconych dominiów.

XIII

"WYBORNY PODSTĘP"

Błyskawiczny podbój Urbino i Camerino wykazał, że Cezar, aby wygrywać bitwy, nie zawsze musiał je staczać. Lęk, jaki budził we wrogu, wystarczał do rozbrojenia go. Zdawało się, że już nikt nie jest w stanie stawić mu czoło i powstrzymać jego nieubłaganego marszu do przodu. Jak daleko zajdzie? Jakie dalsze terytoria będzie chciał zagarnąć?

Najbardziej niepokoił się obaleni tyrani. Valentino zawsze deklarował się przyjacielem Guidobalda, ale nie przeszkodziło mu to dokonać zdradzieckiej napaści na jego terytorium. Był to niebezpieczny precedens, z którym przeciwnicy musieli się liczyć. Jeśli chcieli wejść znów w posiadanie swoich lenn, nie mieli czasu do stracenia, gdyż czas działał przeciwko nim: wszelka zwłoka mogłaby okazać się dla nich zgubna.

W ten sposób zaczęła dojrzewać idea utworzenia ligi antypapieskiej, do której przystąpił hrabia Pesaro pamiętający nadal o upokorzeniu, jakim było dla niego przymusowe wyrzeczenie się Lukrecji. Istniało tylko jedno "ale", którego jednak nie można było zlekceważyć: król Francji. Wypowiedzenie wojny Cezarowi było rzeczą ryzykowną, ale mieć przeciwko sobie Ludwika byłoby samobójstwem. Trzeba go było pozyskać dla sprawy lub przynajmniej zapewnić sobie jego neutralność; w przeciwnym razie koalicję czekało fiasko. Nie było to jednak łatwe, gdyż Ludwika i Valentina

łączył pakt. Król francuski mógłby oczywiście go wypowiedzieć i stanąć po stronie tyranów. Ale co by w zamian

otrzymał? Ich fałszywe obietnice? Ich wiarołomną milicję?

Nie, lepiej pozostać przy księciu, choć stosunki z nim nie

były już takie jak dawniej. Harce papieskich wojsk po Toskanii irytowały bowiem

Ludwika, który z niepokojem patrzył

na panoszenie się Cezara w środkowych Włoszech i rozrastanie się jego

hybrydycznego księstwa. Nie lekceważył

także wrogiego stosunku Wenecji do papieża oraz niepokoju

wielu szlacheckich rodów lękających się, że mogą wpaść

w paszczę Borgiów. Ale to wszystko nie usprawiedliwiało

jeszcze zmiany frontu, na który liczyli i którego pragnęli spiskowcy.

Kiedy w lipcu 1501 r. król Francji po ponownym przebyciu Alp pojawił się w

Mediolanie, hołd złożyli mu Giovanni Sforza, książę Urbino, Ercole da Varano,

margrabia

Gonzaga oraz oczywiście posłowie weneccy. Nie wzywał ich,

ale natychmiast zrozumiał, co ich przywiodło przed jego

oblicze, a nawet do jego stóp. Gdy tylko Valentino o tym

się dowiedział, włożył mundur rycerza maltańskiego i wraz

z czterema giermkami ruszył galopem do stolicy Lombardii,

zatrzymując się na dwie godziny w Ferrarze, by odwiedzić

Lukrecję złożoną ciężką gorączką połogową. Gdy już tylko

kilka mil dzieliło go od Mediolanu, Ludwik uprzedzony

przez Alfonsa d'Este, wysłał mu naprzeciw nowe konie,

a nazajutrz, ku wielkiemu rozczarowaniu tyranów, sam do

niego dołączył.

Francuski monarcha zechciał mu towarzyszyć do zamku

Sforzów, gdzie przeznaczył mu najpiękniejszą komnatę przyległą do jego własnej,

zarządził przygotowanie wieczerzy układając osobiście jadłospis, a nawet oddał mu

do dyspozycji

własną garderobę, Cezar bowiem nie miał ubrania ani bielizny na zmianę. Krótko mówiąc, potraktował go jak syna lub brata.

Książęta zrozumieli, o co chodzi, i zatrąbili do odwrotu.

Borgiańskiemu niebezpieczeństwu będą musieli sami stawić czoło. Z całym ryzykiem, jakie kryło się w tego rodzaju działaniu. Ale cóż innego im zostało?

Książę nigdy nie wątpił w przyjaźń - choć interesowną

- Ludwika, ale nie spodziewał się aż tak łaskawego przyjęcia. A kiedy jego sojusznik opuścił Mediolan, aby powrócić do ojczyzny, Cezar odprowadził go aż do Asti.

Kawalkada zatrzymała się po drodze w Pawii, gdzie

Valentino odbył rozmowę z niejakim Leonardem da Vinci, który od pewnego czasu był u niego na służbie jako architekt i inżynier. Cezar polecił mu przeprowadzić inspekcję fortec

i wszystkich umocnień w swoich państwach. Gdyby ktokolwiek - gubernator, kapitan, urzędnik cywilny lub wojskowy

- ośmielił się utrudniać mu jego zadanie, miałby do czynienia z księciem.

Genialny artysta wstąpił na służbę Cezara po opuszczeniu dworu Mora. Nie wiemy, kiedy i gdzie ci dwaj ludzie się

poznali. Leonardo był z pewnością w Piombino w 1502 r., by

dopilnować remontu fortec i zaopatrzenia ich w broń i amunicję. Potem przebywał w innych miastach środkowych Włoch,

sam lub z Borgia, któremu towarzyszył do Urbino, gdzie książę spotkał się z Machiavellim.

Niewiele nam wiadomo o stosunkach łączących twórcę

Giocondy ze zdobywcą Romanii. Choć jeden był człowiekiem nauki, a drugi wojny, i mieli niewiele wspólnych zainteresowań, ich współpraca, której sprzyjał wzajemny szacunek,

układała się doskonale. W jakich okolicznościach i z jakich

powodów została przerwana, nie wiemy. Być może przyczyną było nagłe zgaśnięcie gwiazdy Borgiów. Na temat tego szczególnego koleżeństwa wypisano morze atramentu, ale nie rozjaśniono ciemności, jakie je spowijają.

Z Pawii Cezar wraz z Leonardem i Ludwikiem przybył do Asti, gdzie król pożegnał go patetycznymi słowami: "Kuzynie mój, pozostań w pokoju Wiecznego Boga, korzystaj znów z całej swojej władzy i wiedz, że moja wielka przychylność będzie jeszcze większa". Trudno powiedzieć, na ile było to szczere, ale tego rodzaju pożegnanie trzeba uznać za wymowne potwierdzenie porozumienia, którego nie opłacało się złamać ani królowi, ani księciu. W ten sposób bez kłopotów i hałasu zakończyła się druga wyprawa Ludwika do Włoch.

Ten wyczerpujący galop przysporzył Valentinowi - który następnie udał się do Imoli - nieoczekiwanych korzyści.

Nie tylko dlatego, że król Francji potwierdził, iż darzy go całkowitym zaufaniem, ale że uczynił to w sposób tak ostentacyjny, wobec wrogów żądających jego głowy, a nie wywyższenia. A więc Cezar jeszcze raz wygrał.

Wydawało się, że nic go nie powstrzyma we wznoszeniu się w górę, które w połowie zawdzięczał, jak pisał Machiavelli, "samowolnej fortunie", a w połowie "naszemu działaniu".

Gra nie była jednak skończona. Minęło bowiem niewiele czasu, a zbuntowali się jego kapitanowie. Jeśli taki Sforzino, Montefeltro czy Varano nie dysponowali wojskiem godnym tego miana (dlatego też zwrócili się do Ludwika), to kondotierzy cezariańscy mogli liczyć na swoich dobrze opłacanych i lepiej wyćwiczonych żołnierzy, którzy tylko formalnie zależeli od Borgii. Ci ludzie dobrowolnie zaciągnęli się do papieskiej armii, aby udobruchać Valentina i odzyskać swoje państewka. Nienawidzili księcia, ale się go bali. Nie wiedzieli

dokładnie, dokąd zmierza, choć Cezar, który nie miał do nich zaufania, nieustannie im powtarzał, że powinni mu zaufać. Solidarność, jaka ich łączyła, miała charakter koniunkturalny. Nie istniała między nimi żadna wspólnota interesów ani zbieżność celów. Każdy ciągnął w swoją stronę i przy najmniejszej okazji był gotów sabotować przedsięwzięcia drugiego.

Zaniepokoiły ich jednak ostatnie wyprawy Cezara. Któż bowiem mógłby im zagwarantować, że po przepędzeniu Montefeltrów i Varanów również i oni nie zostaną przepędzeni?

Nie gwarantowały im tego zapewnienia Valentina o lojalności. Ani papież, który zza kulis manipulował synem, sugerował i kontrolował jego posunięcia, podsycił ambicje. Nie było co się ludzi: wcześniej czy później Cezar pozbędzie się również ich. I może to uczynić w każdej chwili, tak jak postąpił z "przyjacielem" Guidobaldem. Citta di Castello, lenno Vitellich, Perugia, dominium Baglionich, Fermo, posiadłość Oliverottich oraz rozległe terytoria należące do Orsinich stanowiły zbyt łakomy kąsek. Trzeba było więc coś zrobić, zanim będzie za późno, zanim miecz Valentina spadnie na ich twarde karki. Ale trzeba było coś zrobić wspólnie, unikając niebezpiecznego rozproszenia sił. Tylko wtedy bowiem byłoby możliwe doprowadzenie przedsięwzięcia do pomyślnego końca. Kondotierzy nie byli jednak zjednoczeni, łączyła ich tylko nienawiść do Cezara, która niekiedy, jak w przypadku Vitellich, dochodziła do paroksyzmu.

Pan na Citta di Castello, zżarty przez syfilis, krwiożerczy, mściwy, kłótlivy, zmuszony wbrew swojej woli - miał o to pretensję do Cezara - do wycofania się z Toskanii, nie zamierzał siedzieć cicho i chciał się uwolnić od Valentina, by ponownie zaatakować posiadłości Florencji.

Baglioni, bardziej zimny i wyrachowany, ale jednocześnie mniej utalentowany, podzielał niechęć swego kolegi do księcia, gdyż on także był zmuszony przerwać działania wojenne przeciwko Florencji. Nie brakowało mu odwagi i ulegał złowrogiemu urokowi Vitellozza. Jego życie to ponure pasmo zbrodni, zdrad, zemst. Rządził Perugią twardą ręką i poddani go nienawidzili.

Oliverotto był przestępcą, który doszedł do książęcych godności drogą niesłychanych łotrstw. Najbardziej nikczemnie postąpił ze swoim wujem Giovannim Foglanim, władcą Fermo, który go, osieroconego, wychował. Po wystawnej uczcie, jaką wuj wydał na jego cześć, kazał go zamordować, zagarniając po nim dziedzictwo.

Orsiniowie - Paolo, pan Palombary, i Francesco, książę

Graviny - byli w pewnym sensie najściślej związani z Borgiami. Wprawdzie ich nie kochali, ale jeszcze mniej kochali Colonnów, wrogów papieża. Również oni uważali, że ich lenna

są zagrożone i dlatego przystąpili do spisku, któremu inni tyrani, łącznie z Bentivogliami, udzielili koniunkturalnego poparcia.

"Cezar - pisze Beuf - wiedział, że nie mógłby spodziewać się litości ani spokoju, gdyby został pokonany; doskonale

zdawał sobie sprawę z tego, że chodzi tu o jego przyszłość.

Jego jedyna przewaga polegała na tym, że był sam, że był panem siebie samego. Mógł w zupełnej tajemnicy układać plany i uderzyć, kiedy mu się podobało, za jedyne doradcę mając swój wspaniały mózg. Słuchał nielicznych, decydował sam i w jednej chwili. Kluczem do jego sukcesów był porządek, tajemnica i szybkość".

Tego właśnie brakowało rebeliantom, którzy na 28 września 1502 r. wyznaczyli

sobie, wraz z wojskami, spotkanie
w Todi. Długo się naradzali, ale jedyną decyzją, jaką podjęli,
miało być uniemożliwienie Cezarowi jego planowanego marszu na Bolonię, z której
chciał uczynić stolicę swego przyszłego księstwa. W kilka dni potem, na początku
października,
spiskowcy spotkali się w willi Orsinich w Magione, na wschodnim brzegu Jeziora
Trazymeńskiego. Poza gospodarzem,
starym i rozpustnym kardynałem Battistą, byli obecni Paolo,
Francesco i Franciotto Orsini, bratanek Guidobalda da Montefeltro, emisariusz
sienieńczyka Pandolfa Petrucciego, syn
Giovanniego Bentivoglia, delegat prefektki Senigalli sprawującej rządu w imieniu
młodego della Rovere, Gian Paolo Baglioni, jego brat Gentile, Oliverotto i
Vitellozzo, który przybył tu lektyką osłabiony kolejnym atakiem syfilisu.
Było to bardzo burzliwe spotkanie na szczycie. Jeśli wszyscy zgodnie uznawali
istnienie zagrożenia ze strony Borgiaów
i konieczność zneutralizowania go, to każdy, lub prawie każdy, miał inne zdanie na
temat sposobu działania i terminu
podjęcia akcji. Bentivoglio, Vitelli i Baglioni chcieli działać
natychmiast i pozbyć się Valentina, zanim ten spostrzeże, że
zastawiono na niego pułapkę. Kondotiera tak przebiegłego
jak on trzeba zaatakować zniemacka, broń Boże nie zwlekać.
O ile jednak władca Perugia wypowiadał się za starciem frontalnym i
zmobilizowaniem wspólnych sił, to Bentivoglio wolałby posłużyć się najemnym
mordercą. Vitellozzo zaś, miotając się wściekle, przysięgał, że w ciągu roku załatwi
się
z Cezarem i uwolni Włochy od borgiańskiej zarazy. Bardziej
pojednawczy okazali się Orsiniowie, którzy owszem, pragnęli
zlikwidować księcia, ale jednocześnie obawiali się ewentualnej reakcji Francji.
Wysłannicy Petrucciego i prefekci tylko słuchali. Delegat Sieny zajmował
stanowisko neutralne, dwaj pozostali zapewniali, że przyłączą się do zdania

większości. Przedstawiciel Guidobalda popierał stanowisko Baglioniego i Vitellego między innymi dlatego, że jego pan już i tak utracił swoje państwo i mógł tylko zyskać na operacji skierowanej przeciw Borgiom.

"Szczyt" w Magione, który Cezar pogardliwie nazwał "sejmem bankrutów", mógł trwać w nieskończoność wśród jałowych dyskusji i tchórzliwych wahań, gdy jak grom z jasnego nieba runęła wieść, że niektóre miejscowości w rejonie Urbino zbuntowały się przeciwko Valentinowi, a stolica księstwa odebrana wojskom papieskim wróciła do Montefeltrów. Spiskowcy osiągnęli w ten sposób ową jedność, do której nie mogli dojść z braku odwagi i zdecydowania. Rozzuchwaleni cudzymi sukcesami nie mieli już wątpliwości, co należy uczynić: Bentivogliowie mieli wyruszyć na Imolę, Vitellozzo i Orsinowie zaś udzielić pomocy buntownikom z Urbino. Zebranie zakończyło się w atmosferze euforii, wystosowano apel do Wenecjan i Florentczyków, by przystąpili do spisku.

Aleksander i Cezar postanowili zastosować natychmiast środki zaradcze. Przewidzieli wszystko, poza tym, co było najłatwiejsze do przewidzenia: buntu kondotierów, którzy tylko ze strachu wprzęgli się do papieskiego rydwanu. Przede wszystkim należało dążyć do osłabienia ligi i pozyskania sobie mniej zawziętych buntowników, począwszy od Orsinich. Jednocześnie należało zapewnić solidarność lub przynajmniej neutralność "Najjaśniejszej" lub Signorii. Ich ambasadorom papież w apokaliptycznym tonie przedstawił niebezpieczeństwa, jakie wyniknęłyby dla nich ze zwycięstwa wroga, Vitellozzo miałby je wykorzystać do ponownego zaatakowania Toskanii, a jego kompani wtargnęliby na inne terytoria. Tylko Kościół i jego kapitan generalny - powiedział papież - są w stanie zażegnać niebezpieczeństwo i zagwarantować pokój w środkowych Włoszech.

Cezar skwapliwie zapewnił o swej wierności Wenecję, która mianowała go "honorowym szlachcicem", oraz przestrzegał Signorię przed nowymi napaściami żołnierzy Vitellego.

Buntownicy jednak nie siedzieli z założonymi rękami:

Baglioni wymaszerował na Cagli, Vitelli na Casteldurante,

Orsiniowie na Calmazzo, Guidobaldo, oklaskiwany jako wyzwoliciel, powrócił do Urbino; Varano zaś do Camerino, gdzie

jednak przywitano go wrogo; Bentivoglio natomiast skierował się do Imoli.

Była to ofensywa w wielkim stylu, zaatakowano armię papieską (5 tysięcy ludzi przeciw 10 tysiącom) z kilku stron i nawet nadzwyczaj zręczny Cezar z trudem odpierał ataki.

Powstrzymanie się jednak Wenecji i Florencji od interwencji po stronie buntowników, a zwłaszcza ujawnienie się nowych podziałów między kondotierami, których zdezorientowały pewne posunięcia Valentina na obszarze między Imolą a Forli, odebrało działaniom całą siłę.

Dlaczego książę nie pospieszył z pomocą miastom Urbino i Camerino? Dlaczego tak szybko zrezygnował ze swych

dwóch najnowszych zdobyczy? Co się kryło za jego defensywnym manewrem? Czy była to konieczność czy zasadzka? Valentino był nieprzenikniony, nikomu się nie zwierzał, rzadko

wychodził ze swych komnat czy kwater, tylko papież znał jego plany i oczywiście trzymał je w tajemnicy. Powiedzmy jasno, że ta rozgrywka nawet dla Borgiów nie była łatwa ale nad spiskowcami mieli tę przewagę, że byli zjednoczeni.

Buntownicy świadomi byli tego faktu. Pierwszy ustąpił Bentivoglio, potem Petrucci, który posłał księciu gałązkę oliwną, następnie Paolo Orsini, który udał się osobiście do

Imoli, by układać się z Cezarem. W rezultacie zawarto porozumienie - Orsini miał je przedłożyć buntownikom - na

mocy którego Valentino zobowiązał się respektować ich państewka i bronić przed ewentualnymi uzurpatorami Druga strona zobowiązała się do tego samego w stosunku do terytoriów Kościoła i posiadłości Borgiów (już nie sposób było odróżnić jednych od drugich). A więc nie ma zwycięzców ani zwyciężonych. Wszystko miałoby być jak przedtem.

Sceptyk Machiavelli tak to skomentował: "Nie bardzo widać, jak ów [Valentino] miałby wybaczyć zniewagę oni zaś wyzbyć się strachu, ani też jak mogliby ustąpić jeden drugiemu w wyprawie bolońskiej i w księstwie Urbino". I nie mylił się. Cezar nie wybaczył buntownikom. Jakże by zresztą mógł wybaczyć ludziom, którzy mieli czelność się buntować? Nie, przy pierwszej okazji musiał się mścić. A tę okazję mieli mu stworzyć sami przeciwnicy. Ci zaś zaczęli szukać wykrętów, oscylując między posłuszeństwem a buntem. Kiedy jednak Orsini, noszący z racji swej poczciwości przydomek "madonna Paola", zaapelował do nich o zaakceptowanie porozumienia, jakie podpisał z Cezarem, nie zgodzili się i wznowili działania wojenne. I znów poląła się krew; Baglioni spustoszył rejon Pesaro, Oliverotto złupił Camerino, a Vitellozzo wymordował borgiańskich urzędników schwytanych w Urbino.

Valentino nie ruszył się, zajęty uzupełnianiem swych oddziałów świeżo zwerbowanymi ludźmi i sianiem niezgody w wojsku wroga. On jeden nie stracił zimnej krwi, należycie oceniał własne siły i nie chciał ich tracić w akcjach, których wynik był niepewny; jego jednego nie zaskakiwały wydarzenia, on jeden nie uległ panice.

Tymczasem Bentivoglio, dokonując kolejnej wolty, postanowił powrócić na łono rodziny, a za jego przykładem i namową "madonny Paoli" poszli koledzy, z wyjątkiem Baglioniów. Podpisano nowe

porozumienie, na mocy którego
Camerino i Urbino poddawały się władzy Borgiów. Guidobaldo odzyskiwał kilka
zamków, kapitanowie zachowywali
swoje dowództwa i dawali Cezarowi jako zakładnika swego
"prawowitego syna". Wszyscy więc, nie bez patosu, zobowiązywali się trwać "w
prawdziwej i wiecznej zgodzie oraz
jedności".

Pokój został zawarty. Jak długo miał trwać? Kto pierwszy
miał go pogwałcić? Kondotierzy wydawali się zadowoleni,
zadowolony też, przynajmniej pozornie, wydawał się Cezar.
Jedynym człowiekiem objawiającym niepokój był florencki
sekretarz. Swym nosem psa gończego wietrzył burzę. Porozumienie między księciem
a rebeliantami było tylko zawieszeniem broni. W rzeczywistości nieprzezwyciężone
rozbieżności dzieliły Valentina i jego kapitanów. To, co było korzystne dla niego,
szkodziło im, i na odwrót. Nie było co się łudzić:

wcześniej czy później musiało się to ujawnić. Kto na tym skorzysta?

Machiavelli nie miał wątpliwości: Borgia, który 10 grudnia wyruszył
niespodziewanie do Ceseny, wkroczył w jej mury

eskortowany przez garstkę wiernych mu ludzi, pozostawiając

wojsko w obozie pod miastem, aby nie było dla niego ciężarem, gdyż w Cesenie nie
było co jeść. Brakowało wszystkiego,

przede wszystkim zboża, i mieszkańcy umierali z głodu.

Cezar rozkazał sprowadzić z Wenecji 3 tysiące korców zboża,

po czym powołał komisję dla wyświeatlenia nieczystej afery

handlu pszenicą sprzedawaną na czarnym rynku. Winni

zostali wykryci, aresztowani i, po procesie w trybie doraźnym,
straceni.

Wśród nich znajdował się jeden z najbliższych i najbardziej zaufanych
współpracowników Valentina, Ramiro de

Lorca, gubernator Romanii i zastępca dowódcy wojsk

papieskich. Nie wiemy, jak i w jakiej mierze wykorzystywał on głód do robienia interesów. Akt oskarżenia wspominał o nielegalnym handlu zbożem, ale nie podawał żadnych szczegółów. Jak zresztą nie wymieniał wielu innych przykładów korupcji, wymuszania, grabieży zarzucanych temu urzędnikowi.

Było oczywiste, że Ramiro w sposób dyktatorski rządzi nowym państwem borgiańskim, uciskając poddanych podatkami. Było też oczywiste, że ludność go nienawidzi, gdyż stworzył atmosferę prawdziwego terroru. To prawda, że przywrócił porządek, ale za jaką cenę. Niezadowolenie mogło się teraz obrócić przeciw księciu, którego Lorca był przedstawicielem. Gdyby po kondotierach zbuntowali się także poddani, jego los byłby przypieczętowany. Machiavelli wyraża tu przypuszczenie, że Valentino, by nie narazić się na utratę popularności, ściągnął na Ramira całą nienawiść mieszkańców Romanii. Kazał aresztować i ściąć swego gubernatora, a jego głowę wystawić na widok publiczny na brudnej słomiance nie dlatego, że był przekonany o jego winie, lecz dlatego, że racja stanu wymagała znalezienia kozła ofiarnego. Jeśli popełniono nadużycia i wyrządzono krzywdy, to odpowiedzialny za to powinien być nie "książę", lecz jego namiestnik. Wymierzając mu karę, "książę" oddawał sprawiedliwość ofiarom i zaspokajał - tak się istotnie stało - ich pragnienie zemsty.

"Wrażenie, jakie wywołała ta egzekucja - pisze Sacerdote - było tak ogromne, że natychmiast zaczęły się szerzyć najróżniejsze pogłoski. Mówiono, że kiedy Lukrecja Borgia przejeżdżała przez Romanie udając się do Ferrary, zachowanie Ramira wobec niej wywołało oburzenie Cezara, który teraz się na nim zemścił. Gdyby jednak don Ramiro rzeczywiście uchybił czci Lukrecji, Valentino nie czekałby aż rok

z karą".

Nie, powód był inny, taki, jak sugeruje Machiavelli, a jego zdanie podzielają prawie wszyscy historycy. Księżę wiedział, że tylko taki człowiek jak Ramiro mógł poskromić Romanie, ale wiedział też, że tylko poświęcając go, mógł uzyskać od Romanii przebaczenie za metody przez niego stosowane dla jej spacyfikowania.

Niewielu despotów okresu Odrodzenia zaskarbiło sobie większą miłość poddanych niż Cezar, może dlatego, że niewielu umiało sprytniej, lecz także cyniczniej, wykorzystywać ich naiwność i resentymenty. I to bez uprawiania demagogii, bez kładzenia na szalę swego autorytetu. Valentino, mąż stanu, nie ustępował Valentinowi, strategowi, może dlatego, że jednym i drugim kierował nadal papież, któremu syn - w złym i dobrym - zawdzięczał znaczną część swoich triumfów.

Rozeszła się pogłoska, rozpowszechniana specjalnie przez papieża i podchwycona przez ambasadora przy Stolicy Apostolskiej, że Ramiro przeszedłszy na stronę wroga obiecał Orsinim, że wyda im Cezara, a Vitellozzowi i Oliverottowi przyrzekł jego głowę; to on właśnie strzałem z kuszy miał zabić kapitana Kościoła. Były gubernator - powiedział Aleksander przedstawicielowi Wenecji - wyznał to w trakcie przesłuchiwań. Ale papież przemilczał, gdzie i kiedy one się odbyły.

Po załatwieniu sprawy Ramira Valentino postanowił kontynuować podboje. Chciał zacząć od Senigalli, lenna Francesca Marii della Rovere, którym w jego imieniu zarządzała Giovanna di Montefeltro. Miasto było nie tylko neutralnym portem dla Urbino i Camerino, było też wylęgarnią

przeciwników Borgiów, a więc zdobycie go miało szczególne znaczenie. Zadanie to powierzono Oliverottowi, który

miasto zdobył, pozostawiając w rękach wroga tylko warownię.

W trzy dni później książę, pozbawiony niemal całego kontyngentu francuskiego, wezwany do Lombardii, przybył do

Senigalli poprzedzony przez Vitellego i Orsinich. I tym razem starał się zdobyć miasto drogą pokojową, wysyłając

herolda do gubernatora, którym był Genueńczyk Andrea Doria. Nie dało to jednak rezultatu. Gubernator powiedział wysłannikowi, że bez zgody prefektki - w owej chwili niedysponowanej na skutek przyjęcia zbyt dużej dawki środków

przeczyszczających - nie może podjąć decyzji: niech herold

wróci nazajutrz. Herold pożegnał się, a Doria skorzystał

z tego, by uciec. (Jeszcze wcześniej uciekła do Wenecji Giovanna).

W oczekiwaniu na pewną już kapitulację Cezar wyszedł

na spotkanie kondotierom, których nie widział - poza mediatorem, Paolem Orsinim - od dnia spisku. Pierwszy ukazał się właśnie Orsini, a za nim Vitellozzo, obszarpany, bez

broni, dosiadający muła. Potem przybyli inni. Cezar witał

wszystkich, całując ich i ściskając. Brakowało tylko Oliverotta, zdobywcy Senigalli, który przybył później w towarzystwie

Michelotta Corellego, prawej ręki księcia. Następnie towarzystwo skierowało się do miasta.

Wydawało się, że to, co zaszło przedtem, puszczono

w niepamięć, że nie ma co powracać do tych spraw, oskarżać się. Cezar im wybaczył, a oni na nowo przysięgli mu wierność.

Krótko mówiąc, wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Przynajmniej na pozór.

U rogatek Senigalli Vitellozzo, tknięty być może przecuciem, chciał zawrócić, ale Paolo Orsini go powstrzymał: książę - powiedział mu - pragnie, abyśmy mu

towarzyszeli

do jego apartamentów. Vitelli nie upierał się i, choć niechętnie, przestąpił również on próg pałacu, który Cezar wybrał na swoją kwaterę. Po wejściu na podwórzec Borgia odsunął się od kondotierów, jakby dając sygnał. W tym momencie jego ludzie rzucili się na eks-buntowników i obezwładnili ich. Paolo Orsini krzyknął, że chce coś powiedzieć Cezarowi, ale ten, niewzruszony, zniknął we wnętrzu pałacu. Wkrótce potem ludzie Valentina zaatakowali obozy Oliverotta, Vitellozza i Orsinich zostawiając na miejscu setki trupów. Po czym ogniem i mieczem zniszczyli miasto - łupiąc, gwałcąc, mordując. Dopiero osobista interwencja księcia położyła kres masakrze, po czym nastąpiło przykładowe karanie winnych. Brutalny napad odstręczyłby bowiem od Cezara nowych poddanych. Na ten luksus nie mógł sobie pozwolić.

Tej samej nocy wydał rozkaz poddania Oliverotta i Vitellozza torturom. Vitelli przyznał, że intrygował z Ramirem de

Lorca, podpisując tym samym wyrok śmierci na siebie i swego kolegę, w takim samym stopniu zamieszanego w spisek. Obydwóch posadzono na ławach plecami do siebie i związano.

Podszedł kat, wierny Michelotto Carella, który założył im na szyję sznur i zaczął powoli zaciskać pętlę. Vitellozzo, zanim go zadławił śmiertelny ucisk, poprosił papieża o odpuszczenie grzechów. Oliverotto zaś w ostatnim rzeźeniu zrzucił całą

winę na przyjaciela. Trupy zawleczono następnie na główny plac miasta. Ten sam koniec, w trzy tygodnie później, spotkał

Paola i Francesca Orsinich, zabitych w Castel della Pieve, dokąd tymczasem przeniósł się Cezar (tylko Orsino został

wypuszczony na wolność). Jeśli zaś chodzi o kardynała Battistę, opiekuńczego ducha rodziny, aresztowanego na rozkaz

papieża w dwa dni po zamordowaniu Vitellozza i Oliverotta, umarł on 22 lutego tegoż roku, otruty - zdaniem jednych,'

albo z wyczerpania - jak twierdzą inni.

Zemsta Borgiów nie mogła być bardziej przykładna. Był to majstersztyk: nieważne, czy książę dokonał jej w obronie własnej czy też chciał wymierzyć karę.

"Po wyjeździe Francuzów z Ceseny - pisze Machiavelli w swoich Legazioni - Cezar obawiał się, że jego wrogowie [tzn. kondotierzy], pojednani, będą się starali zdobyć Senigallię w jego imieniu, pojmać go sądząc, że to przedsięwzięcie pozwoli im połączyć siły i uważając, że księciu nie pozostało już tylu ludzi co przedtem i że to ułatwi ich plany". Jest to teza o prawie do obrony własnej zmodyfikowana wszakże w następnym dziele Descrizione del modo tenuto dal Duca Valentino nello ammazzare Vitellozzo Vitelli... (Opisanie sposobu użytego przez księcia Valentina do zabicia Vitellozza Vitellego...), z którego wynika, że prawdziwym zdrajcą był Cezar, atakujący nie po to, by się bronić, ale by pozbyć się wiarołomnych sojuszników.

Wymordowanie kondotierów było jednak dla sekretarza "osobliwym i zadziwiającym" przedsięwzięciem, godnym wielkiego księcia, przykładem do naśladowania, a nie zbrodnią

229

zasługującą na potępienie. "Wybornym podstępem" nazwie to Paolo Giovio, skądinąd zawsze bardzo surowo oceniający Borgiów. "Czyn godny rzymskiego bohatera" - pochwali król Francji. Izabela d'Este ofiaruje sprawcy tego czynu sto masek, a Florencja i Wenecja pospieszą z gratulacjami. Gwiazda Cezara znajdowała się w zenicie.

XIV

MALARIA CZY CANTAREIJLA?

Po wzięciu Senigalli i dokonaniu zemsty Cezar wyruszył na Citta di Castello, które poddało się dobrowolnie, ale nie tyle z miłości do Borgii, ile z nienawiści do Vitellich. Następnie skierował się ku Perugii, miastu Giana Paola Baglioniego, najbardziej zawziętego ze spiskowców, który uszedł cało z "wybornego podstępu" i był zdecydowany nie wpaść już w żadną morderczą pułapkę. W Magione oświadczył, że Valentino tylko orężnie mógłby go usunąć z jego miasta i ograbić je. Potem widząc, że wydarzenia przybrały zły obrót, zmienił zdanie. Wojska, którymi dysponował - nie mając złudzeń co do ich wartości - były zbyt szczupłe do zatrzymania wroga. Wiedział też, że nie może liczyć na swoich poddanych, zmęczonych krwawymi waśniami rozdzierającymi jego ród. Wolał więc opuścić miasto i schronić się w Sienie. A właśnie Siena była trzecim celem wyprawy Cezara, o wiele trudniejszym od poprzednich. I nie tylko dlatego, że Toskania - z wyjątkiem Piombino - stanowiła tabu. Również dlatego, że jej władca, Pandolfo Petrucci, mózg antyborgiańskiego spisku, był wielkim kondotierem i - mimo setek zbrodni, którymi się splamił - także dobrym politykiem. Cezar zdawał sobie sprawę z tego, że będzie miał z nim sporo trudności i dlatego starał się zawładnąć miastem bez walki, podstępem. Wykorzystując wrogie nastawienie ludności do Petrucciego zawiązał spisek, który jednak został wykryty; dwudziestu dwóch spiskowców aresztowano, z czego trzech natychmiast stracono. Niepowodzenie nie powstrzymało wszakże jego marszu naprzód, a nawet przyspieszyło kapitulację, na którą w końcu zgodził się sam Pandolfo. Lepiej poddać się bez walki niż stawiać opór do końca, gdyż wynik starcia był przesądzony, chodziło więc o to, by uniknąć zemsty i represji. Petrucci wraz z rodziną i wychodźcą Baglionim udał się do Lukki, a stamtąd do Pizy. Cudem tylko uniknął zasadzki,

jaką urządził Valentino, który gwałcąc układ posłał w ślad za nim swoich zbirów.

Cezar chciałby zaanektować Sienę, do tego też zmierzały wysiłki ojca, który z Rzymu kierował jego krokami. Miasto jednak należało do Państwa Kościelnego i powinno zostać jego częścią. Przejście Sieny w ręce Valentina nie tylko pozbawiłoby Stolicę Apostolską należącego do niej terytorium, ale zaalarmowałoby Florentczyków, Wenecję, a nawet króla francuskiego, którego Cezar nazwał "właścicielem sklepu", to znaczy "włoskiego buta".

Borgia stał się już dla Ludwika zbyt potężny. Księstwo Romanii, rozszerzone poza swe naturalne granice geograficzne, było najbardziej zwartym i strategicznie najlepiej położonym państwem na półwyspie. Jeden tylko człowiek, i to

taki człowiek jak Cezar, trzymał je mocno w garści, gotów w każdej chwili zmobilizować je przeciw każdemu, kto by zagroził jego integralności lub dostarczył pretekstu do dalszych podbojów terytorialnych. A tego francuski monarcha nie mógł tolerować, tym bardziej że sytuacja na południu coraz bardziej się pogarszała.

Ojciec i syn zdawali sobie sprawę, że należało odczekać i nie wysuwać takich żądań, które Ludwik z pewnością by odrzucił. Sytuacja w państwie neapolitańskim, gdzie Hiszpanie i Francuzi, po początkowej sielance, byli z sobą na noże (ci pierwsi zadali dotkliwe straty drugim), doradzała ostrożność. Lepiej więc było zaczekać, aż się zakończy ten konflikt, i zrezygnować na razie z dalszych podbojów. A tymczasem czemu by nie wypowiedzieć wojny rzymskim baronom, nie mniej swarliwym od tyranów?

Najbardziej nieustępliwi byli jak zwykle Orsiniowie, którzy chcieli przecież pomścić

swoich zabitych i którzy sprzymierzyli się z Colonnami i Savellimi. Wgnani z Rzymu, umocnili się w swoich lennachs, skąd dokonywali krwawych napadów na Miasto, zagrażając nawet Watykanowi.

Po rozpoczęciu działań wojennych Aleksander powierzył swojemu synowi Jofremu dowództwo wojsk papieskich, ale nie była to fortunna decyzja. Po kilku sukcesach młodzieniec musiał dać rozkaz do odwrotu, zmuszając Cezara do szybszego przyjazdu do Rzymu. Jeśli się chciało obronić romańskie zdobycze, trzeba było odebrać baronom ich zamki. Pokój na peryferiach zapewniał stabilność w centrum. Wojsko papieskie nie mogło w nieskończoność walczyć na dwóch frontach.

Tym razem jednak nieoczekiwana okoliczność przyszła w sukurs rebeliantom: pan na Bracciano, Giovanni Giordano Orsini, należał, podobnie jak Valentino, do francuskiego zakonu św. Michała, którego członkowie byli zobowiązani do neutralności i wzajemnego poszanowania. Orsini ponadto pozostawał pod opieką Ludwika, co atak Borgii czyniło wielce problematycznym. Kiedy jednak Cezar zgodnie z tym nakazem zakonu postanowił zrezygnować z oblężenia, które ściągnęłoby na niego represje, Aleksander mimo wszystko kazał mu atakować Bracciano. Ponieważ książe ociągał się, postawił mu ultimatum: albo wykona rozkaz i zdobędzie warownię, "nie dając pardonu ani kobietom, ani dzieciom", albo ściągnie na siebie papieskie gromy. Ten niezbyt chrześcijański rozkaz nie dopuszczał sprzeciwu i podkreślał dobitnie decydującą rolę ojca i podrzędną syna.

Tak więc Valentino znalazł się między młotem a kowadłem: nie chciał narazić się sojusznikowi, a tym bardziej nie chciał narazić się ojcu. Rozkaz był stanowczy, Aleksander uwielbiał Cezara, dla którego naraził na szwank nawet godność tiary, ale nie wybaczyłby mu żadnej niesubordynacji.

Książę o tym wiedział i dlatego postanowił być posłuszny. Wysłał gońca do Orsiniego i gęsto się tłumacząc wezwał go do dobrowolnego oddania terytorium: o tym zaś, komu ono przypadnie, miał zdecydować król Francji. Gdyby wypowiedział się on na korzyść obecnych władców ani Cezar, ani papież nie protestowaliby. Wobec odmowy przeciwnika Cezar przygotował się do ataku, ale potem opanowały go skrupuły i w pierwszych dniach marca rzucił wojska na podbój Ceri, głównej kwatery Giulia Orsiniego, rezygnując z Bracciano. Papież, wściekły, zagroził mu klątwą, odebraniem wszystkich lenn i 26-go tegoż miesiąca oświadczył na konsystorzu, że on sam zdobędzie Bracciano. Ktoś wyraził podejrzenie, że Aleksander i Cezar udawali tylko, iż wiodą ze sobą spór, który w rzeczywistości nie istniał: aby nie zrazić sobie króla Francji, protektora Giovanniego Giordana, syn zrzucił na ojca odpowiedzialność za przedsięwzięcie, które nie spowodowałoby żadnych retorsji ani nawet nie spotkałoby się z krytyką, gdyby kierowała nim głowa Kościoła. Nie można tego wykluczyć. Borgiowie byli zdolni do takich rzeczy i jeśli po zdobyciu Ceri papież nie zdołał zawładnąć Bracciano, które pozostało w rękach Orsinich, znaczyło to, że w końcu zdał sobie sprawę z tego, że Ludwik nie żartuje i że przynajmniej w tym punkcie nie ustąpi. Wątpimy, aby papież ustąpił synowi po ultimatum, jakie mu postawił. Krótko mówiąc, kiedy obaj zrozumieli, że lepiej się nie upierać, odstępowali od swoich planów. Po zakończeniu wyprawy przeciwko baronom Valentino powrócił do Rzymu; tutaj jednak zastrzenie się syfilisu, objawiające się powiększeniem gruczołów pachwinowych, przykuło go na parę dni do łóżka. Kiedy poczuł się lepiej,

zabrał się do reorganizowania wojska wyczerpanego tyloma kampaniami oraz do zaprowadzenia nowego ładu w księstwie.

Zreformował system podatkowy, niwelując lub przynajmniej zmniejszając nierówności między różnymi klasami oraz znosząc najbardziej niesprawiedliwe podatki, zwłaszcza te, które obciążały najuboższe warstwy. Wymierzał bardzo wysokie grzywny oficerom, którzy odmawiali płacenia za wikt, kwatery i furaż, przerzucając koszty na miasto, czyli poddanych.

Powołał do życia trybunał apelacyjny, którego jurysdykcja obejmowała całe terytorium, i włączył do jego składu nieprzekupnych sędziów.

Rozwinął rolnictwo i przemysł, i jeśli nie zdołał wykorzenić rozbójnictwa, to przynajmniej ograniczył powodowane szkody. Przeznaczył też znaczne sumy na budowę domów i osuszenie podmokłych gruntów. Wraz z porządkiem nastał w księstwie nie znany dotąd dobrobyt.

Przyznaje to nawet Guicciardini. A to znaczy wiele, gdyż żaden historyk nie był tak wrogo ustosunkowany do Borgiów jak on.

Jednakże zarówno odnowa państwa, jak i wojska wymagała pieniędzy, a kasy papieskie były puste. Aby je napełnić, trzeba było albo podnieść podatki, albo uciec się do symonii.

Podniesienie podatków uczyniłoby papieża jeszcze bardziej niepopularnym, sprzedawanie zaś urzędów i beneficjów zaszkodziłoby dobremu imieniu Kościoła, ale z kolei niewielu ludzi by się tym zgorszyło. Wybrano więc to drugie rozwiązanie. Aleksander wystawił na licytację osiem nowych stanowisk w kurii za łączną sumę około 6 tysięcy dukatów, a dwa miesiące później mianował dziewięciu kardynałów - pięciu Hiszpanów, trzech Włochów, jednego Niemca - z których każdy wyłożył średnio 20 tysięcy dukatów.

Wrogowie insynuowali, że aby zasilić skarb państwa papież bez skrupułów otrul

niezmiernie bogatego kardynała
Giovanniego Michiela, który zmarł 11 kwietnia po dwóch
dniach okrutnej agonii. Potwierdził tę pogłoskę Giustinian,
który napisał do Signorii, że papież, dowiedziawszy się o śmierci Michiela, "wysłał
gubernatora do jego domu, który zanim
nastał dzień, został doszczętnie ograbiony". Zdaniem sekretarza ofiary łup był
pokaźny: 50 lub 60 tysięcy dukatów
w gotówce, a ponadto złoto, srebro, dywany, arrasy, bydło,
zboże wartości co najmniej 100 tysięcy.
Aleksander natychmiast zaprzeczył. Uczynił nawet coś
więcej. Wyraził życzenie, aby Giustinian na własne oczy zobaczył uzyskaną sumę
wynoszącą - według papieża - niespełna 24 tysiące dukatów. "Spójrzcie, ambasadorze
- powiedział mu - w całym kraju krążą plotki, że po kardynale
dostaliśmy od 80 do 150 tysięcy dukatów w gotówce; a znaleźliśmy tylko tyle".
Sam ambasador opowiada o tym epizodzie, który wszakże budzi nasze wątpliwości.
Różnicę między sumą zabraną
z domu kardynała a sumą pokazaną dyplomacie można było
ukryć. A przecież papież był zbyt sprytny, by sądzić, że nieufny Giustinian da się na
to nabrać. Naszym zdaniem albo ambasador wymyślił tę scenę, albo ją przekreślił.
Jedno jest wszakże pewne: kardynał nie zmarł śmiercią naturalną, jej sprawcami
byli właśnie Borgiowie. W rok później, za panowania Juliusza II, niejaki Asquino di
Collredo, majordom Michiela,
zeznał - co prawda na torturach - że w zмовie z kucharzem domieszał do napoju
przeznaczonego dla swego pana
biały proszek, który mu wręczył tajemniczy mężczyzna, być
może sam Valentino.
Potwierdzeniem oskarżenia była reakcja samego obwinionego, kiedy przewodniczący
trybunału odczytał wyrok: tak,
usprawiedliwiał się, popełnił rzeczywiście tę zbrodnię, ale na
polecenie Aleksandra i Cezara, bez żadnego wynagrodzenia.

To dobrowolne wyznanie złożone przed trybunałem, a nie wymuszone przez oprawców, było szczere. Jaki interes mógłby bowiem mieć majordom w przyznaniu się do winy, gdyby nie był winny, zwłaszcza że wyrok już zapadł? Zapewniając o swej niewinności ocaliłby jeśli nie życie, to przynajmniej twarz.

Nie była to jednak jedyna zbrodnia, jaką syn i ojciec splamili się owej wiosny 1503 r. Zamordowanie tajnego pokojowca papieża, Francesca Troches, jednego z najbliższych współpracowników Borgiów, wywołało nie mniej hałasu. Motywem w tym wypadku był nie zysk materialny, ale polityka. Jeśli jest prawdą, że Troches, zbiegły nagle 19 maja z Rzymu, aresztowany na Korsyce przez Genuńczyków i sprowadzony następnie do Rzymu, ujawnił królowi Francji najnowsze konszachty papieża z Hiszpanią, to zasługiwał na karę. Ale nie taką, jaką mu wymierzono: zamknięto go najpierw w wieży na Zatybrzu, a potem przeniesiono do Watykanu, gdzie zadusił go Michelotto na oczach Valentina, który ukryty, asystował przy egzekucji.

Opierając się na świadectwach niektórych współczesnych należy stwierdzić, że zdrada była, ale o wiele poważniejsza niż ta, której dopuścił się Troches przekazując Ludwikowi pewne informacje. W ostatnich czasach stosunki między królem Francji a Borgiami stale się pogarszały. Przede wszystkim powrót Pandolfa Petrucciego do Sieny - powrót, którego życzył sobie sam Ludwik - po zaledwie dwóch miesiącach emigracji, dał dużo do myślenia papieżowi i księciu. Było oczywiste, że francuski monarcha pragnie w pewien sposób odciąć się od sojusznika, który stał się zbyt silny, i zbliżyć się do tego państwa, które najskuteczniej mogłoby powstrzymać napór Borgiów: do Florencji. Przesunięcie się Kościoła w orbitę wpływów Hiszpanii oraz ponawiane przez papieża oferty pod adresem Wenecjan, aby przyłączyli się do niego i do króla

katolickiego, były naturalną konsekwencją tego kolejnego zwrotu. Jeśli jednak porozumienie między Aleksandrem a Ferdynandem nie napotkało przeszkód, to "Najjaśniejsza" odniosła się do niego negatywnie. Kiedy 29 maja ambasador wenecki przekazał papieżowi odmowę Republiki, papież westchnął: "Utraciliśmy wielką nadzieję, jaką pokładaliśmy w prześwietniej Signorii, gdyż ufaliśmy, że wraz z nią naprawimy sytuację w tej biednej i rozdartej Italii". Wraz z nią może by to się udało, ale wątpimy w szczerość słów Borgii. Nie dobro Włoch leżało mu na sercu, ale interes własnego rodu. I być może dlatego przezorna "Najjaśniejsza" nie przyjęła propozycji. Poparcie zwyciężającej na południu Hiszpanii miało jednakże zrekompensować Borgiom utratę francuskiej protekcji i otworzyło przed nimi niespodziewane perspektywy w Toskanii. I właśnie na ten region, na który miał zawsze tak wielką chętkę, Cezar postanowił wyruszyć. Sam papież powiadomił zresztą o tym zamiarze na konsystorzu 28 lipca, choć mówił nie o Toskanii, ale o Romanii. Druga część wyprawy miała bowiem być utrzymana w tajemnicy, by tym groźniejszy stał się atak. Gdyby się powiódł - tak przynajmniej mówiono w Mieście - gdyby również Toskania lub niektóre z jej miast zostały ujarzmione przez borgiańskiego wołu, Aleksander przekształciłby księstwo Romanii w królestwo Adrii. Ojciec i syn, zawsze tak dalekowzroczni, tym razem się przeliczyli. Pokrzyżowała ich plany nie Francja, Hiszpania czy Wenecja, lecz malaria trzeciaczka. Spadła na nich niespodziewanie i w jak najgorszym momencie, udaremniając zamiary i ambicje, odbierając sens podbojom, unicestwiając ich.

Była jak grom z jasnego nieba, który owej parnej sierpniowej nocy 1503 r. spadł na dom kardynała Adriano da Corneto,

położony na stoku Monte Mario, dokąd Borgiowie udali się na wieczerzę.

Powodem przyjęcia tego zaproszenia był straszliwy upał, który spowił Miasto cuchnącym całunem i z otaczających Rzym wsi sprowadził na jego spalone żarem wzgórza całe chmary komarów.

Kilka dni wcześniej malaria zabiła kardynała Giovanniego Borgię, bratanka papieża, po śmierci którego Aleksander wszedł w posiadanie wszystkich jego bogactw (również przy tej okazji mówiono o truciznie, ale bezpodstawnie). Widząc, jak przeciąga kondukt żałobny z trumną krewnego, Aleksander wykrzyknął: "Ten miesiąc jest fatalny dla otyłych".

W chwilę później upadła mu pod nogi sowa, a on przerażony zamruczał: "Zły znak, zły znak". Po czym zamknął się w swoich komnatach i przez cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

Strach przed śmiercią przy atmosferze, jaka panowała w Rzymie, był powszechny, ale wydawało się, że papież boi się jej bardziej niż ktokolwiek. Nikt - choć wielu go pragnęło - nie spodziewał się jednak tak szybkiego końca. Gdyby wieczorem 5 sierpnia nie udał się do kardynała Adriano, być może kosa śmierci nie spadłaby na jego głowę. Choć może Parki zdecydowały już o jego losie. W każdym razie nazajutrz zaczął się skarżyć na złe samopoczucie, które w następnych dniach się pogorszyło i zepsuło mu dobry zazwyczaj humor.

11 sierpnia, w rocznicę koronacji, odprawił mszę w Kaplicy Sykstyńskiej, a ci, którzy w niej uczestniczyli, zauważyli, że drżą mu ręce, oczy straciły blask, twarz jest blada i spocona. Wieczorem poczuł się źle, ale dopiero po kolacji lekarze, którzy spieszenie przybiegli do jego wezgłowia, zdali sobie sprawę z tego, jak

poważnie jest chory. "Zwymiotował posiłek, podniosła się gorączka, która nie ustąpiła przez całą noc". Wielokrotnie puszczano mu krew; wykrwawiliby to byka, ale jemu przyniosło niewielką ulgę. Kiedy poczuł się lepiej, wezwał kilku kardynałów prosząc, by grali w karty przy jego łóżku; ale potem gorączka znów zaczęła wzrastać. Jeszcze raz puszczono mu krew, obniżyło to temperaturę, ale też jeszcze bardziej go osłabiło. Rano, 18 sierpnia, wydawało się, że to już koniec. Udzielono mu ostatniego namaszczenia, stracił przytomność i o zachodzie słońca, otoczony lekarzami, pokojowcami i kardynałami, wyzionął ducha.

Miał

72 lata.

Żadne z jego dzieci i ani jedna z dwóch kobiet, które najbardziej kochał i które najbardziej go kochały, to znaczy ani Vannozza, ani Giulia, nie były przy jego śmierci. Lukrecja przebywała w Ferrarze, Jofrego, zdaje się, nie było w Rzymie.

Cezar znajdował się wprawdzie w Mieście, ale również chorował na malarię i walczył ze śmiercią.

Kiedy rozeszła się wiadomość o śmierci Aleksandra, zaczął się normalny kołowrót podejrzeń i domysłów co do jej "prawdziwej" przyczyny. Nie wykluczano oczywiście również malarii, ale ludzie skłonni byli raczej wierzyć w coś, co mogło

w o wiele większym stopniu zakłócić spokój w Rzymie:

w otrucie.

Zdaniem niektórych Aleksander i Cezar padli ofiarą spisku, który sami uknuli przeciwko kardynałowi Adriano da

Cometo, chcąc zagarnąć jego mienie. Przekupili jakoby podczaszego, który miał domieszać do wina gospodarza zabójczy

biały proszek, zwany cantarella, spreparowany być może na

bazie arszeniku, który - jak mówiono - był ulubioną trucizną Borgiów. Jednakże na

skutek fatalnej omyłki wino

trafiło do kielichów papieża i księcia, którzy nieświadomi niebezpieczeństwa wypili je. Zdaniem innych, to właśnie purpurat zorganizował spisek. W takim razie ojciec i syn byliby

niewinni.

Żadna z tych dwóch wersji nie jest wiarygodna, choćby

dlatego, że w tym samym czasie malaria zaatakowała Corneto i wielu jego gości (Giustinian mówi, że wszystkich). Nie

przeszkodziło to jednak, by w Mieście i poza nim przyjmowano hipotezę o otruciu, i wielu wybitnych historyków, łącznie

z Guicciardinim, ją przyjęło. O bezpodstawności tej hipotezy

- i tego nie można podważyć - świadczą jednak depesze

ambasadorów do swych rządów. To, że żaden z nich nie wspomina o możliwości morderstwa, jest najlepszym dowodem, że

Aleksander zmarł na malarię.

Fantazyjne także były pogłoski - nie wiadomo przez kogo

rozpowszechniane - na temat jego agonii. Według jednej

z nich, na kilka chwil przed zgonem u wezłowania papieża

pojawił się, pod postacią pawiana, ów diabeł, z którym Aleksander w przededniu konklawe miał zawrzeć piekielny pakt.

Widząc go papież rzekomo wykrzyknął: "Przyjdę, ale jeszcze

poczekaj". A do służącego, który chciał go wygonić z komnaty, powiedział: "Zostaw go, to szatan".

Były to tylko oczywiście makabryczne bujdy, ale fakt, że

się szeroko rozeszły i wielu ludzi w nie wierzyło, świadczy, jak

bardzo znienawidzony był papież i jak złą miał reputację.

Przez całą prawie noc z 18 na 19 sierpnia zwłoki Aleksandra leżały w komnacie, w której wyzionął ducha. Kiedy już

przed świtem gorliwy Burcardo przekroczył jej progi, by umyć

i ubrać nieboszczyka, uderzył go przykry zaduch, a przed oczami roztoczył się

odrażający widok. W ciągu paru godzin,
z powodu strasznego upału, zwłoki uległy przerażającemu
rozkładowi: twarz przybrała brązowy kolor, nos był spuchnięty, z półotwartych ust
toczyła się biała piana, której nie
mógł powstrzymać nawet obrzmiały język wypełniający prawie całą jamę ustną.
Cuchnąca ciecz spływała strumyczkami
po podbródku i szyi, plamiąc koszulę i pościel. Oczy zdawały
się wychodzić z orbit, a w półmroku, w jakim tonął pokój,
pełgały wątle płomyki świec. "Makijaż" był długi i wyczerpujący: co chwilę
Burcardo i jego pomocnicy musieli wychodzić
z komnaty, by oczyścić płuca z zabójczych wyziewów. Odziali
wreszcie zmarłego w pontyfikalne szaty, okryli czerwonym
płaszczem i wrócili do swych apartamentów.
Nazajutrz zwłoki przeniesiono do Sali Papuziej, złożono
na stole przykrytym aksamitem, podsunawszy pod głowę brokatową poduszkę. Ale i
tu papież nie doznał pociechy odwiedzin czy modlitwy. Pokutnicy mający nad nim
czuwać, a nawet sami kardynałowie, trzymali się z daleka. Potem zwłoki
zostały przeniesione do Bazyliki św. Piotra przez przypadkowych tragarzy;
eskortowali je kanonicy, biskupi i krewni.
W bazylice miała się odbyć ceremonia żałobna, ale zniknięcie
księgi zmarłych i kłótnia, jaka wybuchła między żołnierzami
i klerykami z powodu jakichś pochodni, uniemożliwiły jej
odprawienie. Z obawy przed zamieszkami wszyscy, łącznie
z celebransem, wymknęli się. Gdy wrócił spokój, Burcardo
z trzema mężczyznami wzięli na ramiona trupa będącego
już w stanie daleko posuniętego rozkładu i ukryli go za głównym ołtarzem.
Ale nie pozostał tam długo. Biskup Sessy bojąc się, by
ktoś nie zbezcześcił zwłok, kazał wynieść je na podwórzec,
z nogami zwróconymi ku żelaznej bramie, którą przezornie
zamknięto. Giustinian, który widział zwłoki, powiedział, że

nie miały one już "ludzkiego kształtu ani wyglądu". Wieczorem sześciu tragarzy i dwóch stolarzy krzycząc i klnąc przetransportowało zwłoki do kaplicy Santa Maria delle Febbri.

Kiedy jednak trzeba było złożyć je do trumny, okazała się ona za krótka i za wąska, bo albo źle wzięto miarę, albo zwłoki były nadmiernie rozdęte. Na siłę więc, pięściami i łokciami, upychali je, póki nie pomieściły się w trumnie. A ponieważ mitra ciągle wystawała uniemożliwiając zamknięcie wieka, zdjęli mu ją i położyli z boku. Wszystko to odbyło się "bez pochodni, bez światła, bez żadnego księdza lub innej osoby, która by się zatroszczyła o ciało".

Pochowano je w kościele Santa Maria delle Febbri, skąd w 1610 r. wraz ze szczątkami stryja Kaliksta zostaną przeniesione do zakrystii kościoła Santa Maria in Monserrato.

W dwa i pół wieku później, w 1864 r. - opowiada Sacerdote - ambasador Prus w Watykanie, zwiedzając świątynię w towarzystwie kanonika don Ramona, wszedł do ciemnego, niskiego pomieszczenia, pośrodku którego stała zakurzona ołowiana skrzynka. W tej skrzynce - pisze ambasador — znajdowała się druga z ciemnobrązowego drewna, długości około 2,5 stopy i szerokości około 1,5 stopy. Opasywała ją wstęga z dwiema czerwonymi, zatartymi ze starości pieczęciami. Na wstędze była kartka papieru, na której widniały te oto słowa napisane archaicznym pismem: "Ta skrzynia zawiera kości dwóch hiszpańskich papieży Kaliksta III i Aleksandra VI". W 25 lat później przeniesiono je do grobowca ozdobionego dwoma popiersiami. Rzeźbiarz jednak pomylił napisy: pod popiersiem stryja umieścił imię bratanka, a pod popiersiem bratanka - imię stryja.

BILANS PONTYFIKATU

Choć w czasie borgiańskiego pontyfikatu dominowały dążenia doczesne -pisze Pastor - to jednak papież nie zaniedbywał działalności kościelnej. Mimo wszystkich ujemnych

zjawisk zarządzanie Kościołem biegło niezakłóconym trybem, co - jakkolwiek po części - tłumaczy się nadzwyczajną organizacją instytucji katolickiej". Aleksander zaś w ciągu

35 lat sprawowania urzędu wicekanclerza w służbie pięciu papieży doskonale poznał potęgę tej organizacji i wypróbował jej instrumenty. Nikt lepiej od niego nie potrafił wykorzystywać tej potęgi i posługiwać się nią do wywyższenia swego rodu, ale też nikt lepiej od niego nie rozumiał, że tylko silny i wzbudzający respekt Kościół może ułatwić - i tak istotnie było - realizację jego ambicji dynastycznych oraz ambicji jego potomstwa.

Konsolidując tradycyjne struktury papiestwa, umacniając hierarchię, kładąc nacisk na jej podporządkowanie autorytetowi

papieża, akcentując monarchistyczny charakter instytucji Kościoła był on w stanie urzeczywistnić swe doczesne plany.

Ucierpiała na tym wiara, ale Aleksander był tak mało wierzący, że nigdy nie nachodziły go wyrzuty sumienia. Jego misja była wyłącznie doczesna, daleka od ewangelicznych dążeń i transcendentalnych porywów.

Ograniczył się, raczej by dostosować się do wymogów swego urzędu niż z powołania, do skrupulatnego przestrzegania zewnętrznych form religii, którą tak niegodnie reprezentował. Nie tolerował wyjątków ani odstępstw od liturgii, stał się skrupulatnym strażnikiem ortodoksji i nieprzejednanym obrońcą dogmatów, protegował i obsypywał beneficjami zakony augustianów i dominikanów, patronował narodzinom zakonu braci mniejszych, sprzyjał rozwojowi kultu świętej Anny i Najświętszej Panny, przywrócił zwyczaj odmawiania

modlitwy na Anioł Pański. Czuwał nad czystością doktryny, o czym świadczy edykt wydany w 1501 r. i dotyczący Niemiec, w którym papież uznając społeczną użyteczność pracy potępia jej nadużycia i nieumiarkowanie (a nieumiarkowaniem były dla niego również bogobojne apele o bardziej surową moralność).

Zachęcał do ewangelizacji Europy Północnej i Nowego Świata, który sam podzielił na dwie strefy: portugalską i hiszpańską. Portugalczykom przyznał terytoria położone na wschód od wyimaginowanego południka wytyczonego w odległości około 500 km na zachód od Wysp Zielonego Przylądka; Hiszpanom zaś terytoria położone na zachód od owego południka.

Nie był też niewrażliwy na zagrożenie tureckie, ale kierował nim chyba strach przed inwazją osmańską, która byłaby bardziej niebezpieczna również dla jego państw, niż chrześcijański patriotyzm. W Mahometa i w Koran wierzył nie mniej niż w Chrystusa i w Ewangelię, w które w gruncie rzeczy nie wierzył lub wierzył nie dosyć. Kiedy w 1499 r. Lepanto, ważna forteca "Najjaśniejszej", wpadło w ręce niewiernych, a do Veneto. prawie aż po Vicencę, wtargnęła 10-tysięczna armia sultana, ogłosił krucjatę. Na czele floty postawił biskupa Jacopo Persano, który wraz z bratem Benedettem, dowódcą floty weneckiej, odbił w trzy lata później wyspę Santa Maura na Morzu Jońskim. Jednakże w 1503 r. Republika i Wysoka Porta przerwały działania wojenne, wyspa powróciła do Turków, a o krucjacie nie było już mowy.

Działalność kościelna i "nepotystyczna", które zdominowały prawie całkowicie jego budzący tyle kontrowersji pontyfikat, nie przeszkodziły mu uwielbiać muz. Nie był on ani

Juliuszem II, ani Leonem X, nie miał na swym dworze ani żadnego Michała Anioła, ani Rafaela, szczodrość dla sztuki ujawniał rzadko i niechętnie. Coś jednak robił. Odbudował uniwersytet rzymski, podwyższył uposażenia jego wykładowcom, protegował humanistów, choć unikał ich towarzystwa.

Spośród malarzy wyróżniał szczególnie Pinturicchia, któremu powierzył ozdobienie swoich apartamentów. Lubił także

budować: upiększył i powiększył Bazylikę św. Piotra i pałace papieskie oraz stworzył nową arterię, która została nazwana via Alessandrina i łączyła Watykan z Mole Adriana.

Gdyby głęboka miłość do dzieci oraz przesadne ambicje nie sprowadziły go na manowce, być może jego panowanie byłoby również bardziej owocne w dziedzinie mecenatu. Jak każdego innego śmiertelnika również jego należy oceniać według tego, co zrobił i jak, a nie według tego, czego mógłby, a nie chciał lub nie mógł dokonać.

Większość współczesnych wydała na niego bezapelacyjny wyrok, który potomni prawie jednomyślnie potwierdzili.

W Rodrigu Borgii widzieli ucieleśnienie zła, emisariusza szatana na ziemi, antychrysta. Nie zaaprobowali ani nie usprawiedliwili żadnego jego czynu. Według nich zepsucie, nepotyzm i symonia wyróżniające jego pontyfikat zepchnęły Kościół w przepaść, z której wyciągnie go dopiero Sobór Trydencki.

Gdyby nie Aleksander, nie byłoby być może ani Lutra, ani Kalwina, chrześcijańska jedność nie uległaby rozbiciu, wojny religijne nie skąpałyby Europy we krwi, wiara nie doznałaby takich upokorzeń. To właśnie wady i zbrodnie tego papieża rozpętały protestancką burzę i podważyły jedność Kościoła. Krótko mówiąc, gdyby Aleksander nie otrzymał tiary, łódź Piotrowa byłaby uratowana.

Nie zgadzamy się z tym. Tak, Aleksander był bardzo złym

pasterzem, splamił się wieloma występkami, bardziej myślał o Cezarze niż o Bogu, wykorzystał tiarę raczej do zdobycia ziemskiej potęgi niż zapewnienia sobie zasług w niebie, ale nigdy Stolica Apostolska nie była tak silna, zwarta i budząca postrach jak za jego rządów. Przywrócił jej siłę, którą straciła po Awinionie. Siłę, która zubożyła ją pod względem duchowym, ale wzbogaciła na płaszczyźnie doczesnej. Od wieków była ona zresztą potęgą doczesną - z własną polityką, wojskiem, planem podbojów, raczej terytoriów i ludzi niż dusz, troszczącą się bardziej o ten niż o tamten świat.

Choć Stolica Piotrowa chciała uchodzić za coś innego - odwołując się do Boga i jego przesłania, to w rzeczywistości była takim samym państwem jak wiele innych. Schizmy wraz z całym korowodem papieży i antypapieży rozdzierały ją i upokarzały. Poskramiając rzymskich baronów i podporządkowując sobie romańskich tyranów uczynił ją silną. Gdyby pozostała słaba i podzielona, taka, jaką ją zastał, nie zareagowałaby tak stanowczo na atak Reformacji i nie pohamowałaby tak skutecznie tego potężnego naporu. Tego oczywiście

Borgia nie przewidział i nie mógł przewidzieć.

Potępiajmy go więc jako papieża, ale zrehabilitujmy jako władcę. Nie dlatego, że był wolny od grzechów, ale dlatego, że nie on jeden je popełniał. Ten wilk wśród innych wilków nie był ani lepszy, ani gorszy od wielu swoich poprzedników i następców. Od dłuższego już czasu tiara nie była boskim symbolem, ale narzędziem sprawowania władzy. Gdyby nie oszczercza kampania Juliusza II, który po krótkim pontyfikacie Piusa III wstąpił na tron Piotrowy, Borgia cieszyłby się lepszą reputacją.

Zaciążyły na nim i nadal ciążą nie zawsze obiektywne

sądy współczesnych, począwszy od Guicciardiniego, który tak go określił: "Wąż, który ze swą nadmierną ambicją i przeraźliwą przewrotnością, z wszystkimi przykładami przerażającego okrucieństwa, potwornej lubieżności i niesłychanego skąpstwa, wystawiając na sprzedaż, bez różnicy, rzeczy święte i świeckie, zatrzał cały świat; a mimo to towarzyszyła mu wyjątkowa, niemal nieustanna pomyślność losu od najwcześniejszej młodości aż po ostatnie dni życia; pragnął bowiem rzeczy wielkich, a otrzymywał jeszcze więcej niż pragnął. Ten przykład może podważyć pewność siebie tych, którzy mniemając, że słabym ludzkim wzrokiem mogą zgłębić nieprzeniknione wyroki boskie, twierdzą, iż pomyślność lub przeciwność losu zależą od zasług lub przewinień ludzi: tak jak byśmy codziennie nie byli świadkami tego, że wielu dobrych ludzi jest niesłusznie prześladowanych, a wielu niegodziwców niezasłużenie wywyższonych; tak jakby - inaczej mówiąc - działa się to wbrew sprawiedliwości i wszechmocy Boga, która nie będąc ograniczona do krótkich terminów, do terażniejszości, w innym czasie i w innym miejscu szczodłą ręką rozdając nagrody i wieczne kary, oddzieli sprawiedliwych od niesprawiedliwych".

Florencki historyk przyznaje, że Aleksander odznaczał się "szczególną zapobiegliwością i przenikliwością, mądrością rady, cudowną zdolnością przekonywania, a we wszystkich poważnych sprawach - niewiarygodną troskliwością i zręcznością". Nad tymi cnotami - dodaje - "górowały jednak przywary: wielka nieprzystojność obyczajów, nieszczerłość, nieprawda, bezwstyd, brak wiary, brak religii, nienasycona zachłanność, nieumiarkowana ambicja, okrucieństwo bardziej niż barbarzyńskie i niepohamowana chęć wywyższenia wszelkim sposobem swoich dzieci, których miał wiele, a wśród nich był jeden syn - aby do spełnienia niecnym planów nie zabrakło niecnym narzędzi - pod każdym względem nie mniej obmierzły

od ojca".

Machiavelli uważa, że "Aleksander VI nic innego nigdy nie czynił, jak tylko oszukiwał ludzi, o niczym też innym nie myślał, a zawsze znajdował sposobność, by to czynić. Nigdy żaden człowiek nie dawał bardziej stanowczych przyrzeczeń, żaden nie potwierdzał czegoś bardziej uroczystymi przysięgami, a żaden mniej nie dotrzymywał; mimo to oszustwa udawały mu się zawsze, gdyż dobrze znał tę stronę świata" i "choć jego zamiarem nie było powiększenie potęgi Kościoła, lecz księcia, niemniej to, co uczynił, przysporzyło potęgę Kościołowi, który po jego śmierci i po zgonie księcia stał się spadkobiercą owoców jego trudów"*.

Gregorovius ocenia, że postawa moralna Aleksandra była tak "enigmatyczna", że pozostała tajemnicą nawet dla najbardziej wnikliwego psychologa. Nie widzimy, aby motywem jego występków była ambicja czy żądza władzy, którymi w przeważającej mierze należy tłumaczyć winy królów; nie była też nim nienawiść ani okrucieństwo, ani upodobanie w czynieniu zła, lecz zmysłowość i najszlachetniejsza, najbardziej uduchowiona jej forma: miłość do dzieci. Z wszystkich analiz psychologicznych wynikałoby, że olbrzymi ciężar win uczynił zeń człowieka udręczonego - jakim był Tyberiusz i Ludwik XI - przez strach i szaleństwo. Niewytłumaczalną stroną jego natury nie były namiętności, jakim się oddawał, ani popełnione czyny. Takimi samymi, a nawet cięższymi występkami skalało się wielu władców przed nim i po nim. Absurd polega na tym, że dopuścił się ich jako papież. Jak to było możliwe, aby Aleksander VI godził ten szal zmysłów i te bezlitosne czyny ze świadomością, że jest - i za takiego się uważał - najwyższym kapłanem i przedstawicielem Boga na N. Machiavelli, op. cit., s. 87, 68.

ziemi? W jaki sposób uciszał skrupuły i wyrzuty sumienia?
Jak mógł wierzyć w nieśmiertelność duszy i istnienie Boga?
Te oskarżenia podchwytuje katolik Pastor, który w swej monumentalnej Historii papieży pisze: "Z dezynwolturą i bezprzykładnym brakiem skrupułów Aleksander w ciągu jedenastu lat pontyfikatu realizował swoje skłonności i aspiracje całkowicie świeckie i często nieczne, nie bacząc zupełnie na wybór środków i na swą wysoką pozycję - byle tylko zwiększyć potęgę i sławę swego rodu i urzeczywistnić swoje ambitne plany. Jego publiczne i prywatne życie jest pełne moralnych plam, które całkowicie przesłaniają nieliczne jasne cechy jego charakteru. Jego pontyfikat był nieszczęściem dla Kościoła, którego prestiżowi zadał dotkliwie ciosy".

"Zadaniem papieża w owym czasie było przeciwstawianie się świeckości, owemu potokowi zepsucia, który z wielką siłą parł naprzód. Aleksander jednak uważał za swe powołanie wywyższenie swojej rodziny, tak jak świecki książę wywyższa swoją dynastię. Nawet wtedy, gdy morderstwo jego ukochanego syna, księcia Gandii, w tragiczny sposób przypomniało papieżowi o jego prawdziwym powołaniu, jego skrucha trwała krótko i natychmiast potem zaczął znów żyć tak jak tyłu nieobyczajnych książąt jego epoki, uzależniając się coraz bardziej od swego straszliwego syna Cezara i stając się współnikiem jego występków".

"Tak więc zamiast czuwać nad swą epoką ratując to, co było do uratowania, sprzyjał bardziej niż ktokolwiek korupcji w Kościele. Życie tego nieposkromionego epikurejczyka było zanegowaniem Boga, którego miał reprezentować na ziemi. Przez całe życie oddawał się, bez żadnych hamulców, rozpuście. Ale rzecz szczególna, sposób, w jaki zarządzał sprawami czysto kościelnymi, nie dawał powodu do żadnej uzasadnionej krytyki i nawet jego

najbardziej zagorzali przeciwnicy nie mogli tu wysuwać specjalnych zarzutów. Czystość doktryny Kościoła pozostała nienaruszona, prawie tak, jakby Opatrzność chciała wykazać, że ludzie mogą zaszkodzić Kościołowi, ale nie mogą go zniszczyć".

Zdaniem Gebharta, Aleksander, którego Cezar był złym duchem, "demonem rodziny", bardziej zaszkodził Włochom swoją pozbawioną skrupułów polityką niż Kościołowi swoją osobowością.

Geiger widzi w nim przestępcę mniej przewrotnego niż Cezar, oraz uważa go za człowieka "słabego i pozbawionego woli", który "pozwolił, by działy się najokropniejsze rzeczy i popchnął papieństwo na skraj przepaści".

Ridolfi porównuje go do Heroda, natomiast Sacerdote uznaje, że "jako chrześcijanin, jako papież nie zaniedbał rozprzestrzeniania wiary, podniesienia znaczenia Kościoła również w sprawach doczesnych". Był jednak - dodaje Ridolfi

- "niewolnikiem dwóch namiętności: nieokiełznanej zmysłowości i miłości do swoich dzieci. Pełen zmysłowości, lecz

także ojcowskiej miłości, uczucia tak przecież szlachetnego i ludzkiego, nie stawiał żadnych moralnych ograniczeń swoim żądom i ambicjom. Niepowstrzymanemu pragnieniu wywyższenia za każdą cenę swego potomstwa podporządkowywał dobro Italii, której - jak się chwalił - był oddanym synem, oraz dobro samego Kościoła, które powinno najbardziej leżeć mu na sercu. A przecież jako człowiek bardzo utalentowany i zręczny dyplomata mógłby zająć zaszczytne miejsce

w poczcie papieży. Jego usposobienie i namiętności sprawiły, że stracił poczucie przyzwoitości, moralności, człowieczeństwa".

Chantrel natomiast podejmuje obronę papieża, zaprzeczając, jakoby był on

niemoralny, zarówno przed, jak i po
wyniesieniu na tron Piotrowy. De Bethencourt uważa go wręcz
za wielkiego monarchę, a Corvo rozgrzesza - zgodnie z duchem czasu - z posiadania
licznego potomstwa i zarzuca
Kościołowi niewdzięczność.

Ferrara, jego najbardziej entuzjastyczny apologeta, mówi
o nim jak o świętym: "Mieszkając prawie pół wieku w Rzymie i spędziwszy prawie
całe życie w organizacji kościelnej, wyrobił w sobie wielkie poczucie dyscypliny i
świętego poszanowania, ponad wszelkie inne względy, interesów Kościoła
katolickiego. Był kapłanem w najściślejszym tego słowa znaczeniu
pobłażliwym we wszelkich ludzkich sprawach, ale stanowczym,
gdy chodziło o odwieczne przywileje jego religii. Przywracając jej siłę i prestiż, był
typowym kapłanem politycznym.

Z natury lękliwy, stawał się odważny aż do heroizmu, gdy
chodziło o obronę wielkiej instytucji, której ster mu powierzono. Wstrzemięźliwy,
umiarkowany i prosty w życiu prywatnym, w wystąpieniach publicznych otaczał się
beźmiernym przepychem, gdyż w jego mniemaniu ludzkiej miary nie
należało przykładać do urzędu, jaki sprawował. Demonstrował pogardliwą pychę,
gdy przemawiał najpierw jako kardynał, a później jako papież, podczas gdy w życiu
prywatnym

bronił niemal z pokorą własnych idei, zapominając o swej
wysokiej godności, pragnąc jedynie być przekonujący. Znaczący problemów świata
swojej epoki i potrzeb Kościoła starał
się zapobiec nieszczęściom, które miały nękać Włochy
w następnych stuleciach. Gdyby jego polityka równowagi międzynarodowej, która
kryzysy rozstrzygała zawsze na jego
korzyść, wykorzystując duchową siłę papieża, była kontynuowana i gdyby Juliusz
II nie zniszczył jej swoją lekkomyślną
popędliwością, Kościołowi i jego stolicy oszczędzono by
wiele bólu. W innych krajach, bardziej niż we Włoszech, udało mu się uniknąć

poważnych trudności: na przykład w Hiszpanii, gdzie wydatnie przyczynił się do zjednoczenia narodowego, i w Ameryce, gdzie ustanowił linię demarkacyjną podbojów.

W dziedzinie ściśle kościelnej zrealizował program odnowy religijnej, którego nie musiano ulepszać ani w okresie

Reformacji, ani Kонтreformacji. Był też wielkim prekursorem Soboru Trydenckiego. Życzliwy i ojcowski, wybaczył niektórym kardynałom podwójną zdradę: państwa papieskiego

i własnej osoby. Był surowy, a nawet okrutny - zgodnie z duchem czasu - tylko wtedy, gdy chodziło o wyzwolenie

Rzymu, środkowych Włoch od tyranii zbuntowanych baronów. Nie był ani mistykiem, ani świętym; miał wszystkie zalety i wady człowieka praktycznego, mającego na celu sukces

i realne dobro, a nie abstrakcję; był papieżem, wielkim papieżem Odrodzenia: nepotystą i wielkim księciem, który lubił

pracę i zabawę, był nieprzejednany w kwestiach religijnych i legalistą w sprawach państwowych".

Beuf przyznaje, że był nie lada grzesznikiem. "Roztrwonił dobra Kościoła, by wzbogacić swoją rodzinę, był niedbałym księdzem, niepoprawnym kobieciarzem i pozbawionym

skrupułów dyplomata. Zostawszy papieżem niezbyt popierał sztukę i literaturę, a jego wkład w upiększenie Rzymu był

w sumie niewielki". Przyznaje jednak, że "miał kilka godnych uwagi, a może nawet wielkich zalet: niezawodny węch polityczny, choć często marnował go z powodu słabego charakteru; był też zręcznym administratorem i świetnym organizatorem; szczodrym wobec poddanych, obdarzonym ujmującym sposobem bycia i wyjątkowym poczuciem humoru. Prawdopodobnie jego reputacji zaszkodził bardziej niż wiele grzechów brak jednej wady: obłudy".

Fusero również uważa go za grzesznika, ale zarazem za

"jedną z najwybitniejszych postaci swej epoki. Był wielki tak-

że jako administrator państwa papieskiego, co od pewnego czasu zaczyna się rozumieć i przyznawać po wielu wiekach niesłusznych ocen, na które miały wpływ dawne oszczerstwa i purytańskie przesady. Jego działalność na polu politycznym wydaje się coraz bardziej imponująca, uwidaczniają się jego niewątpliwie nadzwyczajne talenty: szerokie horyzonty, wycucie wymogów chwili, zdolność realizowania zamierzeń. Jeśli stosowane przez niego środki spotykały się z dezaprobatą, to cel, do jakiego zmierzał, nie mógł nie zyskiwać poparcia tych, którym leżał na sercu los Państwa Kościelnego, bowiem dzieło Aleksandra VI realizowane z zaangażowaniem i pilnością, cechującą niezmiernie pracowitych, chroniło je przed anarchią w jaką popadło, i przywracało głowie Kościoła należną monarsze władzę. W dziedzinie religijnej działalność Aleksandra VI zmierzała do utrzymania jedności świata chrześcijańskiego, powstrzymania ofensywy islamu, wzmożenia ekspansji katolicyzmu i obrony jego czystości doktrynalnej. Na płaszczyźnie kulturalnej pozostawił po sobie rzeczywiście niewiele, gdyż niezwykle intensywna działalność polityczna nie pozostawiała mu zbyt wiele czasu ani wielkich sum pieniędzy, które mógłby poświęcić na renesansowy mecenat". Molinari dostrzega w nim wielkie zdolności polityczne, ale czyni mu zarzut z nieprzeprowadzenia reformy w społeczeństwie, w którym domagały się tego nawet kamienie. Aleksander "świecił nieuczestnictwem i brakiem zainteresowania". Jednakże Borgia był nie tyle "czynnikiem sprawczym, ile symbolicznym wykładnikiem sytuacji, która go przerastała".

Krótko mówiąc, nie był takim potworem, jakim go przedstawiała niezycziwa i stronnicza historiografia. Był bardzo złym papieżem, ale - powtarzamy - wielkim monarchą: bez skrupułów, bez wiary, bez moralności, ale z niezawodnym

węchem politycznym. Jak przystało na renesansowego księcia, który - o ironio losu - był również wikariuszem Chrystusa.

XVI

MARZENIE LEGŁO W GRUZACH

Po śmierci ojca Cezar kazał Michelottowi zabrać jego skarb, by nie wpadł w ręce Świętego Kolegium. Michelotto pospieszył do kardynała kamerlinga, w którego posiadaniu znajdowały się klucze do komnaty, gdzie skarb był przechowywany, i ze szpadą w ręku zażądał ich. Purpurat najpierw odmówił, ale kiedy Michelotto zagroził, że wyrzuci

go przez okno, przekazał mu klucze. Pomieszczenie przyległe do komnaty papieża zostało całkowicie splądrowane:

złoto, srebro, dywany, arrasy, pieniądze - wszystko wartości

30 tysięcy dukatów - zostało przywłaszczone przez Valentina. W pośpiechu rabusie nie zauważyli, że w sąsiedniej skrytce znajdował się drugi skarbiec zawierający tiarę i bardzo cenne wazy.

Podobnie wyglądała komnata, w której papież wyzionął ducha. Obrabowali ją pokojowcy, którzy jednak musieli się zadowolić nielicznymi meblami, kilkoma kobiercami oraz osobistą garderobą zmarłego. Rzadko stolica chrześcijańska przedstawiała tak nieprzyzwoity widok.

Gdyby malaria nie skazała go na bezczynność, Cezar z pewnością nie dopuściłby do pewnych aktów bezprawia.

Choroba jednak wydała go na łaskę kardynałów. Leżąc w łóżku i walcząc ze śmiercią nie mógł wydawać rozkazów ani użyć swych wojsk.

Nikt nie miał u nich takiego posłuchu jak

on, a więc nikt nie mógł przejąć nad nimi dowództwa. Gwałtowna gorączka

doprowadziła go do takiego załamania fizycznego i psychicznego, że nawet z trudem

mówił. Kiedy

wyzdrowiał, było już za późno.

By ratować mu życie, lekarze próbowali rozmaitych kuracji. Włożyli go nawet do wypatroszonego brzucha muła, by

następnie zanurzyć w lodowatej wodzie. Wreszcie jego żelazny organizm przezwyciężył chorobę, wytrzymując również tę

dziwną terapię. Choć życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, musiał pozostać w łóżku - nawrót choroby mógłby być dla niego fatalny.

Mimo to udało mu się zawrzeć z Colonnami przymierze

przeciwko Orsinim, pałał bowiem chęcią pomszczenia Katalończyków. W zamian za pomoc zobowiązał się zwrócić

Colonnom dominia zagarnięte przez Aleksandra. Porozumienie to, podyktowane koniecznością i wyrachowaniem, miało

jednak krótki żywot, gdyż niespodziewana śmierć papieża postawiła pod znakiem zapytania cały system Państwa Kościelnego.

Przyjazny papież mógłby prawdopodobnie utrzymać młodego Borgię na urzędach i zachować jego przywileje. Ale

papież wrogo usposobiony zabrałby mu wszystko - może

z wyjątkiem życia. Dlatego Cezar musiał wkraść się w łaski

Świętego Kolegium, by - w miarę możliwości - zapewnić

sobie wpływ na wybór papieża, czego kardynałowie mieli dokonać na zbliżającym się konklawe.

Ten plan pokrzyżowali jednak kardynałowie, rozkazując

Colonnom, Orsinim i samemu Borgii - aż do wyboru nowego papieża - opuścić miasto wraz z ich wojskowymi formacjami. Cezar protestował, ale musiał się podporządkować.

Postawił jednak dwa warunki: pozostanie gonfalonierem

i kapitanem Kościoła oraz uzyskać zapewnienie nietykalności

swoich romańskich dominiów. Purpuraci, pragnąc tylko jego

wyjazdu z Rzymu, zgodzili się - lub udawali, że się godzą -

na obydwie te żądania.

Zanim jednak wyjechał, z obawy, że Święte Kolegium wycofa się z obietnic lub też po to, by zabezpieczyć sobie tyły, podpisał pakt z królem Francji: Ludwik miał zagwarantować mu zdobycze w środkowych Włoszech, Cezar zaś wesprzeć króla w walce z Hiszpanami, którzy na południu przysparzali mu kłopotów.

Opuścił Rzym w lektyce niesionej przez dwunastu halabardników. Za nią prowadzono jego konia przyozdobionego pióropuszcami i okrytego cennym czaprakiem jak na uroczyste okazje. Oficjalnie jechał do Tivoli, gdzie miał się spotkać z Prosperem Colonną. W pewnej chwili zatrzymał orszak, w którym znajdowała się również jego matka Vannozza i brat Jofre, i skierował się w stronę Nepi. To nikogo nie zdziwiło: po zawarciu porozumienia z monarchą francuskim, sojusz z prohiszpańskim Colonną nie był już potrzebny. Przykłady tego rodzaju nielojalności były wówczas na porządku dziennym; ten, kto się jej dopuszczał, wcale nie czuł się zdrajcą.

Ówczesna moralność, czy też jej brak, rozgrzeszała każdą przewrotność; jeśli cel uświęcał środki, każdy środek był dozwolony. Nawet zerwanie paktu podpisanego zaledwie przed dziesięcioma dniami.

Tymczasem borgiańskie państwo waliło się pod ciosami obalonych niedawno tyranów, rozzuchwalonych śmiercią papieża i chorobą jego syna. Urbino, Camerino, Perugia, Piombino, Citta di Castello, Pesaro, Rimini powróciły do swych dawnych panów.

Cezar patrzył bezsilnie na ten powrót starego porządku, nie mniej gwałtowny niż jego poprzednie podboje. Wydawało się, że po tylu sukcesach fortuna odwraca się od niego. Gra nie była skończona, ale niezwykle się komplikowała. Pozostawała mu do rozegrania

jeszcze jedna karta: wybór nowego
papieża.

Z 37 kardynałów zebranych na konklawe 11 Hiszpanów
głosowałoby na jego kandydata, byleby tylko nie na Francuza. Jeśli nawet nie
udałoby się tego przeforsować, to mogliby
jednak przeszkodzić głosowaniu niekorzystnemu dla Valentina, przede wszystkim zaś
wyborowi kardynała della Rovere,
który byłby dla niego najbardziej przykry i najbardziej niebezpieczny. Po wielu
żmudnych i tajnych naradach wybór
padł na starego i schorowanego bratanka Piusa II, Francesca
Piccolominiego Todeschiniego, który na cześć stryja przyjął
imię Pius III. Było to wyjście i kompromisowe, i tymczasowe.
Nowy papież, cierpiący na rozmaite choroby, był już jedną
nogą w grobie. Jednakże krótki czas jego panowania pozwolił
purpuratom lepiej się przygotować do realizacji swoich zamysłów.
Wybór Piccolominiego pozwolił także odetchnąć Valentinowi i zresztą był głównie
jego dziełem. Stary papież,
z wdzięczności, spieszenie zatwierdził go na urzędach gonfaloniera i kapitana
Kościoła oraz zapewnił opiekę. Na skutki tej
decyzji nie trzeba było długo czekać: Malatesta został wypędzony z Rimini, a
Florentczycy, którzy mniej lub bardziej
skrycie sprzyjali wrogom księcia, zmienili front.
W tym momencie Cezar uznał, że nadeszła już pora powrotu do Rzymu. Poprosił
papieża o zgodę, a otrzymawszy ją,
przekroczył bramy miasta z większymi nadziejami niż wtedy,
gdy z niego wyjeżdżał. Przybył z matką, bratem i z około 700
żołnierzami, bo tylu ich tylko zostało po licznych ucieczkach
i dezercjach (jeden z jego najlepszych kapitanów, Ugo de
Moncada, przeszedł na stronę Hiszpanów).
Valentino szybko dostrzegł, że jego pozycja w Rzymie

jest bardzo niepewna, i to mimo poparcia papieża, aczkolwiek słabnącego i coraz bardziej osamotnionego. Antyborgiańska liga rozrastała się w przerażający sposób, a akcje Cezara spadały z dnia na dzień. Colonnowie, po doznanej zniewadze, przeszli na stronę wroga; Baglioni naciskali na papieża i na kurie, aby pozostawili księcia na łasce losu; Orsiniowie

po zawarciu z nim 12 października z wielkim hukiem przymierza, nazajutrz z równie wielkim hukiem je zerwali. Jakby

tego nie było dosyć, 14 października wielki kapitan Gonzalo de Cordoba wezwał hiszpańskich żołnierzy, by nie walczyli pod sztandarami Cezara. Ten z obawy przed represjami schronił się ze swą rodziną w zamku św. Anioła.

Było to jawne przyznanie się do bezsilności, ale czy było inne wyjście? Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Nawet

sojusz z Ludwikiem był li tylko formalny: król francuski doznał wielu dotkliwych niepowodzeń na Południu, które łudził

się, że podbił, a które obecnie stało się terenem opanowanym przez Hiszpanów.

Na domiar złego stan zdrowia Piusa III ciągle się pogarszał i wreszcie 18 października, po niespełna miesięcznym

pontyfikacie, papież pożegnał się ze światem. Nikt go nie

żałował, ale jednocześnie ta śmierć rozbudziła wielkie nadzieje wśród kandydatów do sukcesji. W posiadłościach Valentina na skutki nie trzeba było długo czekać. Forli oddało

się w ręce Ordellaffich, swoich dawnych panów, Faenza powróciła do Manfredich.

Niepokój Cezara był ogromny. Pozostała mu wciąż ta

sama, jedyna karta - konklawe: jeśli ją rozegra źle, będzie

skończony. Zwycięzca zadecyduje o jego losie: wróg go zniszczy, przyjaciel, być może, uratuje. Na kogo postawić? I tym

razem decyduje ten sam tuzin głosów, które on kontroluje.

Jego kandydatem jest Francuz Amboise, ale król Hiszpanii

go nie chce, a purpuraci iberyjscy, choć związani z Valentinem, nigdy by nie poparli kogoś, komu ich król jest nieprzychylny. Drugim papabile jest della Rovere: podoba się zarówno Francuzom, jak i Włochom. Gdyby połączyli swe głosy, della Rovere mógłby przejść. Nienawidzi Cezara, a Cezar jego, ale w tej chwili jeden potrzebuje drugiego, wspólny interes mógłby przekreślić stare urazy. Polityka to także kompromisy i sztuka puszczania pewnych rzeczy w niepamięć. Dlaczego więc nie dążyć do porozumienia?

"W niedzielę 29 października - pisze Burcardo - czcigodny kardynał od San Pietro in Vincoli przybył do pałacu apostolskiego z księciem Valentino i z kardynałami hiszpańskimi. Zawarli układ złożony z wielu rozdziałów, na mocy którego Giuliano della Rovere zobowiązywał się, w razie zostania papieżem, mianować księcia Valentino generalnym gonfalonierem Kościoła, obdarzyć go swoją łaską i pozostawić mu jego państwo. Księżę podjął analogiczne zobowiązania wobec kardynała, wszyscy purpuraci hiszpańscy obiecali głosować za wyniesieniem della Rovere na tron Piotrowy".

Był to pierwszy fatalny błąd Valentina, błąd, jakiego nie popełniłby nigdy jego ojciec. To posunięcie przypieczętowało los księcia. Jakże mógł się łudzić, że Giuliano, zostawszy papieżem, choćby dzięki jego poparciu, zapomni o porażkach, upokorzeniach i krzywdach doznanych za panowania Aleksandra? Jak mógł się łudzić, że słowo innego będzie -jak to określił Machiavelli - "bardziej godne wiary" niż to, które on sam w przeszłości dawał?

Z początku jednak della Rovere, już Juliusz II, nie szczędził zapewnień i obietnic: "Kochamy go miłością ojcowską jako naszego wikariusza w sprawach doczesnych" - oświadczył z patetyczną hipokryzją rozważając jednocześnie możliwość wydania swego bratanka Francesca Marię za córkę Valentina, Luizę, a jedną ze swych bratanic za "rzymskiego

infanta". Nie koniec na tym: poprosił Valentina, by powrócił do Watykanu, ofiarowując mu jednocześnie apartament w pałacu apostolskim (może chciał trzymać Cezara z dala od trudnej do zdobycia Mole Adriana?).

Dwuznaczna sytuacja wkrótce się wyjaśniła. 11 listopada papież zwierzył się wszędobyłskiemu ambasadorowi Wenecji:

"Nie chcemy, aby Cezar żywił przekonanie, że darzymy go łaską i by zachował choćby jeden blank fortecy w Romanii; i chociaż obiecaliśmy mu coś niecoś, pragniemy, aby nasza obietnica obejmowała tylko zachowanie przez niego życia, pieniędzy i rzeczy, które ukradł i które w dużej mierze już roztrwonił". I dodał, aby nie było żadnych wątpliwości: "Pragniemy, aby jego państwa powróciły do Kościoła i stawiamy sobie za punkt honoru odzyskać to, co nasi poprzednicy tak lekkomyślnie utracili". Oczywiście nie było też mowy o powierzeniu mu dowództwa wojsk papieskich czy daniu wolnej ręki w Romanii.

12 listopada papież znów zawładnął zamkiem św. Anioła, a księciu otwarły się wreszcie oczy; wielki oszust został oszukany, nieprześcigniony mistrz zdrady został zdradzony. Jak

mógł wpaść w taką zasadzkę? Ze strachu? Przecież nie był strachliwy. Z naiwności? Nie był naiwny. Z lekkomyślności?

Nie był też lekkomyślny. Być może ciężka choroba, jaką niedawno przeszedł, albo też syfilis stepiły mu ostrość widzenia.

Albo też, i to jest naszym zdaniem najbardziej prawdopodobna hipoteza, w owej decydującej chwili, w dramatycznej i niespodziewanej sytuacji zabrakło mu rady ojca, który przedtem

nim kierował. Osamotniony, zdany tylko na własne siły, wielki, budzący postrach, wszechpotężny Valentino stracił głowę

i - jak napisał Machiavelli - "wykopał sobie grób".

To prawda. Wszystko mógł sobie wyobrazić tylko nie to, że zachoruje jednocześnie z ojcem i że będzie przez długi czas niezdolny do działania. Ale również jest prawdą, że gdy po śmierci Piusa III rozpoczęło się konklawe, nie powinien był za żadną cenę popierać wyboru człowieka, który był zawsze najgorszym wrogiem jego i Aleksandra. Nie wiemy, co by się stało, gdyby tiara przypadła komuś innemu. Wątpimy jednak, aby gwiazda młodego Borgii zgasła tak tragicznie. Konflikt, mimo ogólnikowych zapewnień papieża o życzliwości, wybuchnął wkrótce z całą ostrością. Zwycięzcą był Juliusz, nie mogło być inaczej. Krótko mówiąc, tym razem gra była naprawdę zakończona. Na próżno młody książę próbował odwlec koniec, proponując Florentczykom, którzy go nienawidzili, oraz Wenecjanom, którzy go nie kochali, utworzenie wspólnego frontu. Ale w jakim celu mieliby przyłączyć się do Cezara, gdy wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, gdy jego dominia wpadły znów w ręce dawnych tyranów, gdy gasła jego gwiazda z pysznym mottem: Aut Caesar aut nihil? Była to pierwsza bitwa, jaką przegrał, ale wraz z nią przegrywał wojnę. Jak to się jednak często zdarza tym, którym zawsze sprzyja fortuna, on ostatni zdał sobie z tego sprawę, ale było już za późno. Do zniszczenia Cezara przyczyniło się też zapewne dwuznaczne postępowanie papieża, który słowami zachęcał go do wyruszenia na Romanie, ale w rzeczywistości śledził każdy jego ruch i neutralizował każde posunięcie. W pierwszych dniach grudnia, za radą lub może na skutek nacisku kardynałów hiszpańskich, Juliusz zezwolił mu na wyjazd do Imoli, skąd po zebraniu wojska miał wyruszyć do Romanii, by odzyskać orężem swoje posiadłości. Oficjalnie celem podróży była Francja, ale w Ostii miał skierować się w stronę Toskanii, by następnie udać się do

Romanii. 18 grudnia opuścił Miasto, by dotrzeć na wybrzeże, na miejsce załadowania się na statek. W tym samym czasie Juliusz II wezwał poddanych Cezara, by się od niego odwrócili i stanęli pod sztandarami Kościoła. Kiedy jednak Wenecjanie po przekroczeniu granic Romanii zajęli Faenzę, della

Rovere dokonując nagłej wolty zaproponował, że mu odstąpi tymczasowo Forli i Cesenę, by łatwiej stawić czoło naporowi "Najjaśniejszej". Kiedy Wenecja zostanie odparta, Cezar miałby mu zwrócić te miasta. Cezar jednak odmówił: nie zamierzał rezygnować z miast i fortec, które pozostały mu wierne.

Również dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż byłaby to już ostateczna rezygnacja.

Papież z porywcznością, która była dominującą cechą jego przykrego charakteru, mianował w Romanii nowego gubernatora, podkreślając tym samym zależność tego regionu od

Kościoła. Jednocześnie zablokował flotę, która miała przewieźć Cezara z Ostii do Toskanii: dopóki księżę będzie się upierał, by zatrzymać fortece, kotwice nie zostaną podniesione. W tej kwestii Juliusz nie ustąpi. Rozeszła się także po-

głoska, podchwycona przez Machiavellego, ale natychmiast

zdemontowana, że papież rozkazał swoim zbirom pojmać Valentina i utopić go w Tybrze. Czy jednak papież musiał uciekać się do zbrodni, by pozbyć się człowieka, który już nie miał

władzy ani sojuszników? Zabijając go uczyniłby zeń męczennika przynajmniej w oczach tych poddanych, którzy witali go

jak wyzwoliciela i którzy kochali go prawie tak mocno jak nienawidzili jego poprzedników.

Cezar, który w tej wyprawie pokładał wszystkie swoje nadzieje, poczuł, że jest zgubiony. A kiedy dowiedział się, że

trzech jego kapitanów, a wśród nich Michelotto Corella, zostało schwytyanych przez

Florentczyków, pospieszył do Amboise'a i błagał go o wstawiennictwo u papieża, ale kardynał, unikając konfliktu z Juliuszem, nie chciał go słuchać. Wówczas Cezar odwołał się bezpośrednio do papieża, ale ten mu zakomunikował, że jeśli odda fortece, będzie mógł wyjechać, gdzie mu się podoba. W tej sytuacji książę postanowił zwrócić się do księcia Urbino, Guidobalda, którego podstępem swego czasu pozbawił władzy. Ponieważ ten, pomny afrontu, odmawiał udzielenia mu audiencji, Cezar deptał mu po piętach, dopóki jej nie uzyskał. "Kiedy Jego Ekscelencja znajdował się w przedpokoju papieża siedząc na zydlu - pisze Ugolini cytowany przez Sacerdote - przybył Valentino i trzymając beret w rękę, na klęczkach, złożył ukłon Księżciu Panu i zbliżał się ciągle z beretem w rękę, a kiedy doszedł do księcia, skłonił się raz jeszcze aż do ziemi. Kiedy Jego Ekscelencja go ujrzał, zerwał się i odczekawszy chwilę, zdjawszy również beret, postąpił ku niemu dwa lub trzy kroki; a ponieważ Valentino klęczał ciągle na podłodze, Jego Ekscelencja podniósł go obydwoma rękami i posadził na krześle, dając mu posłuchanie. Valentino poprosił najpierw o przebaczenie; powiedział, że nad tym, co uczynił Jego Ekscelencji, boleje z całego serca, że postępował źle i składał winę na swą młodość, złych doradców, na nikczemne praktyki, bardzo zły charakter papieża i niektórych innych, którzy go popchnęli do takiego przedsięwzięcia, rozwodził się na temat papieża i przeklinał jego duszę i dusze tych, którzy go do tego popchnęli; że on nigdy tego nie zamierzał i że to nie była jego fantazja; że nad tym boleje i z dobrej woli chce oddać wszystkie rzeczy i wszystkie zabrane sprzęty". Guidobaldo nie wierzył własnym oczom, a przede wszystkim uszom. Dawny wróg nie tylko rzucał mu się do nóg i bił

w piersi, prosił o przebaczenie, upokarzał się, ale wszystkie występki zrzucił na swego zmarłego ojca i jego obciążał całą winą. Aleksander nie był z pewnością bez grzechu, to przecież on kierował poczynaniami syna, ale Cezar zawsze i wszędzie mu sekundował; jego współodpowiedzialność nie podlegała dyskusji. Gdyby był tchórzem, można by to jeszcze zrozumieć. Tchórzem jednak nigdy nie był i tylko nieubłagane postępy syfilisu mogą wytłumaczyć to nieoczekiwane, przykre, patetyczne *mea culpa*.

Po tym spotkaniu Cezar zgodził się oddać Kościołowi fortece, a w zamian Juliusz obiecał, że wypuści go na wolność. Kiedy jednak wysłannik Valentina, który udał się do Ceseny, by załatwić przekazanie miasta, został na rozkaz gubernatora pojmany i powieszony, papież w drodze retorsji kazał zamknąć księcia w borgiańskiej wieży. Zbirom, którzy pilnowali Cezara dniem i nocą, polecił jednak traktować go z wszelkimi względami. Papież przywiązywał bowiem wielką wagę do form.

28 stycznia 1504 r. Cezar, który miał już dosyć więzienia, zobowiązał się włączyć z powrotem do Ojcowizny Świętego Piotra oporne fortece żądając w zamian, by pozwolono mu na wyjazd do Francji. Przychyłono się do jego prośby i nocą z 15 na 16 lutego, po wielu perypetiach, wyjechał z Rzymu. Kiedy jednak przybył do Ostii, nowy rozkaz papieża uniemożliwił mu podniesienie kotwicy. Przez przeszło miesiąc tkwił w porcie i dopiero interwencja hiszpańskiego kardynała Carvajala, którego opiece papież powierzył Cezara, położyła kres czekaniu. Nie uprzedzając nawet o tym papieża hiszpański purpurat kazał wielkiemu kapitanowi Gonzalowi de Cordoba przysłać cztery statki, które rzuciły kotwicę w sąsiednim

porcie Anzio. Cezar wsiadł na statek i wziął kurs na Neapol, gdzie powitali go brat Jofre, szwagierka Sancia, obecnie kochanka Prospera Colonna, i Gonzalo, który mu obiecał wszelkie poparcie.

Ucieczka wzburzyła popędliwego papieża; w drodze represji zażądał od Signorii wydania Michelotta, który został osadzony w więzieniu Tor di Nona. W dziewięć dni potem Michelotto stanął przed sądem, który go jednak uniewinnił (później Michelotto powróci do Toskanii i zostanie kapitanem piechoty florenckiej).

11 maja papież poprosił monarchów hiszpańskich i wielkiego kapitana, by cofnęli Valentinowi swoje poparcie. Ta

prośba została natychmiast wysłuchana: królowa Izabela nie-nawidziła bowiem Cezara, sprzymierzonego dotychczas z Francuzami, i chciała zaskarbić sobie łaski Juliusza.

I

Książę jednak nadal się łudził, Gonzalo obiecał mu statki, konie, broń, amunicję i wystawił list żelazny, dzięki któremu - taką miał nadzieję - mógłby dotrzeć do Romanii i odzyskać swoje miasta. Za każdym razem, gdy spotykał się z wielkim kapitanem, przedstawiał mu swoje plany, a Gonzalo udawał, że je aprobuje, a nawet słowami zagrzewał go do czynu.

Cezar ani przez chwilę nie podejrzewał, że jest to podwójna gra, choć sam w sztuce udawania nikomu nie ustępował.

Dopiero kiedy w noc poprzedzającą wyjazd ustalony na 26 maja 1504 r. dowódca straży, hrabia Pedro Navarro, nie zgodził się na rozstanie z nim, Cezar zrozumiał, w jaką wpadł pułapkę. Nie zdążył nawet wykrzyknąć: "Santa Madonna, jak-że mnie oszukano", kiedy do pokoju wtargnęli uzbrojeni ludzie (jednocześnie wielki kapitan odebrał list żelazny, który

Cezar nierozważnie przekazał jednemu ze swych kapitanów).

Była to zemsta za Senigalię.

Początkowo Cezara wraz z dwoma służącymi zamknięto

w dość wygodnej celi, gdzie nawet mógł przyjmować kochankę, potem został przeniesiony do bezpieczniejszego pomieszczenia, do którego wstęp osobom postronnym był zabroniony. Tam złożył mu wizytę Gonzalo, który ponowił żądanie zwrócenia Forli papieżowi. Ale i tym razem Cezar odmówił.

Wielki kapitan rozkazał wówczas zaostrzyć reżim więzienny i po trzech miesiącach książę się poddał.

Poniósł nie tylko straty, ale został okpiony: ani Juliusz, ani Gonzalo nie dotrzykali umowy i nie zwrócili mu wolności. 20 sierpnia, w przeszło tydzień po kapitulacji Forli,

Valentino został wywieziony do Hiszpanii. Wysadzono go na wybrzeżu aragońskim, a następnie doprowadzono do Chinchilli i uwięziono w zamku. Na nic się zdały supliki skierowane do Juliusza i króla Ferdynanda przez margrabiego Gonzagę, szwagra Lukrecji, by wypuścić Cezara na wolność. Papież i król nadal go się obawiali, choć obecnie Cezar nie miał już ani wojska, ani państwa: utrzymywała się tylko fama o jego legendarnych przedsięwzięciach i "wybornych podstępach".

W tej warowni Cezar czuł się jednak jak lew w klatce.

Postanowił uciec i kiedy pewnego dnia znalazł się na zamkowej wieży z gubernatorem Gabrielem de Guzmanem, zaatakował go z tyłu i próbował zrzucić w przepaść, ale napadnięty,

nie mniej krzepki od napastnika, stawiał mu opór. Wówczas książę, nie tracąc przytomności umysłu, głośno się śmiejąc, powiedział: "Nie gniewajcie się, chciałem tylko wypróbować waszą siłę, bo mówiono mi, że jest wielka. To prawda, lepiej nie mogliście jej zademonstrować".

W Chinchilli Cezar pozostał jeszcze parę miesięcy, z całą pewnością do maja następnego roku, kiedy to przeniesiono go do zamku Mota di Medina del Campo, siedziby dworu kastylijskiego.

Przyjaciele próbowali go i stamtąd uwolnić, ale bezskutecznie. Nie ułatwiła tego

nawet śmierć królowej Izabeli, która nienawidziła go chyba jeszcze bardziej niż papież. Dopiero kiedy Filip Piękny, mąż Joanny Szalonej, córki Izabeli i Ferdynanda, zgłosił pretensje do tronu Kastylii, wydawało się, że jego więzienie się skończy. Król-wdowiec, który ożenił się ponownie z Germaine de Fok, chciał bowiem wziąć go na swoją służbę, być może po to, by uniemożliwić Filipowi zwerbowanie go pod swoje sztandary.

Jednakże wyjazd Ferdynanda do Neapolu i niespodziewana śmierć zięcia udaremniły realizację tego planu i Cezarowi pozostała już tylko nadzieja na nową ucieczkę.

Tym razem była udana, ale niezwykle okoliczności, w jakich nastąpiła, do końca kazały wątpić w sukces. Nadzór

w Medina del Campo był bowiem o wiele ostrzejszy niż

w Chinchilli i tylko współudział hrabiego Bonavente,

przywódcy stronnictwa antyaragońskiego, umożliwił ucieczkę. Wysłannik hrabiego dostarczył do celi sznur, na którym

Cezar i jego pokojowiec mieli się spuścić z wysokiej wieży do

parowu, gdzie czekali ludzie z końmi. Wieczorem, 25 października 1506 r., o

umówionej godzinie obydwaj więźniowie,

po przywiązaniu liny do zawiasu okna, zaczęli schodzić w dół.

Ale lina była za krótka i sługa, który pierwszy opuścił celę,

musiał skoczyć w przepaść ciężko się raniąc. Cezarowi powiodło się nie lepiej, gdyż

w czasie gdy spuszczał się w dół, syn

kasztelana uderzył na alarm, strażnicy wpadli do celi i przecięli sznur. Cezar spadł do

parowu, skąd potłuczonego i pokrwawionego podnieśli ludzie hrabiego, wsadzili na

konia,

który ruszył galopem przez Villalon, lenno hrabiego. Tam

Cezar, na wpół żywy i bez sługi (pozostawił go pod zamkowymi murami), otrzymał

pomoc, ale dopiero po miesiącu mógł

wyjechać do Pampeluny, stolicy królestwa Nawarry, gdzie

postanowił czekać na lepsze czasy.

Przy pożegnaniu gospodarz dał mu niewielką eskortę i pewną sumę pieniędzy, których Cezar potrzebował, gdyż król Francji nie wypłacił mu posagu jego żony Carlotty. Po pełnej przygód podróży, która była tym bardziej dramatyczna, że za jego głowę obiecano 10 tysięcy dukatów, przybył do Pampeluny. Nie oczekiwano go tam, ale został przyjęty z wszystkimi honorami, gdyż był i szwagrem króla Juana, i Nawarra, ogarnięta krwawą rewoltą, potrzebowała kondotierów. Król mianował go natychmiast generalnym kapitanem, postawił na czele swej małej armii i kazał odbić zamek Viana, który zajął zbuntowany Luis de Beaumont, hrabia Lerins, i nie zamierzał oddać.

Po prawie trzech latach przymusowej bezczynności wydawało się Cezarowi, że wreszcie wybiła godzina zemsty. Chodziło między innymi o to, że Luis de Beaumont opowiedział

się po stronie króla Ferdynanda, któremu Cezar zawdzięczał areszt i uwięzienie, i to podsycalo w nim chęć odwetu i dodawało energii.

Na czele tysiąca jazdy, pięciu tysięcy pieszych, dwunastu lansjerów i oddziału stu trzydziestu doborowych żołnierzy otoczył zamek. Mógłby go natychmiast zdobyć, ale aby ograniczyć straty, wolał poczekać aż brak żywności i amunicji zmusi wroga do kapitulacji (była to jego stara taktyka, stosowana z takim powodzeniem w Romanii).

Pewnej nocy Beaumont, korzystając ze złej pogody, spróbował wprowadzić do zamku transport żywności. Kiedy Cezar to spostrzegł, zawiadomił swego szwagra, a następnie

wsiadł na konia i ze szpadą w ręku zaatakował samotnie tylne straże przeciwnika. Krzycząc i przeklinając, zadając okrutne ciosy, zabił trzech wrogów, a wielu ranił. Beaumont rzucił na

niego szwadron jazdy, który przyparł go do brzegu kanału i otoczył. Jeden z żołnierzy zadał mu lancą cios w pachę, inni straszliwie poranili pikami, szablami, sztyletami. Księżę bronił się rozpaczliwie do końca. Napastnicy zanim się oddalili, zabrali mu zbroję i ubranie. Padał ulewny deszcz i wiał silny wiatr. Stało się to o świcie 12 marca 1507 r.

Przez cały następnny dzień jego ludzie i król szukali go, ale okropna pogoda i niedostępność miejsca udaremniły te poszukiwania. Dopiero nocą z 12 na 13 marca odnaleziono trupa podziurawionego jak rzeszoto, z dwudziestoma trzema

ranami. Gdy Juan go zobaczył, zdjął płaszcz i nakrył zwłoki.

Następnie kazał je przewieźć do Pampeluny, gdzie w dwa dni później odbył się pogrzeb. Księżę, który miał zaledwie

32 lata, został z woli d'Albreta pochowany przy kościele Najświętszej Marii Panny, a na płycie grobowej wyryto następujące epitafium:

Tu, w tej odrobinie ziemi,

Spoczywa człowiek, którego bała się cała ziemia,

który miał w swym ręku pokój i wojnę.

Ty, który idziesz przez świat

w poszukiwaniu chwały,

zatrzymaj swój krok

i nie dbaj o to, by iść dalej.

Nie ma już tej płyty. Nie wiemy, kto ją usunął i zniszczył.

Może jakiś wróg Borgii lub zbyt gorliwy zakonnik.

Wraz z Valentinem zszedł ze sceny jeden z najbardziej

fascynujących i kontrowersyjnych kondotierów okresu Odrodzenia. Miał wszystkie zalety i wady wielkiego żołnierza,

wszystkie cnoty i przywary: był rozważny i śmiały, wielkoduszny i mściwy, lojalny i wiarołomny, naiwny i przebiegły,

rozzutny i skąpy, namiętny i cyniczny, gorący i lodowaty.

Jego wyjątkowa odwaga ustępowała tylko wybujałym ambicjom, którym wszystko poświęcił. Nie miał żadnych hamulców ani skrupułów, nie wiedział, co to wyrzuty sumienia, marzył o własnym królestwie, wolnym od kurateli i wpływów Kościoła, które mogłoby się przeciwstawić innym państwom włoskim. Niewykluczone, że marzył też o czymś innym, co graniczyło z utopią: o zjednoczeniu pod swym berłem całego półwyspu. Ale czy poważnie, wątpimy. A jeśli nawet, to jego ojciec, dalekowzroczny i genialny architekt dynastycznych planów, odebrał mu z pewnością tego rodzaju złudzenia. To, że były one przedwczesne, okazało się w chwili śmierci Aleksandra.

Gdyby pożył jeszcze kilka lat, a przede wszystkim, gdyby jego następcą nie był Juliusz II, Cezar może utrzymałby, choćby jako wikariusz Kościoła, część podbitych przez siebie terytoriów. Jednakże nagła śmierć Rodriga spowodowała zawalenie się całego gmachu zbudowanego z taką energią i bez skrupułów. Książę pozbawiony mądrego kierownictwa ojca popełnił fatalne błędy, z których największym było udzielenie poparcia kardynałowi della Rovere. To właśnie przyspieszyło jego klęskę.

Temu człowiekowi czynu, niezwykłomemu w walce, niezrównanemu w knuciu intryg i zastawianiu pułapek, brakowało jednak talentu strategicznego, dalekowzroczności, globalnej wizji wydarzeń.

Tworząc z Cezara archetyp swego "księcia" realista Machiavelli, który tak dobrze go znał, do jego niezaprzeczalnych zalet jako kondotiera dołączył równie niezaprzeczalne -jego zdaniem - zalety męża stanu, jakie miał jego ojciec - uznał go za zbrojne ramię i mózg tragicznego i osławionego pontyfikatu, chyba najbardziej tragicznego i osławionego w całej historii Kościoła.

"Nie umiałbym nawet - pisze florencki sekretarz - dać nowemu księciu lepszych wskazówek jak te, których dostarcza przykład czynów

księcia Valentino; że zaś jego sposoby
zawiodły, nie było jego winą, lecz pochodziło z nadzwyczajnej
i niezmiernej złośliwości losu (...) wszystko byłoby dla niego
łatwe, gdyby był zdrowy w chwili śmierci Aleksandra. Mówił
mi w dzień wyboru Juliusza II, że pomyślał o wszystkim, co
może zdarzyć się po śmierci ojca i na wszystko znalazł środek;
jedynie nie pomyślał nigdy o tym, że w chwili jego śmierci on
sam będzie umierający. Zestawiwszy wszystkie czyny księcia,
nie umiałbym go potępiać, przeciwnie, zdaje mi się, że powinienem, jak to
uczyniłem, stawiać go za wzór do naśladowania tym wszystkim, którzy wzniesli się
do władzy dzięki szczęściu i obcemu orężowi. Albowiem on, mając umysł wielki
i daleko sięgające zamysły, nie mógł inaczej postępować i jedynie krótkie życie
Aleksandra i własna choroba przeszkodziły jego planom"*.

Guicciardini, zawsze tak surowo osądzający Borgiów, przyznaje, że Valentino dobrze
zarządzał Romanią i miał pewne
poczucie sprawiedliwości. Baltazar Castiglione, ksiązę dwo-
N. Machiavelli, op. cit., s. 53, 57.

271

rzan i dworzanin wielu książąt, chwali go jako "najświatniejszego i najwspanialszego
człowieka" swoich czasów. Gregorovius natomiast widzi w nim "bohatera zbrodni w
wieku

Odrodzenia, który pozostawił po sobie niezatarty ślad w pamięci ludzi, dla których
był ucieleśnieniem demona. Męska

energia, która emanuje z jego czynów, sprawia, że zgroza

miesza się z podziwem. Być może w innych okolicznościach

ten wielki hart uczyniłby z niego drugiego Corteza lub Pizarra, którzy jak on byli
Hiszpanami. Machiavelli wychwala go

jako człowieka wielkiego umysłu i dalekosiężnych planów. Są

to jednak przymioty, które w tradycyjnym języku przypisywano również tyranom

miernego formatu; z drugiej strony epoka, w której żył, była dostatecznie zepsuta, by

wydać i wywyżżyć nowego Ezzelina. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten syn niecnego papieża miał wielkie aspiracje, że dążył wręcz do zdobycia korony Włoch; i być może żywił tak głęboką pogardę dla ludzi, że zamierzał wspiąć się aż na tron Piotrowy".

Zdaniem Pastora "Cezar z wybitnym talentem wojskowym i administracyjnym łączył nadzwyczajną siłę woli. Aby

dojść do władzy, nie wahał się - jak większość renesansowych książąt - przed stosowaniem najbardziej przewrotnych

środków. Uzyskawszy zaś ją pokazywał się z najlepszej strony.

Był prawdziwym kondotierem, mistrzem we wszystkich rycerskich ćwiczeniach i w walkach byków, w których pokonywał

najmężniejszych espadas; jednym uderzeniem oddzielał dużemu bykowi głowę od tułowia. Jego ciemna twarz została

z biegiem czasu zeszpecona przez liczne ropiejące plamy; badawcze spojrzenie błyszczących, głęboko osadzonych oczu

ujawniało złowrogą naturę, lubieżność, żądzę władzy, fałsz, przebiegłość".

Macaulay uważa go za "jedyne go człowieka, który

mógłby uratować naród włoski i obronić niezależność półwyspu". Fester natomiast

klasyfikuje go jako zwykłego bandytę, a Leonard nazywa go "pospolitym przestępcą, bez specjalnych talentów, nawet wojskowych".

Hillebrand, bardziej łaskawy, twierdzi, że Cezar był "niewiele gorszy" od Francuza Ludwika, Hiszpana Ferdynanda

i Anglika Henryka VIII. Tę opinię podziela Benoist, który

pisze: "Zbrodnie Cezara, choć odrażające i okrutne, były zbrodniami wielu innych ówczesnych kondotierów".

Herzfeld nazywa go "dziką bestią", ale przyznaje, że cechowała go nieugięta wola, niezmierna odwaga, bogactwo

sposobów działania i brak skrupułów. Niezwykłe piękny,

wesoły i radosny, zamknięty i milkliwy, groźny i zaskakujący,

"obdarzony niestęchanymi łaskami fortuny, odwagą i nadludzką pewnością siebie, ogromnie oddziaływał na wyobraźnię swoich współczesnych". Groźny jako wróg, wszelki

opór łamał siłą, ale umiał także pozyskiwać sobie miłość ludzi.

Gebhart zaprzecza jakoby Cezar był potworem i chwali jego zimną krew i chłodną kalkulację. Breysing uważa go za bestię, ale i za wyjątkowego polityka. Zdaniem Panziniego to "wszechstronny i nieugięty geniusz", a Prezzolini nazywa go "małym Napoleonem".

"Mimo wielkiej siły woli - pisze Sacerdote - nie umiał pohamować swoich namiętności, folgował wszystkim kaprysom, szedł nawet po trupach i ulegał najniższym instynktom.

I choć nie należy obwiniać go o wszystkie okropności, jakie mu przypisywano, wystarczyłyby morderstwa, które naprawdę popełnił, by uczynić zeń cyniczne i okrutne książątko. Co

do tego nie może być wątpliwości. Ale i takie przekonanie nie wystarczy, by wydać pozbawiony uprzedzeń sąd o Valentinie jako osobie prywatnej i jako polityku". "Na szczęście dla rodzaju ludzkiego był - w porównaniu z innymi, współczesnymi mu kondotierami - zjawiskiem wyjątkowym; i mylą się ci,

którzy go tłumaczą, a nawet usprawiedliwiają mówiąc, że był tylko synem Renesansu. Nie popadając w taką przesadę trzeba jednak przyznać, że być może w innym klimacie historycznym jego natura nie ujawniałaby się w sposób tak brutalny.

Piękny, elegancki, elokwentny, zręcznej budowy ciała, obdarzony herkulesową siłą, tryskający radością życia, żądny uciech,

nie stawiał żadnych granic swoim żądom, nie gardził żadnym sposobem ich zaspokojenia. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że nie tylko gorąca hiszpańska krew, która płynęła w jego

żyłach, lecz także środowisko hiszpańskie, w którym stale przebywał, niemało się

przyczyniły do tego, że stał się tak okrutny".

"W Cezarze Borgii zresztą - kontynuuje Sacerdote

- namiętności podsycił przykład innych książątek, dworskie

środowisko, w którym żył, a nawet przykład tego, kto zasiadał

na papieskim tronie. Można też powiedzieć, że jeśli Aleksander uczynił wielkim swego syna Cezara, to ten jednak swemu

ojcu zawdzięcza w dużej mierze smutną sławę, jaką pozostawił po sobie na wiele stuleci. Inni panowie poczynali sobie

podobnie albo i gorzej, ale żadnym z nich współcześni i potomni nie zajmowali się tak bardzo i z takim wstrętem jak

Valentinem -właśnie dlatego, że był synem Aleksandra VI".

Według Ferrary "trudno wyrobić sobie sąd na temat politycznych zdolności Cezara Borgii. Kiedy został sam, będąc

jeszcze młodym, bardzo ciężko chorował i należy przypuszczać, że skutki tej poważnej choroby trwały wiele miesięcy.

Kiedy wrócił do zdrowia, był już prawie całkowicie bezbronny

i otoczony niezliczoną chmarą wrogów. Wytłumaczenie jego

słabości, a następnie klęski, odnajdujemy w słowach wypowiedzianych do

Machiavellego: "Przewidziałem wszystko, tylko nie to, że w chwili śmierci papieża będę umierający". Jednakże jego postępowanie w pierwszych chwilach było bardziej

rozważne niż później. Pomoc w wyborze kardynała Piccolominiego jest

wytłumaczalna, ale już mniej zrozumiałe jest

poparcie udzielone kardynałowi della Rovere".

Fusero sławi go jako "geniusza czynu, który zuchwałymi

pociągnięciami, z energią graniczącą z udręką, naszkicował

to arcydzieło, jakim było jego życie. Dreszcz pożądania, burze namiętności,

upodobanie do ryzyka i pycha zwycięzcy

wszystko naraz jest obecne w tym wyjątkowym człowieku".

Zdaniem Beufa "byłoby trudno kwestionować nadzwyczajne powołanie Cezara do rozkazywania, wspierane żelazną

determinacją w przewyciężaniu każdej przeszkody (...) Uwolnienie go od piętna infamii byłoby przekształceniem istoty z krwi i kości, pełnej życia, w blady, bezkształtny cień. Niesłusznym jest także, przy usprawiedliwianiu go, powoływanie się na zepsucie panujące w owych czasach. Jakkolwiek elastyczne byłyby zasady moralne Renesansu, to niemało jego współczesnych potępiło go z należytą surowością; wykazując, że nawet w owej epoce istniało wyczucie tego, co słuszne, a co niesłuszne".

Po upływie niemal pięciu wieków ostateczny wyrok nie został więc wydany. Historycy nadal dzielą się na - nielicznych - apologetów i - licznych - oszczerców. Taki już los tego, kto zbyt kochany i zbyt przeklinany przez współczesnych, nie jest pozostawiony w spokoju również przez potomnych.

XVII

W OPINII ŚWIĘTOŚCI

Ten sam los przypadł w udziale Lukrecji. Zniesławiali ją współcześni, nie oszczędzali potomni. Dla jednych i drugich była kimś w rodzaju Mesaliny; uznano ją za krwiożerczą i zepsutą intrygantkę, współniczkę ojca i brata, a nie kobietę ulegającą tylko ich woli. Prawda jest jednak inna. Jeśli nawet, dopóki przebywała w Rzymie, nie była święta (a jakże mogłaby nią być?), to po zamieszkaniu w Ferrarze stała się "wzorem obywatelskich i domowych cnót". Nie tylko nie dawała powodu do zgorszenia, ale zyskała reputację kobiety nieskazitelnej. Przyjęcie zgotowane jej przez nowych poddanych, gdy 2 lutego 1502 r. przekroczyła bramy stolicy państwa Estów, było raczej chłodne, choć uroczystości i zabawy urządzone z tej okazji cechowały bogactwo i przepych, jak przystało na książąt z tak sławnego rodu.

W żyłach Estów płynęła lombardzka krew. Założycielem dynastii był niejaki Alberto, który prawdopodobnie w czasach wielkiego zalewu barbarzyńców osiedlił się gdzieś między Ferrarą a Padwą. Jeden z jego potomków skoligacił się z gwelfami, ustanawiając w ten sposób ścisłe więzy z Niemcami. W XII w. Estowie osiedlili się w Ferrarze, mimo daremnego oporu gibelinów Torellich, których Azzo VII Novello przepędził z miasta, stając się jego nie kwestionowanym panem. "Był to - pisze Gregorovius - pierwszy przykład dobrowolnego poddania się wolnej republiki władzy jednostki.

Tak więc Estowie jako pierwsi ustanowili dziedziczną dynastię na gruzach republiki". Starcia z Kościołem w czasach awiniońskich zmusiły Estów do emigracji, ale w 1317 r. poddani wezwali ich do powrotu, a Jan XXII, w zamian za roczną daninę 10 tysięcy florenów w złocie, oddał im w lenno Ferrarę. Energiczni i oświeceni władcy uczynili z księstwa jedno z najświetniejszych dominiów na półwyspie, które jednak stanowiło zawsze łakomy kąsek dla Wenecji i Rzymu, pragnących je zaanektować lub przynajmniej włączyć w orbitę swoich wpływów.

I właśnie po to, by oddalić to zagrożenie, Ercole d'Este zgodził się na małżeństwo swego najstarszego syna Alfonsa z Lukrecją. Ten związek zabezpieczał Ferrarę nie tylko przed zakusami Kościoła, ale neutralizował również zakusy "Najjaśniejszej".

Małżeństwo poprzedziły długie i trudne rokowania, ale w końcu wzajemny interes wziął górę nad obustronną nieufnością. Niemniej niechęć Alfonsa do związania się z kobietą, którą widział tylko jeden raz i która nie budziła jego zachwyty, opóźniała zawarcie małżeństwa. Racja stanu odniosła jednak zwycięstwo nad o wiele słabszymi racjami serca. Mimo

to, wbrew wszelkim przewidywaniom, związek tych dwojga okazał się szczęśliwy. Alfons i Lukrecja mieli mało wspólnych cech. On był nieokrzesany, stanowczy, ale miał dużo zdrowego rozsądku.

Wykształcenie miał niewielkie, uważał, że dla księcia to raczej kłopot niż pożytek; od artystów i intelektualistów trzymał się z daleka i nie ufał im. Od ich uczonego towarzystwa wołał bardziej prostacką i męską kompanię swoich oficerów lub bardziej frywolną - swoich kochanek.

Miał ich mnóstwo i poświęcał im cały wolny od spraw państwowych, wojen i polowań czas. Nie był wybredny, podobały mu się wszystkie kobiety, ale miał słabość przede wszystkim do "niewiast sprzedajnych".

Kiedy doniesiono Aleksandrowi, że zięć zdradza Lukrecję, ale jej nie zaniedbuje, papież dobrodusznie skomentował: "Z pewnością za dnia chodzi gdzie indziej, bo jest młody,

chce mieć przyjemność i robi dobrze. Najważniejsze, żeby nocą był w małżeńskim łóżu". Przygody, nawet częste, nie zakłócały spokoju rodziny, a nawet stanowiły zbawienny wentyl bezpieczeństwa, a więc w pewnym sensie były pożądane.

Sama Lukrecja przymykała na to oczy, gdyż znała swego męża, a poza tym on niczego jej nie odmawiał; ponadto choć nie była kobietą zimną, to jednak nie odznaczała się z pewnością wielkim temperamentem. Być może poprzednie doświadczenia małżeńskie ostudziły jej gorącą katalońską krew. Do pomyślności tego małżeństwa przyczyniły się też zapewne uległość jej charakteru i pragnienie spokoju po tylu burzach.

W Ferrarze odwróciła się plecami do swej tragicznej przeszłości, zapomniała o zbrodniach, spiskach i zdradach, wymazała być może z pamięci również Sforzina i księcia Bisceglie;

zaczęła nowe życie. Nie przychodziło jej to z trudem przede wszystkim dzięki rzadkiej umiejętności przystosowywania się i wrodzonej skłonności do zapominania. Poza tym Ferrara, choć liczyła 100 tysięcy mieszkańców, była miastem spokojnym i dyskretnym, a Castelvecchio, zamek, w którym mieszkała, ze swymi potężnymi wieżami i szeroką fosą, zapewniał izolację i spokój.

Lukrecja rzadko wychodziła z zamku, w przeciwieństwie do swego męża, który w nim przebywał możliwie jak najmniej. Wstawała późno i - w asyście pokojówek, fryzjerów i paziów - wiele godzin poświęcała swej toalecie (najwięcej czasu zabierało jej mycie i farbowanie niezwykle długich włosów, będących jej największą ozdobą). Codziennie chodziła na mszę, prawie każdego dnia spowiadała się i często przyjmowała komunię. Choć nie była zbyt wykształcona, chętnie otaczała się artystami i literatami, zwłaszcza poetami. Gdy 25 stycznia 1505 r., po śmierci księcia Ercole, Alfons wstąpił na tron i ona została księżną, jej salon przekształcił się w elitarny, wytworny Parnas.

Do stałych bywalców należeli Tito Vespasiano Strozzi i jego syn Ercole, Aldo Manuzio, a od czasu do czasu przychodził Pietro Bembo. Strozziowie, którzy pochodzili z Florencji i na początku XV wieku przenieśli się do Ferrary, dysponowali pokaźnym majątkiem i cieszyli się dobrą reputacją, ale ich nazwisko wślawił przede wszystkim talent poetów. Zwłaszcza Ercole był uwielbiany i rozrywany przez ferraryjskie damy, zafascynowane nie tyle jego wierszami, ile urokiem. Nie był piękny, ale odznaczał się inteligencją tak przenikliwą, dowcipem tak błyskotliwym, sposobem bycia tak wykwinnym, że nawet lekkie utykanie wcale nie szkodziło jego wyglądowi, przeciwnie,

podkreślało jego szlachetność, a ułomność wydawała się wdziękiem.

Lukrecja także nie mogła nie ulec urokowi tego nowego Orfeusza, który stał się ozdobą jej małego dworu. Spędzali razem całe dni; on deklamował madrygały zainspirowane platonicznym uczuciem i powstrzymywaną namiętnością, ona słuchała, chwając jego liryczne wynurzenia. Niektórzy mówili nawet o romansie, ale brak na to bezpośrednich dowodów.

Wykluczamy romans, gdyż Strozzi był zakochany we wdowie po Ercole Bentivoglim, Barbarze Torelli, która w 1507 r. została jego żoną.

Nie była nią długo, gdyż w rok potem, 6 czerwca, poeta, zaledwie 35-letni, został zamordowany w bardzo tajemniczych okolicznościach: jego ciało z dwudziestoma dwiema ranami zostało znalezione o kilka kroków od pałacu książęcego. Mówiono po cichu, że w rękę zbrodniarza broń włożyła być może

sama Lukrecja, by zemścić się za zdradę poety. Ta romantyczna i sugestywna hipoteza nie wydaje się jednak prawdopodobna: przede wszystkim nie ma na jej poparcie żadnych

dowodów, a po wtóre - podobna zbrodnia rzuciłaby na postać łagodnej księżnej ponurą borgiańską poświatę, od której

po ostatnim ślubie ostatecznie się uwolniła. Bardziej prawdopodobna, choć również nie poparta solidnymi dowodami, jest

hipoteza, że była to prywatna zemsta Alfonsa, niezadowolonego z zażyłości, do jakiej jego żona dopuszczała Strozzięgo.

Nie można też wykluczyć, że Alfons był zazdrosny z powodu małżeństwa Barbary, do której sam ponoć wzdychał. Inni

oskarżali o zbrodnię pewnego francuskiego szlachcica, odepchniętego konkurenta do ręki Barbary Torelli. Jeszcze inni

obciążali winą Bentivogliów, sprzeciwiających się małżeństwu Barbary ze Strozziem.

Podobnie jak w sprawie zabójstwa księcia Gandii tak i tym razem, śledztwo natychmiast utknęło w martwym punkcie, gdyż - jak pisze Paolo Giovio - "pretor milczał". Ktoś stojący bardzo wysoko, może sam książę, sprawę zatuszował. Jednakże fakt, że po zbrodni Barbara Torelli wyjechała z Ferrary do Wenecji, skłania nas do przypuszczenia, że był to spisek uknuty przez Bentivogliów, któremu sprzyjał Alfons. Tragiczny koniec Strozziiego był dotkliwym ciosem dla uczonego towarzystwa i dla tej, która była jego duszą. Obecność na dworze innych poetów, nie mniej oddanych i namiętnych, podtrzymała jednak płomień intelektualnego życia na dworze Lukrecji.

Był wśród nich, choć nie należał do stałych bywalców, również Pietro Bembo, wenecki humanista, który przez jakiś czas przebywał w Ferrarze. Jego sława literata, filologa, człowieka światowego rozprzestrzeniała się na cały półwysep. Jako potomek wysokiego rodu, doskonale wychowany, już od wczesnej młodości był znany w salonach i na dworach połowy Włoch. Miał wszelkie dane po temu, by się podobać wszystkim, a zwłaszcza kobietom: elegancję, nieskazitelne maniery, wykształcenie, elokwencję, urodę. Jako uwodziciel nie lękał się rywali; żadna bowiem kobieta mu się nie oparła. Przypominał Strozziiego, ale był bardziej ujmujący, dojrzały, światowy i być może tym podbił od razu Lukrecję. To zauroczenie od pierwszego spotkania musiało być wzajemne. Świadczy o tym wieloletnia wymiana listów, która trwała około 15 lat, od 1503 do 1517 r. Z korespondencji nie wynika, czy była to prawdziwa miłość czy też niewinna fascynacja, jak w przypadku Strozziiego. Śmiałe aluzje i zuchwałe metafory nie są dostatecznym dowodem, gdyż wszyscy dworzanie - może tylko z gorszym efektem - posługiwali się nimi. Jeśli nawet idylla nie wykroczyła

poza platoniczne uwielbienie, to było ono silne i szczere. Dla Lukrecji Bembo był czymś więcej niż tylko piewą jej cnót i wdzięków; dla poety zaś księżna była czymś więcej niż władczynią, której należy składać hołdy i poświęcać wiersze.

Ten uczuciowy związek łagodził - mimo oddalenia - monotonię egzystencji, w której nie było ani ciepła, ani barw życia rzymskiego. W pierwszym okresie Lukrecja z pewnością tęskniła za Miastem, gdzie zostawiła ojca i syna, z którymi jednak prowadziła stałą korespondencję. Papież zwłaszcza chciał być informowany o jej stanie zdrowia, które nadszarpnęły powikłane ciążę. W dziewięć miesięcy po ślubie wydała na świat martwą dziewczynkę, a gwałtowna gorączka połogowa zagroziła wówczas jej życiu. Cezar przybiegł do jej łóża i dopóki lekarze nie zapewnili go, że niebezpieczeństwo minęło, pozostawał stale przy siostrze.

Ercole i Alfons okazywali jej również wiele uczucia w tej ciężkiej sytuacji. Książę, który znajdował się w Reggio, wrócił specjalnie do Ferrary, aby służyć jej pomocą. Stosunki między żoną, mężem i teściem były wówczas bardzo czułe. Alfons, co prawda, nadal ją zdradzał, ale też niezmiernie się o nią troszczył, a kiedy opuszczał miasto, jej powierzał nad nim rządy.

Ferraryjczycy zaczęli ją wychwalać; a już zwłaszcza przy okazji połogów rozpływali się w pochlebstwach i wygłaszali dytyramby na jej cześć. Nowy obraz matki i żony przekreślił dawny, fałszywy lub przynajmniej przesadzony, a więc niesprawiedliwy, wizerunek kobiety rozwiązłej i okrutnej, który ją prześladował przez tyle lat i który niezmiennie, w następnych stuleciach, będzie powielany przez pewien rodzaj stroniczej i oszczerczej publicystyki.

14 kwietnia 1508 r. Lukrecja urodziła chłopca, któremu

nadano imię Ercole, a w następnym roku drugiego, Ippolita.

W 1514 r. przyszedł na świat Alessandro, który zmarł dwa i pół roku później. W 1515 - Leonora; w 1516 - Francesco.

Tak liczne porody, choć szkodziły zdrowiu, umacniały jej pozycję i dobrą opinię, a porównywanie z rzymską matroną tego

samego imienia, nazywanie zwierciadłem i skarbnicą wszelkich niewieścich cnót, stało się lejtmotywem jej ferraryjskiego życia, spokojniejszego od rzymskiej egzystencji, choć

i w nim nie brakło żałoby i dramatów.

Najbardziej krwawym z nich był spisek uknuty przez szwagra Giulia przeciw jej mężowi.

Warto tę sprawę przypomnieć, gdyż daje ona wyobrażenie o tym, czym były czasy "borgiańskie", nie tylko na dworze

Borgiów, lecz także na dworach wielu innych książąt, łącznie z Estami.

Powodem była rywalizacja między Giuliem, nieślubnym synem Ercolego, a jego bratem, kardynałem Ippolitem, o względy Angeli Borgia, byłej narzeczonej Francesca Marii della Rovere, przybyłej do Ferrary z kuzynką Lukrecją.

Była to kobieta bardzo piękna, z wielkim temperamentem, ale kapryśna i ekscentryczna. Zawróciła w głowie wielu

mężczyznom, a za sprawą jednego z nich, prawdopodobnie

Giulia, zaszła w ciążę. Niezwykle zazdrosny Ippolito nie mógł

tego ścierpieć: myśl o tym, że Angela wolała jego przyrodniego brata, nie dawała mu spokoju. Kiedy wreszcie Angela

-aby go sprowokować, a może, aby się od niego uwolnić

- ośmieliła się pochwalić przepiękne oczy Giulia, jego uraza

przerodziła się w gniew. Pierwszego listopada 1505 r. koło

południa Ippolito ze swymi zbirami wyjechał na spotkanie

bratu. Widząc, że jest sam, kazał go dogonić, ściągnąć z siodła

i wyłupić oczy. Zaatakowany zniechęca Giulio nie zdołał nawet wyciągnąć szpady. Spadł z siodła z zakrwawionymi, ciężko poranionymi oczami. Na ten widok Ippolito uciekł, kierując się ze swymi ludźmi w stronę granicy.

Giulia odnaleźli przypadkowi jeźdźcy, przewieźli do Belriguardo, gdzie udzielono mu pierwszej pomocy. Stan wydawał się bardzo ciężki: rany zadane w oczy były głębokie

i lekarze obawiali się, że utraci wzrok. Jednemu z nich udało się jednak Giulia uratować, ale ten został na zawsze straszliwie oszpecony.

Dowiedziawszy się o napaści, Alfons, który miał słabość do Ippolita, swego zaufanego doradcy - nie robił zresztą z tego tajemnicy - odmówił ścigania go i wymierzenia kary, na jaką zasługiwał ten nikczemny zamach. Poprzestał na wyrażeniu ubolewania, ale nie podjął żadnych kroków przeciw

kardynałowi, który już w miesiąc później mógł bez przeszkód wrócić do Ferrary. Księżę chciał, aby obydwaj bracia się pogodzili: wezwał ich do siebie i kazał kardynałowi prosić o przebaczenie. Ippolito obtorto collo posłuchał, a Giulio oświadczył, że mu wybaczają.

Krzywda, jakiej doznał Giulio, nie była z gatunku tych, które się łatwo wybaczają i zapominają. Ippolito nie tylko wyłupił mu jedno oko i okaleczył drugie, lecz także śmiertelnie go obraził. Jedynym sposobem odzyskania honoru była zemsta, której pragnął całą duszą i sercem. A ponadto był on rozdrażniony postępowaniem Alfonsa.

Jak dokonać zemsty? Zastawiając pułapkę na Ippolita?

Niemożliwe, on nigdy nie wychodził z domu sam. Lepsza byłaby trucizna. Kardynał miał mnóstwo wrogów na dworze i poza nim; współników nietrudno byłoby znaleźć. Do spisku przystąpili natychmiast: księżę Boschetti, jego zięć, pokojowiec, nadworny śpiewak księcia oraz Ferrante, brat Giulia.

Ale - i to stanowiło najbardziej ryzykowną stronę przedsięwzięcia - nie wystarczało zabić Ippolita, Alfons bowiem nie pozostawiłby takiej zbrodni bezkarnie. By uniknąć represji, trzeba było zabić również i jego. Dobrą do tego okazją mógłby być bal maskowy.

Ktoś jednak się wygadał i sprawa doszła do uszu kardynała, który poinformował o niej księcia. Spiskowcy ogarnięci

paniką ratowali się ucieczką, lecz nie wszystkim to się udało.

Giulio schronił się w Mantui u Izabeli, śpiewak w Rzymie, ale

ujęto Boschettiego i pozostałych. Jeśli zaś chodzi o Ferrante,

to on, jedyny, nie ruszył się z Ferrary; wolał rzucić się do nóg

bratu i prosić o łaskę. Alfons nie tylko mu jej odmówił, ale

szpadą, którą trzymał w ręku, wyłupił mu oko. Następnie

kazał zamknąć go w wieży zamkowej, w której wkrótce znalazł się również Giulio,

książę bowiem uzyskał jego ekstradycję. Proces sądowy zakończył się wyrokami

śmierci na wszystkich spiskowców.

Jako pierwsi weszli na szafot dwaj Boschetti i jeszcze jeden współnik. Zostali ścięci i

poćwiartowani na głównym placu miasta w obecności Giulia i Ferrante, których 12

sierpnia

miał spotkać taki sam koniec. W tymże dniu powleczono ich

w łańcuchach, prawie odchodzących od zmysłów, na zamkowy podwórzec. Jednak na

chwilę przed egzekucją Alfons ich

ułaskawił. Dożywotnie więzienie - powiedział - będzie dla

nich dostateczną karą. Zamknięto ich więc w dwóch izdebkach położonych jedna nad

drugą, ciemnych, wilgotnych, cuchnących, bez okna, z małymi drzwiczkami

wykutymi wysoko

pod sufitem, przez które strażnik spuszczał żywność. Ferrante spędził tam 43 lata,

resztę swego życia; Giulio miał więcej

szczęścia - po 53 latach odzyskał wolność.

W Ferrarze doszła do Lukrecji wiadomość o śmierci jej

matki Vannozy i synka Rodriga.

Vannoza pożegnała się ze światem 26 listopada 1518 r., a w jej pogrzebie, z woli papieża Leona X, wzięło udział wielu przedstawiciele papieskiego dworu. Miała 66 lat i po śmierci Aleksandra, który opiekował się nią i darzył łaskami nawet wtedy, gdy Giulia Farnese zajęła jej miejsce, zajmowała się dobroczynnością i działalnością charytatywną. I jak często zdarza się wielkim kurtyzanom na emeryturze lub skruszonym grzesznicom, stała się zupełną świętoszką. "Gdyby żyła jeszcze kilka lat - pisze Gregorovius - trafiłaby na ołtarze". Lukrecja po wyjeździe z Rzymu już jej nigdy nie zobaczyła, ale utrzymywała z nią zawsze listowny kontakt. Wątpimy jednak, aby jej śmierć sprawiła Lukrecji taki ból jak śmierć Aleksandra, Cezara i małego Rodriga.

Rodrigo zmarł w roku 1512 w Neapolu, z dala od matki, która zgodnie z wolą męża nie mogła go zabrać do Ferrary.

Na wieść o jego przedwczesnej śmierci pisała: "Cała tonę w łzach i goryczy z powodu śmierci księcia Biselli, mego najdroższego syneczka". Mniej opłakiwała śmierć swego pierwszego męża, Giovanniego Sforzy, zmarłego 27 lipca 1510 r. w Gradarze, dokąd się usunął wraz ze swoimi książkami i nie zawsze wesołymi wspomnieniami. Uzyskawszy od Juliusza II potwierdzenie praw do lenna Pesaro, w 1504 r. ożenił się powtórnie z pewną wenecką szlachcianką, z którą miał syna. (Czy mógł lepiej udowodnić swoją męskość?). Z tego, co nam wiadomo, po głośnym rozwodzie zerwał definitywnie stosunki z wszystkimi Borgiami, łącznie z byłą żoną, która podobnie jak on była ofiarą racji stanu.

Lukrecja przeżyła go o 9 lat. Były to, być może, najspokojniejsze lata jej burzliwego życia. Poświęciła się bez reszty rodzinie, działalności charytatywnej i pobożnym praktykom. Przeszłość stawała się coraz bardziej odległa, wspomnienia

rzymskie zacierały się, dawne rany wydawały się zablźnione. Ferraryjczycy kochali ją tak, jak nigdy nie kochali rzymianie. Również dlatego, że stała się szczerą jałmużniczką. Kiedy skarb państwa na skutek wydatków wojennych opróżnił się, a ludności zagroził głód, Lukrecja sprzedawała swoje klejnoty. Wspomagała finansowo szpitale, klasztory i kościoły, do których chodziła z pobożną gorliwością. Gdyby obowiązki żony i matki pozwoliły jej na to, zamknęłaby się w klasztorze jak jej powinowate, wdowy po Albercie i księciu Gandii, które po śmierci mężów poświęciły się Bogu.

Jednakże Alfons i dzieci wypełniali jej całe dnie, a księżę również noce. W 1518 r. po raz szósty zaszła w ciążę i również tym razem nie obyło się bez komplikacji. Wreszcie, 14 czerwca 1519 r., urodziła 7-miesięczną córeczkę, która zmarła prawie natychmiast, wyprzedzając o kilka dni matkę; lekarze stwierdzili infekcję.

Przez cały tydzień walczyła z chorobą, ale gorączka - mimo wysiłków lekarzy - nie ustępowała. Osłabiały ją nieustanne krwotoki, a migrena, na którą zawsze cierpiała, nie dawała chwili spokoju (nawet obcięcie bardzo długich włosów nie przyniosło jej ulgi). Momenty jasności umysłu i nadziei przeplatały się z długimi godzinami śpiączki. 22 czerwca, w chwili przytomności, kiedy już nic nie można było zrobić - wiedziała o tym - poprosiła o papier i pióro i napisała do papieża: "Najjaśniejszy Ojcze, Świątobliwy i Najczcigodniejszy Panie mój. Z całym uszanowaniem całuję święte stopy

Waszej Świątobliwości i pokornie polecam się świętej łasce.

Cierpiąc wielce od przeszło dwóch miesięcy z powodu trudnej brzemienności wydałam na świat, jak się Bogu podobało,

Xliii dnia niniejszego miesiąca, o świcie, córeczkę; i miałam

nadzieję, będąc już po porodzie, że zaznam ulgi w swoich cierpieniach; stało się jednak przeciwnie; tak więc muszę się poddać naturze. A najmiłosierniejszy Stwórca uczynił mi tak wielki dar, że znam koniec mego żywota i czuję, że za parę godzin nie będzie mnie tutaj, po przyjęciu wszakże wcześniej wszystkich sakramentów Kościoła. I w tej właśnie chwili, jako chrześcijanka, choć grzesznica, pamiętam, by błagać Waszą Świątobliwość, aby raczył, czerpiąc z duchowego skarbcza, wstawić się za moją duszę swoim świętym błogosławieństwem;

i o to pokornie proszę. I Jego Świętej Łasce polecam pana mego Małżonka oraz dzieci moje, sługi Waszej Świątobliwości. Dan w Ferrarze, XXII dnia czerwca, roku 1519, o godzinie XIII.

Waszej Świątobliwości pokorna sługa
Lucretia da Este".

W dwa dni później wyzionęła ducha. Czuwał nad nią aż do końca mąż, który tej samej nocy powiadomił o jej śmierci swego siostrzeńca, Federico Gonzagę: "Najdostojniejszy Panie, czcigodny bracie i siostrzeńcze. Bogu, Panu Naszemu, spodobało się wezwać do siebie, o tej godzinie, duszę Najdostojniejszej Księżnej Pani, mojej najdroższej małżonki. Nie mogę nie powiadomić o tym Waszej Ekscelencji przez miłość naszą, która każe mi wierzyć, że przyjemności i przeciwności losu jednego są przyjemnościami i przeciwnościami drugiego. Nie mogę pisać tego bez łez, tak ciężko mi jest widzieć się pozbawionym słodkiej i drogiej towarzyszką, gdyż taką była dla mnie z racji dobrych jej obyczajów i czulej miłości, która była między nami. W tej ciężkiej chwili chciałbym prosić Waszą Ekscelencję o pomoc i pocieszenie. Wiem jednak, że również dla Was będzie to ból. A dla mnie będzie cennym mieć kogoś, kto przyłączy się do mego płaczu, kto mnie pocieszy. I Waszej

Dostojności się polecam. Ferrara, 24 czerwca 1519 roku,
o godzinie piątej w nocy. Alfonso, księżę Ferrary".

Śmierć żony była dla księcia wielkim ciosem. Choć ożenił się wbrew swej woli i ciągle ją zdradzał, była dla niego miłą, czułą i uległą towarzyszką życia. W tej kobiecie, która od 10 lat nosiła po kryjomu włosiennicę i co drugi dzień się spowiadała, nikt nie poznałby zdeprawowanej córki Aleksandra, rozwiązłej Lukrecji, jaką ukazują relacje weneckich posłów i paszkwile neapolitańskie.

Nasze zdanie na jej temat już wypowiedzieliśmy. Nie była ani Taidą, ani Marozią, ani libertynką, ani morderczynią. Była tylko zrezygnowaną i bezbronną ofiarą brutalnej i cynicznej polityki, narzędziem w realizacji pozbawionych skrupułów planów dynastycznych, towarem wymiennym w transakcjach politycznych. Gdyby była córką innego ojca, siostrą innego brata, być może wcześniej przywdziałaby włosiennicę i umarłaby nie jako księżna, lecz jako przeorysza. Jeśli nie była świętą, to również nie była potworem. Mieszając mniej lub bardziej świadomie, ale zawsze nonszalancko, historię z legendą, współcześni i potomni byli wobec niej niesprawiedliwi. Gdyby nie nazywała się Borgia, nie potrzebowałaby adwokatów i obrońców ani pośmiertnej i spóźnionej rehabilitacji.

Nie tylko my jesteśmy tego zdania. Gregorovius pisze:

"Nikt nie zechce uwierzyć, że Rzym i dwór papieski jej nie skaziły, ale jednocześnie nikt bezstronny i uczciwy nie może utrzymywać, że była winna przypisywanych jej nikczemnych czynów".

Podobnie pisze Pastor: "Choć uznajemy, że nie uchroniła się przed zapowietrzonym oddechem zdeprawowanego środowiska, w którym żyła, to trzeba stwierdzić, że nie była

taką bestią, jaką ją przedstawiała część oszczerczej i goniącej za sensacją historiografii".

Według Hillebranda Lukrecja "godzi się na wszystko, nigdy się nie sprzeciwia, z nadzwyczajną łatwością przystosowuje się do każdej nowej sytuacji narzuconej jej przez ojca

lub brata. Jej listy, które się zachowały, nie ujawniają, by miała jakąś szczególną osobowość: bardzo poprawne, bezbarwne, beznamiętne, bez werwy, pozbawione oryginalnych spostrzeżeń mocno kontrastują z nieporównywalnie barwniejszymi listami jej korespondentki i szwagierki, pięknej, dowcipnej, pełnej życia margrabiny Izabeli Gonzagi". Reumont uważa, że Lukrecję należy uniewinnić od większości zarzutów. Geiger zaś tak ją ocenia: "Nie była erudytką, jak wiele współczesnych jej kobiet, ani utalentowaną damą. Jej wykształcenie ogólne, może z powodu hiszpańskiego pochodzenia, może dlatego, że literatura i sztuka nie były zanadto w cenie na dworze Aleksandra, było nadzwyczaj skromne. Była to jednak kobieta bystra i inteligentna, która znała kilka języków nowożytnych i radziła sobie nawet z łaciną".

Gdyby żyła w innej epoce i w innym środowisku, nikt by się nie pasjonował jej nie zawsze budującym życiem. Miała jednak nieszczęście urodzić się w jednym z najbardziej burzliwych okresów Odrodzenia i wychować na jednym z najbardziej zdeprawowanych renesansowych dworów. I również dlatego powinna być rozgrzeszona.

CHRONOLOGIA

1431, 1 stycznia - w Jativie (Walencja, Aragonia) przychodzi na świat Rodrigo Borgia;

1449 - prawdopodobnie przybywa do Włoch;

1455, 8 kwietnia - jego stryj zostaje papieżem; przybiera

imię Kalikst III;

1455, 16 maja - Rodrigo zostaje protonotariuszem apostolskim;

1456, 20 lutego - kardynałem;

1457, 1 maja - wicekanclerzem;

1471- opatem Subiaco;

1472-1473 - wysłannikiem do Hiszpanii w sprawie krucjaty;

1475- przychodzi na świat Cezar;

1480, 18 kwietnia - rodzi się Lukrecja;

1482, 27 marca - Cezar zostaje protonotariuszem;

1491, 12 września - biskupem Pampeluny;

1492, 11 sierpnia - Rodrigo Borgia zostaje wybrany na papieża (Aleksander VI);

1492-1495 - Pinturicchio ozdabia freskami apartamenty

Borgii;

1492, 31 sierpnia - Cezar arcybiskupem Walencji;

1493, 25 kwietnia - liga z Mediolanem i Wenecją;

4 maja - po odkryciu Ameryki papież wyznacza linię graniczną między strefą hiszpańską a portugalską;

12 czerwca - Lukrecja poślubia Giovanniego Sforze, zwanego Sforzino;

1493, 2-3 sierpnia - Sforzino wraca do Pesaro;

lipiec-sierpień - pojednanie papieża z królem Neapolu, Orsinim i della Rovere;

24 sierpnia - książę Gandii żeni się z Marią Enriquez

(byłą narzeczoną swego brata, Pedra Luisa), siostrzenicą króla Ferdynanda Katolickiego;

20 września - Cezar zostaje kardynałem;

1494, styczeń - Sforzino przenosi się do Rzymu;

7 maja - Jofre żeni się z Sancią;

31 maja - Lukrecja wyjeżdża do Pesaro, dokąd przybywa 8 czerwca;

14 lipca - papież zawiera sojusz z Alfonsem II;

spotkanie w Vicovaro;

2 września - Karol VIII przekracza Monginevro;
27 grudnia - król Francji w Rzymie;
1495, styczeń - Cezar legatem, a jednocześnie zakładnikiem Karola VIII;
31 marca - liga z Wenecją, Hiszpanią, cesarstwem i Sforzą;
6 lipca - bitwa pod Fornovo (po bitwie Lukrecja wraca do Rzymu);
16 lipca - Cezar gubernatorem generalnym i legatem Orvieto;
8 września - papież zakazuje Savonaroli głoszenia kazań;
1496, 20 maja - Jofre i Sancia w Rzymie;
czerwiec - książę Gandii pozostawia w Hiszpanii żonę i dwoje dzieci, a 10 sierpnia przybywa do Rzymu;
1497, 5 stycznia - Borgia rozkazuje Giovanniemu Sforzy, by stawił się w Rzymie;
25 stycznia - Orsiniowie zadają klęskę wojskom papieskim pod Soriano;
13 maja - papież rzuca klątwę na Savonarolę;
14 czerwca - tajemnicza śmierć księcia Gandii;
22 lipca - Cezar udaje się do Neapolu na koronację króla Federica;
7 sierpnia - Jofre i Sancia wyjeżdżają do Squillace;
22 grudnia - orzeczenie rozwodu między Lukrecją a Giovannim;
1498, 23 maja - stracenie Savonaroli;
czerwiec - papież wzywa Ludwika XII do wojny przeciw Turkom;
21 lipca - Lukrecja poślubia Alfonsa de Bisceglie;
17 sierpnia - Cezar przestaje być kardynałem, a w kilka dni później król Francji czyni go hrabią Valentino;
13 września - papież unieważnia małżeństwo Ludwika XII;

październik - Ludwik XII przyjmuje z wielkimi honorami Cezara;
1499, 12 maja - Cezar żeni się z Carlottą d'Albret, siostrą króla Nawarry;
8 sierpnia - Lukrecja gubernatorem Spoleto i Foligno;
7 października - Lukrecja gubernatorem Nepi;
1 listopada - Lukrecja wydaje na świat Rodriga;
24 listopada - Cezar zdobywa Imolę;
17 grudnia - Cezar zajmuje Forli;
1500, 12 stycznia - warownia Forli poddaje się Cezarowi;
26 lutego - Cezar witany w Rzymie jako triumfator;
9 marca - Cezar wikariuszem w Romanii;
29 marca - Cezar gonfalonierem Kościoła;
18 sierpnia - zamordowanie księcia Alfonsa Bisceglie, ranionego 15 lipca;
28 września - konsystorz;
październik - Cezar wznawia kampanię w Romanii;
10 października - Pandolfo Malatesta oddaje Cezarowi Rimini;
1501, 25 kwietnia - Faenza poddaje się Cezarowi;
maj - Cezar księciem Romanii;
13 czerwca - papież aprobejuje podział Królestwa Neapolu między Hiszpanię a Francję;
15 września - Cezar wraca do Rzymu z Kapui i Neapolu;
19 listopada - List do Silvia Savelli;
30 grudnia - Lukrecja poślubia Alfonsa d'Este;
1502, 6 stycznia - Lukrecja wyjeżdża z Rzymu do Ferrary;
2 lutego - Lukrecja przybywa do Ferrary;
czerwiec - Cezar wyjeżdża z Rzymu;
lipiec - Cezar odbiera Camerino Varanom;
pierwsze dni października - zebranie w Maggione koło Perugii;

31 grudnia - podstęp w Senigalli;

1503, 10-11 kwietnia -tajemnicza śmierćkardynała
Michiela;

31 maja - sprzedaż kapeluszy kardynalskich;

18 sierpnia - śmierć papieża Aleksandra VI;

22 sierpnia - Cezar godzi się z Colonnami i przysięga
posłuszeństwo Świętemu Kolegium;

2 września - Cezar opuszcza Rzym;

,22 września - kardynał Todeschini Piccolomini zostaje wybrany na papieża i
przyjmuje imię Pius III;

18 października - nowo wybrany papież umiera;

1 listopada - papieżem zostaje Giuliano della Rovere, Juliusz II;

listopad - papież każe aresztować Cezara w Ostii;

1504-, kwiecień - Cezar ucieka do Neapolu;

27 maja - Gonzalo de Cordoba każe aresztować Valentina;

1506, 25 października - Cezar ucieka z więzienia w Hiszpanii i znajduje schronienie
u szwagra, króla Nawarry;

1507, 12 marca - Cezar ginie pod murami zamku Viana;

1519, 24 czerwca - umiera Lukrecja;

1610 - zwłoki papieża zostają przeniesione do hiszpańskiego kościoła Santa Maria di
Monserato w Rzymie;

1889 - szczątki papieża zostają godnie złożone w grobie.